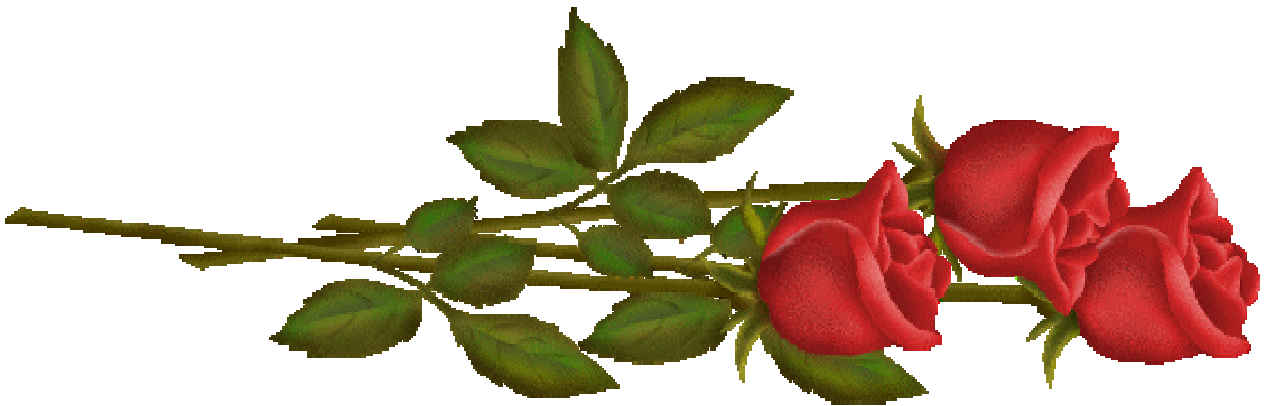




Peggy Darty



Pąsowe róże
Fountain Court

Prolog

Czasami budzę się w środku nocy z biciem serca i drżeniem rąk, czując, że ten senny koszmar jest bardziej realny niż przytulna sypialnia. Znów stoję przed tym domem. Znów wdycham zapach tysięcy róż pnących się po murze ogrodu, wypełzających z glinianych donic, snujących się po całym dziedzińcu.

Znów księżyc jest w pełni, a jego srebrzysta poświata wędruje po balkonach, przenika przez okienne witraże. A tam w cieniu ktoś czeka, czai się, nadśluchuje...

Błądę w ciemności i nagle słyszę, że ktoś woła moje imię. Głos, któremu nie potrafię się oprzeć. Potem głos zamienia się w pochyloną nade mną twarz i para czarnych oczu patrzy na mnie z uśmiechem, w którym jest smutek i tajemnica. Wtedy czuję, że mięknie moje serce. Serce, które kiedyś mu oddałam.

Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że bywają tacy mężczyźni, jak Jordan LaMarsh, ani że jedna wypełniona udręką i słodyczą wiosna może na zawsze odmienić czyjeś życie. Teraz wtulając głowę w poduszkę, wpatrzona w odpływający sufit, przypominam sobie wszystko tak dokładnie, jakby to było wczoraj...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Powinam była się domyślić. Powinam od razu wyczuć niebezpieczeństwo tego marcowego popołudnia, gdy w Nowym Orleanie zbierało się na burzę, a ja z biciem serca uchylałam furtkę Fountain Court. Ale wtedy przypisywałam przyspieszone tętno martwemu powietrzu, jak zawsze w tych stronach przed nadciągającą burzą.

A poza tym padałam z nóg i było mi wszystko jedno.

Od rana przemierzałam dzielnicę Vieux Carré w poszukiwaniu mieszkania. Hotele były zbyt drogie, a pokoje do wynajęcia zbyt podłe — przynajmniej ten, w którym spędziłam ostatnią noc. Gdy słońce skryło się za chmurami i rozległ się grzmot, jedynym miejscem schronienia była najbliższa narożna kawiarnia. Dobiegłam i przystanąwszy dla złapania tchu, spojrzałam na drugą stronę ulicy.

Tak pięknego domu nie widziałam w życiu. Piętrowy, cały z czerwonej cegły, balkony z żelaznymi balustradami, okna iście gotyckie, a po obu stronach każdego zielone okiennice. Te na piętrze były otwarte, a popołudniowy wiatr na przemian wydymał i odpychał firanki, przypominające duchy układające się na spoczynek.

Fronton wychodził na ulicę, tyły i boki zaś otaczał wysoki ceglany mur. Kwitnące magnolie i zielone dęby rzucały na balkony leniwy cień.

Przez dłuższą chwilę stałam jak zahipnotyzowana, nie mogąc dociec, co mnie właściwie tak w tym domu fascynuje. Przypominał inne w tej zamożnej dzielnicy, a jednak było w nim coś szczególnego.

Błysnęło i zagrzmiało, a ja, obróciwszy się na pięcie, omal nie wpadłam na zażywną kobiecinę, której oczy też ciskały błyskawice. Rychło przekonałam się, że to nie ja jestem przyczyną jej irytacji.

— Łobuzy, wydrwigrosze! — oznajmiła wskazując na pobliski stragan. Ubrana była w ciemną barchanową suknię, a sztywny biały fartuch spowijał ją niczym pancerz. Nakrochmalony biały czepek spełniał rolę hełmu.

— I to mają być przyprawy! Kiedyś czosnek rwało się prosto z grządki, a jak się ziarno pieprzu wrzuciło do gumbo*, to aż gębę wykrzywiało. Teraz to tylko kraść potrafią!

Na moment odebrało jej głos i sięgnąwszy do koszyka, podsunęła mi pod nos wiązki zeschniętego czosnku.

— Widzi panienka? Uchodziłam sobie nogi, ale kto to doceni? Przecież takich chwastów nie podam starszej pani!

Cisnęła czosnek do koszyka.

— Paskudny ten czosnek — przytaknęłam nieco rozbawiona, porównując soczyste jarzyny do rumianej twarzy z nabrzmiętymi gniewem ustami.

Pokręciła sceptycznie głową i zamierzała się oddalić. Uchwyciłam sztywny rękaw niczym ostatnią deskę ratunku:

— Wiem, że się pani śpieszy, ale szukam mieszkania, a przynajmniej pokoju. Nie słyszała pani o czymś tu, w Vieux Carré?

Obróciła się jak ukłuta i przyjrzała mi się bacznie.

— Tutaj?

— No, w okolicy...

— A panienka sama? — spytała podejrzliwie, poddając mą perkalową sukienkę gruntownej inspekcji.

— Gorset by się przydał — dodała szorstko, oceniwszy wzrokiem moją talię. Pobieglam oczyma za jej wzrokiem. Tak jakoś się składa, że w przeciwieństwie do większości kobiet nie korzystam z fiszbinów. Przedkładałam wygodę nad wymogi mody, a że Opatrzność obdarzyła mnie bujnym biustem i niezbyt wąskimi biodrami, nie muszę podkreślać ich ściśniętą talią.

— Takie kruszyny nie powinny waleśać się samotnie po ulicach! Pełno tu złodziejasków, a w zaułkach to już lepiej nie mówić...

Rozejrzałam się dookoła: sklepy, kabarety, kawiarnie, a wszędzie rojno od przyzwoicie odzianych ludzi. Wyglądało to dość bezpiecznie.

— No i burza idzie — dodała wpatrując się w ołowiane chmury.

— Przepraszam za kłopot — powiedziałam, czując, że rozpaczliwie potrzebuję filiżanki kawy.

— Chyba że w wozowni.

Jej słowa zawisły w powietrzu i zatrzymały mnie już w drzwiach kawiarni.

— W wozowni? r Skinęła głową.

— No, raczej nad wozownią. Jest tam taki pokoik. Konie trzymają w stajni. Ale... coś mi się widzi, że długo tam panienka nie zabawi. Tę ostatnią szybko wywiało. — Westchnęła ciężko, utkwivszy zamyślane spojrzenie gdzieś ponad moją głową.

— O jakiej wozowni pani mówi? — spytałam, zapominając o przytulnej kawiarni.

Przez chwilę lustrowała mnie błękitnymi oczyma:

— No, o naszej wozowni... ale co tam. Ruszyła przed siebie.

Zamilkło echo kolejnego grzmotu, a słońce na moment przedarło się przez chmury. Dom naprzeciwko wyglądał teraz trochę niesamowicie w promieniach

bladożółtego słońca. Moja zażywna znajoma zmierzała właśnie ku bocznej furtce w murze atrakcyjnej budowli.

— Niech pani poczeka! — krzyknęłam. Uniosłam rąbek sukienki i popędziłam za nią, zerkając z biciem serca na ceglana elewację. Jeśli była szansa, choćby cień szansy, na wynajęcie tu pokoju, czemu nie spróbować?

— Przepraszam, że tak nudzę — dopadłam kobiecinę już przy furtce, spoza której wylaniał się spowity bujną zielenią dziedziniec.

Obróciła się nachmurzona.

— Czy to oni wynajmują wozownię?

— Nie, żeby musieli. Pieniądzy to mają w bród. Kiedyś taka jedna babina — zwał ją tu Bella — zapukała po prośbie, a że nie miała się gdzie zatrzymać, to wynajęli jej pokój nad wozownią, bo i tak stał pusty. Kiedyś starszy pan LaMarsh trzymał tam swoje dokumenty, potem młodszy pan LaMarsh miał tam pracownię, a jeszcze potem...

— Pracownię? — przerwałam jej w pół słowa.

— A no miał, ale to było kiedyś... — pokręciła głową, a jej niebieskie oczy posmutniały. — Opuściła go żona i teraz nie w głowie mu malowanie.

„Malowanie!” Wymówiła słowo magiczne dla każdego, kto raz wpadł w sidła pędzla, choćby, jak ja, wziął tylko parę lekcji od starego Francuza, który włócząc się po wsiach zatrzymał się kiedyś na miesiąc w moim rodzinnym Riverville. Od tamtej pory, przy pomocy najtańszych pędzelków i farbek, umykałam od szarzyzny życia ku baśniowym widokom przenoszonym mozolnie na płótno z książek z obrazkami.

— Właśnie czegoś takiego szukam — oświadczyłam zdecydowanie. — Cena nie gra roli...

Ugryzłam się w język. Co ja mówię? Resztki pieniędzy ze sprzedaży nędznej farmy mojej babci z trudem starczyłyby na posiłki, dopóki nie znajdę pracy. Ale pokusa Nowego Orleanu — miasta, które przyciągało mnie niczym magnes przez dwadzieścia jeden lat mego krótkiego życia — była silniejsza. Wolałam umrzeć tu z głodu, niż wrócić raz jeszcze do tej sennej miejsciny, w której wyrosłam.

— No to niech panienka pogada z panem LaMarsh — powiedziała kobiecina. — Śmiało, za mną.

Ruszyła zamaszystym krokiem, wymachując koszykiem i szeleszcząc wykrochmalonym fartuchem. Dojrzałam solidne trzewiki na grubej podeszwie i znów przypomniała mi się moja babcia — rzetelna, życiowa, w niczym pod tym względem nie przypominająca mych rodziców.

— LaMarsh? Czy to właściciel tego domu? A jaki właściwie tu adres?

— Na tabliczce chyba gdzieś tam pisze Fountain Court, ale wszyscy mówią „u LaMarshów”. Choć może lepiej, żeby panienka nie chlapała tym nazwiskiem na prawo i na lewo. Państwo LaMarsh cenią sobie spokój. Nie lubią, gdy obcy kołatają im do drzwi, a zwłaszcza o późnej godzinie. Trochę mnie tym zbiła z tropu.

— A skoro pyta panienka o właściciela, to od śmierci starego pana Józefa jest nim jego syn — Jordan; znaczy się, pan Jordan LaMarsh. Mieszka tu z matką i siostrą, tyle że...

Przerwała, uniosła głowę i z troską spojrzała w okna na piętrze.

— A tak w ogóle to na imię mi Margaret. Margaret Morgan. Właśnie przyjechałam do Nowego Orleanu z Riverville.

— Z Riverville? — przyjrzała mi się zaciskając usta. — Miałam tam kiedyś przyjaciółkę. Dawne czasy i pewnie już jej się zmarło. A ja jestem Elza Brantley.

Pchnęła żelazną furtkę. Sklepiony wjazd dla powozów prowadził na obszerny dziedziniec. Zamek szczęknął za nami, a że przypominało to trochę tunel, poczułam się niczym w książkach z obrazkami, które do tej pory kopiowałam.

Wysokie mury wyrastały z gąszcza forsycji. Ścieżki wyłożone były szarymi kamiennymi płytami, a wszędzie panowały róż, których kwiaty — od ledwie zarumienionej bieli po krwisty pąs, stanowiły istną ucztę dla mych oczu.

Pomiędzy różami, w samym środku dziedzińca, piętrzyła się trzykondygnacyjna fontanna. Tęczowe kropelki tryskającej i opadającej wody iskrzyły się jak kryształowe paciorki.

Bananowiec i kwitnące magnolie rzucały miejscami cień na dom, krzepko osadzony na podwyższeniu. Spadzisty dach opadał ku czworobokowi zabudowań, przypuszczalnie dla służby. Wozownia znajdowała się przy tylnej elewacji, nie opodal drugiej, również sklepionej bramy, wychodzącej przypuszczalnie na tylną uliczkę.

— Pięknie tu — powiedziałam, rzucając raz jeszcze okiem na pąsowe róże kwitnące wokół żelaznej ławeczki ustawionej tuż przy fontannie. Nie wyobrażałam sobie, że można na co dzień tak mieszkać.

— Widzę, że drzwi do wozowni są otwarte — powiedziała Elza. — A więc pan LaMarsh pewnie nadal jest w domu. Gdy wychodziłam na targ, był na dziedzińcu. Pewnie gdzieś tu jest, więc niech panienka korzysta z okazji... —

zniżyła głos. — Tylko proszę się nie przejmować jego szorstkim tonem. Żle mu się ten rok zaczął. Nieszczęścia chodzą parami. Najpierw stracił ojca, a potem ta jego francuska żoneczka dała nogę. — Ciężkie westchnienie przerwało potok jej słów. — A do tego problemy z matką — dodała, unosząc oczy ku górnemu balkonowi wychodzącemu na tyły domu.

Machinalnie i ja spojrzałam na piętro. Błada, posępna twarz w obwiedzionym okiennicami oknie skojarzyła mi się z kameą. Twarz starej kobiety. Spojrzałam pytająco na Elzę Brantley.

— Z panią LaMarsh już wcześniej nie było za dobrze — wyjaśniła. — A od kiedy starszy pan LaMarsh — świeć Panie nad jego duszą — opuścił nas, jest już z nią całkiem źle.

— Jakże mi przykro — rozejrzałam się wokoło. — Kto tu jeszcze mieszka?

— Frances Jackson, pielęgniarzka pani LaMarsh. Kilkoro służby, no i Marie — jej córeczka. — To ostatnie wymówiła z głębokim westchnieniem. — A tam jest moja kuchnia — wskazała na drzwi prowadzące do niskiej oficyny. — Mieszkam przy niej w całkiem sporej izbie.

Popatrzyłam na okno kuchni, gdzie na parapecie spoczywały w schludnym ordynku małe gliniane garnuszki. Okno było otwarte, a z wnętrza niósł się obiecujący aromat przypraw.

— A w tamtych oficynach mieści się pralnia, piwnica na wina i kwatery służby — wyjaśniła Elza.

— Od jak dawna pani tu mieszka? — spytałam, gdy powoli szłyśmy przez dziedziniec.

— Będzie już dziesięć lat. Przyjęłam się tu po śmierci mego starego. Nie umiem żyć beczynnie. Przez całe życie gotowałam. Dzieci nie mieliśmy, ale James zawsze przyprowadzał do domu robotników z doków i portu. — Westchnęła stawiając wiklinowy koszyk przy kuchennych drzwiach. — LaMarshowie byli dla mnie dobrzy. Zwłaszcza pan Józef... ten, który niedawno zmarł. Oj, niewielu było takich kupców tu, w Vieux Carré. Zawsze mawiał: „Widzisz, Elzo, my tu nad Missisipi tworzymy zręby nowej cywilizacji. Opłacam nauczycieli, by nie śmiano się z naszej angielszczyzny.

Francja to już przeszłość, a my tutaj musimy żyć i wyrażać się jak prawdziwi Amerykanie". Tak mi zawsze mówił.

W krągłych niebieskich oczach pod schludnym czepkiem zalśniło coś na kształt łzy.

— Zaczny był człowiek ze starego pana LaMarsha. Pomógł niejednemu tu w Nowym Orleanie. — Ściszyła głos: — Tyle że strasznie rozpuścił tę swoją

rodzinkę. Zwłaszcza baby. Powiadam panience, że niełatwo dogodzić pani LaMarsh i tej młodej Marie. No ale jestem tu tak długo, że nauczyłam się skakać przy nich, nie podnosząc głosu.

Jak dotąd niewiele powiedziała mi o młodszym LaMarshu, tym, który był teraz właścicielem domu i którego miałam poprosić o wynajęcie mi wozowni.

— A oto i wozownia — wskazała ręką.

Zlustrowałam uważnie murowany budynek i serce zabiło mi żywiej. Szerokie okno na piętrze wychodziło na wschód, zapowiadając ranne słońce. Wymarzona pracownia! Gdy zbliżyliśmy się, z drzwi wozowni wyszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Przystanął i podparłszy się pod boki, uważnie nam się przyglądał.

Ciemne spodnie i biała lniana koszula, ściśle przylegająca do jego smukłej sylwetki, pasowały do kruczej czerni gęstych włosów i szeroko rozstawionych oczu tej samej barwy. Twarz miał gładko wygoloną, szczękę kwadratową i wydatną, brwi ciemne, nos klasyczny, usta skrzywione w nieco tajemniczym grymasie, podbródek łagodnie zarysowany. W przeciwieństwie do większości idących za modą mężczyzn, nie nosił bokobrodów ani wąsów i bardzo przypadło mi to do gustu.

— Panie LaMarsh — Elza przeszła od razu do rzeczy. — To jest panna Margaret Morgan i chciałaby wynająć naszą wozownię!

Jej obcesowość spowodowała, że z trudem złapałam oddech. Przeszupując z nogi na nogę, próbowałam rozpaczliwie znaleźć jakieś bardziej dyplomatyczne słowa.

Spojrzał na mnie, potem kątem oka na wozownię i przyglądził ręką czarne włosy, które — jak dostrzegłam — były lekko kręcone.

— Tę wozownię?

— Potrzebuje pokoju — ciągnęła Elza. — Spotkałam ją na rogu ulicy.

Spod gęstych brwi posłał mi baczne spojrzenie, od którego fala gorąca owiała mnie od stóp po sam czubek głowy. Próbowałam wyobrazić sobie, kogo widzi, tak jakbym stała przed lustrem. No więc musiał widzieć kobietę średniej urody, średniego wzrostu, o włosach średniej barwy i co gorsza, uplecionych w koronę. Jediną wyróżniającą mnie cechą mogły od biedy być dociekliwe niebieskie oczy, nie pasujące do bardzo czarnych rzęs. Może jeszcze białe zęby, polerowane nieustannie kuchenną sodą. Chyba nic we mnie nie wskazywało, że na rogach ulic bywam w celach profesjonalnych, a jednak Elzie udało się zasugerować coś wręcz przeciwnego.

— Szuka miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać — brnęła dalej — i wspomniałam jej tylko, że pański ojciec wynajął kiedyś ten pokoik nad wozownią. Jeśli coś palnęłam, to bardzo przepraszam...

LaMarsh patrzył na Elzę bardzo uważnie, ale równocześnie zdawało mi się, że słucha jej paplaniny tylko jednym uchem. Przełknęłam ślinę. Czas był, bym sama coś powiedziała:

— Przyjechałam wczoraj do Nowego Orleanu w poszukiwaniu pracy — zaczęłam chłodno i rzeczowo. — Ponieważ moje fundusze są ograniczone... — tu odebrało mi głos. Tego typu wyznanie było najgorszą z możliwych rekomendacji.

Czarne oczy raz jeszcze prześlizgnęły się po mnie. Raz jeszcze spojrzął na wozownię, najwyraźniej ważąc decyzję:

— No to proszę wejść i się rozejrzeć — powiedział i zachmurzył się. — Jak długo chce się tu pani zatrzymać?

— To zależy od wysokości komornego — powiedziałam z wahaniem.

— Targować się nie będziemy — mruknął i podszedł o krok, wychodząc z cienia rzucanego przez krzak magnolii. Skórę miał delikatnie smagłą, a oczy mroczne i tajemnicze.

Rozejrzałam się po wozowni, usiłując panować nad emocjami.

— Czym się pani zajmuje?

— Słucham...?

Moje monotonne życie wypełniały dotychczas książki, malowanie i podawanie leków chorej babce. W soboty dorabiałam sobie jako subiektka w oferującym szwarc, mydło i powidło sklepiku w naszej mieścinie. Wprawdzie właściciel napisał mi wielkodusznie list polecający, lecz — jakkolwiek by na to patrzeć — moje kwalifikacje były żałosne. Ale w końcu pracowałam uczciwie, choć krótko to trwało. Nabrałam powietrza:

— Znam się trochę na buchalterii — powiedziałam akcentując każde słowo. — Mam tu list polecający — dodałam i ugryzłam się w język. A cóż go obchodzi mój list polecający? Przecież nie chcę zatrudnić się w wozowni.

Popatrzył na mnie, potem na Elzę, ta uśmiechnęła się pochlebco i coś mi szepnęło, że ten uśmieszek przechylił szalkę wagi na moją korzyść.

— W porządku. Proszę obejrzeć sobie ten pokoik. Może się tu pani zatrzymać, jeśli taka wola.

Zabrzmiało to trochę jak słowa Elzy, sugerujące, że mieszkanie nad wozownią może wiązać się jakoś z silną wolą. Pewnie kwatera była prymitywna i niewygodna.

— Zaprowadzę panienkę — ofiarowała się i ruszyła przodem przez uchylone drzwi. Przeszliśmy obok wykwintnego, wypolerowanego na błysk powozu. By nie zostać w tyle, rzuciłam tylko okiem na rozłożone na półkach narzędzia i zamknięte na stalowe skoble komórki, po czym ruszyłam za Elzą po wąskich schodach z chybotliwą poręczą.

— Wyobrażam sobie, jaki tam teraz bałagan — rzuciła gderliwym tonem przez ramię i zamasyście otworzyła drzwi na górnym podeście. Niski dwuspadowy strop, surowe deski podłogi — wszystko to kojarzyło mi się nie z niewygodą, lecz z przytulnością. Nawet w ponury dzień można się tu było czuć jak w domu. Pokoik aż prosił się o wypełnienie go książkami, pędzlami i sztalugami. A potem odprężyć się i tworzyć...

— Wspaniale! — zawołałam rozglądając się wokoło. Umeblowanie było skromne, ale solidne i dobrane ze smakiem.

Pogładziłam dłonią stojącą przy drzwiach wiśniową szafę na ubrania i popatrzyłam z podziwem na malowany w kwiaty porcelanowy dzbanek i miednicę na również wiśniowej umywalce pokrytej płytą z perłowszarego marmuru. Wąskie łóżko przykryte panięską pikowaną kołderką stało przy oknie naprzeciw drzwi.

— Widzę, że przyniósł tu ten dywanik — mruknęła Elza podchodząc do łóżka i stukając okrągłym czubkiem trzewika w wąski brukselski dywanik.

— Piękna robota — nie mogłam powstrzymać się od komentarza na widok delikatnej, skomplikowanej osnowy.

— Widzi mi się, że pozbywa się z domu wszystkiego, co przypomina mu pannę Angelikę — znów zamruczała pod nosem, ale wymówione imię zdążyło zawisnąć w powietrzu. Angelikę?

— Zbudowali ten pokoik, gdy Marie była jeszcze dzieckiem. Przychodziła tu ze swą nianią ćwiczyć gamy.

— A kto to jest Marie?

— Młodsza siostra tego, co już go panienka poznała. Zawsze żyli jak pies z kotem, a teraz to już nawet szkoda mówić. Starszy pan LaMarsh sprowadził specjalnie cieślę, żeby wyporządził tę izdebkę na lekcje śpiewu dla córuni. — Znów spojrzała na mnie konfidencjonalnie. — Ale tak fałszowała, że starsza pani zaraz dostawała migreny. Nie miała dziewczucha za grosz słuchu. — Zniżyła jeszcze bardziej głos i zwierzyła mi się na ucho:

— Wyła jak puszczyk o północy!

Uśmiechnęłam się, nie tyle z powodu jej porównania, co na widok rozpościerającego się pod oknem ogrodu. Ostatnimi czasy fascynowały mnie

pejzaże i próbowałam uwiecznić na płótnie każdy skrawek mych rodzinnych, zacisznych stron nad Zatoką.

Teraz stało przede mną nowe wyzwanie: kwietny ogród, cieniste mury, szare wieżyczki na tle chmur.

Zgrzyt klamki sprowadził mnie na ziemię. To Elza otworzyła ścienny schowek, w którym znajdowało się kilka pudełek i portret uderzająco pięknej dziewczyny.

— Patrzcie państwo... to tu ją ulokowałam!

Zerknęłam przez rozłożyste ramiona Elzy i moim oczom ukazała się nieznajoma o przenikliwych piwnych oczach i owalnej twarzy obramowanej kaskadą ciemnych loków. Byłaby bez skazy, gdyby artysta nie oddał na płótnie i charakteru: arogancko zarysowany podbródek, usta, których krzywizna kryła coś więcej niż zalotny uśmieszek, oczy łani, ale takiej łani, która potrafi mocno kopnąć kopytem.

— Czy to...?

— To Angelika LaMarsh. We własnej osobie. Ach, jaka ona była piękna! To znaczy, jest piękna — poprawiła się gwałtownie Elza.

— Wspomniała pani, że była tu pracownia? — rozejrzałam się po pokoju.

— A no była — przytaknęła. — Przez pewien czas pan LaMarsh, ten młodszy, którego już panienka poznała, używał tej izby jako pracowni. Tu ją właśnie portretował... to znaczy Angelikę... swoją żonę.

— Ach, rozumiem — w samej rzeczy zrozumiałam nagle, dlaczego sprawiał tak smutne i przygnębione wrażenie. Pewnie ta piękność z portretu złamała mu serce i uciekła.

— Bardzo to wszystko dziwne — mruknęła Elza i zacisnęła wargi.

— Co jest dziwne? — próbowałam coś z niej wyciągnąć. Pokręciła tylko głową, jak gdyby chcąc zebrać myśli. Nagle przyjrzała mi się bacznie i skrzyżowała ramiona:

— Czy naprawdę chce panienka wynająć ten pokój? — spytała szorstko.

„Nawet za ostatniego centa” — pomyślałam. Nie należę do utracjuszy, ale teraz nie byłabym już w stanie z niego zrezygnować.

— Tak, chcę. Właśnie taki jest mi potrzebny i dziękuję za jego wskazanie.

— Niech się panienka tak nie śpieszy z tym dziękowaniem — powiedziała cicho, rozglądając się w zadumie po ścianach.

— Nie rozumiem — odparłam, a w myślach już odsuwałam łóżko od okna, by ustawić tam sztalugi.

— Jak by to rzec... — znów nie dokończyła, a potem wyrzuciła z siebie jednym tchem: — Po tym domu krąży jakieś lichy i czasem aż strach przez drzwi przejść.

Spojrzałam jej w oczy i zanim zdołałam się powstrzymać, parsknęłam śmiechem.

— Dalej nic z tego nie rozumiem — próbowałam natychmiast pokryć ewidentny nietakt. — Przecież jestem tu tylko lokatorką, a więc cóż mnie obchodzą ich rodzinne problemy? Nie uwikłam się w ich sprawy.

— Może nie, a może tak. — Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się w progu. — Coś mi się widzi, że każdy, kto tu przybywa, koniec końcem się wikła. — Westchnęła i ciężkim krokiem ruszyła schodami w dół.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zeszłam szybko za Elzą, zdecydowana puścić mimo uszu jej złowieszcze ostrzeżenie. Dwie noce w wynajętym pokoju, zapachy tłuszczu z korytarza i spanie na twardej kozetce umocniły moją wolę zdobycia nowej kwatery. Gdy byłyśmy znów na oblanym zachodzącym słońcem dziedzińcu, po raz kolejny wydała z siebie ciężkie westchnienie:

— Co się odwlecze, to nie uciecze. Lepiej stawić czoło panience Marie i mieć to już z głowy!

Spojrzałam za jej wzrokiem na dolny balkon rezydencji. Stała tam jakaś dziewczyna i przyglądała nam się niedobrym spojrzeniem.

— No to śmiało — powiedziała Elza, podejmując się niemiłego zadania. Przeszliśmy obok fontanny, a Marie LaMarsh nawet nie zareagowała na mój zachęcający uśmiech.

Niska i szczupła, włosy miała czarne, podobnie jak jej brat. Na pierwszy rzut oka robiła wrażenie kruchego podlotka. Z bliska okazała się być raczej młodą kobietą, może i atrakcyjną, gdyby choć odrobina życzliwości wygładziła jej ostre rysy i czujne spojrzenie spod przymrużonych powiek. Grymas jej ust przypominał mi od razu tamtą z portretu. Ale to, co u Angeliki mogło uchodzić za nadaśaną kokieterię, u Marie przybierało postać afektowanej pozy.

Zielona jedwabna suknia była na pewno ostatnim krzykiem mody: szerokie ramiona i kloszowa, szyta z koła spódnica. Dobrana pod kolor zielona wstążka podtrzymywała bujne czarne włosy.

— Panienko Marie — zaczęła oficjalnie Elza. — To nasza nowa lokatorka, Margaret...

— Lokatorka?

Postanowiłam tym razem mówić sama za siebie:

— Wynajęłam u państwa pokoik nad wozownią — ważyłam słowa, nadal uśmiechając się, ale natychmiast zmroziło mnie lodowate spojrzenie taksujące moją fryzurę i sukienkę, która teraz wydała mi się nieco zbyt wyszukana. Afektacja przeszła w kwaśny grymas.

— A po co nam tu lokatorka? — warknęła.

— A no, panienko Marie — chrząknęła Elza — ta młoda osoba nie miała gdzie się zatrzymać i...

— I sprowadziłaś ją do naszego domu, tak jak te swoje kocie przybłądy!

Elza zagryzła wargi. — Nie mam teraz żadnego kota.

Spojrzałam na nią z mieszaniną niepokoju i podziwu. Pomarszczona twarz pokryła się purpurą, ale wątpiłam, by osobę jej pokroju dało się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Czułam, że z trudem trzyma nerwy na wodzy i że do mnie należy pokierowanie dalszym rozwojem sytuacji.

— Panno LaMarsh — wycedziłam siląc się na uprzejmość — pani brat zgodził się wynająć mi...

— Mój brat? — zmrużyła szyderczo czarne oczy. — Sądzę, że nie omieszka skorzystać z pani obecności.

Aż otworzyłam usta. Poczułam się, jakby mi dała w twarz. Zanim zdążyłam wydusić z siebie równie kąśliwą ripostę, zatrzasnęła nam drzwi przed nosem.

Elza westchnęła ciężko i spojrzała na mnie z bólem:

— No i sama panienka widzi. Wszystkim nam tak zatruwa życie. Jej matka ma równie trudny charakter. Oczywiście inaczej trudny — dokończyła przez zaciśnięte zęby.

Spojrzałam znów na wozownię, ale mój gniew przeszedł teraz w gorzki zawód. Wprawdzie odległość wydawała się bezpieczna, ale jak na Marie...?

— Czy ta furtka wychodzi na tylną uliczkę? — spytałam Elzę.

— Tak, będzie mogła panienka wchodzić i wychodzić, nie zadając się z domownikami. — Odgadła moje myśli.

— Tak będzie lepiej — oświadczyłam z naciskiem, usiłując nie myśleć o aroganckiej dziewczusze. — Dziękuję za pomoc, ale obawiam się, że tylko przysporzyłam pani kłopotów.

— Jakie tam kłopoty! — wzruszyła ramionami. — A w ogóle to jestem Elza!

Wszystko zostało powiedziane, ale podziękowałam jej raz jeszcze, a potem długimi susami — jak to wiejska dziewczyna — ruszyłam ku wozowni.

W głowie szumiało mi od planów, a jednak pomimo pośpiechu doznałam dziwnego uczucia, że ktoś mnie obserwuje. Obróciłam się i spojrzałam w boczne okna. Jordan LaMarsh śledził mnie stamtąd z kamienną twarzą.

Udając, że go nie widzę, wyminęłam wozownię i przez sklepioną bramę wyszłam na ulicę. I cóż z tego, że Marie LaMarsh jest rozkapryszonym bachorem? Nie muszę wchodzić jej w drogę. A już na pewno nie jej bratu, skoro tak mocno i osobliwie działa na moje zmysły. Ale cóż ja tam wiem o mężczyznach? Moje doświadczenia ograniczały się do kilku zacukanych wiejskich chłopaków. Bicie serca i lodowaty chłód dłoni przy pierwszym spotkaniu postanowiłam przypisać przeciążonym nerwom i dziewczęcej tremie. Koniec i kropka! Tyle że sama w to nie wierzyłam.

Zerwał się wiatr, niebo znów pociemniało i pomruk wracającej burzy przypomniiał mi, że pora nie żałować nóg. Ponieważ zbliżał się zmierzch, zapalono gazowe latarnie i wotywnie świeczki w witrynach sklepów. Powietrze naokoło świeciło żółtym blaskiem i gdy dotarłam do domu noclegowego po mój skromny bagaż, zdążyło się już rozpadać i teraz lało jak z cebra.

Brudny korytarz, podarte tapety, zapach smażonych na oleju ryb — oto czym powitała mnie moja wczorajsza kwatery. Pomimo wszystko postanowiłam przeczekać tu ulewę. Po godzinie bębnienie w dach ustało i raz jeszcze sprawdziłam, czy nic nie ubyło z mego dobytku. Najcenniejsze było niewielkie pudło, które przy taszczyłam tu z Riverville; zawierało kilka oprawionych w półskórek książek, ulubiony pędzel, słoiczek z farbą oraz dagerotyp mojej babci w pozłacanej ramce. Odpędzając od siebie głos przestrogi, ruszyłam ku nowemu domowi.

Tym razem furka była zamknięta. Złożyłam na chodniku bagaż i nacisnęłam klamkę. Nic z tego. Nacisnęłam mocniej, ale najwidoczniej zamknęli się na klucz. Stałam przestępując z nogi na nogę i czułam się jak typowy nie chciany lokator. Nagle przypomniłam sobie o tylnej furcie, z której już wcześniej postanowiłam korzystać. Przecież tamtędy miałam wychodzić i wchodzić do domu!

Podniosłam pudełko, walizkę i torebkę i pośpieszyłam wzdłuż otaczającego dziedzińca muru. Gdzieś zza niego doszły mnie kobiece głosy, do których dołączył męski, głęboki i nosowy. Czyżby ktoś był na podjeździe? Odwróciłam głowę w stronę jezdnii, udając zainteresowanie przejeżdżającymi powozami, i tak doszłam do tylnej furki. Domokrażca z taczkami stał przy niej oparty o mur i przyglądał mi się z obleśnym błyskiem w oczach.

Balansując mój bagażem, nacisnęłam klamkę. Ku memu zdziwieniu, mało, przerażeniu, i ta furka była zamknięta. Przez chwilę wpatrywałam się w wysoki ceglany mur, zbyt dumna, by przywołać rozmawiające gdzieś za nim osoby.

Poczułam za plecami palące spojrzenie domokrażcy i przyjrzałam mu się ukradkiem. Zaczął poruszać mięsistymi wargami. Nie rozumiałam nic z jego żargonu, ale z samej miny łatwo się było domyślić intencji. Szyderczy grymas wykrzywił mu usta!

Sporunowałam go wzrokiem. Przecież nigdy dotąd nie widziałam go na oczy, więc za cóż mógłby mnie tak nienawidzić? Już miałam powiedzieć mu coś do słuchu, gdy nagle dźwignął taczki i ruszył na drugą stronę ulicy, nawet nie spojrzawszy za siebie.

Z westchnieniem postanowiłam zapomnieć o incydencie. W istocie nic mi nie groziło, a ten człowiek był po prostu nieokrzesanym prostakiem. Chcąc nie chcąc, ruszyłam ku głównym schodom. Bagaż ciążył mi, gdy wspinałam się po wyślizganych przez deszcz stopniach, zdecydowana skorzystać z dzwonka.

Odsapnęłam i dla zabicia czasu i uspokojenia nerwów spojrzałam w głąb domu przez szybki w drzwiach. Czekałam. Pudełko zaczynało przypominać ołów. Wreszcie z wnętrza dobiegł mnie odgłos obcasów stukających o parkiet podłogi.

Przez całą wieczność ktoś mozolił się z zamkiem. Patrzyłam na masywne, kasetonowe drzwi, próbując dociec, dlaczego ci ludzie mają aż taką obsesję prywatności. Nagle przypomniał mi się sepi wzrok domokrażcy i poczułam się nieswojo.

Powoli drzwi uchyliły się. Spodziewałam się, że to będzie ktoś ze służby, ale otworzyła mi przystojna jasnowłosa kobieta. Wodziła ze zdziwieniem szarymi oczyma po mej perkalowej sukience, pudle, walizie i torebce.

— Dobry wieczór — powiedziałam, starając się opanować drżenie głosu. — Wynajęłam właśnie pokój nad wozownią, ale nie mogłam dostać się na dziedziniec przez żadną z furtek.

— Nad wozownią? Ach, już przypominam sobie. Pan LaMarsh coś mi o tym wspominał. Jestem Frances Jackson — pielęgniarzka pani LaMarsh. Proszę wejść.

Wymowę miała ostrą i rytmiczną, bez typowego dla południowców przeciągania sylab.

Wewnątrz było chłodno i też pachniało różami. Próbowałam wypatrzeć cokolwiek w gęstym półmroku. Przy zamkniętych drzwiach obszerny hall nawet za dnia wymagał światła lampy. Teraz była przyćmiona, a delikatny blask pełgał po obitych brokatem ścianach.

Całą podłogę pokrywał brukselski dywan. Z prawej strony znajdowały się cztery pary równie masywnych, jak wejściowe, drzwi, z lewej jeszcze trzy, a do tego prowadzące na piętro kręte schody.

Przez szklane francuskie drzwi w samym końcu hallu ujrzałam zarys wychodzącego na tyły domu ganku.

— Proszę za mną — powiedział Frances Jackson. — Tamtędy może pani dostać się na dziedziniec.

Podziękowałam jej, śledząc równocześnie lampę na mahoniowym stoliku — ewidentnym dziele sławnej firmy Mallarda. Frances była wyższa ode mnie o dobre kilka cali, karnację miała lekko smagłą, a jasne włosy wiły jej się w

puklach. Rysy regularne, oczy szare i przenikliwe, usta wydatne. Oceńłam ją na jakieś trzydzieści lat i pomimo że nos miała nieco za duży, mogła uchodzić za atrakcyjną. Ubrana była ze smakiem: różowa, jedwabna bluzka, ciemna rozszerzająca się ku dołowi spódnica, a pod nią sztywna, zakończona koronkowym rąbkiem halka.

— Przepraszam, zapomniałam się przedstawić. Jestem Margaret Morgan — powiedziałam w nadziei, że może znajdzie przyjaciółkę w tej pielęgniarce.

— Bardzo mi miło. Pozwoli pani, że pomogę z bagażem.

Wzięła walizkę i poprowadziła mnie przez hall.

Przez nie domknięte drzwi ujrzałam w przelocie błyszczące mahoniowe meble, obrazy w złożonych ramach i puszyste czerwone dywany. Nagle moją uwagę przykuło dobiegające gdzieś z góry tępe uderzenie, a zaraz potem przeciągły jęk. Frances uniosła głowę, spojrzała w sufit, zmarszczyła brwi i powiedziała ostrym tonem:

— Muszę wracać do pani LaMarsh.

— Stąd już sama trafię — zapewniłam ją, ale puściła to mimo uszu. Otworzyła drzwi na tylny ganek z czarną żelazną balustradą powyginaną w fantazyjne wzory. Dziedziniec wyglądał stąd niczym zza czarnej koronkowej firanki, tak przynajmniej odebrało to moje malarskie oko.

Ruszyłam przed siebie, świadoma, że wszystko to oczekuje mojego pędzla. Dotąd specjalizowałam się w wiejskich pejzażach, ale teraz marzyłam, by usiąść kiedyś na balkonie i namalować ten tropikalny dziedziniec, regularne kwatery bujnej roślinności, szare kamienne ścieżki, a nad tym wszystkim piętrową fontannę.

Zauważyłam, że Frances nie ma szczególnej ochoty na dalszą konwersację. LaMarshowie sprawiali wrażenie samotnej wyspy odizolowanej od zewnętrznego świata i jego mieszkańców. Najprawdopodobniej i jej udzielił się ten styl.

Raz jeszcze przyjrzałam się różowej bluzce, szerokiej ciemnej spódnicy i platynowym, schludnie upiętym włosom. Niespodziewanie skierowała na mnie wzrok i przyłapała mnie na tej czynności.

— Sądzę, że stąd sama już pani trafi.

— Z pewnością — powiedziałam patrząc na ciemną bryłę wozowni piętrzącą się na przeciwległym krańcu dziedzińca.

— Dziękuję raz jeszcze — uśmiechnęłam się i odebrałam z jej rąk walizkę.
— Pani też tu mieszka?

Milczała i już miała odejść, gdy nagle drobna zmarszczka pojawiła się u nasady jej wydatnego nosa:

— Tak. Pani LaMarsh wymaga stałej opieki.

— Rozumiem.

Skinęła mi głową i weszła do domu. Idąc przez dziedziniec zastanawiałam się, co tak bardzo różni tych miastowych od naszej swojskiej wiejskiej społeczności.

Popatrzyłam w kuchenne okna. Ani śladu Elzy. Aromat parzonej kawy i kuszący zapach przypraw wskazywały, że krząta się przy garnkach. Westchnęłam ciężko, pomyślawszy, że trudno będzie wyżyć z mych skromnych zasobów przy tak bajecznych kuchennych woniach.

Przy końcu oficyny usłyszałam głosy i zobaczyłam dwie kobiety pogrążone w rozmowie przy bocznej furtce.

— Niedobrze, Elzo Brantley, że trzymasz rozmaryn ot tak, na parapecie. Rozmaryn pomaga w miłości i przysparza fortuny.

— Zrozum, Bello, że na miłość jestem już za stara, a co do fortuny...

Przyjacielska pogawędka urwała się na mój widok. Elza i niska Mulatka przekomarzały się wprawdzie, ale brzmiało to raczej żartobliwie. Same ich miny zdradzały bliską zażyłość.

— To nasza nowa lokatorka — powiedziała Elza, śpiesząc mi z pomocą. — Proszę dać to pudełko.

Spostrzegłam z ulgą, że impertynencje Marie LaMarsh spłynęły, niczym woda po gęsi, po tej zacnej kobiecie.

Jej rozmówczyni była niska i chuda, ubrana w wiejską spódnicę i białą bluzkę, a na ramionach miała czerwony szal. Czarne włosy wyślizgiwały się spod przepaski na czoło. Oczy też miała czarne i trochę jakby kocie.

— A więc, Bello, to nasza nowa lokatorka, panna Margaret Morgan — powiedziała Elza, gestykulując pulchnymi dłońmi. — A to Bella, moja przyjaciółka. Musisz wiedzieć, Margaret, że Bella zna się na wszystkim — zachichotała. — Na ziołach, kwiatach i na naszej przyszłości. Powinnaś kiedyś poprosić ją, by ci powróżyła.

— Miło mi panią poznać — powiedziałam i przyjrzałam się Belli. Pobrużdżona twarz sprawiała, że wyglądała na starszą od Elzy, a mimo to ubierała się jak młoda kobieta i była dosłownie obwieszona mnóstwem świecidełek. Złoto połyskiwało przy jej uszach, wokół szyi i nadgarstków. Nie mogłam od niej oderwać wzroku.

— Wróżę na Jackson Square — powiedziała. — Proszę kiedyś tam zajrzeć.
— Jak na tak drobną osobę, głos miała zadziwiająco niski i głęboki.

— Nikt jeszcze mi nie przepowiadał przyszłości — powiedziałam. — Wróży pani z kart?

Uniosła afektowanym gestem ręce o barwie karmelu, a bransolety zadrżały:

— Z kart, z listków herbaty, a czasami... — urwała i spojrzała mi głęboko w oczy — ...a czasami i z dłoni.

Wydawało mi się, że patrzy przeze mnie na wylot, jakby moje oczy były oknami prowadzącymi w głąb duszy. Machinalnie włożyłam dłoń do kieszeni spódnicy, a drugą zacisnęłam mocniej na rączce walizki.

— Obie furtki były zamknięte na klucz — zmieniłam temat. — Czy zawsze tak tu robią po południu?

Oczywiście pytanie skierowałam do Elzy, ale obie wymieniły przelotne spojrzenia.

— Przed chwilą były otwarte — odparła wodząc wzrokiem od jednej do drugiej furtki.

— Ja weszłam od tyłu — powiedziała Bella i jej czarne oczy przez moment omiały dom. Po chwili znów miała nieprzeniknioną twarz.

— Pewnie kolejne łotrństwo panienki Marie — mruknęła Elza i też spojrzała na dom. I ja zrobiłam to samo.

Górny balkon nie był już pusty. Mała złościca stała oparta o balustradę i przyglądała nam się bacznie. Westchnęłam i skupiłam się na mych rozmówczyniach, zdecydowana ignorować rozpuszczoną Marie.

— Na mnie już czas — powiedziałam.

— Pomogę nieść to pudło — zaofiarowała się Elza. — Jest jeszcze jedno wejście od tyłu wozowni, ale schody są tam stare i spróchniałe, więc nawet nie wspominałam o nich wcześniej.

Na balkonie trzasnęły drzwi. Gdy spojrzałam w górę, nie było już tam nikogo.

Kobiety wymieniły pełen wzajemnego zrozumienia uścisk dłoni.

— Mówię ci, Elzo, lepiej nie trzymaj tego rozmarynu tak na widoku — zawołała jeszcze za nami Bella.

Drzwi wozowni były otwarte. Powóz zniknął.

— Proszę położyć tutaj to pudło. Zaraz po nie wrócę — zawołałam przez ramię.

Elza posłuchała mnie i kołyszącym się krokiem zawróciła w stronę swej przyjaciółki. Spojrzałam znów na dom i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że

Jordan LaMarsh nie wspomniał słowem o wysokości komornego. Coś mi mówiło, że jak to zrobi, przyjdzie mi znów ruszać w drogę! Idąc przez wozownię, spostrzegłam odcisnięte w kurzu ślady kół powozu, a w głębi wiszące na przepierzeniu z desek końskie chomąto i grube skórzane lejce. Komórki zaopatrzone były w solidne zamki strzegące ich nie znanej mi zawartości. W sumie było to pospolite, nieszkodliwe miejsce i nic dziwnego, że gospodarze udostępniali je bez obaw obcym.

Na schodach zastanawiałam się, co właściwie robił tu Jordan LaMarsh, gdy spotkaliśmy się przed paroma godzinami. Czyżby kontemplował na górze w mym pokoiku portret tej, która go porzuciła?

Czułam, że wrodzona ciekawość wiedzie mnie w niedobrym kierunku, i postanowiłam sobie niezłomnie ująć ją w karby, gdy tylko złożę w pokoju moje bagaże. Ale najpierw trzeba było wrócić po pudło.

Schodząc do wozowni, oparłam się o poręcz i stwierdziłam, że jest jeszcze bardziej chybotliwa niż ta, o której wspomniała Elza. Wystarczyło dotknąć ręką, by się o tym przekonać. Wolałam nie ryzykować i obiecałam sobie, że jutro się za nią zabiorę. Jak każdy, kto wychował się na wsi, znałam się trochę na majsterkowaniu.

Wróciłam z pudłem, przystanąłam w drzwiach, by spokojnie zlustrować moje nowe włości, i natychmiast spostrzegłam, że coś tu przybyło pod mą nieobecność. Naczynie, którego nazwy nie będę przytaczać, pojawiło się w samym rogu przy umywalce. Ową zapobiegliwość przypisywałam Elzie.

Otworzyłam lustrzaną szafę na ubrania. Była pusta, ale zachowała jakiś niejasny, mocny zapach. Perfumy... takie, jakimi nasącza się saszetki. I to drogie, paryskie perfumy. Zaczęłam rozpakowywać skromne bagaże, a wtedy dobiegł mnie z dołu głuchy szczeł drzwii wozowni, a zaraz potem skrzypienie schodów.

Odwróciłam się i na podeście ujrzałam zadyszana po wspinaczce Bellę. Wprawdzie pasma kruczoczarnych włosów wychodzących spod przepaski niemal doszczętnie zasłaniały jej oczy, ale i tak musiała pierwsza wyczuć mą obecność.

— Ja do panienki — wydusiła z siebie z trudem. — Tak na słówko...

— Proszę wejść.

Zatrzymała się w drzwiach i lustrowała pokój swym kocim wzrokiem.

— Może krzesło? — spytałam i rozejrzawszy się wokoło stwierdziłam, że nie ma żadnego.

— Nie, ja tylko na chwilę. Nie lubię tego miejsca — spojrzała w stronę okna.

— Dlaczego?

— Kiedyś tu mieszkałam. — Przyjrzała mi się ponuro. — To nie jest dobre miejsce.

Nagle przypomniały mi się słowa Elzy o kimś, kto szukał kąta i krótko tu zamieszkiwał. Powiesiłam bawełnianą sukienkę w szafie i popatrzyłam wyczekująco na Bellę.

— A dlaczego nie lubi pani tego miejsca? Czy stało się tu coś złego?

Nic nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w przestrzeń.

— Ach, już wiem! To pewnie ta koślawa poręcz...

— Nie o poręcz tu chodzi.

— A więc o co? — przymknęłam szafę i przyjrzałam się Belli uważnie. Spostrzegłam, że pod czerwonym szalem jej pierś faluje od przyśpieszonego oddechu. Musiała zмагаć się z jakąś skrywaną emocją, co i mnie zaczęło się udzielać.

— Prenez garde — wyszeptała.

— Przepraszam...?

— Strzeż się!

— Czego mam się strzec? — spytałam, widząc, że jej ramiona pokrywa gęsia skórka. Wydawała się odbierać wszelkie fluidy, a poza tym... pamiętałam o jej profesji. Czy przypomniała sobie jakieś własne niedole, a może obawiała się czegoś, co mnie dotyczyło?

— Muszę już iść — powiedziała stanowczo.

— Chwileczkę. Proszę wyjaśnić mi, dlaczego to miejsce jest niebezpieczne. Nic takiego tu nie dostrzegam. — Podniosłam rękę, wskazując na przytulny sufit.

Bez słowa zbliżyła się do ściennego schowka. Położyła drobną dłoń na klamce i zawahała się. Osłupiałam na widok nagłego drżenia jej ręki.

Wpatrywała się w zamknięty schowek. Skumulowane emocje wydawały się promieniować od niej przez pokój w moim kierunku.

Próbowałam coś powiedzieć, ale zamilkłam, gdy drżącą dłonią nacisnęła klamkę i otworzyła na oścież drzwi schowka.

— Zniknęła! — powiedziała niepewnym głosem na widok pustego wnętrza.

— Gdy byłam tu ostatni raz, jeszcze tam była...

— Kto taki? — Podeszłam do schowka, spojrzałam na zgromadzone w nim rupiecie i przekonałam się, że ma rację.

— Angelika, a raczej portret Angeliki. Zniknął!

— Widziałam już ten portret — powiedziałam siląc się na spokój.

— Pewnie chodzi pani o tę, którą przedstawia?

Drzwi schowka zatrzasnęły się. Nie byłam pewna, czy klamka wyslizgnęła się z jej dłoni, czy zrobiła to rozmyślnie.

Oczy jeszcze bardziej jej pociemniały i spojrzała na mnie posepnie:

— Nie zazna tu pani szczęścia — powiedziała matowym głosem. — Radzę stąd iść.

Podparłam się pod boki, zdecydowana stawić jej czoło w obronie mego pokoiku:

— Nie jestem miejską panienką, którą łatwo zastraszyć. Czego miałabym się bać? Po prostu wynajmuję ten pokój i nie mam najmniejszej ochoty wdawać się w sprawy mieszkańców tego domu.

— Ale to może się okazać niemożliwe — rzuciła ostrym głosem, odwróciła się do mnie plecami i ruszyła do drzwi.

— A niby dlaczego?

Zawahała się i spojrzała przez ramię. Z profilu jej nos był nieco haczykowany, a policzki pomarszczone.

— Młody pan... on jest...

— Jaki jest? — Jej zagadki zaczynały być nużące. Może była zbyt przesadna, i do tego zgryźliwa, by mieć o kimkolwiek dobre zdanie.

Pokręciła głową i ruszyła w dół schodami. Zamknęłam drzwi, rada, że udało mi się jej pozbyć. Najpierw Elza, a teraz ta kobieta; obie sugerowały coś niedobrego, ale zdecydowana byłam to ignorować.

Otworzyłam pudło. Z wnętrza spojrzało na mnie poczciwe oblicze babci na dagerotypie i uśmiechnęłam się na widok białych włosów dookoła krągłej twarzy z dobrotliwymi niebieskimi oczyma. Potem umieściłam moje książki i malarskie akcesoria na dolnej półeczce.

Nie sposób było zabrać ze sobą wszystkich moich obrazów, a poza tym tu, w Nowym Orleanie, wydawałyby mi się żenująco nieporadne. Rozdałam je dzieciom sąsiadów — mym podopiecznym i towarzyszącej zabawie. Wkrótce moje prace nabiorą profesjonalności.

Wygładziłam zmarszczki na mych trzech wyjściowych sukienkach i właśnie wieszłam je w szafie, gdy na schodach rozległy się ciężkie kroki, a zaraz potem stukanie do drzwi. Otworzyłam i stanęłam twarzą w twarz z Jordanem LaMarshem.

Serce zabiło mi mocniej na widok tych czarnych oczu, choć przysięgłam sobie ignorować tego człowieka. Przez chwilę milczeliśmy oboje, a ja byłam rozdarta między niewątpliwym zainteresowaniem, jakie we mnie wzbudzał, a ostrzeżeniem Belli: „Młody pan jest...” No właśnie, jaki? — zachodziłam w głowę.

— Pomyślałem sobie, że może się to pani przydać. — Podał mi klucz zawieszony na małym mosiężnym kółku. — Powinien pasować do tych drzwi — powiedział z wahaniem, przekręcając klucz w zamku. Zmarszczył przy tym brwi i cały skoncentrował się na tej czynności.

— Tak, pasuje — rzucił, ledwie na mnie spojrzawszy. Podziękowałam i sięgnęłam po klucz. Gdy zmieniał właściciela, końce mych palców musnęły jego ciepłą dłoń. Był szczupły, ale wzrostem przewyższał mnie co najmniej o sześć cali. Biała koszula pachniała krochmalem i męską wodą kolońską. Próbowałam mocno trzymać się ziemi. Komorne!

— Czy ustalił pan już wysokość czynszu? — spytałam. Patrzył gdzieś nad moją głowę, jakby pierwszy raz słyszał o czymś takim. Potem pomasaował dłonią głowę i kark.

— A jaki czynsz by pani odpowiadał? — przyjrzał mi się z zaciekawieniem. Zawahałam się, czując, że moje skromne fundusze będą dlań istnym szokiem.

— Wolałabym, żeby to pan ustalił cenę. Znów spojrział gdzieś w przestrzeń.

— Będzie pani korzystać z tego schowka?

— Nie muszę — odparłam, przypomniawszy sobie, że trzymają tam rzeczy osobiste.

Skinął głową i podał sumę, której wysokość ucieszyła mnie i zaskoczyła zarazem. Pomyślałam, że albo kieruje nim miłosierdzie, albo najwyraźniej nie docenia komfortu pokoju.

— Odpowiada mi to. Jeśli naprawdę tylko tyle pan sobie życzy... — dodałam taktownie. Jak dotąd nie mogłam mu nic zarzucić, więc dlaczego miałabym żywić jakieś podejrzenia?

— W porządku. — Jego wzrok powędrował w stronę dagerotypu na nocnym stoliku.

— To moja babka — wyjaśniłam.

— Patrzyłem na pani książki. Zdaje się, że gustujemy w tych samych autorach. — Powiedział to jakby zaskoczony.

— To tylko drobna część. Nie mogłam przywieźć tu wszystkich. Klasyków ofiarowałam naszej wiejskiej bibliotece, a pełne pudło mojej przykutej do łóżka przyjaciółce... — Urwałam widząc, że znów mi się przypatruje.

— Bardzo to ładnie z pani strony — powiedział i zdziwiło mnie, że tak naturalny czyn wzbudził w nim aż tyle uznania.

Przypomniałam sobie o komornym i zaczęłam grzebać palcami na dnie torebki.

— Maluje pani?

— No... tak, trochę. — Skonsternowana spojrzałam na zdradziecką półkę. Czułam, że się rumienię, a do tego kosmyk włosów muskał mnie nieznośnie po policzku. Z niecierpliwością odgarnęłam go z twarzy.

— Oto komorne — powtórzyłam, odliczając z bólem serca pieniądze i kładąc mu je na dłoni.

— Dziękuję — rzucił krótko i zajrzał mi głęboko w oczy wzrokiem, od którego ugięły się pode mną kolana. Uświadomiłam sobie, że jest diabelnie przystojny: oliwkowa cera, regularne rysy, ogniste spojrzenie. Tak, trzeba mieć się na baczności!

— No to do widzenia — powiedziałam, udając zainteresowanie kluczem.

— Do widzenia — odparł i ruszył chybotliwymi schodami.

Szybko przekręciłam klucz w drzwiach i przemierzyłam pokój, podenerwowana jego wizytą. Zbliżyłam się do wychodzącego na dziedziniec okna. Ujrzałam znów jego czarne włosy i wyniosłą sylwetkę, gdy zamaszystym krokiem zmierzał w stronę domu.

W oknie na piętrze mignął cień, a potem ukazała się jakaś postać. Zmrużyłam oczy i w ostatnim blasku zachodzącego słońca ujrzałam kobiecą twarz. Jej wyraz zdradzał gniew. Grymasowi irytacji towarzyszyły nerwowe uderzenia dłoni o szybę.

Jordan też spojrzał w górę i przyśpieszył kroku.

Uderzenia w szybę wyciągnęły i Elzę z oficyny. Wpatrywała się w górny balkon, podczas gdy Jordan zniknął już na ganku. Odeszłam od okna, zastanawiając się, co tak mogło rozsierdzić tę kobietę.

Czy to, że był przed chwilą u mnie?

Po chwili spojrzałam znów na dziedziniec. Elza zdążyła już wrócić do kuchni, za to ktoś nowy stał w drzwiach piwnicy na wina.

Poczułam, że serce zaczyna mi walić niczym młot i że znów przenika mnie dreszcz przerażenia.

To był uliczny domokrążca! Stał tam w dole i bezczelnie mi się przyglądał.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cóż mógł robić tu na dziedzińcu? Odeszłam od okna, przypomniawszy sobie jego bełkot na ulicy. Muszę koniecznie porozmawiać o nim z Elzą. Niespodziewanie wyrosła na mego jedyne go sojusznika.

Na dźwięk kobiecego głosu znów spojrzałam przez okno. Domokrążca zniknął, a w drzwiach kuchni stała teraz Frances i rozmawiała o czymś żywo z Elzą. Gestykulowała nerwowo i w pewnej chwili obie spojrzały jednocześnie w moje okno.

Z westchnieniem rezygnacji sięgnęłam do schowka po walizkę. Odchodzę. Czułam, że zaproponowane przez Jordana zaskakująco niskie komorne było formą jałmużny. Właśnie zdążyłam zapakować ostatnią sukienkę, gdy na schodach znów rozległy się kroki.

Przygładziłam włosy i otworzyłam drzwi, gotowa powiedzieć temu, kto wejdzie, że nie musi mnie ponaglać i że już się zbieram. Ale była to Elza.

— Po takim dniu przydałaby się jakaś kolacja — oświadczyła od wejścia.

Zapach gorącego gumbo uderzył mnie w nozdrza, wywołując podniecający skurcz w żołądku. Nie sposób było odmówić.

— Po co tyle fatygi? — powiedziałam, ustępując Elzie z drogi.

— A jaka tam fatyga. Zawsze naszykuję więcej, niż potrzeba. Taką już mam naturę. Przydałby się tu jakiś stolik na posiłki, a na razie musi starczyć i ten nocny.

Przyjrzała się z zaciekawieniem dagerotypowi.

— To moja babcia — wyjaśniłam. — Wychowała mnie.

— Dobrze jej z oczu patrzy — apróbując skinęła głową.

— Bo też dobra była z niej kobieta — powiedziałam i nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo mi jej teraz brak. — Dzięki za kolację. Pachnie wspaniale.

Postawiła miskę, poprawiła czepek i nie śpiesząc się z wyjściem popatrzyła mi w oczy.

— A panią LaMarsh się nie przejmuj. O byle co wpada w takie stany.

— Coś mi się zdaje, że nie podoba się jej mój pobyt tutaj — powiedziałam bez ogródek chcąc wybadać sprawę.

— A mnie się zdaje, że chciałaby po prostu, żeby wszyscy dzielili z nią jej niedole — rzuciła wzruszając ramionami.

— Nie chciałam sprawiać kłopotu, a już mi się to zdarzyło. Choćby ta kolacja. A poza tym pan LaMarsh wynajął mi ten pokój tylko za pani wstawiennictwem.

— Pierwszy raz słyszę o jakimś wstawiennictwie. Po prostu powiedziałam, jak jest. Pan LaMarsh zawsze o wszystkim decyduje sam. Co do tego nie ma dwóch zdań. A ten pokój... — rozejrzała się raz jeszcze dookoła. — A co komu przeszkadza, że pomieszkasz tu sobie przez kilka dni?

— Przez kilka dni?

Wpatrywała się w nocne naczynie.

— Za to też dziękuję.

— To już nie mnie. Pewnie panu LaMarsh — mruknęła, patrząc zamyślona w deski podłogi. — No, pora do garnków!

— Dziękuję raz jeszcze za kolację. Ach, jeszcze jedno: kim jest ten szpetny typ na dziedzińcu?

— Jaki znowu typ? — zachmurzyła się.

— Ten obdartus, który przed chwilą stał w drzwiach piwnicy. — Mimochodem podeszłam do okna i spojrzałam na dziedziniec.

— O jakim obdartusie mówisz? — spytała Elza, która też zdążyła podejść. — Nie widzę żadnego obdartusa.

Zastanawiałam się, jak mogła go przeoczyć.

— Ten domokrążca. Spotkałam go po południu tuż za furką. Jakiś grubianin. Gdy pani LaMarsh stuknęła w szybę, widziałam, że stał w tamtych drzwiach.

Elza przyjrzała mi się z zaciekawieniem:

— Pewnie przyniósł coś Clarence'owi. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Clarence to nasz ogrodnik. Nikogo nie widziałam, ale lepiej mieć się na baczności, bo mało to takich kręci się teraz po ulicach? — zakończyła z naciskiem.

— Będę się miała na baczności — odparłam trochę rozkojarzona, bo myślami byłam wciąż przy tym pokracznym obdartusie. Jakim cudem mógł znaleźć się na dziedzińcu o kilka kroków od Elzy i mimo to nie zwrócić jej uwagi?

Była już na schodach, gdy zamknęłam drzwi na klucz i przez chwilę przyglądałam mu się. Ciekawe, dlaczego Jordan LaMarsh przyniósł go tak niezwłocznie? Wyglądało na to, że bardziej troszczy się o zamykanie drzwi niż o pobranie komornego. Pokręciłam głową, niezdolna zrozumieć mieszkańców tego domu.

Pikantny aromat gumbo przypomniał mi o pokaźnej misce, w której posiekane krewetki pływały pospołu z ryżem w gęstym sosie, jakby przyrządzonym przez moją babcie. Była wprawdzie Szkotką, ale zrobiła

wszystko, aby nauczyć się przygotowywania przysmaków z Luizjany, gdy przybyła w te strony z mężem — robotnikiem rolnym, który zatrudnił się na plantacji trzciny cukrowej. Stały mi w oczach wszystkie używane przez nią przyprawy: czosnek, liście bobkowe, bazylia, sassafras zmielony na drobny proszek przed wrzuceniem go do gumbo.

Jadłam z rozkoszą, delektując się każdą łyżką, podczas gdy mój wzrok błędził leniwie po kiszkatym pokoiku, któremu dwuspadowy dach nadawał kształt litery A. Do pełni szczęścia brakowało jedynie kilku płócien, które już niedługo miałam nadzieję zawiesić. Najpierw postanowiłam zakupić kilka „prawdziwych” prac na Placu Jacksona, a potem przyjdzie kolej i na moje własne.

Nie tylko gumbo, ale i słowa Elzy były mi otuchą:

„A co komu przeszkadza, że pomieszkasz tu przez kilka dni?”

Zjadłam i popiłam filiżanką herbaty. Czemu miałam nie spróbować „pomieszkać” tu sobie — jak mawiają — przez kilka dni? Wyciągnęłam się błogo na miękkim łóżku. Po paru minutach spałam jak kamień, nawet nie raczywszy się rozebrać.

Następnego ranka obudziłam się w optymistycznym nastroju. Mocny sen rozwiał wieczorne wątpliwości, a słońce zalewające pokój zapowiadało miły dzień.

Wyjrząwszy przez okno, spostrzegłam małego człowieka przyglądającego się płatkom róż. Ubrany był po roboczemu, a spod starego, naciągniętego głęboko na uszy kapelusza sterczały kępki siwych włosów. Clarence? Ogrodnik?

Drzwi kuchni były zamknięte, a na ganku i balkonie ani żywej duszy. Sięgnęłam do szafy i wybrałam prostą granatową sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem, w sam raz na poszukiwanie pracy. Nalałam wodę do miednicy i podczas porannej toalety rozważałam możliwości zatrudnienia. Ubrałam się, upięłam włosy w ulubioną koronę, a na myśl o nowym życiu w Nowym Orleanie przypomniała mi się nagle moja matka.

Właściwie rzadko o niej myślałam, ale teraz, przeglądając się w ukośnym lustrze szafy, na widok niebieskich oczu i czarnych rzęs poczułam zaciekawienie. Babcia, od kiedy opuściłam kolebkę, zwykła przyglądać mi się czasem z zadumą, powtarzając, że przypominam jej córkę. Właśnie z niebieskich oczu, bo gdy dorosłam, byłam ponoć wyższa i tęższa. Domyślałam się, że odziedziczyłam to po ojcu.

W takich chwilach czułam odrobinę żalu, że nigdy nie dane mi było poznać mych rodziców, ale już dawno nauczyłam się przyjmować ze spokojem niezależne od nas wyroki losu. Teraz też uszczypnęłam się w policzki i zacisnęłam mocno wargi, by pierwsze i drugie nabrały barwy, choć w porównaniu z większością białych mieszkańek Nowego Orleanu moja cera i tak przypominała brzoskwinie. Przypomniała mi się cherlawa, bezbarwna Marie. Frances też była blada, choć o niebo smaglejsza od eterycznej Marie.

Wyciągnawszy z tego wniosek, że bycie wiejską dziewczyną ma też dobre strony, porwałam torebkę i ruszyłam na spotkanie losu, nie omieszkawszy jednak zamknąć drzwi na klucz.

Parter wozowni był opuszczony i pogrążony w półmroku. Czarny powóz majaczył pośrodku niczym ogromny, przygarbiony świerszcz. Przez zakurzoną posadzkę i dwuskrzydłowe drzwi wyszłam pośpiesznie na dziedziniec.

— Dzień dobry!

Głos Jordana LaMarsh zaskoczył mnie, jednak, nim odwróciłam ku niemu głowę, zdążyłam przybrać chłodny wyraz twarzy. Stał o kilka stóp ode mnie i sądząc z czarnego surduta i prążkowanych spodni, wybierał się do miasta w interesach. Jedną rękę oparł na biodrze, a w drugiej trzymał filiżankę z kawą.

— Dzień dobry — odpowiedziałam.

— Dobrze pani spała? — spytał. Głos miał silny, choć łagodny; niczym bourbon z kremem, który aplikowałam mej babci na kaszel.

Promienie słońca padały na jego oliwkową, gładko wygoloną twarz i skrzyły się w ciemnych źrenicach. Był niebywale przystojny! Nocny sen usunął znużenie poprzedniego dnia i Jordan też wydał mi się teraz w pogodniejszym nastroju. Serce zabiło mi mocniej, jakby w rytm końskich kopyt, bo właśnie jakiś powóz przejeżdżał za bramą.

— Dziękuję, dobrze mi się spało. — Mój wzrok powędrował ku oknom na piętrze.

Nie było w nich żadnych twarzy, ale wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby nagle jakaś się pojawiła.

— Dzień dobry! — zawołała Elza, maszerując z kuchni z garnuszkiem kawy i dodatkową filiżanką. — Coś mi się widzi, że kawy panienska nie odmówi?

W istocie, oddałabym życie za jeden łyk. Wprawdzie flirtowanie z Jordanem LaMarshem na samym środku dziedzińca, pod czujnym okiem jego mamusi i siostrzyczki, nie wydawało mi się rzeczą roztropną, ale zapach gorącej kawy był silniejszy.

Na szczęście Elza zdążyła już napełnić filiżankę i na dodatek szczerze okrasić ją gorącym mlekiem. Podziękowałam z uśmiechem.

— Czy i panu mleka, panie LaMarsh? — spytała Elza pod adresem jego opróżnionej już do połowy filiżanki. Nim zdołał odpowiedzieć, nalała mu do pełna.

— Widzi pan — ciągnęła, stawiając garnuszek na pobliskiej ławce — proszono mnie, bym zwróciła się do pana w imieniu Stowarzyszenia Chrześcijańskich Kobiet w sprawie tegorocznej herbatki dobroczynnej .

Spojrzałam na Jordana. Robił wrażenie zakłopotanego.

— Rozumie pan, że zbliża się lato, a pewne rzeczy planujemy jak co roku z wyprzedzeniem.

Odwrócił głowę i spojrzał w okno na piętrze. Domyślałam się, że myśli o swojej matce.

— Przykro mi odmawiać, Elzo, ale czy nie sądzisz, że stan zdrowia mojej matki wyklucza jakiegokolwiek plany?

— Też im tak mówiłam — westchnęła Elza. — No a jeszcze pański ojciec... — ugryzła się w język. — Wie pan, jak rozkapryszone są te nasze nowoorleańskie kobiety — powiedziała z taką pasją, jakby z najwyższym trudem przychodziło jej występować w ich imieniu. — Uparte to i natrętne! Coś mi mówi, że będziemy jeszcze mieli z nimi niewąskie korowody. A wszystko dlatego, że zawsze organizowaliśmy tu te herbatki... — Urwała w pół zdania, jak często jej się to przytrafiało, i nieoczekiwanie spojrzała na mnie. — Stowarzyszenie Chrześcijańskich Kobiet spotykało się tu jeszcze przed wojną domową. Potem szły wojskowe koszule, szydełkowały skarpety i takie tam rzeczy. Po wojnie dochody szły na pomoc dla wdów i sierot po żołnierzach, którzy padli w boju.

— Przykro mi za to, co powiedziałem — zachnął się Jordan. Teraz on spojrzał na mnie i coś na kształt uśmiechu pojawiło mu się na wargach. — Elza potrafi świetnie przekonywać.

Ja też się uśmiechnęłam i szybko dopiłam kawę, licząc, że Elza w swej rozbijającej szczerości nie zapyta mnie o zdanie w tej materii. Poznałam jej prostoduszność na tyle, że nic już nie było w stanie mnie zaskoczyć.

— Dolać kawy? — spytała.

— Nie, muszę już iść, dziękuję.

— A może i panienka zapisze się do Stowarzyszenia? — zawołała za mną.

— Może — odparłam i wymknęłam się przez tylną furtkę. Nie pożegnałam się z Jordanem LaMarshem, bo i z jego strony pragnęłam uniknąć dalszych pytań.

Zwolniłam kroku zaraz za furtką, ale moje myśli wciąż obracały się wokół Jordana. Czy doceniał, jak bardzo staram się go unikać? Przecież robię to głównie dla jego dobra!

Wyobrażałam sobie, że większość kobiet musi mięknąć niczym wosk pod wpływem jego uroku. Obiecałam sobie jednak nie wdawać się w sprawy rodziny LaMarshów i nie zamierzałam łamać tej obietnicy.

Takie to myśli chodziły mi po głowie, gdy w drzwiach hotelu po przeciwnej stronie ulicy ujrzałam Murzynkę w białym turbanie, z wiadrem wody, szykującą się do mycia wejściowych schodów.

Skinełam jej głową, chyba tylko po to, by skoncentrować się na czym innym, ale przed oczyma miałam wciąż wysokiego, czarnowłosego Jordana. Cóż jednak mogło mi grozić z tej strony? Czy mężczyzna jego pokroju mógł interesować się kimś tak banalnym, jak Margaret Morgan z zabitej deskami prowincji?

Nie! Czyni to tylko z grzeczności. Byłam zresztą pewna, że jego żona Angelika złamała mu serce. Nawet jej imię miało w sobie coś zmysłowego i zniewalającego, niczym odurzające francuskie perfumy.

Stwierdziłam, że doskonale pamiętam rysy jej twarzy.

Nie byłam w stanie uwierzyć, że jakakolwiek kobieta o zdrowych zmysłach mogła porzucić takiego, jak on, mężczyznę. Zmrużyłam oczy w porannym słońcu, złocącym przejeżdżające ulicą powozy i konne platformy. Ale z drugiej strony ta rodzina... Rozumiałam, że osoba o wrażliwym sercu mogła skapitulować w obliczu takich przeciwniczek, jak rozpuszczona Marie i jędzowata pani LaMarsh.

Dotarłam do Royale Street i skręciłam na północ, przyglądając się rzędom balkonów z kutymi, żelaznymi balustradami. Mury z cegły ciągnęły się w bezpiecznej odległości od chodnika, a za nimi kryły się pewnie przed ciekawskimi spojrzeniami ukwiecone dziedzińce. Z rzadka tylko uchylała się brama, by wypuścić powóz, i wtedy oczom profanów ukazywał się na moment obraz bogactwa i luksusu.

Trzy piękne rezydencje wznosiły się w odstępach przy tej ulicy, a oprócz nich było tu mnóstwo kabaretów i sklepów, co przypomniało mi o poszukiwaniu pracy.

Zatrzymałam się przed drzwiami zakładu meblarskiego słynnego Seigneureta i przyszła mi do głowy babcina szafa na odzież. Był to autentyczny, nie podrabiany Seigneuret, z zamaskowanymi drzwiczkami w tylnej ścianie prowadzącymi do tajnego schowka. Tam właśnie babcia trzymała oszczędności całego życia.

Zebrałam całą odwagę i nacisnęłam klamkę, ale drzwi nie ustąpiły. Przypomniałam sobie, że mieszkańcy Nowego Orleanu nie należą do rannych ptaszków i wiele sklepów otwiera się tuż przed południem.

Ruszyłam przed siebie, zerkając na wystawy, zdecydowana działać odważnie. Gdy tylko spotkam odpowiadający mi otwarty sklep, porozmawiam z właścicielem.

— Panno Morgan?

Znów ten łagodny, niski głos. Dziwiłam się trochę, że nie zwraca się do mnie per „mademoiselle”, jak zwykła to robić większość Kreolów. Zatrzymałam się i poczekałam, aż zrówna się ze mną. Nie mogłam wyjść z podziwu nad jego modnym strojem. Czarny surdut wyglądał jeszcze szykowniej w zestawieniu z nasuniętym lekko na czoło cylindrem, rzucającym tajemniczy cień na twarz właściciela. Wymachiwał modną spacerową laseczką ze srebrną gałką, co z reguły przydaje dżentelmenom czegoś w rodzaju swoistej bez troski. W tym przypadku było inaczej. Twarz Jordana była na powrót pogrążona w mroku.

— Znów się spotykamy — powiedziałam.

Byliśmy jedynymi przechodniami, choć powozy i furmanki przejeżdżały nieprzerwanym strumieniem.

— Gdzie się pani wybiera o tak wczesnej porze? — spytał, obrzuciwszy wzrokiem mą skromną sukienkę, i spojrzał mi w twarz.

— Szukam pracy. — Postanowiłam nie owijać niczego w bawełnę.

— Pracy?

Przelotnie rzucił okiem na kogoś, kto pomachał mu ręką z przejeżdżającego powozu. Uchylił wprawdzie cylindra gestem pozdrowienia, ale twarz miał przy tym kamienną. Uświadomiłam sobie, że podczas trzech z nim rozmów (ta była czwarta) ani razu nie widziałam go tak naprawdę uśmiechniętego.

— Czym to się pani zajmowała?

— Byłam subiektką w sklepiku w Riverville — odparłam zgodnie z prawdą.

— Subiektką? — Przesunął cylinder na tył głowy i przyjrzał mi się uważnie i z zaciekawieniem.

Wczoraj mu o tym powiedziałam, ale dopiero teraz zdawał się rozumieć sens tych słów. Nasze spojrzenia spotkały się na dłużej. Oblał mnie żar, gdy jego

wzrok powędrował w stronę mych ust, po czym znów poszybował gdzieś w przestrzeń.

— A poza tym czyta pani i maluje — powiedział z jakimś nieokreślonym wyrazem twarzy. — Nie popracowałyby pani w naszej aptece?

Zamrugałam oczyma, powtarzając w myśli jego pytanie:

— No... prawdę mówiąc, znam się odrobinę na lekach, ponieważ podawałam je mojej babci, gdy już źle z nią było.

Trudno było wytrzymać jego spojrzenie, ale nigdy dotąd nie kapitulowałam i powiedziałam sobie, że i tym razem wytrzymam. Co do samej pracy, idea przebywania wraz z nim dzień w dzień w jednym pomieszczeniu nie wydawała mi się rozważna.

— Wybieram się właśnie porozmawiać z Arturem. Czy nie zechciałaby pani mi towarzyszyć? Artur jest farmaceutą. Mogłaby pani z nim pracować.

„Z nim?” A więc nie z Jordanem LaMarshem? To dodało mi otuchy, przekonując, że samo niebo zsyła mi tę szansę. Powinam skakać z radości, zwłaszcza że wyglądało na to, iż do pracy mogłabym chodzić piechotą.

— Dziękuję — powiedziałam pod nosem, próbując dotrzymać mu kroku.

— Pochodzi pani z Luizjany, panno Morgan? — spytał, gdy zatrzymaliśmy się, by przepuścić starszego jegomościa zmierzającego do oczekującego przy chodniku powozu.

— Tak, moi dziadkowie przybyli tu ze Szkocji. Za to ojciec był Irlandczykiem.

Żywiłam nadzieję, że nie podejmie tematu Irlandii, ponieważ nigdy w życiu nie widziałam ojca, a o jego rodzinnym kraju miałam równie blade pojęcie.

— Moja rodzina znalazła się tu w dość osobliwy sposób — powiedział, gdy ruszyliśmy dalej. — Cioteczna babka była zakonnica i skierowano ją do tutejszego zgromadzenia. Pod wpływem płomiennych listów, które słała do Paryża, moi dziadkowie też ruszyli za Wielką Wodę. — Przerwał i spojrzał w głąb wąskiej uliczki. — Mój ojciec miał piętnaście lat, gdy tu przybyli. Miał straszne problemy z angielskim i gdy wreszcie go opanował, ani słowem nie odzywał się już po francusku. Chyba że wpadł w gniew. Oczywiście stać go było na nauczycieli. Ja wyrastałem w dwujęzyczności, ale ojciec żądał, bym też mówił tylko po angielsku. — Westchnął. — Teraz Nowy Orlean to całkiem miłe miasto. Ojciec opowiadał nam zawsze, że gdy tu przybył, jak okiem sięgnąć ciągnęły się tylko bagna pełne zielska i aligatorów.

Zaśmiał się krótko a ja z ciekawością przyjrzałam się jego twarzy. Po raz pierwszy emanowała jakąś ludzką emocją i efekt był ewidentny. Wspomnienie opowieści ojca złagodziło grymas jego ust i rozluźniło napięte rysy.

— Wyobrażam sobie, jak zaskoczeni musieli być i moi dziadkowie — zawtórowałam mu śmiechem. — Ale pewnie spodobało im się w „nowym kraju”, jak zawsze mówili. Nigdy nie słyszałam, by moja babcia tęskniła za ojczyzną.

Znów spojrzał na mnie z uwagą:

— Czym się zajmowali w Riverville?

— Znajomy dziadka znalazł pracę na plantacji ryżu tu, w Luizjanie. Dziadkowi też się poszczęściło, ale po niedługim czasie przenieśli się na plantację trzciny cukrowej i dziadek został tam nadzorcą.

Umarł dość młodo. — Przypomniała mi się smutna twarz babci, ilekroć wspominała o śmierci męża. — Potem moja babcia była już zdana sama na siebie.

— Rozumiem. I pewnie po niej jest pani taka silna i niezależna — dodał z szerokim uśmiechem. — Jak to mówią, cecha dziedziczna.

Zaskoczyły mnie te słowa. W jego obecności czułam się jak zahukana wiejska dziewczucha, a mimo to uważał mnie za silną i niezależną.

Szczęściem apteka była już blisko, ponieważ nagle wydało mi się, że przyciągamy uwagę właścicieli sklepów i nielicznych zmierzających do pracy lub na śniadanie przechodniów. A potem zamajaczyła mi przed oczami, niczym ciemna chmura spadająca na słoneczny pejzaż, zła twarz matki. Nie podobało jej się, że syn zwrócił na mnie uwagę. Może nawet więcej, niż nie podobało. Gdyby doniesiono jej o naszej porannej przechadzce, byłaby rozwścieczona.

Odwróciłam głowę w stronę wystawy z ozdobnymi francuskimi zegarami. Wiedziałam, że jest to strasznie naiwne z mej strony, ale pani LaMarsh też wydawała się widzieć we mnie uwodzicielkę żonatych mężczyzn.

„Żonatych mężczyzn?” Te słowa postawiły mnie znów wobec tajemnicy i zagryźwszy wargi, zastanawiałam się, czy nie byłoby jednak lepiej zrezygnować z oferty pracy. Ale jak miałabym to teraz uzasadnić? Wzięłyby mnie za lekkoducha, gdybym tak nagle zmieniła zdanie.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział, gdy przystanęliśmy przed kolejnym wejściem.

Przechodziłam tędy podczas mojej wczorajszej wędrowki po Vieux Carré. Nawet nie domyślałam się wtedy, że nim minie doba, będę mieszkać w domu właściciela, a na dodatek pracować w jego firmie.

Czy aby na pewno? Wciąż jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji.

— Widzę, że Artur już na posterunku — rzucił Jordan otwierając przede mną drzwi. — Istny z niego fanatyk punktualności. Proszę tylko nie dać się zwieść pozorom. Doprawdy, potrzeba mu tu kobiecej ręki, by nie był aż tak oficjalny. Zbyt poważnie wszystko traktuje.

Uśmiechnęłam się na tę uwagę i natychmiast mroczne wspomnienie pani LaMarsh gdzieś uleciało.

Ściany podłużnego sklepu pokrywały półki pełne wszelkiego typu i rozmiarów butli i buteleczek, najwyraźniej nieseryjnej produkcji. Zapach medykamentów przypomniał mi długotrwałą chorobę babci.

Mój wzrok przykuła szklana gablota z barwicznymi, kremami do twarzy i perfumami. Patrzyłam na nie tęsknym wzrokiem, aż z zadumy wyrwał mnie jakiś nowy głos:

— Dzień dobry.

Drobny mężczyzna wyłonił się z zaplecza. Wszystko w nim było drobne: głowa, rysy twarzy, cała postura odziana w sztywny, ciemny garnitur.

— Arturze, oto panna Margaret Morgan — powiedział LaMarsh. — Właśnie zatrudniłem ją jako twoją asystentkę.

Stanowczość tych słów wykluczała wszelkie dyskusje, a przynajmniej wydawało mi się, że Artur nie może ich inaczej odebrać.

— Moją... asystentkę? — wyjąkał.

— Sądziłem, że potrzeba ci kogoś zaufanego, skoro Ludwik tak nagle nas opuścił. Poza tym ta pani jest o niebo inteligentniejsza niż Ludwik, który ani nie czytał, ani nie malował.

Artur zmarszczył brwi, najwyraźniej skonfudowany:

— Potrzebujemy kogoś do wody sodowej — powiedział, patrząc w kierunku skomplikowanego urządzenia z czarnego marmuru.

— Panna Morgan mogłaby też pomóc ci w obsłudze klientów i wydawaniu leków. — Brzmiało to grzecznie, lecz stanowczo.

— Sądzę, że nawet poprawiłaby ogólny wystrój — dodał rzucając w mój kierunku okiem.

Czułam, że rumieniec wypełza spod koronkowego kołnierzyka i pnie się po szyi ku moim policzkom, gdy tak przez dobrą minutę przyglądali mi się obaj

bez słowa. Wzrok Artura, wędrujący po mej fryzurze i prostej sukience, świadczył o średnim entuzjazmie w kwestii poprawienia wystroju.

— Wzywają mnie interesy — powiedział Jordan wkładając cylinder. — Życzę wam obojgu owocnej pracy.

— Ach, panie LaMarsh — zawołał Artur. — Był tu wczoraj syn generała Beauregarda i kazał pana pozdrowić.

— Dawno go nie widziałem — Jordan odwrócił się z bladym uśmiechem. — Trzeba koniecznie zaprosić go kiedyś na obiad — dodał nie wiadomo czemu patrząc na mnie, po czym wyszedł bez słowa.

Artur i ja mierzyliśmy się czujnym wzrokiem. Zaczerpnął powietrza i wyciągnął z kieszonki surduta zegarek z dewizką.

— Czy miała pani kiedyś do czynienia z aparatem do wody sodowej? — spytał obracając w palcach zegarek.

— Nie, ale mogę się nauczyć.

Dostrzegłam rozczarowanie w jego spojrzeniu, ale obiecałam sobie trwać mężnie. Moja sukienka była niemodna, na kosmetyki, takie jak te w gablocie, nigdy nie mogłam sobie pozwolić, ale jednego byłam pewna: jestem na tyle rozgarnięta, że nauczę się wszystkiego, co niezbędne!

— Proszę powiedzieć mi coś o moich przyszłych obowiązkach, panie Murphy.

Przybrał oficjalny wyraz twarzy i podszedł sztywno do aparatu.

— A w ogóle pracowała pani kiedyś?

Zrelacjonowałam mu zwięźle moją krótką karierę subiektki w prowincjonalnym sklepiku i usłyszałam głębokie westchnienie.

— W Riverville nie mieliśmy takiego urządzenia, ale na pewno dam sobie z tym radę, jeśli tylko wyjaśni mi pan, jak to działa.

Podszedł bliżej i uchylił drzwiczki w czarnym marmurowym cokole.

— W tym zbiorniku trzyma się pokruszony lód i sól kamienną. Minerale, soda i woda wydostają się tędy. — Wskazał na mosiężne pokrętła, po czym z namaszczeniem ciągnął dalej: — A tu miesza się soki owocowe i kwasek.

Wyglądało to na ciekawą pracę i przyglądałam się z mieszaniną podziwu i fascynacji.

— A tam trzymamy leki. — Odwrócił się i zaprowadził mnie w stronę półek pełnych ustawionych w rzędy zakorkowanych buteleczek. — Napoje gris-gris trzymamy dla bezpieczeństwa pod ladą.

— Gris-gris? — powtórzyłam lekko zaszokowana, skojarzywszy to sobie z voodoo i czarną magią.

— Tak — westchnął. — W aptekach trzyma się takie rzeczy dla wyznawców voodoo. Każdy o tym wie, ale że głośno się tego nie mówi, wolimy nie wystawiać ich na widok publiczny.

Zaskoczona tą rewelacją, nie pytałam o nic więcej. Zauważyłam poza tym, że Artur nie jest miłośnikiem długich konwersacji i nie grzeszy nadmierną cierpliwością.

— Tu realizuję recepty. Ale zawsze będę w pobliżu, gdyby ktoś się do pani z tym zwrócił.

Spojrzałam na niewielki, oddzielony od sklepu kantorek mieszczący sekretarzyk, ladę i biurko. Na ladzie znajdował się mikroskop, waga apteczna i kilka szklanych słoików, biurko zaś pokrywały papiery. Nie zamierzałam dłużej nękać Artura pytaniami.

— No to do roboty — powiedziałam zdejmując kapelusz.

— Panno...?

— Morgan. Margaret Morgan.

— Chodzi o to, panno Morgan, że miłośnicy wody sodowej przychodzą z reguły później, a te papiery — przez chwilę jego wzrok błędził po blacie biurka — narosły mi tu od dobrych paru dni. — Sięgnął do szuflady i wyciągnął księgę rachunkową.

— Odnotowuję tu wszystkie zrealizowane recepty. Proszę spojrzeć — wskazał palcem na poliniowaną stronicę. — Imię, nazwisko klienta, data zakupu, i tak linijka po linijce.

Zmarszczył brwi i jego drobna twarzyczka zachmurzyła się.

— Nazwy lekarstwa nie odczyta pani, ale z tym sam się później uporam. Jutro będę musiał trochę uporządkować własne zaległości. Na razie — westchnął — odrabiam zaległości po panu LaMarsh, po starszym panu LaMarsh.

— Kiedy to się stało? To znaczy, kiedy zmarł? — Nazwisko LaMarsh od razu wzbudziło moje zainteresowanie.

— Trzy miesiące temu. Z powodu żałoby w rodzinie sklep był zamknięty przez tydzień. Potem pojawił się tu farmaceuta z Chicago, ale Nowy Orlean nie odpowiadał mu i opuścił nas po miesiącu, więc znów było zamknięte aż do mojego powrotu.

— Mieszka pan w Nowym Orleanie? — spytałam, licząc, że może go jakoś sobie zjednam.

— Tak. Praktykowałem u pana LaMarsha jeszcze podczas studiów. Jordan ściągnął mnie tu znów po śmierci ojca. Wpada tu czasami, by sprawdzić, jak idą interesy, ale to nie jest jego główne zajęcie.

— A jakie jest jego główne zajęcie? — spytałam i ugryzłam się w język, widząc, że bacznie mi się przygląda.

— Jest architektem. Jednym z najlepszych w Nowym Orleanie.

— Więc nie poszedł w ślady swego ojca?

— Nie interesowała go medycyna — odpowiedział z roztargnieniem, układając na szalce wagi coś, co wyglądało na suszone zioła.

Najwyraźniej znów wtrącałam się w sprawy rodziny LaMarshów. Z westchnieniem pograżyłam się w leżących przede mną papierach. Pismo Artura przypominało gryzmoły średniowiecznego skryby. Jakim cudem zdołam je rozszyfrować?

Bezcenną pomocą była mi księga, ponieważ mogłam porównać wypisane w niej nazwiska z osobliwym charakterem pisma Artura. Spostrzegłam, że niektóre pojawiają się w niej regularnie. Szczególnie często Józefa LaMarsha. Nagle moim oczom ukazał się wpis „Pani Jordan LaMarsh”*. Próbowałam odcyfrować nazwę leku, ale nie sposób było odczytać owe zakrętasy.

*** W Ameryce nazwisko kobiety zamężnej poprzedza często w oficjalnych dokumentach imię męża. Stąd Mrs Jordan LaMarsh.**

Zmusiłam się, by robić dokładnie, co mi zlecono. Lek rodziny LaMarshów nie były moją sprawą. Poza tym, jeśli nie przestanę wtykać nosa w cudze sprawy, mogę stracić pracę równie szybko, jak ją dostałam. A jednak nie posłuchałam głosu rozsądku i w najbliższych tygodniach przyszło mi drogo za to zapłacić.

Dzień minął szybko, a z aparatem do wody sodowej poradziłam sobie z łatwością. Skosztowawszy przyrządzonego własnoręcznie specjału zrozumiałam, dlaczego w południe panuje tu tak duży ruch. Niektórzy klienci wydawali się zaskoczeni obecnością kobiety za ladą, inni traktowali to z obojętnością.

Gdy dzień dobiegał końca i odstawiałam ostatnią szklanę, Artur podszedł do mnie, znów dyndając zegarkiem.

— Bardzo mi pani dziś pomogła, panno Morgan — przyznał z pewnym — jak wyczułam — ociąganiem.

— Mam nadzieję, że bardziej, niż się pan spodziewał?

— Wie pani, jak to bywa...

— W porządku, panie Murphy — powiedziałam zamykając drzwiczki aparatu. — Nie jest pan pierwszym, który sądzi, że w interesach kobiety są jedynie zawadą.

— No i myliłem się. — Zabrzmiało to szczerze. — Bogiem a prawdą, zrobiła pani przez ten dzień więcej niż Ludwik przez tydzień. Ale jemu nie praca była w głowie...

Przypomniało mi się, że Jordan wspomniał coś o człowieku, który opuścił aptekę bez wypowiedzenia.

— Co się z nim stało? — spytałam.

— Sam nie wiem — odparł i obrócił się do mnie plecami. Pewnie znów wetknęłam nos w nie swoje sprawy, bo Artur najwyraźniej wykręcił się od dalszej rozmowy.

— Jeśli nie ma już nic do roboty, to będę się zbierać. — Spojrzałam na staroświecki zegar na zapleczu apteki.

— Czy ustaliła już pani z LaMarshem wysokość poborów? — spytał Artur z zadumaną miną.

Przypomniałam sobie naszą poranną rozmowę i zdziwiłam się, że w ogóle nie było o tym mowy. Wybuchnęłam śmiechem.

— O co chodzi? — popatrzył na mnie zaskoczony.

— Zdaje się, że w kwestiach pieniężnych ja i pan LaMarsh jesteśmy bardzo podobni. Nic nie wspomniał o zapłacie, ale to chyba jego zwyczaj. Widzi pan — wyjaśniłam skonsternowanemu Arturowi—wynajęłam pokój nad jego wozownią, nie wiedząc nawet, ile ode mnie zażąda.

To rzucone jednym tchem wyjaśnienie nie naprawiło chyba mojej reputacji w oczach Artura, więc dodałam:

— Pan Jordan określił wysokość komornego dopiero później.

— Mieszka pani u LaMarshów? — Artur wydawał się lekko zasepiony.

— Tak. Właśnie stąd się znamy.

— Rozumiem. — Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, ale widać było, że absolutnie nic nie rozumie.

— Szukałam mieszkania. Dom noclegowy, w którym się zatrzymałam, nie przypadł mi do gustu, a na hotele nie było mnie stać. Całe szczęście, że spotkałam przypadkiem Elżę Brantley — kucharkę u LaMarshów. Przedstawiła mnie panu Jordanowi.

Twarz wydłużała mu się coraz bardziej podczas mej pośpiesznej perory, a na koniec spytał:

— Od jak dawna tam pani mieszka?

— Dopiero jedną noc.

— Mam nadzieję, że dogadają się państwo co do zapłaty. Gdy tylko ustalicie wysokość, proszę od razu dać mi znać.

— Nie omieszkam. Czy mogę oczekiwać, że dostanę tyle co mój poprzednik?

— Trudno mi powiedzieć... — Zagłębił się w papierach. Pocieszny był z niego człowieczek, i chyba równie sztywny jak jego kołnierzyk. Przydałoby mu się trochę wiejskiego powietrza.

Pożegnałam się i ruszyłam na zakupy, przypominając sobie pustkę mej spiżarni, a mówiąc ściślej, mego nocnego stolika. Przy wejściu do hali targowej spostrzegłam wpatrzoną w skrzynkę z jabłkami Frances.

— Witam — powiedziałam z uśmiechem sięgając po jabłko. Wyprostowała się i spojrzała na mnie zaskoczona. Wpatrywała się we mnie przez chwilę swymi szarymi oczyma, a jej wyraziste rysy przybrały trudną do określenia formę. Sukienkę miała dziś równie gustowną — z granatowej bawełny, a do tego kołnierz z francuskiej koronki.

— Bardzo mi miło — powiedziała dość chłodno.

— Konam z głodu! Nie sądzi pani, że te jabłka wyglądają dość apetycznie?

— Sądzę, że tak. — Obróciła się ku skrzynce i wybrała kilka sztuk, podczas gdy ja skoncentrowałam uwagę na leżącym na ladzie krążku sera.

— Wygodnie pani w wozowni? — spytała płacąc za jabłka.

— Wspaniale. Elza uraczyła mnie wczoraj wieczór talerzem gumbo, ale czas najwyższy przejść na własny wikt.

Nie odezwała się słowem, obrzuciła mnie baczny spojrzeniem i wyszła ze sklepu.

Żegnaj, perspektywo wspólnego powrotu do domu! Trochę mnie to zabolowało, ale choć bardzo mi było brak kogoś bliskiego, nie chciałam się jej narzucać. Może z czasem jakoś się między nami ułoży?

Piękne wiosenne popołudnie skusiło mnie, aby wracać okrężną drogą. Szłam wolno bocznymi uliczkami, przy których mieściły się sklepy oferujące wszelkie różności. Szczególnie jeden z nich przykuł mą uwagę. Szyld reklamował „Sztukę dla ubogich”.

Drzwi były otwarte, a wewnątrz wypełnione płodami pędzla i dłuta w liczbie nieproporcjonalnej do ciasnoty pomieszczenia. Weszłam pośpiesznie, ciekawa prac mych przyszłych konkurentów. Półki i ściany pokrywały oleje i akwarele. Nie zrobiły na mnie szczególnego wrażenia i dopiero portret w samym kącie sklepu kazał mi się zatrzymać.

Tym razem w czarnych oczach krył się smutek, a usta miała ułożone w podkówkę. To już nie była nadąsana kokietka z Fountain Court, lecz nieszczęśliwa kobieta. Jedno nie ulegało wątpliwości — ta sama Angelika!

— Czym mogę służyć? — niski brunet z gęstą brodą wyrósł jak spod ziemi.

— Interesuje mnie ten portret — odparłam wpatrując się w sygnaturę w dolnym rogu płótna.

— Mam tu lepsze tego artysty — powiedział wskazując na dwa zawieszony nieco niżej pejzaże.

Przyjrzałam się im uważnie. Pierwszy przedstawiał Jackson Square i zgodziłam się, że malarsko jest bardziej udany. Ale największe wrażenie wywarł na mnie ten drugi.

Senna miejscina i łódź rybacka zacumowana przy brzegu zatoki. Pochyliłam się i przeczytałam wypisany drobnymi literkami w dolnym rogu tytuł. Riverville!

Poczułam przejmującą tęsknotę za domem, który z taką ochotą niedawno opuściłam.

— To chyba jedna z najlepszych jego prac. — Właściciel stał tuż przy mnie i kontemplował obraz.

— Też tak sądzę. Ile to kosztuje?

Cena, którą podał, przekraczała moje zasoby, więc tylko westchnęłam.

— Jeśli za dużo, może dogadać się pani z autorem. Nazywa się Forest Windham. Bardzo potrzebuje pieniędzy. Sądzę, że poszedłby na ustępstwa. Mieszka tuż obok, w zaułku za sklepem. Pewnie jest w domu. Coś z nim ostatnio nie najlepiej. — Westchnął.

Popatrzyłam nań, a potem znów na obraz. Kołatanie do drzwi malarza i targowanie się o cenę nie było w najlepszym tonie, ale nostalgia wywołana tematyką pejzażu była silniejsza. Kto wie, czy nie będzie mi dane wracać tam już tylko we wspomnieniach?

— Chyba się tam udam — powiedziałam.

— To proszę wyjść przez zaplecze. Mieszka pod jedenastką. Trzecie drzwi na prawo.

Podziękowałam mu, gdy wyprowadził mnie na tyły domu.

— Teraz jest tu bezpiecznie, mademoiselle. Jeszcze wczesna godzina. Ale nie radziłbym zachodzić tu po zmroku.

Raz jeszcze podziękowałam i zesłam z tylnych schodków.

Zaułek w istocie wyglądał dość podejrzanie. Wiatr znad Missisipi, skrzywienie starych drewnianych okapów, zatechłe podcienia — wszystko to przejęło mnie dreszczem.

„Co ja tu robię?” — pomyślałam nagle, czując absurd całego tego przedsięwzięcia. Już miałam zawrócić, gdy ujrzałam tabliczkę z numerem jedenaście. Zdobyłam się na odwagę i przystanąłam pod zamkniętymi drzwiami.

Początkowo nikt nie reagował na moje nieśmiałe pukanie. Potem usłyszałam ciężkie człapanie i szcęk odsuwanej zasuwki. Ujrzałam przez szparę wymizerowaną, zarośniętą twarz. Rozczochrane, ni to siwe, ni to blond włosy spadały mu na czoło; przekrwione, mętne oczy wpatrywały się we mnie, gdy wodziłam wzrokiem po ubraniu, w którym najwyraźniej spędził noc. ,

— Pan Forest Windham? — zdobyłam się na odwagę.

— Czego? — burknął

Cofnęłam się o krok, zaskoczona takim grubiaństwem.

— Nazywam się Margaret Morgan. Chiałabym kupić pański pejzaż z Riverville, jeśli obniży pan cenę.

Przesunął ręką po swych skudlonych włosach i skrzywił się, jakby rozboleła go głowa.

— Nic z tego. Może za tydzień, jeśli go wcześniej nie opchnę.

— Proszę poczekać! — Uchwyciłam klamkę, nim zdążył zatrzasać mi drzwi przed nosem. — Namalował pan też portret kobiety. Czy można spytać, kim jest ta dama?

Wreszcie zdołałam wyrwać go z otępienia. Uchylił drzwi szerzej i wpatrywał się we mnie intensywnie. Potem z ociąganiem spojrzął gdzieś w bok.

— Bogata Francuzka. Nie pamiętam, jak się nazywa.

— Może LaMarsh?

— A kto ją tam wie? Nie przedstawiła mi się. — Wzruszył ramionami.

— Jak dawno temu pan to namalował? — spytałam, nie mogąc powściągnąć ciekawości.

Oparł się o framugę drzwi i wodził gdzieś nieobecny wzrokiem.

— Pięć, może sześć tygodni temu. A co pani do tego? — Otaksował mnie impertynenckim spojrzeniem i zrobiło mi się zimno, ale zmusiłam się, by spojrzeć mu prosto w oczy.

— Może zdecydowałabym się i na ten obraz — wyjaśniłam.

— Ten tanio puszcze — mruknął pocierając czoło. — Dała nogę i nawet mi nie zapłaciła.

— Doprawdy? Skinął głową:

— Pracowałem wtedy na Jackson Square. Podeszła, popatrzyła na moje obrazy i zamówiła portret. Ładna była z niej kobieta. — Przez chwilę znów gapił się w przestrzeń. — Czułem, że znakomity z niej model, a do tego obiecała mi niełichy grosz. Pozowała, aż zaczęło padać i powiedziała, że wróci nazajutrz. No i tyle ją widziałem — westchnął ponuro. — Dokończyłem ten portret z pamięci.

Odsapnął, jakby wspomnienie i konieczność wypowiedzenia aż tylu zdań naraz wyczerpały cały zasób jego energii.

Czekałam, że coś jeszcze powie, ale płonna to była nadzieja.

— I nawet nie pamięta pan jej nazwiska?

— Przecież mówię pani, że nie pamiętam! — odparł ze złością. — Ostatnio źle się czuję i w ogóle pamięć trochę mnie zawodzi...

Zatrzasnął z hukiem drzwi. Stałam przez chwilę, wodząc wzrokiem po zbutwiałych deskach.

Piękna kobieta. Mała brunetka. Nigdy nie wróciła.

„Czemu nie wróciła? Co się z nią stało? Gdzie jest teraz?” — zachodziłam w głowę.

Pośpiesznie ruszyłam zaułkiem, powstrzymując się rozpaczliwie, by nie unieść rąbka sukni i nie puścić się biegiem.

Nigdy nie wróciła... Nigdy nie wróciła... Nigdy nie wróciła... Słowa tętniły mi w mózgu niczym donośne kroki dudniące tuż za plecami.

Gburowate maniery malarza wyprowadziły mnie z równowagi. Co do widoku z Riverville sama potrafiłabym lepszy namalować — i pewnie już niedługo namaluję.

O portrecie Angeliki próbowałam zapomnieć, a jednak nie dawał mi spokoju, nawet gdy przemierzywszy Royale Street, dotarłam przez tylną furtkę i dziedziniec do wozowni.

Spojrzałam na schody i ze zdziwieniem stwierdziłam, że drzwi do mego pokoju są uchylone. Wspięłam się powoli i czujnie, zastanawiając się, kto śmiał wejść podczas mojej nieobecności.

Może to Elza przyniosła coś do jedzenia? Tak czy inaczej, oznaczałoby to, że istnieją inne klucze. Nie była to miła konstatacja.

Otworzyłam szeroko drzwi, ale pokój wydawał się pusty. Za to drzwi schowka też były uchylone, a wewnątrz coś się poruszało. Coś lub raczej ktoś!

Nagle przypomniał mi się uliczny domokrażca i zawahałam się.

— Kto tam jest? — zapytałam donośnym głosem. Pasma siwych włosów wysunęło się o cal. Resztę kryły drzwi.

— Proszę natychmiast wyjść! — Czułam, że brak mi tchu, a nogi mam jak z waty.

Powoli drzwi otworzyły się i moim oczom ukazała się starsza kobieta. Siwe włosy opadały jej na czoło, a w czarnych oczach kryła się nienawiść.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ubrana była w czarną jedwabną suknię, przyozdobioną wykwintnymi francuskimi koronkami. Twarz miała bladą i wymizerowaną, a podkrążone oczy obwiedzione były głębokimi zmarszczkami. Kosztowna klamra spinająca włosy puściła i siwy kosmyk opadał na zapadnięty policzek.

— A można wiedzieć, co pani tu robi? — spytała wodząc czarnymi oczyma po mej twarzy.

Przybrałam pozycję bojową, zdecydowana nie dać się zastraszyć:

— Wynajęłam ten pokój od pani syna. Domyślałam się, że mam przyjemność z panią LaMarsh?

— Ma pani przyjemność! I pytam raz jeszcze, czego pani tu szuka?

Zabrakło mi słów. Pytanie brzmiało niczym oskarżenie o jakieś podłe zamiary. Może nie doszło do niej moje wyjaśnienie.

— Wynajęłam ten pokój. Nie mam najmniejszej ochoty wtrącać się w sprawy pani i pani rodziny. Jestem lokatorką i...

Mnie zawiódł głos, a ją siły. Oparła się o ścianę i przycisnęła drżącą dłoń do czoła. Nagle oczy stanęły jej w słup i zrozumiałam, że dzieje się z nią coś niedobrego.

— Czy mam zawołać Frances? — spytałam łagodnie.

— Frances?... Tak... zawołać Frances.

Obróciłam się na pięcie i unosząc suknię pomknęłam schodami na parter. Nie wiedziałam, co właściwie jej dolega, ale czułam, że lada moment straci przytomność. Myślałam tylko o tym, gdy wypadłam z wozowni prosto na Jordana LaMarsha.

— Pana matka... — wskazałam ręką za siebie. — Jest z nią niedobrze!

Omiótł wzrokiem wozownię i bez słowa pobiegł na górę.

Przez chwilę stałam bez ruchu, próbując dojść do siebie. Niezłe mnie nastraszyła. Z kuchni dobiegł mnie jakiś gderliwy głos i ruszyłam tam w poszukiwaniu azylu. Poza tym byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby Jordan i jego matka nie musieli przechodzić przez dziedziniec w mojej obecności.

Na okiennym parapecie tuż przy drzwiach kuchni zauważyłam nową glinianą donicę. Znam się na ziołach na tyle, by nie pomylić rozmarynu z czymkolwiek innym, i przypomniała mi się aluzja Belli dotycząca miłości i fortuny.

Bella! A jeśli Bella, to i jej rada. Czy nie powiedziała mi, bym się strzegła? Pośpieszyłam do kuchni jak smagnięta batem.

— Kogo widzimy! Bliżej, bliżej, panienko, choć trochę tu u mnie gorąco.

Zatrzymałam się w progu, podziwiając bogaty zestaw kuchennego rynsztunku. Czegóż tu nie było: rondle, szpikulce, szatkownice, i tasaki wisiały niczym rodowe rycerskie trofea na ścianie nad szerokim kuchennym stołem zasypanym świeżymi jarzynami.

— Wpadłam podziękować za wczorajsze gumbo. — Zniżyłam głos i dodałam: — Byłam dziś na targu i proszę się już o mnie nie troszczyć, Elzo.

Usłyszałam czyjeś kroki i przytłumione głosy, obróciłam się i zobaczyłam Jordana LaMarsha prowadzącego przez dziedziniec matkę.

— Oj, niedobrze — mruknęła Elza, patrząc zza mych pleców.

— Coś mi mówi, że pani LaMarsh ma dziś zły dzień.

— Chciała ze mną porozmawiać — wyjaśniłam, patrząc na Elzę niepewnym wzrokiem — ale źle się poczuła i...

— Porozmawiać? — uniosła się Elza. — I cóż takiego miała do powiedzenia?

Zawahałam się, próbując przypomnieć sobie przebieg rozmowy:

— Właściwie to niewiele zdążyła powiedzieć. Zrobiło jej się słabo. Zbiegłam po pomoc, spotkałam pana LaMarsha i powiedziałam mu, że ona jest tam na górze.

— No i dobrze zrobiłaś — powiedziała z westchnieniem ulgi Elza, równocześnie formując rosnące w drewnianej misie ciasto w kształtne knedle. — Może jakoś sobie z nią poradzi. Z reguły mu się udaje.

— Widziałam dziś Frances w hali targowej — dodałam, wypowiadając głośno moje myśli.

— A księżniczka Marie pewnie wyleguje się pod pierzynką! No i któż miał się zająć biedną panią LaMarsh? — podsumowała z teatralnym westchnieniem. — Co mi zresztą do tego. Chyba jednak długo tu nie zabawisz.

— Kto wie? — oświadczyłam przekornie. — Na razie nie widzę powodu, by przez panią LaMarsh pakować walizki.

— A może nie przez panią LaMarsh — mruknęła pod nosem.

— O co ci chodzi, Elzo? — spytałam poważnie. Wzruszyła ramionami i bacznie mi się przyjrzała:

— Chcesz świeżego pieczywa?

— Nie, dziękuję — odparłam poirytowana jej dwuznacznikami.

— Wracam do siebie.

Wyszłam z kuchni i pośpiesznie przemierzyłam dziedziniec. Nie dotarłam do wozowni, gdy zatrzymał mnie niski, poważny głos:

— Jedno słowo, panno Morgan.

Stał przy krzaku róży, mnąc w palcach kołnierzyk swej lnianej koszuli. Czarne włosy miał lekko zmierzwione, co dziwnym trafem przydawało mu jeszcze wdzięku; a może po prostu bez surduta i cylindra wydawał się bardziej przystępny. Ale w oczach wciąż czaił się cień, a zaciśnięte usta wyrażały powagę.

— Przepraszam za moją matkę — zaczął z wahaniem.

— Nie ma o czym mówić — ruszyłam w stronę wozowni.

— Proszę nie odchodzić. Może usiądziemy na chwilkę? — wskazał ręką na żelazną ławeczkę przy fontannie.

Spojrzałam w okna rezydencji. Żadnych twarzy, żadnych ciekawskich oczu. Tylko za plecami usłyszałam kroki, ale to Clarence zniknął właśnie za furtką.

Jordan usiadł, a ja wewnętrznie spięta poszłam w jego ślady. Ostatecznie coś mu się należało za mieszkanie i pracę.

— Proszę nie trudzić się przeprosinami i wyjaśnieniami — zaczęłam, starając się, by zabrzmiało to delikatnie. — Wiem, jak to jest z chorymi. Moja babcia też długo cierpiała i...

No i zabrakło mi słów. Zerknęłam nań z ukosa. Wodził wzrokiem po wodzie spływającej po kondygnacjach fontanny. W jego spojrzeniu było coś bolesnego. Ja też skoncentrowałam się na wodzie mieniącej się w zachodzącym słońcu.

Przez chwilę milczeliśmy. Czułam, że bardzo cierpi. Najpierw śmierć ojca, potem nagłe odejście żony...

Przepaść tak bardzo nas dzieląca, wynikająca z zamożności i społecznej pozycji, nie była już taka wielka, skoro teraz myślałam jedynie o jego osobistych udrękach.

— Los doświadcza każdego z nas, panie LaMarsh — powiedziałam cicho. — I panu się jakoś ułoży.

— Tak pani sądzi? — spytał z nadzieją i spięte rysy jakby się rozluźniły. — A jak tam w aptece?

— Wspaniale. Pan Murphy zaakceptował mnie, gdy udowodniłam mu, że kobiety mają też parę rąk do roboty.

Znów coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego ustach. Ciepły był to uśmiech, a przynajmniej mnie zrobiło się ciepło, gdy spostrzegłam, że nieco się odprężył. Ciągle był taki smutny i spięty.

— Artura trudno na ogół przekonać. — Powiedział to studiując uważnie moją twarz. — Może opowie mi pani coś o sobie, panno Morgan. Skąd pani pochodzi?

— Z Riverville. — Westchnęłam, patrząc na szybujące po niebie obłoki. — To taka zapadła miejscina w dolnym biegu Missisipi.

— Znam Riverville. Mieliśmy tam kiedyś plantację. Spędziłem tam miłe lata, ale potem puściliśmy ją w dzierżawę Gainsom. To taka rodzina... szczęśliwa, bo liczna... sześciu chłopaków. Czasami coś mi mówi, że dobrze byłoby tam wrócić. Tak, Riverville... — przyjrzał mi się z zadumą, powtarzając to słowo, jakby coś mu przypominało. — A więc tam się pani urodziła i wychowała?

Próbując zebrać myśli, wygładziłam spódnicę, a potem — jak mam to w zwyczaju — postanowiłam mówić prawdę i tylko prawdę.

— Właściwie to urodziłam się w Nowym Orleanie. Moi rodzice mieszkali tu krótko, bo niespokojne były z nich duchy. Nigdzie nie mogli dłużej zagrzać miejsca. Wsiedli na parowiec, tam dopadła ich febra i zmarli równocześnie. Zdążyli jeszcze przekazać mnie jakimś znajomym z Nowego Orleanu, a ci zawiadomili moją babcię. Przyjechała i zabrała mnie do Riverville, gdzie spędziłyśmy razem dwadzieścia lat.

— Mówi pani o babci. Czy to ją przedstawia dagerotyp w pani pokoju? — spytał przyglądając się mej fryzurze, której prowincjonalna staroświeckość zaczęła mi ciążyć w dwójnasób.

— Tak, to moja babcia. — Machinalnie dotknęłam ręką włosów. — Wiele mnie nauczyła.

— Czego na przykład? Przepraszam, jeśli wtrącam się w pani sprawy osobiste — dodał szybko, skonfundowany.

— Nie, nie w tym rzecz — odparłam, gdy wpatrywał się we mnie, przechylając na bok głowę.

Moje dzieciństwo? Riverville? Próbowałam dociec, co go w tym może interesować, równocześnie starając się znaleźć odpowiedź na zadane pytanie.

— Na przykład uczciwości. To od niej wiem, że nie zawsze przychodzi to łatwo, ale inaczej nie osiągnie się siły i spokoju ducha. Przynajmniej ja nie potrafię. — Ostatnie słowa dodałam pośpiesznie, bojąc się, czy przypadkiem nie natrafiłam na jakiś jego słaby punkt. — Mówię to oczywiście tylko z własnego doświadczenia.

— A bardzo jest pani doświadczona? - spytał, nachyliwszy się ku mnie, a w jego czarnych oczach odbiło się zachodzące słońce.

— Prawdę mówiąc, niewiele o sobie wiem. Nie wiem nawet, kim był mój ojciec. Podobno szulerem na parowcach, któremu podczas postojów w naszej miejscowości udało się podbić serce mojej mamy.

Westchnęłam i w milczeniu wpatrywałam się w fontannę. Tryskająca woda tworzyła mieniące się sklepienie. Cóż za nonsens siedzieć tu wśród róż i zwierzać się jakiemuś Jordanowi LaMarsh z dziejów mej rodziny.

— A co było potem?

— No... potem to mama uciekła z nim. Co się z nimi działo przez pierwszy rok, kiedy byli razem, nikt właściwie nie wie. Moja babcia nie miała żadnych wieści od córki. Zdaje się, że zawsze darły ze sobą koty. Aż pewnego dnia otrzymała pilną wiadomość z Nowego Orleanu donoszącą o śmierci ich obojga... i że jeśli nie odbierze natychmiast dziecka, to wyląduję w sierocińcu.

Spojrzałam nań w obawie, czy moja opowieść nie brzmi zbyt melodramatycznie, uświadamiając sobie jednocześnie, że opowiadam najbardziej intymne sekrety mego życia zupełnie obcemu mężczyźnie. Ciekawe, co sobie o mnie pomyślał? Odwróciłam głowę, czując wstyd i zakłopotanie.

— Proszę mówić dalej — powiedział łagodnie.

— A o czym tu jeszcze mówić? Jak już wspomniałam, babcia zabrała mnie z Nowego Orleanu do Riverville. Starła się, jak mogła, stworzyć mi normalny dom. Nigdy nie żyłyśmy w zbytku, ale byłyśmy szczęśliwe.

Przenikliwy głos wyrwał nas z błogiej zadumy:

— Matka cię wzywa! — Marie stała za nami, a w oczach miała płomienie.

— Będę za chwilę — rzucił szorstko.

Poderwałam się, licząc, że zdążę się wycofać przed wiszącą w powietrzu nieprzyjemną sceną.

— Panno Morgan — dotknął mego ramienia. — Bardzo się miło z panią rozmawiało.

Usłyszałam zduszony szloch, niczym kogoś zranionego, obróciłam się i ujrzałam Marie mknącą ku tylnej furtce. Dłoń Jordana znów spoczęła na moim ramieniu i poczułam, że jego palce pieką mnie przez rękaw sukienki. Wyobrażałam sobie, jak jego siostra musiała zinterpretować sobie to pierwsze dotknięcie. Ale Jordan zdawał się nie przejmować konsekwencjami.

— Moja siostra jest strasznie rozpuszczona — powiedział zniżając głos. — Ciągłe muszę przeproszać wszystkich za jej zachowanie.

— Mnie pan nie musi — powiedziałam, cofając się o krok poza zasięg jego ręki. — Do widzenia.

Pośpieszyłam ku wozowni, wiedząc, że patrzy za mną. Już nie uważałam go za pyszałkowatego kobieciarza. Był samotnym mężczyzną, rozpaczliwie potrzebującym przyjaciela. Ale jakaż była szansa na przyjaźń między nami? Żadna — przesądziłam, wspinając się po schodach ze świadomością, iż ciężki był to dzień. Obcesowość jego matki wraz z wrogą postawą Marie powinny dać mi wiele do myślenia.

Naprawdę muszę go unikać, dla jego i dla mego własnego dobra.

Tego wieczora nie smakował mi skromny posiłek, a historia z portretem Angeliki również nie poprawiła mego nastroju. Po kolacji przemeblowałam pokój, odsuwając łóżko od okna, a w jego miejsce wstawiając nocny stolik. Gdy tylko stać mnie będzie na blejtram, tu będzie mój warsztat pracy. Teraz jednak nie chciałam ulegać pokusie obserwowania rodziny LaMarshów. Nie miałam też ochoty, by ktokolwiek mnie obserwował. Mimo to tuż przed zgaszeniem lampy raz jeszcze zerknęłam na dziedziniec i napotkałam... spojrzenie zapadniętych oczu Clarence'a.

Stał tuż pod mym oknem, zadarł głowę i gapił się nachalnie.

Zdażyłam zapomnieć o koślawych schodach na zewnątrz wozowni i o dodatkowym wejściu, zabitymi teraz deskami. Jedno i drugie przypomniały mi się natychmiast, gdy było już po północy, a ja nie mogąc zasnąć przewracałam się z boku na bok.

Pierwsze skrzypnięcie można było przypisać mocnemu wiatrowi, ale następne były coraz to głośniejsze i jakby się zbliżały. Usiadłam

na łóżku i wpatrywałam się w mrok sypialni. Księżyc skrył się za chmury. Noc była ciemna.

Stare zewnętrzne schody znów zaskrzypiały.

Odrzuciłam kołdrę, pochwyciłam szlafrok i zapaliłam lampę. Wiedziałam wprawdzie, że drzwi są zabite deskami i z tamtej strony nie zagraża mi żaden nocny gość, ale i tak zimny dreszcz przeszedł mi po plecach. Gdy tylko światło zalało pokój, zapadła cisza, a zaraz potem czyjeś pośpieszne kroki zatupotały po stopniach.

Rzuciłam się do okna, ale w porę przypomniałam sobie, że jeśli mam pozostać niewidoczna, trzeba to zrobić subtelniej. Na pierwszy rzut oka dziedziniec był pusty. Powoli, dokładnie lustrowałam spowijające go cienie. Krzaki róż, drzewa, nawet fontanna — wszystko to przybierało dziwne, ruchome kształty w delikatnym nocnym wietrze.

Oparta o futrynę, przez kilka minut próbowałam dojść, który z tych falujących cieni może rzucać ludzka istota. Nie było śladu intruza. I wtedy

usłyszałam dziwny dźwięk: coś jakby szczepek metalu. Wsłuchiwałam się. Cóż to mogło być? Skąd to dobiegało?

Dziwne, ale wydawało mi się, że już to gdzieś słyszałam, choć nie mogłam przypomnieć sobie, gdzie. I nagle donośny łoskot w wozowni! Obróciłam się jak ukłuta. Znów wstrząsnął mną dreszcz. Czyżby ten ktoś ze schodów obszedł wozownię i wszedł głównym wejściem?

Chciałam przełknąć ślinę, ale gardło miałam nieznośnie suche. Metaliczny dźwięk był coraz bliżej. Czyżby pod moim pokojem? A może na schodach? Znów zapaliłam lampę i z zapartym tchem trwałam w oczekiwaniu.

Skamieniała ze strachu wpatrywałam się w przekreślony klucz w drzwiach, czując, jak pot spływa mi po plecach. Zupełna cisza. Wyglądało na to, że światło lampy było mi ochroną.

W końcu kolana odmówiły mi posłuszeństwa i opadłam na łóżko, próbując zebrać myśli. Nie miałam tu żadnej broni, a gdybym nawet miała, to jaki mogłabym zrobić z niej użytek? „A może to tylko wiatr?” — pomyślałam z nadzieją. Wiatr hulający po dziedzińcu i po zewnętrznych schodach. Nie. Im bardziej chciałam w to uwierzyć, tym mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że to ktoś wspinał się na schody, a potem próbował dostać się do wozowni głównym wejściem.

Natychmiast przypomniał mi się Clarence. Przecież to on wpatrywał się w moje okno, nim udałam się na spoczynek. Wspomnienie tego starego Murzyna było mi utrapieniem. Czy każdej nocy mam przejmować się Clarence'em? Musi być niegroźny, skoro LaMarshowie zatrudniają go w swej rezydencji.

Od tego wszystkiego dostałam gęsiej skórki. Wpełzłam pod kołdrę i naciągnęłam ją pod sam podbródek. Spałam przy zapalanej lampie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rankiem obudziłam się rozbita i obolała. Otwarłam z trudem oczy.

Szary brzask sączył się przez okno. Leżałam i obiecywałam sobie, że jeszcze dziś zawieszę w nim firankę.

Z trudem zwlekłam się z łóżka i natychmiast zerknęłam na dziedziniec. Chmury, które w nocy spowiły księżyc, przysłaniały teraz poranne niebo. To też nie wpłynęło dodatnio na mój nastrój.

Przypomniałam sobie o odziedziczonym po babci kieszonkowym zegarku i zaczęłam przeszukiwać moją torebkę, aby ustalić, która właściwie jest godzina.

Była siódma. Elza powinna być już w kuchni, a moja дума nie sięgała tak daleko, by odmówić sobie filiżanki rozpaczliwie potrzebnej mi kawy.

Umyłam się i wyciągnęłam z szafy moją ostatnią czystą sukienkę. Szarą, bawełnianą, z białym kołnierzykiem i mankietami — wszystko to razem żałośnie pospolite. Podręczne lustro ujawniło ciemne półksiężycy pod oczyma.

Uszczypnęłam się w policzki, chcąc nadać im nieco barwy. Wzięłam torebkę i zamknawszy drzwi na klucz, zesłam po koślawych schodach.

W kurzu wozowni zauważyłam świeże ślady. Ślady stóp prowadzące od wejściowych drzwi do jednej z komórek. Wzruszyłam ramionami. Przecież nocny nieznamy mógł po prostu przyjść tu po jakieś końskie akcesoria. W końcu wynajmuję tylko pokój na piętrze. Przyjrzałam się uważnie śladom. Nie dochodziły do schodów.

Odetchnęłam z ulgą. Kimkolwiek był, przynajmniej nie próbował wspinać się wyżej. Co do kroków na zewnętrznych schodach... tu wciąż nie byłam pewna.

Otworzyłam drzwi wozowni i spokój ogrodu ukoił nieco me rozgorączkowane myśli. Stukając obcasami mych podniszczonych trzewików ruszyłam przez dziedziniec w stronę kuchni, skąd niósł się kuszący zapach świeżej kawy.

Elza otworzyła mi, jeszcze ziewając. Pewnie dopiero co włożyła kolejną czarną bawełnianą suknię, nakrochmalony fartuch i czepek.

— Dzień dobry. A cóż cię tak wcześnie dziś sprowadza?

— Nadzieja na kawę — odparłam z westchnieniem, a ona z szerokim uśmiechem zaprosiła mnie do środka.

Garnek naciągającej właśnie kawy stał na kuchennym stole. Popatrzyłam na smolistą zawartość, zastanawiając się, jak niektórzy ludzie mogą pić coś takiego bez obfitej porcji gorącego mleka.

— Czym chata bogata — zachęciła Elza, wskazując na garnek. Uraczyłam się, a potem sprawdzwszy, czy jesteśmy w kuchni same, zwierzyłam się:

— Tej nocy, Elzo, słyszałam jakiś dziwny dźwięk i...

— Jaki dźwięk? — Niebieskie oczy powędrowały znad garnka i utkwily w moim obliczu.

— Jak by to powiedzieć? — Dolałam sobie kawy, próbując znaleźć odpowiednie określenie. — Coś jak szczęk metalu. Nie potrafię dokładniej ci tego opisać.

Wsparła dłonie mocno na blacie stołu i zauważyłam, że knykcie jej palców aż zbieleły. Musiało ją to mocno poruszyć. Opadła na taboret i naląła sobie solidną porcję kawy.

— Może ktoś majstrował przy powozie? — rzuciła bez szczególnego przekonania.

Przez chwilę rozważałam tę możliwość, sącząc z przyjemnością drugą filiżankę.

— Ale dlaczego miałyby to robić o północy? — spytałam.

— Tego to już nie wiem — zachnęła się i pociągnęła zdrowy łyk. Przyjrzałam się jej uważnie. Widać było, że coś ją trapi.

— Co cię tak poruszyło, Elzo? — Usiadłam przy niej. Zdecydowanym ruchem odsunęła od siebie filiżankę i westchnęła.

— Więc mówisz, że brzmiało to jak szczęk metalu? Boże, żeby to znów nie byli oni!

— Jacy oni?

— No, ci... — Jej rysy stężały. — Pewnie powiesz, że głupstwa gadam.

— Głupstwa nie głupstwa, mów!

— Różne słuchy tu krążą. Wiesz, czego to stare baby nie wymyślą. Podobno kiedyś, jeszcze za niewolnictwa, mieszkała tu Kreolka, strasznie zawzięta na swych Murzynów. Niektórych zakuwała na noc w kajdany.

— Babskie gadanie — dolałam sobie kawy. — Nie wierzę, że ktoś trzymał niewolników w kajdanach.

— Oj, Margaret, mało wiesz o świecie. Są na to dowody. Pewnej nocy dom stanął w ogniu. Gdy zbiegli się ochotnicy do gaszenia, wpadli na pokoje, a potem do izb czarnuchów, a tam kilku z nich siedziało skutych! Pisało o tym w gazetach. Od tamtej pory co raz ktoś słyszy tu nocą szczęk łańcuchów. Ponoć

to ich duchy kręcą się po obejściu i hałasują. Nie tylko tutaj. Mówią, że to kara dla całej dzielnicy.

Sączyłam kawę w milczeniu. Nie wypadało spierać się z Elzą, ponieważ najwyraźniej wierzyła w to, co mi opowiedziała. Ale nocny dźwięk na pewno nie pochodził od ducha w kajdanach.

— Ale tamci to jeszcze nic. Najgorsza jest dziewczeczka.

— Kto taki? — wytrzeszczyłam oczy.

Z trudem podniosła się z taboretu i zaczęła przemierzać tam i z powrotem wąską kuchnię:

— Nie powiedziałam ci wszystkiego. Ta Kreolka również batożyła swych Murzynów. Powiadają, że kiedyś jedna czarna dziewczuszka uciekła przed chłostą aż na strych, a gdy nie miała już gdzie się skryć, rzuciła się z najwyższego balkonu. Znaleźli ją martwą tu, na dziedzińcu. Teraz czasami słysząc nocą jej zawodzenie.

— To straszne — przytaknęłam. Czułam szczere współczucie dla dziecka, ale nocne zawodzenie... co za dużo, to niezdrowo.

Spojrzałam na zegarek i doszłam do wniosku, że już zbyt wiele czasu zmitrężyłam.

Podniosłam się z taboretu. — Pora ruszać.

— Frances wspominała mi, że znalazłaś pracę w aptece. Jak ci tam z Arturkiem?

— Można wytrzymać — mrugnęłam okiem już zza progu.

Ruszyłam szybkim krokiem, ale nim dotarłam do furtki, poczułam jakby dziwne ukłucie w plecach i na karku. Spojrzałam za siebie. Drzwi do oficyn służby właśnie domykały się.

Znów przypomniały mi się nocne kroki na schodach i obiecałam sobie, że wspomnę o tym Jordanowi LaMarsh. Byłam pewna, że to Clarence, ponieważ tylna furka była zamknięta od wewnątrz.

Zatrzymałam się na rogu Royale i zlustrowałam ulicę. Dziwaczne opowieści Elzy wciąż chodziły mi po głowie, gdy zmierzając do apteki, przyglądałam się sklepom i domom.

Szłam szybko i mocno zadyszana dotarłam do celu.

Artur był już w kantorku. Pozdrowił mnie, a ja szybko zdjęłam kapelusz i zajęłam miejsce za biurkiem.

— Jak zdrowie? — spytał odliczając coś na swojej wadze.

— Dziękuję, dopisuje. — Spojrzałam nań kątem oka. Wprawdzie Jordan żartował, iż ograniczony z niego człowiek, ale nie mogłam odmówić sobie zasięgnięcia jego opinii o opowieściach Elzy.

— Słyszałam dziś dziwną historię — zaczęłam dyplomatycznie. — Elza Brantley opowiadała mi o jakichś niewolnikach, których niegdyś trzymano tu w łańcuchach, a teraz nocami słychać podobno ich szczęk. Mówiła też o dziewczynce, która wyskoczyła z okna czy balkonu...

— Tak, to było jeszcze w trzydziestych latach — przytaknął. Westchnął i uniósł wysoko butlę z jakimś tajemniczym płynem.

— Podejrzewam, że wszyscy traktują to serio. Mówią, że dziwne rzeczy dzieją się tu nocami. Na szczęście ja sam niczego nie słyszałem. Ale ja mieszkam z rodzicami przy Esplanade. Vieux Caré pełna jest opowieści o duchach. Niech się tym pani nie przejmuję.

Zabrał się znów do pracy, a ja poczułam się głupio. Czemu w ogóle wspomniałam mu o tych bzdurach? Wczoraj przez cały dzień starałam się zrobić nań wrażenie osoby dojrzałej i zrównoważonej, a teraz wszystko to pewnie legło w gruzach. Wiedziałam, że uważa mnie za egzaltowaną histeryczkę.

Zajęłam się przepisywaniem recept do księgi rachunkowej i godzina zeszła mi szybko. Była sobota, a więc pracy mieliśmy więcej niż poprzedniego dnia. Trochę pomagałam Arturowi, trochę serwowałam wodę sodową pojawiającym się regularnie klientom. Wreszcie ujrzałam w drzwiach znajomą twarz. Była to Bella. Cerę miała bladą, a oczy podkrążone. Kiepsko wyglądała.

— Jak się pani ma? — spytałam troskliwie.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy chwycił ją atak kaszlu.

— Nie najlepiej — wykrztusiła wreszcie. Pokręciła głową, a złote koła w uszach zawirowały niczym tancerze. Miała ten sam co wczoraj czerwony szal i barwną wiejską kieckę. Tym razem nie nosiła przepaski, a granatowoczarne włosy upięła w kok złotą klamrą. Podeszła powoli do Artura. Śledziłam ją wzrokiem. Może warto byłoby poprosić ją kiedyś o powrót, choćby z czystej ciekawości.

— Syrop na kaszel — poprosiła zachrypniętym głosem siedzącego w kantorku Artura.

Sięgnął po butelkę, ulął czarnej mikstury o ciężkim zapachu i wręczył to Belli. Wróciłam do mej księgi, ale nie mogłam zapomnieć, jakie wrażenie wywarła na mnie wtedy w wozowni. I drzenie jej ręki, gdy naciskała klamkę schowka.

— Panno Morgan? — usłyszałam za plecami jej głos.

— Czym mogę służyć?

— Dobrze się pani czuje? — Rozgorączkowane oczy wpatrywały się we mnie z pomarszczonej twarzy.

— Dziękuję, dobrze.

— Cieszę się. — Skinęła głową i znów porwał ją atak kaszlu. Opuściła sklep dosłownie zgięta w pół.

— Dziwna z niej kobieta, nie sądzi pan? — spytałam Artura.

— Dość dziwna — mruknął, odmierzając po kropelce jakiś lek. Zauważyłam, że angażuje to całą jego uwagę, więc zajęłam się własną pracą.

Gdy dzień roboczy miał się ku końcowi, podszedł do mnie z brunatną buteleczką.

— Czy mogłaby pani zabrać to dla pani LaMarsh? To na jej migreny.

— Oczywiście. — Przyjrzałam się uważnie naczynku. — Wiem o jej migrenach, właśnie wczoraj, gdy ją poznałam, miała chyba atak.

Czekałam, aż coś odpowie. Wcisnął korek i przyjrzał mi się uważnie:

— Od lat ją to trapi, a od śmierci pana LaMarsh ataki są coraz ostrzejsze.

— A więc dopilnuję, by to zażyła — powiedziałam, wkładając kapelusz.

— Dziękuję. Jutro niedziela i oczywiście nie pracujemy. Do zobaczenia w poniedziałek. — Zdobył się na uśmiech. — A propos, czy ustaliła pani z Jordanem wynagrodzenie?

— Porozmawiam z nim dziś lub jutro. Jak mogliśmy znów zapomnieć o pieniądzach! A już zwłaszcza ja!

— Proszę poczekać, panno Morgan — zatrzymał mnie w drzwiach. — Radzę zapakować w coś to lekarstwo. Kręcą się tu tacy, którzy mogliby się na nie złakomić.

Taka ewentualność nie przyszła mi do głowy. Owinęłam butelkę w papier, rozmyślając nad swą niewiedzą, jeśli chodzi o miejskie życie. „Pełno tu złodziejasków, a w zaułkach to już lepiej nie mówić” — przypomniały mi się słowa Elzy. Czy nocny gość mógł być jednym z takich? Nie zaszkodzi być bardziej ostrożną.

Już przy furtce zawahałam się. Czy powinnam wejść od frontu i wręczyć osobiście lekarstwo, czy może lepiej przekazać je Elzie? Wybrałam to pierwsze. Nie, żebym jej nie ufała, ale po prostu czułam się odpowiedzialna za dostarczenie leku temu, komu miał służyć.

Weszłam po stopniach i zapukałam. Drzwi otworzyła mi drobna Murzynka w czarnej sukience i białym fartuszk. Widziałam ją po raz pierwszy.

— Jestem Margaret Morgan. Mieszkam tu nad...

— Tak, proszę pani. — Nie pozwoliła mi skończyć, jak wyuczony automat.

— Proszę wejść.

Słońce sączące się przez podłużny świetlik nad szerokimi drzwiami padało na wypolerowaną parkietową posadzkę. Tym razem miałam okazję przyjrzeć się uważniej pokojom. Wszystkie drzwi stały otworem i zauważyłam wspaniałe gobeliny, a także ręcznie malowane wazy na intarsjowanych stolikach z różanego drzewa. Ściany pokryte były też lustrami. Wisiały nad marmurowym obramowaniem kominka, nad komódkami i sekretarzykami, a we wszystkich odbijało się słońce. Może właśnie dzięki tej mnogości luster dom, w przeciwieństwie do większości równych mu powierzchnią, nie sprawiał wrażenia mrocznego i przygnębiającego.

Pokojówka czekała na polecenie.

— Mieszkam nad wozownią. Mam tu lekarstwo dla pani LaMarsh.

Zaprowadziła mnie w kierunku krętych schodów przy końcu hallu. Weszłam na piętro i rozejrzałam się naokoło. Wszystkie drzwi były zamknięte.

Szeroki korytarz, pokryty brukselskim dywanem, biegł przez całą długość kondygnacji i kończył się wychodzącym na ulicę obszernym oknem. Tam też stał stolik, a na nim koszyki wypełnione liśćmi magnolii i wielka srebrna waza z różami. Oba zapachy napełniały słodko cały korytarz.

Pokojówka zatrzymała się przy najbliższych drzwiach i zapukała delikatnie.

Sądziłam, że drzwi otworzy Frances. Liczyłam, że wręcę jej lekarstwo, unikając spotkania z równie mi niemiłymi matką lub córką.

Ale to właśnie pani LaMarsh otworzyła drzwi. Przez moment stała mi w oczach jej wizyta w mym pokoju, ale jakoś zdołałam się opanować.

Dziś miała na sobie suknię barwy omszałej zieleni, pasującą do jej wiotkiej sylwetki, siwe zaś włosy ułożyła starannie. Ale oczy miała wciąż podkrążone, a twarz bladą i napiętą. Znać było po niej chorobę.

Przybrałam sztywną pozę, oczekując kolejnego afrontu. Ku memu zdziwieniu nie odezwała się słowem, dopóki pokojówka nie oddaliła się.

— Artur prosił mnie o przekazanie lekarstwa — powiedziałam siląc się na beznamiętny ton. Ta kobieta wciąż napełniała mnie lękiem, choć przyrzekłam sobie, że stawię jej czoło.

— Proszę wejść — powiedziała cicho i cofnęła się o dwa kroki.

— Jeśli źle się pani czuje...

— Proszę wejść.

Ostrożnie przekroczyłam próg pokoju. Wszędzie było tu pełno cennych starych mebli, porcelany, że nie wspomnę o marmurowym popiersiu Napoleona. Ale dominującym akcentem była wielka ścienna szafa z wiśniowego drzewa i łoże z baldachimem. Na toaletce stały dagerotypy pospołu z bardziej współczesnymi fotografiami.

— Proszę usiąść — powiedziała wskazując na dwa obite brokatem krzesła przy oknie.

Postawiłam owinięte w papier lekarstwo na marmurowym stoliku przy drzwiach i zawahałam się, nie wiedząc, czy zostać, czy może raczej wymyślić jakieś usprawiedliwienie.

— Chciałabym zamienić z panią kilka słów — powiedziała przyglądając się, jak nerwowo przestępuję z nogi na nogę.

Jej akcent i słownictwo świadczyły o zamorskich korzeniach, chociaż podobnie jak Jordan i Marie unikała francuskich zwrotów, jak jest to w zwyczaju u większości Kreolów z Nowego Orleanu.

Nabrałam powietrza w płuca i przygotowując linię obrony, przysiadłam na skraju staroświeckiego krzesła. Kątem oka spojrzałam w okno i stwierdziłam, że wychodzi na balkon i dziedziniec. Musiała mieć stąd świetny przegląd wszystkiego, co dzieje się tam w dole. Wyglądziłam sukienkę i patrząc w bok, zastanawiałam się, ile już zdążyła dowiedzieć się o mnie.

— Przesiaduję tu godzinami — powiedziała tonem, który nieco mnie zaskoczył. Nie był to może ton przyjazny, ale o niebo lepszy od tego, czego się spodziewałam. — Każdy z tych krzaków to moje dzieło — wskazała ręką ogród różany. — Teraz oczywiście nie mam już sił ich doglądać. Mam nadzieję, że Clarence robi to nie gorzej.

— Piękne róże — przytaknęłam, przenosząc wzrok ponad krzakami w stronę fontanny. Żelazną ławeczkę, na której siedzieliśmy wczoraj z Jordanem, było stąd widać jak na dłoni... a więc pewnie i to, że dotknął wtedy mego ramienia.

Dość wspomnień! Obróciłam się na krzesło i skupiłam się na mej rozmówczyni. Jednak myślałam wciąż o naszej długiej wczorajszej rozmowie i wyobrażałam sobie, z jaką furią musiała nas śledzić z tego miejsca.

— Mój syn — zaczęła z trudem — ostro mnie skarcił za tę wizytę w wozowni. Powiedział, że przyszłam „na przespiegi”. Tak się wyraził. — Jej czarne oczy w sieci zmarszczek promieniowały przyćmionym blaskiem.

Wyprostowałam się w krzesło i zmierzyłam ją wzrokiem. Ta kobieta musi zrozumieć, że nie zniosę impertynencji, choćby mój żołądek kurczył się z nerwów niczym więdnący płatek jednej z jej róż!

Po chwili i ona wyprostowała się i spojrzała z zadumą na niebieskie żyłki na dłoniach, których palce iskrzyły się rubinami, szmaragdami i brylantami.

— Moja synowa odeszła stąd. Wróci — dodała z nadzieją w głosie. — A może i nie wróci. Tak czy inaczej, nic to nie zmienia!

— Znow uniosła głowę i przeszła mnie wzrokiem.

Ugięłam się pod ciężarem tych słów. Teraz wszystko było jasne. Jeśli ktoś rozumiał opacznie moją obecność w Fountain Court, wiązało się to z małżeńskimi problemami Jordana i Angeliki.

— Nie ma pani powodów do obaw, pani LaMarsh — powiedziałam stanowczym tonem. — Jestem tu lokatorką i nie zamierzam wchodzić w państwa rodzinne układy. Mówiąc krótko, nie mam żadnych zamiarów co do pani syna.

Wymawiając te słowa czułam, że kłamię. Ten człowiek urzekł mnie, zburzył mój świat, a ja próbowałam zaprzeczać temu, co czułam, ilekroć był w pobliżu.

Zrozumiawszy to, poczułam nagły przyływ winy. Nie mogę ani chwili dłużej pozostać w tym pokoju.

— Nie zabawię u państwa długo — oświadczyłam z desperacją.

— Wyprowadzę się, gdy tylko znajdę coś odpowiedniego. Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem:

— Tak będzie rozsądniej.

— Żegnam panią. — Wstałam i z dumnie — na ile mnie było stać — uniesioną głową wyszłam z pokoju.

„No i stało się. Pora w drogę” — pomyślałam za drzwiami na korytarzu.

— A pani cóż tu robi?

Marie stała w przeciwnych drzwiach i patrzyła złym wzrokiem.

— Przyniosłam lekarstwo pani matce — odparłam, rewanżując się jej identycznym spojrzeniem. Nie byłam w nastroju do wysłuchiwania dalszych zniewag.

— Proszę poczekać! — zawołała ni to rozkazująco, ni prosząco. Zatrzymałam się z wahaniem tuż przy schodach. Szła w moim kierunku, bawiąc się opadającym jej na ramię długim puklem włosów.

— Czy wpadłaby pani do mnie na szklanekę lemoniady? Pewnie doprawionej arsenikiem? Co ta dziewczucha znow knuje?

Pamiętałam dobrze jej wczorajszą wściekłość. Przecież nie mogła się tak zmienić przez jedną noc? A jednak w jej uniesionych ku mnie oczach nie było już gniewu i arogancji. Raczej... samotność.

— Elza przyniosła mi właśnie dzbanek lemoniady i trochę herbatników. Zapraszam...

Odsunęła się na bok i ujrzałam pokój tak piękny, że wciągnął mnie niczym pszczołę różany kwiat. Ściany też były różowe aż po sam gzyms przyozdobiony białymi gipsowymi medalionami. Na wiśniowym łożu z baldachimem leżała atłasowa kapa i koronkowe poduszki. Francuski zegar z różyczkami z emalii stał na marmurowym stoliku przy wezłowie.

— Jordan kazał mi panią przeprosić — powiedziała przyglądając mi się uważnie. — Podobno nic nie usprawiedliwia mojego wczorajszego zachowania. — Mówiła to cicho i jakby na wdechu, równocześnie przebierając palcami w przypiętej do sukni na wysokości talii saszetce.

W ciszy, która teraz zapadła, próbowałam znaleźć jakieś odpowiednie słowa, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

— Pani i pani matka odniosłyście błędne wrażenie — powiedziałam w końcu. — W wozowni zatrzymałam się tylko do chwili znalezienia nowego mieszkania. Wkrótce się wyprowadzam.

Spojrzała na mnie z widoczną ulgą.

— Ale nadal nie rozumiem, co tak panią zdenerwowało? — spytałam.

Zmrużyła oczy i zlustrowała powoli mą sylwetkę.

— Ma pani rację. Nie jest pani żadnym zagrożeniem, bo nie jest pani Kreolka.

Powiedziała to może i bez żadnych ubocznych intencji, ale zniewaga ukłuła mnie do szpiku kości.

— Na szczęście nie. W moich żyłach płynie krew szkocka i irlandzka i dumna jestem z tego! — odpląciłam jej pięknym za nadobne.

— I ma pani powody do dumy. Ja też chciałabym być Szkotką, Irlandką, Niemką, każdym... byle nie sobą! — Ukryła twarz w drobnych dłoniach i wybuchnęła nieopanowanym szlochem.

Nie spodziewałam się zupełnie takiej eksplozji uczuć i, zaskoczona, poczułam, że mój gniew przechodzi w litość.

— Sądzę, że los szczerze panią obdarzył — powiedziałam łagodnie, dotykając jej ramienia. — Ma pani rodzinę, piękny dom i...

— I w tym pięknym domu jestem traktowana jak więzień — załkała, unosząc ku mnie zalaną łzami twarz.

Jak więzień? Wodziłam wzrokiem po jej atłasowych pantofelkach, paryskim peniuarze, po gładkiej niczym jedwab skórze i aksamitnych włosach wypieszczonych oprawioną w srebro, leżącą teraz na toalecie szczotką. Po

włosach pachnących płatkami róż, które pewnie co rano przynosili jej z ogrodu. Z jej własnego ogrodu. Też mi więzień!

Odnalazła z trudem koronkową chusteczkę, otarła łzy i padła na pokryty aksamitem fotel. Wyglądała teraz jak mała zapłakana dziewczynka, wystrojona dla zabawy w koronkowe haleczki i atłasowe fatałaszkę.

Francuski zegar tykał miarowo w nieznośnej ciszy.

— Może powinna pani częściej z kimś rozmawiać? — Usiadłam przy niej. — Niewiele wiem o trybie życia kreolskich kobiet, ale był czas, gdy i ja czułam się jak więzień.

Zachmurzyłam się, sama zaskoczona tym wyznaniem.

— Nigdy dotąd nikomu o tym nie wspominałam. Wiem, że to może okrutne i niewdzięczne, zwłaszcza teraz, gdy moja babcia spoczywa już w grobie, ale... ja też miałam świadomość, że uciekły mi dwa lata życia, podczas gdy świat toczył się gdzieś tam daleko. A potem babcia zmarła i teraz nie mam już zupełnie nikogo. Pani przynajmniej ma rodzinę...

Spojrzała na koronkową chusteczkę i zaczęła pedantycznie składać ją w drobną kostkę. Rozłożyła ją gwałtownie i zaczęła od nowa.

— Ale teraz jest pani wolna i może sama decydować o wyborze tego drugiego. — Zabrzmiało to jak wyrzut.

— O wyborze tego drugiego? Może i racja, tyle że, jak dotąd, nikogo nie wybrałam.

— A ja tak! — Coś zapaliło się w jej czarnych oczach. — Ale przepędzono go za drzwi, ponieważ nie był Kreolem.

— Bardzo mi przykro — powiedziałam niepewnie.

— A cóż pani może o tym wiedzieć? O tym, jak ktoś planuje za nas całe nasze życie, jak kontroluje każdy nasz krok! — Błądziła wzrokiem, trapiąca bolesnymi wspomnieniami. — Moja matka żyje wciąż w przeszłości. Ponieważ wyswatano ją i jej małżeństwo było akurat szczęśliwe, nie może zrozumieć, że ktoś mógłby złamać tradycję.

Powinnam była zbyć to milczeniem, ale jakiś czort mnie skusił:

— A pani brat? Czy jego też wyswatano?

— Można to i tak nazwać — westchnęła. Wyprostowała się w krześle, spojrzała mi w oczy i nagle wyraz jej twarzy zmienił się nie do rozpoznania. Widać było, że wspomnienie brata wzniosło na powrót między nami mur nie do przebycia.

— Właśnie dlatego opowiadam pani o naszej rodzinie. Zanim zjawiała się Angelika — zawahała się i westchnęła ciężko — kobiety zawsze traciły głowę

dla mego brata, a on czasami nieźle się tym bawił. Aż do momentu pojawienia się Angeliki... — urwała.

A więc miałam być kolejną naiwną, łatwowierną ofiarą Jordana LaMarsha. Nie pierwszą, nie ostatnią!

— Na mnie już czas — powiedziałam unosząc się z krzesła. — Wybacz pani, ale ciężki dziś miałam dzień. — Nadal było mi jej trochę żal, czułam jednak, że nic porozumienia, łącząca nas jeszcze przed chwilą, pękła. — Żegnam. — Ruszyłam w stronę drzwi.

— Nawet nie skosztowała pani lemoniady! — dodała matowym głosem. — Ani herbatników.

— Nie jestem głodna, ale dziękuję za zaproszenie. Zamknęłam za sobą drzwi i przez moment stałam w korytarzu, wchłaniając intensywną woń róż. Tak, teraz już nie byłam głodna. Ta rozmowa do reszty odebrała mi apetyt, a i dobry humor. Ciężkim krokiem zeszłam na parter i ruszyłam przez hall w kierunku tylnych drzwi. Wciąż rozważałam w myślach jej słowa.

I wtedy dostrzegłam go, jak szedł przez dziedziniec w stronę kwater służby. Wysoki, czarny, przystojny — całkiem jak bohaterowie mych dziewczęcych snów. A na dodatek inteligentny i wrażliwy... tyle że Kreol.

Gdy już wszedł do oficyny, przemknęłam się ścieżką okružającą fontannę pośród wyjątkowo gęstych tu bananowców, azalii i magnolii. Już miałam z ulgą zatrzaskać za sobą drzwi wozowni, gdy jego głos zabrzmiał na dziedzińcu:

— Panno Morgan!

Poniosło się to ponad oficynami służby, ponad kuchnią, a nie wątpiłam, że i ku oknom na piętrze.

Zesztywniałam, słysząc jego kroki na kamiennych płytach. Rozpaczliwie próbowałam nadać twarzy obojętny wyraz.

— Słucham?

— Widziałem się dziś z Arturem. — Był już przy mnie. — Mówił, że znakomicie idzie pani w aptecę.

— Miło mi to słyszeć. — Już miałam odejść, gdy wspomniał o czymś, czego nie sposób było zlekceważyć:

— Przypomniał mi, że nie ustaliliśmy jeszcze wynagrodzenia. To głupio z mojej strony. Bardzo mi przykro. — Uśmiechnął się i na widok białych zębów nie mogłam oprzeć się spojrzeniu w jego czarne oczy, choć wiedziałam, że robię błąd. Serce zabiło mi mocno i skarciłam się w duchu. Uciekłam

wzrokiem w kierunku domu tylko po to, by w górnym oknie ujrzeć znów wiadomą twarz. Otrzeźwiałam, jakby ktoś chlusnął na mnie wiadrem wody.

— Czy ta kwota pani odpowiada?

— Kwota?... Przepraszam, nie dosłyszałam.

Podał sumę, którą płacił memu poprzednikowi w aptece, i spojrzał na mnie pytająco.

— Tak, odpowiada mi w zupełności. — Nie mogłam ukryć uśmiechu, ponieważ suma przekraczała moje oczekiwania.

— No to do widzenia — powiedziałam.

— A pani, powodzenia — rzucił za mną, gdy pośpiesznie zamykałam drzwi wozowni. Już na schodach przypominałam sobie, że nie wspomniałam mu słowem o nocnym gościu.

Rankiem bicie kościelnych dzwonów przypomniało mi, że od śmierci babci nie byłam ani razu na mszy. Odrzuciłam kołdrę, umyłam się i ubrałam.

Dziedziniec był pogrążony w ciszy. Wyślizgnęłam się przez tylną furtkę na boczną uliczkę prowadzącą do Roy ale. Był piękny wiosenny ranek, taki, że aż chciałoby się śpiewać. Miałam zresztą i inne powody, by dziękować Bogu: dobra praca, no i mieszkanie, zanim nie stanę na własnych nogach.

Gdy tylko otrzymam tygodniową wypłatę, stać mnie będzie na wynajęcie czegoś odpowiedniego. Wtedy wyprowadzę się, choć polubiłam tę wozownię. Ale obietnica złożona obu paniom LaMarsh zobowiązywała.

Znów przemknął w mych myślach cień Jordana, więc przyśpieszyłam kroku i wkrótce dotarłam do Jackson Square.

W powietrzu unosił się zapach palonej kawy i węgla drzewnego spod kuchennych rusztów, uliczni sprzedawcy zaś donośnie zachwalali swe towary. Przystanąłam, by uraczyć się gorącym ryżowym plackiem, i z rogu ulicy wchłaniałam zgiełk Jackson Square. Pośród ciżby mój wzrok wyłowił Belle siedzącą przy małym stoliku, pogrążoną w rozmowie z jakąś młodą kobietą.

Zbliżyłam się do nich i z zainteresowaniem przyjrzałam się leżącym na stoliku kartom i herbacianym listkom. Kobieta wcisnęła w dłoń Belli mnonetę i oddaliła się.

Tym razem Bella miała na czole jasnoczerwoną przepaskę, a złote koła tradycyjnie dyndały jej przy uszach. Uniosła głowę i spostrzegła mnie:

— Bonjour — powitała mnie donośnie.

— Bonjour.

— Powróżyć?

— Może po nabożeństwie. — Spojrzałam przez ramię na schody katedry pełne zmierzających do świątyni ludzi. — Czy syrop pomógł?

Przytaknęła.

— Mam kłopoty z płucami. To już nieuleczalne. — Westchnęła, a czarne oczy przyglądały się uważnie mej twarzy. — A co tam w dużym domu?

— Wszystko w porządku — odparłam, nie widząc powodu, by omawiać moje problemy właśnie z nią.

— Poznała już pani tę sorciere? — spytała. — Madame LaMarsh. To wiedźma!

— Wydaje mi się raczej nieszkodliwa. — Zawahałam się, po czym postanowiłam być szczerą: — Przynajmniej od kiedy dotarło do niej, że nie zamierzam usidlić jej syna.

— Jej syna! — Spojrzała na mnie spode łba. — To jej obsesja.

— No a Marie... — próbowałam zejść na bezpieczniejszy temat.

— A Marie to jej zawiedzione nadzieje. Dziecko jest... — wykonała ręką gest, jakby próbując uchwycić w powietrzu potrzebne słowo — ...słabowite — dokończyła.

Przypomniałam sobie moją rozmowę z Marie i jej impulsywną zgorzkniałość, która w najmniejszym stopniu nie kojarzyła mi się ze „słabowitością”.

— Jest na tyle mocna, by buntować się przeciw małżeństwu po kreolsku — podsumowałam dosadnie.

— Rozpuszczona dziewczucha i tyle. Zawsze chciała postawić na swoim — lekceważąco rzuciła Bella.

— Chyba nieźle zna pani LaMarshów?

Porwał ją atak kaszlu trwający dobre kilka minut.

— Znam ich od lat. Cięży na nich klątwa. — Sięgnęła po chusteczkę i przez chwilę trzymała ją przy ustach.

— Klątwa! Co ma pani na myśli? — Nagle przypomniały mi się dziwne opowieści Elzy. — Czy chodzi o tych niewolników w kajdanach i o płaczącą murzyńską dziewczynkę?

Jej ciało przebiegł skurcz, jakbym zadała jej ból. Zmrużyła oczy i poderwała się z zadziwiającą szybkością.

— Muszę napić się herbaty. — Kolorowa spódnica powiewała wokół jej drobnych kostek, gdy w pośpiechu zmierzała do najbliższej kawiarni. Przypisałam jej nagłą reakcję „niewolnikom w kajdanach” i „płaczącej dziewczynce”. Poczułam nagły chłód, jakbym stała w przeciągu. Spojrzałam

na liście drzew. Ani śladu wiatru. To dziwne doznanie kazało mi udać się pośpiesznie w stronę katedry.

— Witam panienkę! — Elza Brantley szła statecznym krokiem tuż za mną. Z radością i ulgą powitałam jakże bliską mi osobę.

— Czemu nie wspomniałaś, że wybierasz się na mszę? Poszłybyśmy razem. — Skarciła mnie, zanim zdążyłam się z nią przywitać.

— Wyszłam wcześniej. Poczekałabym, gdybym wiedziała, że też się wybierasz.

— Chodzę do kościoła każdej niedzieli. Myślisz, że inaczej miałabym siły skakać przez cały tydzień przy dwóch takich osobach, których imion chyba nie muszę ci wymieniać?

Uśmiechnęłam się, co starczyło za komentarz. Puściła do mnie oko i dobry humor udzielił się nam obu. Zadarła głowę i spojrzała na wieżę katedry:

— Mój ojciec, gdy był jeszcze młodzieńcem, pełnił warty na starej wieży, zanim przebudowano ten kościół. Każdej nocy wypatrywano stamtąd, czy gdzieś się nie pali. Opowiadał nam, że pewnej nocy wyszedł ogień gdzieś na Chartres, uderzył w dzwony i wskazał pochodnią kierunek płomieni. Mama powiadała, że pewnie uratował wtedy Nowy Orlean — dodała z uśmiechem.

Weszłyśmy po stopniach do przedsionka i przystanęłyśmy na chwilę, by oswoić oczy z mrocznym, oświetlonym tylko świecami wnętrzem.

Uderzył mnie ogrom katedry. Po bokach głównego ołtarza były dwa boczne, barokowe i kapiące od ozdób. Białą marmurową mensę podtrzymywały postacie czterech aniołów. Moją uwagę przykuły posągi świętego Piotra i Pawła i omal nie wpadłam na Elzę, która nagle zatrzymała się w połowie głównej nawy, by przepuścić do ławki starszą parę.

Spędziłyśmy godzinę w skupieniu i wciąż byłam myślami w katedrze, gdy blask słońca powitał nas przy wyjściu.

— Wracasz do domu? — spytała Elza, gdy zatrzymałyśmy się, mrużąc oczy.

— Mam ochotę jeszcze się trochę powałęsać. — Obrzuciłam wzrokiem plac, o tej porze pełen niedzielnych spacerowiczów.

— Tylko uważaj na siebie — ostrzegła mnie z dwuznacznym uśmiechem, gdy czekałyśmy na rogu, nim przejadą powozy.

W oknie jednego z nich mignęła mi niezwykła twarz. Urodziwa kwadronka* z połyskującymi czarnymi włosami, wielkimi ciemnymi oczyma, o wysmakowanych, drobnych rysach twarzy.

* Kwadron (kwadronka) — osoba z jedną czwartą krwi murzyńskiej; np. potomkini białego i Mulatki.

— Ależ piękna kobieta! — rzuciłam za oddalającym się powozem.

— Ta w powozie? — spytała Elza, która też pewnie zdażyła się jej przyjrzeć. — Kwadronki to najpiękniejsze kobiety w Nowym Orleanie. Niektórym z nich nieźle się wiedzie. Odbywają się tu specjalne bale, podczas których matki podsuwają swe córeczki miejscowym dżentelmenom.

— Co robią?

— No... trudno mi znaleźć jakieś lepsze słowo. — Spojrzała na mnie kątem oka.

— Pewnie słyszałaś, kto to jest metresa? Albo o takich miejscach, gdzie kwadronki spotykają się z białymi paniczami? — Przez chwilę milczała, kręcąc głową. — Dla mnie to tragiczne historie. To piękne dziewczęta, ale normalne życie nigdy nie jest im dane. Matki oddają je mężczyznom, którzy wprawdzie obsypują je kosztownościami, ale wymagają absolutnej wierności. — Westchnęła i ciągnęła dalej: — Znałam kiedyś kwadronkę — piękna z niej była kobieta. Jej matka oddała ją jeszcze jako podlotka pewnemu bogatemu mężczyźnie/ by zapewnić jej przyszłość. Taka umowa zobowiązuje, tyle że z czasem ona zaczęła nim gardzić. Miała piękne stroje, klejnoty i takie tam rzeczy, ale nigdy nie zaznała małżeńskiego bezpieczeństwa, a dziecko z tego związku nigdy nie miało cieszyć się szacunkiem ani pozycją w świecie. W końcu zabiła tego człowieka — dokończyła patrząc w przestrzeń. — Sądzę, że przeholował z obelgami, więc wzięła nóż i wpakowała mu prosto w serce.

Słuchałam tej historii i strasznie mi było żal kobiet uwikłanych w sytuacje bez wyjścia.

— No, Margaret, na mnie już czas — powiedziała i ruszyła w stronę domu.

Pożegnałam ją, wciąż rozmyślając nad tym, co mi opowiedziała. Babcia opowiadała mi o Mulatkach i kwadronkach, ale nie wiedziałam, że mogą być aż tak piękne, jak ta w powozie.

Przez chwilę przyglądałam się konnemu pomnikowi generała Andrew Jacksona* z ręką przy kapeluszu.

* Jackson Andrew (1776—1845) — generał i polityk amerykański. Prezydent USA w latach 1829-1837. Z racji męstwa i twardości charakteru zwany „Starą Hikorą”. W roku 1812 (patrz niżej) obronił Nowy Orlean przed Anglikami. Oczywiście Margaret znacznie wyolbrzymia stosunek strat po obu stronach.

Gdy byłam małą dziewczynką, kilka osób z naszego sąsiedztwa wybrało się do Nowego Orleanu na uroczystości z okazji rocznicy sławnej bitwy. Chcieli

mnie zabrać ze sobą, ale babcia, która — cokolwiek by o niej powiedzieć — była trochę panikara — nie zgodziła się. Płakałam przez trzy noce, a potem wypytywałam sąsiadów, jak wyglądała parada. Gdy mi opowiedzieli, spłakałam się jeszcze bardziej na myśl o tym, co mnie ominęło. Ale w tym roku będzie inaczej. Byłam przecież obywatelką miasta, które zawsze tak mnie fascynowało. Idąc przed siebie, rozmyślałam o wszystkich barwnych, związanych z Nowym Orleanem osobistościach, z generałem Jacksonem na czele.

Znam nieźle naszą historię, ponieważ przez lata grzebałam się w książkach. Zebrał pospolite ruszenie: białych, Indian, piratów — i włął regularnej brytyjskiej armii. Stracił tylko siedmiu ludzi, a Brytyjczyków legło dwa tysiące.

Wystawa sklepowa kazała mi wrócić w czas terażniejszy. Aż przelewała się od dobranych bez ładu i składu towarów, w drzwiach zaś powitał mnie jowialnie właściciel, który w przeciwieństwie do większości swych konkurentów nie miał skrupułów i handlował w dzień świąty.

Zaraz przy wejściu piętrzył się stos karnawałowych masek**.

**** Karnawał nowoorleański ma swą kulminację w ostatnią środę przed Popielcem.**

Nowy Orlean lubuje się w maskaradach i balach kostiumowych. Przeszłam koło ozdobnych zegarów i starych kołowrotek na tył sklepu, gdzie ku miłemu zaskoczeniu odkryłam kilka obrazów, przyzwoite blejtramy, a także niewielki wybór pędzli i farb.

Miałam jeszcze na tyle pieniędzy, by wykosztować się na płótno, parę pędzelków i kilka słoiczków z farbami. Sprzedawca zapakował mi to wszystko do papierowej torby i z satysfakcją wyszłam znów na główny plac.

Spojrzałam w stronę stolika Belli i stwierdziłam, że jej krzeselko jest puste. Może interes nie szedł najlepiej w niedzielę.

Miejscowi artyści oferowali portrety na poczekaniu i korciło mnie, by przyjrzeć się ich pracom. Z daleka spostrzegłam autora pejzażu z Riverville i portretu Angeliki. Miał dziś берет i świeże ubranie i w ogóle sprawiał korzystniejsze wrażenie, gdy rozstawiał płótna i segregował pędzle.

Ruszyłam w jego stronę, gdy nagle zza rogu wyłonił się domokrażca z taczkami. Nasze spojrzenia skrzyżowały się i wstrzymałam oddech. To on! Ten sam, który znieważył mnie przed kilkoma dniami i którego widziałam na dziedzińcu pod moim oknem.

Ujrzał mnie, podszedł do malarza i zamienili kilka słów. Potem obaj spojrzeli w moją stronę. Zawahałam się, nie wiedząc, o czym rozmawiają. Nagle obdartus z taczkami ruszył prosto na mnie.

Skłębione ciemne włosy opadały spod ronda starego kapelusza, okolona bokobrodami twarz była bezczelna i odpychająca. W zapadłych oczach czaiła się podłość i groźba.

Z bijącym sercem rozejrzałam się wokoło, szukając jakiejś znajomej osoby, ale rzecz jasna nikogo takiego nie było w pobliżu. Byłam tu kimś obcym. Ścisnęłam torbę pod pachą, zrobiłam w tył zwrot i ruszyłam przez plac, wypatrując któregoś z konnych policjantów. Jak na złość wszyscy się gdzieś zmyli.

Mój puls galopował jak szalony. Idący za mną mężczyzna nie należał do tych, z którymi kobieta mogłaby czuć się bezpieczna na pustej ulicy. Zza pleców dobiegało mnie skrzypienie taczek i nagle powietrze przeciął okrutny wybuch śmiechu. Zatrzymałam się i spojrzałam z nadzieją na starszego mężczyznę sprzedającego kwiaty.

— Przepraszam pana...

Co miałam mu powiedzieć? Jak zresztą mógł mi pomóc ten staruszek?

Ruszyłam szybkim krokiem, przypomniawszy sobie o pobliskiej kawiarni. Chyba tam za mną nie wejdzie? Podniosło mnie to na duchu, ale po chwili usłyszałam za plecami jego głos ciskający jakieś obelgi.

Ogarnęła mnie zimna złość. Zacisnęłam zęby i szukałam w myślach należytej repliki. Już miałam się odwrócić i huknąć nań gromko, ale powstrzymało mnie wspomnienie jego oczu. Człowiek wygadujący takie rzeczy w biały dzień na głównym placu miasta mógł być zdolny — jeśli dać mu pretekst — do strasznych rzeczy gdzieś na uboczu. Nie, lepiej zignorować go, choć nogi uginały się pode mną od szybkiego marszu i rosnącego lęku.

Przystanąłam bezradnie na rogu ulicy. W pośpiechu pomyliłam kierunki i chyba zniosło mnie gdzieś na północ. Skrzypienie taczek było coraz bliższe. Przyśpieszyłam, a stukot mych obcasów pewnie komunikował mu niczym telegraf moje przerażenie. Otaczało mnie morze obcych twarzy. Może przystanąć i poprosić kogoś o pomoc? Ale przed czym? Jak dotąd, rzucił tylko za mną głośną zniewagę, a i tego wyparłby się bez wątpienia.

Osiągnęłam kolejną przecnicę i łapiąc powietrze rozglądałam się na wszystkie strony. Właśnie nadjeżdżał czarny powóz zaprzęgnięty w dwójkę krzepkich białych koni. Murzyn na koźle odwrócił się, słuchając poleceń

właściciela. Nagle wyprostował się, ściągnął cugle, powóz zatrzymał się i uchyliły się drzwiczki.

— Panno Morgan! — zawołał Jordan LaMarsh wyskakując na chodnik.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułam takiej wdzięczności na widok znajomej twarzy. Ruszyłam ku niemu prawie biegiem.

— Panie LaMarsh! Jakiś człowiek idzie za mną krok w krok... — Odwróciłam się, by wskazać go ręką, ale ku mej rozpaczycy domokrążca jakby się zapadł pod ziemię.

— Jakiś człowiek? — spytał Jordan rozglądając się wokoło. — Gdzie go pani ma?

Popatrzyłam na kłębiący się tłum. Jak mógł zniknąć tak w jednej chwili? Od placu odchodziło sporo wąskich uliczek i doszłam do wniosku, że rozpoznawszy powóz LaMarshów, musiał dać nura w jedną z nich.

— Nie ma go — westchnęłam i popatrzyłam na Jordana odzianego w szary surdut, takiż cylinder i ciemne sztuczkowe spodnie. Jakiż on był przystojny!

— Był tu przed chwilą... — zaczęłam. Jego brwi ściągnęły się w ostrą kreskę.

— Kto panią przestraszył?

— Uliczny domokrążca. — Próbowałam przybrać naturalną pozę. — Spotkałam go obok pana domu w pierwszy dzień po mym przybyciu, a potem widziałam go na dziedzińcu.

— Na dziedzińcu naszego domu?

— Tak. Elza sądziła, że może przyszedł do Clarence'a. A teraz widziałam, jak rozmawiał z malarzem, z tym, który namalował...

O mały włos, a palnęłabym coś o portrecie Angeliki.

— ...który namalował wspaniały obraz.

— A jak ów człowiek wygląda? — Raz jeszcze obrzucił wzrokiem ulicę.

Trudno było opisać tę obmierzłą twarz i podłe oczy.

— W średnim wieku. Chudy. Wzrostu pięciu stóp i pięć, może siedem cali. Włosy ciemnopłowe, skołtunione. Inaczej trudno to opisać. Nosi brązowy kapelusz i ciemne robocze łachy.

— Proszę wsiąść do powozu. Objedziemy cały plac. Gdy go pani zobaczy, proszę powiedzieć mi, a ja już dam mu szkołę.

— Nie chcę zabierać pańskiego czasu — zawahałam się.

— Nie zabiera pani. A gdyby nawet, nie znoszę, gdy ktoś znieważa moich pracowników.

Powiedział to stanowczo, ale łagodnie i poczułam, że znów ustępuje. Spojrzałam na stangreta, którego nigdy dotąd nie widziałam na oczy, a on też przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

Jordan uklonił się jakiemuś przechodniowi i uświadomiłam sobie, jakie widowisko musimy stanować, blokując ruch na samym środku ulicy.

Uniosłam spódnicę i oparłam trzewik o metalowy stopień powozu. Ujął mój łokieć ciepłą, mocną dłonią i pomógł mi wsiąść. Opadłam na skórzaną tapicerkę siedzenia.

Jednym okiem penetrował przez okno niedzielny tłum, ale to drugie czułam na sobie. Przyszło mi na myśl, że nawet nie spostrzegłam, co właściwie wozi na swych taczkach domokrażca. Poczułam się głupio. Czy to nie nadmiar wyobraźni? Czy naprawdę ścigał mnie, czy po prostu pchał przed siebie swój kram na kółkach? Co do obelg, mogło to być mamrotanie prostaka kierowane do każdej napotkanej kobiety.

— Tam na rogu widzę jakiegoś domokrażcę — wskazał ręką Jordan. — Czy to ten?

Spojrzałam przez okno. Zupełnie nieszkodliwy starszy człeczyna. Pokręciłam głową.

— Charles — zawołał do stangreta — skręć w Bourbon Street.

Powóz wjechał w wąską ulicę ocienioną balkonami na frontonach domów z czerwonej cegły. Patrzyłam uważnie, ale i tu go nie było.

Czułam zażenowanie. Jak przekonać Jordana, że nie wpadam w panikę bez powodu? Spojrzałam mu odważnie w oczy:

— To nie jedyny powód mego lęku. Ubiegłej nocy słyszałam czyjeś kroki na zewnętrznych schodach wozowni.

Przyglądał się właśnie grupie mężczyzn zgromadzonych na schodach różowego, pokrytego sztukaterią domu. Gdy wspomniałam o nocnym epizodzie, obrócił się gwałtownie:

— Na zewnętrznych schodach? — powtórzył zasepiony.

— Tak. Słyszałam kroki i skrzywienie... — Urwałam. Teraz wyszłam na zupełną idiotkę. Pewnie ma mnie za taką, która podskakuje na widok myszy.

— Szkoda naszego trudu — zmieniłam temat. — Przepadł gdzieś na dobre.

— Może przepadł, ale nie na dobre — powiedział stanowczo. — Znajdziemy go. Musi być jeszcze w Nowym Orleanie, a przypuszczalnie nawet w Vieux Carré. Powiem Charles'owi, by szukał go dalej, gdy zawiezie nas do domu.

— Bardzo to uprzejmie z pana strony. — Czułam, że brzmi to dość blado w zestawieniu z kłopotem, jaki mu sprawiłam.

— Popytam też służbę o te nocne kroki. Przykro mi, że ktoś panią przestraszył. — Powiedział to cicho i miękko, a wzrok znów skierował na moje usta.

Pomimo towarzyszących mi nieustannie myśli o Angelice, pomimo ostrzeżeń ze strony obu pań LaMarsh, pomimo wszystkiego — czułam się bezradna niczym ptak schwyty w sidła. Jordan LaMarsh miał mnie w garści i wyglądało, że nic na to nie poradzę.

— Jeśli pozwoli pani, zatrzymamy się na moment przy Esplanade w drodze do domu?

— Ależ oczywiście.

Podał adres stangretowi i znów spojrzął na mnie: Właśnie jechałem to doręczyć — wskazał ręką na długi rulon papieru. — Projektuję dom dla rodziny mieszkającej przy Esplanade.

— Proszę mi opowiedzieć o pańskich projektach — poprosiłam z autentycznej ciekawości.

— Chciałaby pani obejrzeć plan? — spytał lekko zaskoczony.

— I to jak jeszcze!

Rozwinął rulon i rozprostował go na kolanach. Ujrzałam dopracowany w każdym szczególe rysunek i moje zainteresowanie wzrosło w dwójnasób. Widziałam, jak bardzo dumny jest ze swej pracy, gdy zaczął dokładnie opisywać plan domu, rozmiary i kształt każdego z pokoiów.

— Wykonał pan kawał wspaniałej roboty — powiedziałam pełna podziwu.

Przez chwilę patrzył na mnie, a potem spojrzął raz jeszcze na plan i zaczął go zwijać.

— Doceniam pani zainteresowanie — powiedział cichym głosem.

— Większość kobiet nie widzi nic ciekawego w mojej pracy.

— Myślę, że to bardzo interesujące. Gdzie stanie ten dom?

— W Manderley. To będzie letnia rezydencja. Stań przy najbliższej bramie, Charles! — zawołał. — Podam to tylko przez drzwi — rzucił wysiadając.

Powóz zatrzymał się, a Jordan pośpieszył ku dwupiętrowej kamienicy z żelaznymi balkonami. Powiodłam za nim wzrokiem, nie mogąc pojąć, jaka kobieta przy zdrowych zmysłach mogła go rzucić.

Angelika. Była niczym cień czający się za moimi plecami; stale gdzieś blisko. Ale co się z nią dzieje? Cokolwiek by się działo, przecież to jego żona. Przypomniały mi się babcine ostrzeżenia przed łamaniem szóstego przykazania, gdy posępnie wpatrywałam się w zielony bananowiec rosnący w kącie dziedzińca.

„Jest mym pracodawcą" — powiedziałam sobie. „A ja jego pracownikiem — jak sam przed chwilą zauważył. Ani na moment nie wolno ci zapomnieć o jednym i drugim!"

Rozległy się kroki na chodniku i wskoczył do powozu.

— Do domu, Charles! — rzucił stangretowi. — Tych ludzi trudno zadowolić, ale mam nadzieję, że spodoba im się mój projekt — rzucił na mnie okiem.

— Też tak sędzę.

Koła powozu dudniły po nierównym" bruku, a my siedzieliśmy w milczeniu, które zmuszona byłam czymś wypełnić:

— Architektura to dziedzina sztuki, nie sądzi pan?

— Jeśli w określony sposób spojrzeć, to jest nią — odparł po długiej zadumie. — I jeśli w określony sposób spojrzeć, to jestem sfrustrowanym artystą.

Przypomniałam sobie o leżącej na mych kolanach torbie z zakupami.

— Czy mógłby mi pan polecić jakiegoś nauczyciela rysunku tu w Nowym Orleanie, panie LaMarsh? Wprawdzie maluję pejzaże, ale nikt dotąd nie udzielał mi formalnych wskazówek.

— Pejzaże? — Zrobiło to na nim wrażenie. — Znam świetnego malarza, który jest też pedagogiem. Mieszka przy St.Charles. Z przyjemnością zarekomenduję mu panią.

— A czy jest bardzo drogi? — zapytałam przezornie. Oczywiście nie było to fortunne pytanie. Wykazał już dostateczną szczodrość co do mieszkania i wynagrodzenia. Pewnie pomyślał, że znów się przymawiam. Gdy rozważał pytanie, czułam, że moja twarz przybiera kolor buraka.

— Nie wiem, co rozumie pani przez słowo „drogi". Prawdę mówiąc, nie znam nawet jego stawek. Ale spytam go i poproszę...

— Nie! Błagam, nie! — przerwałam mu, nie zdolna podnieść oczu. — Dość już pan miał ze mną kłopotów. — Byłam zupełnie zbita z tropu.

— Nie miałem żadnych kłopotów. Wykonuje pani bardzo użyteczną pracę w mojej aptece i płaci pani za pokój, z którego i tak nie miałbym żadnej korzyści. A do tego — westchnął i odwrócił twarz w stronę okna — przyjęła pani zniewagi ze strony mojej matki i siostry spokojnie i z godnością. Angelika nigdy... — Uwięzło mu to w gardle i urwał w pół słowa.

Co chciał powiedzieć? Że Angelika nigdy nie przyjmowała zniewag spokojnie?

Byliśmy już na Royale i ujrzałam dach Fountain Court. Wiele mnie kosztowało, by nie spytać go o nieobecną żonę, ale przynajmniej raz jeden udało mi się poskromić ciekawość.

— Sądzę, że wie pani o odejściu mojej żony — powiedział cicho. Mięśnie twarzy miał napięte i czułam, że z najwyższym trudem panuje nad emocjami.

— Elza coś mi wspomniała — odparłam delikatnie.

Znów spojrział w okno i nie odezwał się już słowem.

Poczułam przyływ współczucia dla tego człowieka, który wyświadczył mi tyle dobrego. Chciałam dotknąć jego ramienia. Chciałam powiedzieć mu coś, ale brakło mi konceptu i przez długą chwilę szukałam właściwych słów.

— Może wkrótce wróci? — wybąkałam wreszcie.

Długo wpatrywał się nieobecnym wzrokiem w zachodzące słońce, a potem powoli pokręcił głową:

— Nie, ona nigdy nie wróci.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Co miał na myśli, mówiąc, że ona nigdy nie wróci?

Rozważałam to w milczeniu, gdy powóz już się zatrzymał, a Jordan wysiadł. Podał mi ramię. Patrzyłam w jego twarz i nie trafiłam w najwyższy stopień. Schwycił mnie w porę i trzymając w drugiej ręce mój pakunek, bezpiecznie sprowadził mnie na chodnik.

Mimo woli spojrzałam na pusty podjazd, a potem na fronton domu. Spostrzegłam z wielką ulgą, że zielone okiennice są domknięte.

W Nowym Orleanie zawsze zamykają okiennice w upalne popołudnia i teraz błogosławiłam wiszący w powietrzu skwar, wiedząc, jaka rozpętałaby się burza, gdyby Marie lub pani LaMarsh zauważyły nas w tak dwuznacznej pozycji przy stopniach powozu.

— Czy tak właśnie go pani opisała? — spytał. Popatrzyłam nań z trochę tępa miną. Powtórzył raz jeszcze mój opis domokrażcy stangretowi, który siedział na koźle smętnie i milcząco. Zastanawiałam się, czy w ogóle to doń dotarło.

— Pan każe? — spytał niczym wyuczona papuga, gdy Jordan skończył.

— Gdy go odnajdziesz — powiedział z naciskiem — powiesz mu, że złożę doniesienie na policję, jeśli raz jeszcze wejdzie w drogę pannie... — Urwał i rzucił wzrokiem w moją stronę.

— Nazwiska nie podawaj. Powiedz tylko, że chodzi o bliską mi osobę. — Zawahał się i potarł dłonią podbródek. — Wspomniała pani, że był tu na dziedzińcu!

— Tak. Stał tam przy drzwiach piwnicy na wina.

— Porozmawiam z Clarence'em.

W tym momencie frontowe drzwi domu uchyliły się i natychmiast zamknęły. Poczułam bicie serca. Na ganku stała Frances, wodząc zdziwionym wzrokiem po nas obojgu. Mocowałam się z zatraskiem torebki i czułam, że pewnie myśli, iż wracamy z intymnej niedzielnej przejażdżki.

— Dobry wieczór — Jordan uchylił cylindra.

— Dobry wieczór — powtórzyła. Zeszła powoli z ganku, wodząc po poręczy dłonią w rękawicze. Suknię miała z szarej satyny, a kapelusz tej samej barwy. Szorstka bawełna mej sukienki podrażniła nagle czubki mych palców i poczułam, że miła godzina spędzona z Jordanem ulatnia się bezpowrotnie. Znów byłam niezgrabną wiejską dziewczuchą.

— Idę na nieszpory — powiedziała z uśmiechem. — Obawiam się, że lata spędzone na pensji u zakonnic pozostawiają trwałe przyzwyczajenia.

— Bardzo to chwalebne — powiedział Jordan i też się uśmiechnął.

Już miałam ich przeprosić i zniknąć dyskretnie w mej wozowni, czując, że nic tu po mnie przy tej wymianie uprzejmości. Otworzyłam usta, gdy Jordan zwrócił ku mnie twarz:

— Panna Morgan miała dziś paskudny dzień. Jakiś domokrażca znieważył ją, a potem szedł za nią krok w krok. Czy mogłaby pani opisać go panie Jackson? Może i ona kiedyś go widziała.

Zmarszczyła brwi i przyjrzała mi się podejrzliwie.

— Widziałam go tu na ulicy, zaraz po przybyciu — wyjaśniłam. — A potem na dziedzińcu. — Słuchała mego opisu uważnie, a wieczorny wietrzyk muskał pióro przy jej kapeluszu. Pokręciła przecząco głową:

— Nigdy nie widziałam kogoś, kto odpowiadałby temu opisowi. Zanim spojrzała znów na Jordana, dostrzegłam w jej szarych oczach wątpliwość przechodzącą w ironię.

Czy sądziła, że zmyśliłam całą tę historię tylko po to, by przyciągnąć jego uwagę? Wspólna jazda powozem pod pretekstem zapewnienia mi bezpieczeństwa?

— On był tutaj! — powiedziałam powoli i z naciskiem.

— A więc powinna pani mieć się na baczności — odparła z namysłem, patrząc to na mnie, to na Jordana. — Może powinniśmy postawić na czatach Clarence'ea. — Było coś nieprzyjemnego w jej głosie i nie znając jej dobrze, zastanawiałam się, czy to sarkazm, czy szczerłość. Nie byłam pewna na sto procent.

— Sądzę, że właśnie do niego tu przyszedł — wtrąciłam się. Wiedziałam, co mówię i nikt nie miał prawa zbywać tego ironią ani insynuować mi przywidzeń.

— Tak, będę musiał porozmawiać z Clarence'em — powiedział Jordan i spojrzał na powóz i stangreta, który gapił się w przestrzeń, bębniąc po lejcach parą białych rękawiczek.

— A może Charles podwiózłby panią do kościoła? — spytał Frances.

— Jeśli nie będzie to kłopot. — Uśmiech wdzięczności wystąpił jej na usta.

„Raczej przystojna niż powabna” — pomyślałam, przyjrzawszy się jej raz jeszcze ukradkiem. Wyraziste rysy, wysoka smukła sylwetka — wszystko to emanowało jakimś spokojem i bezpieczeństwem. Stłumiłam westchnienie, zastanawiając się, czy nie ma między nimi jakiegoś małego romansu utrzymanego w ukryciu, dopóki nie rozwiedzie się z Angeliką. Ale czy on w ogóle chce się z nią rozwieść?

Przecież go opuściła. Powiedział, że nigdy nie wróci. Stanowczość tych słów była dla mnie zagadką. Dlaczego miałyby nigdy nie wrócić? Oczywiście Paryż jest bardzo daleko, jeśli udała się w rodzinne strony. A może powiedziała mu, że nigdy nie wróci? No to dlaczego jego matka i siostra oczekują jej powrotu? Moja ciekawość upominała się o coś więcej.

Pomógł Frances wsiąść do powozu, podczas gdy ja, stojąc na uboczu, podziwiałam krój jej sukni i koronkowy rąbek halki, dyskretnie wyłaniający się spod satyny. Ale trzewiki miała proste! Zauważyłam cienkie, starte podeszwy. Analizowałam to wszystko, gdy Jordan, zamknawszy drzwiczki powozu, rozmawiał o czymś cicho z Clarence'em.

Ruszyłam w stronę furtki, powtarzając sobie, że nie interesują mnie Jordan LaMarsh i Frances Jackson.

— Pozwoli pani... — Doścignął mnie i poczułam jego oddech na karku. Gładki materiał rękawa jego surduta otarł się o moje ramię, gdy sięgał do klamki.

Poczułam aromat wody kolońskiej i od samej jego bliskości zakręciło mi się w głowie, więc szybko weszłam na dziedziniec. Minęliśmy rosnące przy murze wonne forsycje i nagle zamarłam. Ku memu absolutnemu przerażeniu, Marie i jej matka siedziały na ławce przy fontannie. Na nasz widok każda z nich przybrała odmienny wyraz twarzy.

Czarne oczy Marie rozszerzyły się, jakby ujrzała ducha, a potem zwęziły z odrazą. Starsza pani otworzyła szeroko usta, a jej oblicze pokryła śmiertelna błądź.

— Marie, Maman — zaczął grzecznie Jordan. — Pannę Morgan ścigał dziś jakiś domokrażca, którego już wcześniej widziała na naszym dziedzińcu. Czy mogłaby pani raz jeszcze go opisać?

Spojrzał na mnie i poczułam, że żołądek podchodzi mi do gardła. Przełknęłam ślinę i znów zaczęłam recytować opis, co coraz bardziej kojarzyło mi się z tresowaną papugą. Starsza pani przerwała mi po kilku słowach:

— Proszę mówić głośniej albo podejść bliżej. Nie rozumiem ani słowa!

Z najwyższym trudem zrobiłam krok w kierunku ławki. Czułam, że w żaden sposób nie przekonam ich, iż moje przerażenie było prawdziwe. Frances też mi nie wierzyła, ale ta przynajmniej zdobyła się na przyjazny ton. Powtórzyłam całą historię powoli, pamiętając, że angielski nie jest ojczystym językiem pani LaMarsh.

— Na dziedzińcu! — pisnęła Marie. — Widziała go pani tu na dziedzińcu?

— Dokładnie tam — wskazałam wzrokiem w kierunku Jordana, zmierzającego właśnie do oficyn służby. — Słyszałam też czyjeś kroki na zewnętrznych schodach...

— To Angelika! — zakrakała pani LaMarsh. — Wróciła i zastała tu ciebie, ty... — Uniosła dłoń i histerycznie zasłoniła sobie usta. Brylanty i rubiny znów zalśniły na palcach, spoza których mamrotała coś po francusku. Marie skuliła się na ławce, przyciskając drobną dłoń do matczynego ramienia.

— Spokojnie, Maman! Ten ktoś przyszedł w nocy. Przecież wie Maman, jaki tchórz był z Angeliki. Nigdy nie wdrapałaby się na te schody w środku nocy.

— A skąd pani wie, że to było w środku nocy? — spytałam patrząc jej prosto w oczy.

— Och! — jęknęła pani LaMarsh, przyciskając dłoń do czoła skulonej teraz przy jej kolanach córki. Uniosła się i mamrocząc coś dalej po francusku, ruszyła przez dziedziniec sztywnym krokiem, podczas gdy afektowane westchnienie Marie wypełniło wieczorną ciszę.

Spojrzałam w stronę pomieszczeń służby, gdzie Jordan wypytywał o coś jedną z Murzynek. Murzynka kręciła głową, a jej mina wyrażała całkowitą niewiedzę.

— No i zadowolona pani? — rzuciła mi w twarz Marie, w której oczach nienawiść walczyła o lepsze z pogardą. Zerwała się z ławki i pomknęła za matką, zanim zdążyłam powtórzyć pytanie. A skąd pani wie, że to było w środku nocy? Patrzyłam za nią i moje podejrzenia coraz bardziej się konkretyzowały. Angelika może by się bała wejść na te koślawe schody, ale znałam już złośliwość Marie i nie wątpiłam, że ta zdobyłaby się niemal na wszystko, byle tylko wyprowadzić mnie z równowagi. Ale jak miałam powiedzieć to jej bratu, który właśnie szedł ku mnie przez dziedziniec?

— Clarence ma dziś wychodne — powiedział, stojąc przy mnie. — Pozostali przez ostatnie dni nie widzieli tu nikogo obcego.

Zdjął cylinder i rzucił nim w stronę pustej ławki, trafiając z zadziwiającą precyzją.

Przyjrzałam mu się. Stał, odgarniając włosy z czoła, i zadumany wpatrywał się w fontannę.

— A może Elza...? — zasugerował.

— Nie. Ją też pytałam. — Własne słowa zabrzmiały w mych uszach jakoś mało przekonująco. Czyżbym i ja zaczynała wątpić w moją opowieść?

W istocie, słowa Marie trochę mnie rozkojarzyły. Obrzuciłam wzrokiem spokojny dziedziniec, zastanawiając się, czy powinnam mu powtórzyć jej wiele mówiące zdanie. Długo rozważałam, czy po prostu nie wyrzucić z siebie jednym tchem wszystkiego: nocnych hałasów, śladów na podłodze wozowni, tego, że Marie знаła porę nocnej wizyty. Jednak zdecydowałam się milczeć. Dość mu się naprzykrzyłam. Miał wystarczająco dużo własnych problemów.

— Proszę już o tym nie myśleć — powiedziałam znużonym głosem. — Raz jeszcze dziękuję za wszystko.

Ruszyłam w kierunku otwartych drzwi wozowni.

— Panno Morgan. — Jego kroki znów zabrzmiały na kamiennych płytach. — Zdaje się, że oboje jesteśmy trochę na bakier z resztą świata. — Kąciki jego ust powoli uniosły się w górę, odsłaniając białe zęby. Przypomniałam sobie, jak bardzo był oficjalny podczas naszego pierwszego spotkania, i uśmiechnęłam się uszczęśliwiona, że coś jednak potrafi go rozweselić.

Gdy przez krótką chwilę staliśmy tak obok siebie, uśmiechając się, wdychając zapach róż w przedwieczornym powietrzu, nie opuszczała mnie pewna słodkogorzka myśl: gdyby tylko okoliczności były inne!

Żaden mężczyzna nie wywarł na mnie dotąd takiego wrażenia. Wystarczyło, że spojrzałam nań, a już serce biło mi mocniej, palce zaś dłoni i stóp zamieniały się w lód. Byłam na tyle realistką, iż wiedziałam, że nie mam najmniejszych szans, a mimo to dobrze mi było w jego towarzystwie. Pewnego dnia poślubię mężczyznę z mojej sfery i będę opowiadać gromadce dzieci o bogatym kreolskim dżentelmenie, który...

— Mam nadzieję, że nie uzna pani tego za nachalność — jego głos przerwał tok mych myśli — ale miło byłoby zjeść kiedyś wspólnie kolację we Dworze Dwóch Sióstr.

Żadne słowa nie byłyby w stanie bardziej mnie zaskoczyć. Kolacja we Dworze Dwóch Sióstr! Powtórzyłam te słowa w myśli, patrząc w jego przyciągające jak magnes czarne oczy i zastanawiając się, czy dobrze zrozumiałam.

— Słucham?

Westchnął i popatrzył w przestrzeń nad moją głową.

— Życie nie było dla mnie zbyt łaskawe — powiedział cicho. Zaświergotał smutnie ptak, a plusk fontanny i ciężki zapach róż wypełniały powietrze.

— Poznała już pani moją matkę i siostrę — kontynuował, raz jeszcze westchnąwszy. — Widzi pani, jak trudno przebywać w ich towarzystwie, nie mówiąc już o czerpaniu z tego radości. Nawet kolacje jadam osobno,

preferując zacisze restauracji, gdzie mogę zaszyć się w rogu sali, sączyć wino i odpoczywać po ciężkim dniu. To moja jedyna rozrywka... oczywiście oprócz pracy.

Słowa i ton głosu potwierdzały jego samotność i stałam rozdarta między chęcią wspólnej kolacji a przekonaniem, że nie powinnam się zgodzić. Był żonaty. Nikt z nas obojga nie powinien zapomnieć o tym ani na moment.

— Obawiam się, że okoliczności nie pozwalają nam na wspólną kolację, panie LaMarsh — powiedziałam z bólem serca.

— Proszę mówić do mnie Jordan.

To imię nabrzmiało mi w krtani, wypełniło usta, zawisło na wargach, ale zabroniłam sobie je wymówić. Zamiast tego zmusiłam się do trzeźwego spojrzenia na życie i przestrzegania nakazów sumienia i konwenansu. Oderwałam oczy od jego twarzy i skierowałam je ku fontannie.

— Dziękuję za podwiezienie mnie do domu — powiedziałam z braku lepszego pomysłu.

— Zawsze jest pani tu mile widziana. A jeśli czegoś potrzeba... — dotknął delikatnie mego ramienia i poczułam, że drzę niczym pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Patrzyłam, jak odchodzi w stronę domu, zapomniawszy zabrać kapelusz z pustej teraz ławki. Samotna postać idąca kamienną ścieżką przez różany ogród do domu i do tych dwóch okropnych kobiet.

Zatrzymałam się w drzwiach wozowni. Przez dobrą minutę wpatrywałam się w pokrytą kurzem podłogę i w ściany. Bez powozu parter wydawał się znacznie większy i jeszcze bardziej zapuszczony. A może była to projekcja mojej własnej samotności i samotności tego, który przed chwilą zapraszał mnie na kolację?

Ciężkim krokiem wspierałam się na schody i położywszy na podłodze paczkę z zakupami, szukałam w torebce klucza do drzwi. Dzień, który zaczął się tak obiecująco, kończył się żałością. Po raz kolejny pogroźki i insynuacje pogrążyły mnie w otchłani smutku. Fakt, że musiałam zrezygnować z zaproszenia, cisnął mnie na samo dno tej otchłani.

Wilgotne powietrze w pokoiku spowiło mnie niczym sieć. Cisnęłam torebkę i pakunek na łóżko i podeszłam do okna. Dziedziniec był teraz pusty, co stanowiło idealną okazję do wypróbowania moich farb i pędzli.

Rozpakowując zakupy, pomyślałam znów o autorze widoku z Riverville. Przypomniała mi się jego rozmowa z natarczywym, ścigającym mnie

domokrażcą. Najwidoczniej znali się obaj, czemu więc nie poprosiłam Jordana o pomoc w odnalezieniu malarza?

Zaraz potem moje myśli poszybowały w innym kierunku. Przecież ten człowiek namalował żonę Jordana, tyle że nie znał jej imienia. Pamiętał tylko, że była urodziwą Francuzką i że nie zapłaciła mu za portret.

„Ona nigdy nie wróci”. Czyż nie tak powiedział? Przeniknął mnie jakiś niemiły chłód, choć w pokoju było gorąco.

Znów skoncentrowałam się na zakupach i nerwowo przejrzałam zawartość paczki. Jedynym lekarstwem na skołatane nerwy było usiąść przy oknie i zająć się malowaniem.

Przysunęłam krzesło i zabrałam się do dzieła. Mój wzrok przyciągnęła pusta ławka, na której nie tak dawno temu siedziały obie panie LaMarsh. Potem popatrzyłam na bryłę domu i na górne okna. Kątem oka spojrzałam na oficyny służby i przypomniał mi się Clarence. Musiał znać tego domokrażcę.

Zgromadziłam farby na parapecie okna i próbowałam odsunąć od siebie złe myśli, studiując czerwone niczym krew róże rosnące na regularnych, poprzedzielanych szarymi zwirowymi ścieżkami grządkach. Mój wzrok powędrował na fontannę, gdzie chylące się ku zachodowi słońce zamieniało spadające krople w mieniające się koraliki.

Powoli praca wciągnęła mnie, pograżyłam się w kolorach, kształtach i fakturach i jak zwykle godziny minęły nie wiadomo kiedy. Raz tylko zrobiłam sobie przerwę, by coś przekąsić i rozprostować plecy, a potem znów pracowałam ostro, dopóki ciemność nie zaległa na dziedzińcu, zmuszając mnie do odłożenia farb i umycia pędzla. Z zadowoleniem spojrzałam na płótno. Był to dopiero początek, ale wyglądał zachęcająco. Zanim rozebrałam się i umyłam, nieznośne wspomnienie domokrażcy kazało mi zdjąć narzutę z łóżka i zawiesić ją na gwoździach w górnej framudze okna. Światło lampy wypełniło pokój i teraz czułam się błogo i bezpiecznie.

Wśliznęłam się pod kołdrę i próbowałam myśleć o rzeczach praktycznych — choćby o czekającej mnie następnego dnia pracy w aptece — ale łapałam się na tym, że moje myśli co chwilę wracają do Jordana. Powóz już wrócił, a drzwi wozowni zamknięto na klucz. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć kołyszącego mnie do snu plusku fontanny.

Najpierw powoli i ukradkiem, potem bardziej zdecydowanie coś zaczęło zakłócać mój głęboki sen. Obróciłam się na drugi bok na pół świadoma, co się dzieje. Co to może być?

Dźwięk — dziwny i tajemniczy, trochę jak miauczenie kota, gdzieś na parterze lub na schodach. Zabłąkany kot? Leżałam i nadśluchiwałam. Tylko bicie serca i plusk fontanny. A potem znów ten dźwięk, ale teraz już wiedziałam, że to nie kot. Zawodzenie, ludzkie zawodzenie. Nie! Żadna ludzka istota nie potrafiłaby tak zawodzić.

Odrzuciłam kołdrę i po omacku szukałam lampy. Zasłona w oknie nie przepuszczała ani odrobiny księżycowego blasku i pokój pogrążony był w czarnej jak smoła ciemności.

Znów zawodzenie!

Upiorne skamlenie tuż za drzwiami, od którego ciarki przeszły mi po plecach. Co się tam działo? Czyżby ktoś ranny przyczołgał się po pomoc do mych drzwi?

— Kto tam? — zawołałam. — O co chodzi?

Wstrzymałam oddech i czekałam na odpowiedź. Nie było żadnej.

Coś głośno stuknęło o ziemię. Zawodzenie przeszło w szloch. Moje nerwy lada moment mogły odmówić posłuszeństwa. Szloch nie ustawał i nagle zaczęło do mnie dochodzić, że to nie płacz kobiety ani mężczyzny, lecz kwilenie...

Na samą myśl o tym zamarłam. Zaczęłam drzeć jak w febrze.

To był płacz istoty płci żeńskiej, ale nie płacz dorosłej kobiety, lecz dziecka. Płacz małej dziewczynki!

Nie, to niemożliwe — powtarzałam sobie, odgarniając włosy z czoła, by ochłodzić rozpalony i rozespany jeszcze mózg. — Weź się w garść. Ktoś chce cię nastraszyć.

Błyskawicznie sięgnęłam ku lampie. Szloch przeszedł w piskliwy spazm, a moja ręka uderzyła w ciemności w lampę zbyt mocno. Rozległ się trzask i brzęk szkła na podłodze.

Szloch ustał.

Zawahałam się, w obawie, że trafię bosą stopą na potłuczone szkło. Ale nie chciałam, by figlarzowi — kimkolwiek był — uszło to płazem. Przesunęłam się po skłębionej pościeli na sam koniec łóżka, a potem dałam susa w ciemność. Próbowałam dojrzeć kształt szafy przy drzwiach. Powoli moje oczy przyzwyczajały się do gęstego mroku. Z wolna ujrzałam niejasny zarys... czegoś. Na szczęście to była szafa!

Szłam przed siebie z rękoma wyciągniętymi niczym lunatyk w kierunku szafy. Wczoraj zauważyłam na jej dnie świecę i zapalki i teraz chciałam zrobić z nich użytek.

Za drzwiami zaskrzypiały stopnie. Ktoś próbował uciec chyłkiem.

Rzuciłam się do przodu, potknęłam o trzewik i wylądowałam na podłodze. Poczułam chłód desek na policzku, tętnienie w skroniach i dzwony w głowie. Za drzwiami panowała martwa cisza.

Ale przecież schody skrzypnęły tylko raz. A więc ten ktoś musiał wciąż tam być. Próbowałam zebrać myśli pomimo bicia serca i wciąż nie w pełni rozbudzonego mózgu. Szafa. Świeca i zapalki — przypomniałam sobie.

Podczołgałam się w stronę ciemnego konturu. Oparłam się o jego krawędź i podniosłam z kolan.

Przytknęłam głowę do drzwi i nadśluchiwałam. Cisza. Moje paznokcie drapały po wiśniowych deskach szafy, aż wreszcie wymacałam klamkę i nacisnęłam ją. Drzwi uchyliły się, poczułam zapach perfum, a na policzku dotyk bawełnianej sukienki. Przyklęłam i szukałam w ciemności świecy. Moja ręka wyczuła coś miękkiego, a potem jakiś kanciasty przedmiot. Cofnęłam dłoń. Co to mogło być? Poczułam ciepłą wilgoć na skórze.

Rozpaczliwie szukałam dalej, aż wymacałam gładki lichtarz i drewniane pudełko. Wyciągnęłam je i siedząc na podłodze próbowałam skoordynować ruchy.

Wreszcie pudełko otworzyło się i usłyszałam, jak zapalki wysypują się na podłogę. Jedną z nich udało mi się pochwycić. Trzymając ją niczym najcenniejszy skarb, potarłam główką o deskę.

Poczułam zapach siarki, a mały płomyczek zamigotał i rozkwitł w duży płomień.

W pomarańczowym świetle ujrzałam karminową strużkę na mym nadgarstku. Drobiazg. Przecież nie wykrwawię się na śmierć. Najważniejszą rzeczą był czający się za drzwiami łajdak, zakładający, że wiejska dziewczyna uwierzy w ducha murzyńskiego dziecka.

Udowodnię mu, jak bardzo się myli. Przytknęłam zapalkę do knota świecy. W jednej chwili zajął się ogniem i dał mi odrobinę światła. Ignorując krew, ruszyłam ku drzwiom z wysoko uniesionym lichtarzem. Mój cień majaczył złowieszczo na ścianie, gdy powoli przekreśliłam klucz w zamku.

W mych wyczulonych nocną ciszą uszach zgrzyt klucza zabrzmiał niczym uderzenie gromu. Nabrałam powietrza, a tym, co robiłam, wciąż kierowała złość. Inaczej nie byłabym aż tak lekkomyślna.

Szarpnęłam drzwi ku sobie i uniósłszy wysoko świecę, postąpiłam krok na podest u szczytu schodów.

— Kto tam? — zawołałam.

Mój głos odbił się echem w czarnej czeluści wozowni. Świeca migotała niczym zapałka w mrokach wszechświata. Żadnej odpowiedzi; nawet najcichszy dźwięk nie dobiegł mnie z dołu. Wpatrywałam się w ciemność, dzierżąc świecę wysoko nad głową. Gdy oczy oswoiły się z mrokiem, ujrzałam powóz przypominający garbatego świerszcza.

— Kto tam? — zawołałam raz jeszcze, starając się, by brzmiało to jak pogróżka.

Cisza i znów żadnej odpowiedzi. Było to absurdalne. Wiedziałam, że ktoś czai się tam w dole. Drzwi wozowni zawsze wydawały jękliwy dźwięk przy otwieraniu i zamykaniu. Gdyby ktoś zdążył wyjść tamtędy, musiałabym usłyszeć.

Pomyślałam bez entuzjazmu, że pora zejść na dół. Zrobiłam krok, usłyszałam szcęk łańcuchów... i wtedy zaczęłam spadać...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ból rozsadał mi czaszkę. Z trudem otworzyłam oczy. Przyćmiony krąg światła.

Próbowałam podnieść się, ale nogi miałam jak skute lub zanurzone w gęstej mazi. Pochyliłam obolałą głowę. W sączącej się przez uchylone drzwi wozowni księżycowej poświacie spostrzegłam ciemną plamę na gorsie nocnej koszuli. Czarna strużka spływała po bezwładnym prawym ramieniu. To była krew.

I swąd... swąd tłącej się tkaniny!

Wsparłam się na łokciach, próbując zebrać myśli. Krew? Aha... przecież upadłam na szkło. Ale skąd ten zapach? Koszula i... świeca!

— Ratunku! Pali się! — krzyknęłam i zabrzmiało to niczym przez watę. Sprawną ręką zbierałam kurz z posadzki, próbując stłumić nim ogarniające mnie płomienie.

A potem czyjeś kroki. Szybkie i odmierzone.

— Margaret!

Wysoka sylwetka zamajaczyła w drzwiach wozowni wyraźnie, choć księżyc stał w nowiu. Ktoś zdeptał obcasem płomień, a potem klęcząc, posypał koszulę zebrany z podłogi kurzem.

Byłam jak w półśnie. Ogień chyba zgasł i tylko mdły swąd dymu drażnił moje nozdrza.

— Co tu się stało? — spytał. W ciemności mignęła mi biała lniana chustka, którą owijał moje krwawiące ramię.

Tępy ból głowy promieniował na całe ciało. Wszystko wirowało i czułam, że unoszę się wyżej i wyżej. Ukołysał mnie jakiś dziwny rytm i czułam, że coś ciepłego ociera się o mój policzek. Gdzieś w oddali słychać było kroki. Jego kroki. Tracąc przytomność, śniłam, że rycerz w białej zbroi unosi mnie w czarne chmury.

Gdy się obudziłam, nie wiedziałam, gdzie jestem i co się właściwie stało. Czułam tylko, że zanurzam się w coś miękkiego, przynoszącego ulgę moim zbolałym plecóm.

Powieki miałam jak z kamienia, a naokoło panowała ciemność. Z trudem spróbowałam dźwignąć ten kamień i promyk światła padł na me źrenice.

— Dochodzi do siebie — powiedział jakiś kobiecy głos.

— Margaret? — Ten głos był męski. — Leż spokojnie, właśnie posłałem po doktora...

Obróciłam głowę, licząc, że to będzie Jordan. Ale to była Frances. Frances Jackson, której szare oczy patrzyły na mnie uważnie spod pukli rozwichrzonych, platynowych włosów.

— Bardzo się potłukła? — To już na pewno był głos Jordana, daleki i przytłumiony.

— Chyba nic groźnego.

Znów zapadłam w półsen. Potem czyjaś ręka dotknęła mego ramienia.

— Muszę panią zbadać, panno Morgan. — Wciąż to mętne uczucie unoszenia się w powietrzu między niebem a ziemią, a do tego kowalski młot bijący pod czaszką.

Z wysiłkiem otworzyłam oczy i ujrzałam obcą twarz: płowy wąsik i lekko oszronione bokobrody. Oczy pełne troski.

— Armstrong. Doktor Armstrong — przedstawił się, patrząc na mnie uważnie. — Muszę panią trochę ostukać. Jak tam głowa?

Moje usta były równie bezwładne jak reszta ciała.

— Nie najlepiej — zdołałam wreszcie wykrztusić.

Obmacał mi czaszkę. Gdy delikatnie uniósł mą głowę z poduszki, zobaczyłam Elzę. Stała dyskretnie za jego plecami, w szlafroku i w nocnym czepku, a jej otwarte usta stanowiły idealny owal.

— Zmieniłam jej nocną koszulę — powiedziała patrząc kątem oka na doktora i niespokojnie przebierając palcami. — Miała paskudnie poparzone nogi.

Ręce doktora powędrowały od mej czaszki niżej i zarumieniłam się aż po czubki włosów. Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z mężczyznami tej profesji, więc leżałam sztywno, wpatrując się w sufit, aż raczył wreszcie zakończyć obdukcję na mych stopach.

Coś chłodnego dotknęło mej skóry i odetchnęłam z ulgą. Dopiero teraz poczułam, jak pali mnie każdy jej skrawek.

— To taka maść — wyjaśnił doktor Armstrong. — Nieładnie wyglądają te pani nogi. Byle tylko nie przyplątała się infekcja. Co się właściwie pani stało?

Co mi się stało? Próbowałam zebrać myśli, ale w mózgu miałam stufuntowy kamień, a przed oczyma ścianę.

— Sama nie wiem — odparłam słabym głosem. Jak przez matową szybę zobaczyłam otwierające się usta Elzy.

— Zwykle objawy — zapewnił doktor. — Uderzenie w głowę może wywołać przejściowy zanik pamięci. Miejmy nadzieję, że tylko przejściowy. Maść zostawiam tu na stoliku. I przez kilka dni ani kroku z łóżka. Potem, jeśli

będzie się pani czuć na siłach, można na krótko wstawać. Jutro znów wpadnę — dodał, zamykając z trzaskiem swą czarną, skórzaną walizeczkę.

— Będę jej doglądała — przyrzekła solennie Elza.

— Proszę to wypić, panno Morgan — powiedział doktor, przysuwając mi do ust łyżeczkę z lekarstwem. — Co cztery godziny jedna łyżka stołowa pół na pół z wodą. Zostawiam panią pod opieką panny Jackson.

Znów uniósł mą głowę, bym mogła przełknąć lekarstwo gorzkie niczym chinina, a potem pozwolił mi popić wodą. Głowa opadła mi na poduszkę i znów zasnęłam.

Gdy otworzyłam oczy, wszystko wydawało się wyraźniejsze. Ostrożnie, by nie powrócił ból, wsparłam się na łokciach, ale głowa tym razem jakoś mężnie to zniosła.

Deszcz bębnił w dach, kołysząc mnie do snu, jednak nie miałam już na sen ochoty. Teraz miałam ochotę dowiedzieć się, co to było!

Zlustrowałam pokoiik, szary jak dzień za oknem. Drzwi były zamknięte i raczej nic się nie zmieniło. A jednak... coś było nie tak. Co właściwie?

Popatrzyłam uważnie na owiniętą bandażem rękę. Tkanina skrywająca opatrunek! Uniosłam kołdrę i już wiedziałam. Miałam na sobie nocną koszulę z jedwabiu szmaragdowej barwy. Przecież to nie moja, a jeśli nie moja, to czyja?

Uniosłam nogę i koszula przesunęła się w górę. Zgniłozielona maść pokrywała mą kończynę od kostki do połowy uda. Pod warstwą maści ujrzałam oparzeliny i na ich widok usiłowałam przypomnieć sobie, co się stało.

Poparzona noga... obolała głowa... sztywne mięśnie. Gdy tak starałam się zrekonstruować kilka ostatnich godzin, poczułam znów ból pod czaszką. Był zbyt dojmujący, by ryzykować dalsze rozważania.

Wtuliłam głowę w poduszkę i pozwoliłam ukołysać się padającym na dach kroplom. Czułam się teraz bezpiecznie i to mi wystarczało.

— A rosół to by ci nie zaszkodził! — Elza stała nade mną z parującym talerzem. — Usiądź, Margaret, bo muszę poprawić ci poduszki. — Postawiła talerz na podłodze i przez chwilę mocowała się z pościelą. Czułam się słaba i rozkojarzona.

Popatrzyłam tępo na talerz, który podsunęła mi pod nos, i gdy zapach rosółu dotarł do mych nozdrzy, poczułam skurcz w żołądku.

— Wybacz, Elzo, ale naprawdę nie mogę.

— A co, masz mdłości? — spytała poklepując mnie po ramieniu. Skinęłam głową, a sufit zakołysał się nade mną.

— No to skosztuj przynajmniej gorzkiej herbaty. Miętowa! I z sasafrasem. Sasafras jest dobry na wszystko.

Zimna herbata była błogosławieństwem dla mego zaschniętego gardła. Łykając próbowałam znów zebrać myśli. Nie ma nic gorszego, gdy ci umykają, bez względu na to, jak się człowiek stara.

— Co to było, Elzo? — spytałam bezradnie. — Co się właściwie stało tej nocy?

— No, jak by to powiedzieć — potarła policzek pulchną dłonią.

— Właśnie się położyłam, a tu pan LaMarsh dobija się do drzwi. Mówi, że słyszał jakiś krzyk w wozowni, wpadł tam i znalazł cię sztywną pod schodami. Chwała Bogu, że koszula nie zapaliła się na dobre od tej świecy.

— Koszula? Od świecy? O czym ty mówisz, Elzo? Pukanie do drzwi przerwało naszą rozmowę.

— Otwarteee! — krzyknęła Elza.

W drzwiach stanęła Frances i przyjrzała nam się podejrzliwie.

— Już mnie tu nie ma, panno Frances — powiedziała Elza.

— No to w pani ręce przekazuję naszą pacjentkę.

— Jak się pani czuje? — Jej głos był rzeczowy i równie sztywny jak halka pod jej spódnicą.

— Chyba nie najgorzej.

— Doktor Armstrong prosił mnie, bym podała pani lekarstwo.

— Uniosła łyżeczkę i butelkę.

— Pani LaMarsh ma ochotę na herbatę — rzuciła w stronę Elzy.

— Nie pali się — zamruczała Elza i wolnym krokiem ruszyła ku drzwiom.

— A po ten talerz przyjdę później. Przyniosę świeży rosół — burknęła, zatraskując drzwi za sobą.

Przełknęłam ze wstrętem lekarstwo. Frances postawiła butelkę na nocnym stoliku i zamyślona podeszła do okna.

Dopijając herbatę zastanawiałam się, czemu tak źle znoszę jej obecność. Było w niej coś wyniosłego. Coś, co przypominało trochę panią LaMarsh. Przypomniałam sobie, że była tu przedwczoraj, zanim Jordan pośpieszył mi z pomocą. Drżącą dłonią odstawiłam filiżankę i z trudem powiedziałam:

— Dziękuję za wszystko, co wyświadczyła mi pani tej nocy. Zbliżyła się do łóżka, spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami:

— Nie ma o czym mówić. Pan LaMarsh prosił mnie, bym panią doglądała. Zaraz po tym, jak zgasił ogień i posłał Clarence'a po doktora.

Przysunęła krzesło do wezgłowia i przysiadła na skraju.

— Co to było tej nocy?

— Nie wiem. Wciąż huczy mi w głowie. Może dziś coś sobie przypomnę. Paskudne uczucie, panno Jackson.

— To samo mówił doktor Armstrong. — Strzepnęła kropelkę deszczu z czarnej sukni. — Uderzenie w głowę może wywołać przejściowy zanik pamięci.

Uderzenie w głowę? Przecież Elza wspominała coś o upadku ze schodów. A więc wyrznęłam się, spadając. Ale uderzenie w głowę mogło też oznaczać, że ktoś kropnął mnie, zanim spadałam. Usiłowałam zebrać myśli, wpatrując się w szare, troskliwe oczy Frances. Żałowałam, że w głowie mam taką pustkę, bo przecież ta kobieta mogłaby być mi cennym wsparciem, gdybym tylko przeniknęła jej myśli.

— Od dawna mieszka pani w Nowym Orleanie? — spytałam przyjaźnie.

— Prawie od roku. — Powiedziała to, równo akcentując sylaby. Zupełnie inaczej niż miejscowi, którzy przeciągają je w nieskończoność. .

— Wychowałam się na północy, a tu uczyłam się pielęgniarstwa. Wezwano mnie do Fountain Court kiedyś podczas karnawału — wie pani, jak to tu jest — no i zostałam. — Zacisnęła usta, jakby już powiedziała za dużo.

Wezwano ją? Kto ją wezwał? Mężczyzna? Niegrzecznie byłoby o to zapytać. Nie znałam jej na tyle, by zdobyć się na taką śmiałość. Ale ciekawość była silniejsza.

— A pani skąd pochodzi? — spytała. Oczywiście musiała wiedzieć, że nie jestem z Nowego Orleanu.

— Z Riverville. To niedaleko stąd.

— I pewnie tęskni pani za Riverville? — Odgarnęła kosmyk z czoła. Dziwną miała cerę. Kość słoniowa, ale jakby przyciemniona. Przypomniały mi się kremy w aptecznej gablocie i pomyślałam sobie, że musi być stałą klientką.

— Nie. Nie tęsknię. Właściwie nic już mnie z Riverville nie łączy. Nie mam tam żadnych bliskich.

— Riverville — powtórzyła zaciskając pełne wargi. — Słyszałam, że LaMarshowie mieli tam jakąś posiadłość.

— Pan LaMarsh też mi o tym wspominał. Przez chwilę milczała, studiując mnie uważnie.

— A tak w ogóle, był dziś w aptece i poinformował jej kierownika, że przez kilka dni nie będzie pani w pracy. Prosił mnie przy śniadaniu, bym pani o tym powiedziała, żeby się pani nie niepokoila.

— Przecież dziś poniedziałek! — jęknęłam, przypomniawszy sobie wreszcie o aptece i o pozbawionym pomocnika Arturze.

— Obawiam się, że najbliższe dni spędzi pani w łóżku.

— Najbliższe dni! Przecież doktor wspomniał, że to będą dwa dni, a poza tym...

— A poza tym, doktor powiedział, że po dwóch dniach może pani wstać, co nie znaczy tkwić osiem godzin za ladą. Ma pani rozciętą rękę. Obeszło się bez szwów, ale albo opatrunek, albo zakażenie. A pani noga jest sztywna i cała w bąblach. Proszę pamiętać o tej maści. Aptekarz jakoś bez pani wytrzyma albo znajdzie sobie innego pracownika — powiedziała beztróska.

Innego pracownika! Opadłam na poduszkę i popatrzyłam na nią z nowej perspektywy. Czyżby liczyła na to, że już nie wrócę do pracy? A może na to, że spakuję manatki i wrócę do Riverville, uwalniając Nowy Orlean od mej osoby?

— To nie aptekarz, ale pan LaMarsh zatrudnił mnie — wyjaśniłam krótko i węzłowato.

Uniosła brwi, a jej szare oczy jakby pokryły się szronem:

— Zdaje się, że wywarła pani mocne wrażenie na panu LaMarsh.

W przerywanej uderzeniami kropel deszczu ciszy pokoju zabrzmiało to niczym wystrzał z fuzji i przez dobrą chwilę próbowałam znaleźć jakąś odpowiedź.

— Pan LaMarsh jest tylko i wyłącznie moim pracodawcą — cedziłam słowo po słowie. — Szukałam mieszkania i szukałam pracy. Tak się złożyło, że ten pokój stał pusty, a Artur potrzebował pomocnika. Pan LaMarsh nie wspomniał ani słowem o jakimkolwiek „wrażeniu”, jakie rzekomo na nim wywarłam.

Opuściła głowę i wpatrywała się w dłonie.

— Przepraszam — powiedziała łagodnie. — Nie chciałam robić żadnych aluzji... a już na pewno nie do Angeliki. — Urwała, studiując uważnie smukłe długie palce.

Ja też podążyłam za jej wzrokiem, ale ciekawość nie dawała mi spokoju:

— Myśli pani, że ona wróci? — nie wytrzymałam.

— Nie wiem — uniosła gwałtownie głowę i długo milczała. — Pani LaMarsh sądzi, że tak, a on, że nie.

Uniosłam się i spojrzałam jej z bliska w oczy:

— Co się z nią stało?

Odwróciła się, jakby chcąc sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje pod drzwiami.

— Może wróciła do Paryża — szepnęła.

— A może nie... — dodałam, wyczuwając w jej głosie niepewność.

— Jeszcze niedawno tu była. Tu, w tym pokoju. A następnego dnia... Pani LaMarsh miała wtedy jeden ze swoich ataków, więc nie mogłam zajmować się resztą rodziny. Często słyszałam ich kłótnie — znów spojrzała w kierunku drzwi — ale nie sądziłam, że tak to się skończy. Że odejdzie. A potem pan LaMarsh wszedł wieczorem do jadalni, usiadł przy stole i powiedział, że zostawiła wiadomość... kupiła bilet na statek i popłynęła do Francji, do Paryża. Przepytował służbę, ale nikt nie potrafił powiedzieć czegoś bliższego. Ten parowiec odpłynął w południe, więc było za późno, by ją powstrzymać. Jedno, co w tym dziwne, to to, że... — przez chwilę wahała się, patrząc w ścianę — ... że zostawiła wszystkie swoje najlepsze suknie.

Wpatrywałam się w twarz Frances, łowiąc każde jej słowo. Gdy skończyła, wsparłam głowę na poduszce, próbując znaleźć jakieś logiczne uzasadnienie decyzji Angeliki.

— Może wolą podróżować bez bagażu? — zasugerowałam.

— Któż może wiedzieć? No ale na mnie już czas. — Spojrzała na mnie, podniosła się i strzepnęła nie istniejący pyłek ze swej nieskazitelnie czystej sukni. — Pewnie pani LaMarsh czeka na lekarstwo.

— Dziękuję za opiekę — powiedziałam, gdy jej smukła sylwetka stała już na tle drzwi. Miała prawdziwie królewską postawę, w przeciwieństwie do drepczącej, cherlawej Marie i przypominającej czasami przekłuty balon pani LaMarsh; tyle że ta druga była naprawdę chora. Kiedyś na pewno mogła uchodzić w Nowym Orleanie za kreolską królową.

— Jeśli się pani źle poczuje, proszę posłać po mnie Elżę lub Clarence'a — powiedziała już zza progu.

Clarence'a! Na dźwięk tego imienia poczułam znów nieznośne klucie w sercu. Zamknęła drzwi, a ja zaczęłam myśleć o pięknej Francuzce, której portrety widziałam w schowku i w sklepie z obrazami.

Po raz pierwszy nawiedziła mnie nowa, dziwna myśl: skoro Jordan sam namalował jej świetny portret, dlaczego zamówiła drugi u nieznanego o wątpliwej reputacji? I dlaczego go nie odebrała? Czy zamierzała obstałować jeszcze trzeci w Paryżu?

Na pewno była impulsywna — wielu Francuzkom przypisuje się tę cechę. Pokłóciła się z Jordanem, uniosła się, zostawiła wiadomość, spakowała, co miała pod ręką, i pierwszym parowcem odpłynęła do Francji.

Gubiłam się w przypuszczeniach, ale byłam zbyt zmęczona, by wyciągnąć z nich jakiegokolwiek logiczne wnioski.

Minęło południe i nagle bez pukania w drzwiach mego pokoju stanęła Marie LaMarsh, a wtedy kryjące się dotąd na samym dnie mej podświadomości podejrzenia nabrały wyraźnych kształtów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Co się pani stało? — rzuciła od drzwi władczy tonem.

— Może najpierw pani wejdzie — powiedziałam głosem równie słabym, jak światło w facjatce. Miałam już serdecznie dość panny LaMarsh. Jeśli dalej grać będzie słodką idiotkę, przygadam jej tak, jak jeszcze jej różowe uszka nie słyszały.

Podreptała przez pokój, płacząc się w fałdach niezdarnie uniesionej atłasowej spódniczki.

— Spadła pani ze schodów? — Jej szpiczasty podbródek wykonał jakiś dziwny zwrot, gdy przyglądała mi się pod ostrym kątem.

Czułam, że żółć we mnie wzbiera, co nie było złe, bo równocześnie chyba mój mózg trochę się dotlenił. Przez chwilę milczałam, patrząc, jak przycupnęła na kraju krzesła, splótłszy rączki na drobnym łonie, i przygląda mi się bacznie czarnymi oczyma.

— Tak — powiedziałam powoli. — Spadłam ze schodów. Ale to nie był nieszczęśliwy wypadek — dodałam patrząc w kierunku drzwi.

Powoli wracała mi pamięć i rozejrzałam się po pokoju. Nowa lampa stała na nocnym stoliku. Przypomniał mi się brzęk tamtej, niczym wystrzał pośród czarnej jak smoła nocy. Znów spojrzałam ku drzwiom:

— Ktoś stał za nimi — powiedziałam, bardziej do siebie niż do niej.

— Gdzie ktoś stał?

— Za drzwiami. — Teraz przypomniałam sobie i uniosłam się na łokciach. Znów zatętniło mi w skroniach, ale tym razem musiałam rozwikłać zagadkę do końca. Na swój sposób obecność Marie kazała mi, bym na przekór obolałej głowie układała do końca brakujące kamyczki.

— A więc ktoś stał za drzwiami, a pani chciała sprawdzić, kto to jest? — czytała w mych myślach. — Wyszła pani, potknęła się i spadła?

— Wiem tyle, że ktoś tam był — powiedziałam cicho. Ale kto to mógł być i dlaczego tak nierozważnie wyszłam sama na spotkanie niebezpieczeństwu? Z tym już było gorzej.

— Jordan powiedział, że podpaliła sobie pani świeczką nocną koszulę. Można wiedzieć, w jakim celu?

Tego już było za wiele. Spiorunowałam ją wzrokiem i powiedziałam lodowatym głosem:

— Pani wyjdzie z tego pokoju.

Otworzyła szeroko oczy, najwyraźniej zaskoczona, że ktoś może zwracać się do niej w taki sposób,

— Może pani obrażać mnie w swoim własnym domu, ale nie tutaj. Proszę natychmiast opuścić ten pokój!

— To wcale nie pani pokój! — wyrzuciła z siebie, zerwała się z krzesła i znów zaplątała w suknię, choć tym razem spowodowała to złość, a nie niezgustwo. — Maman zamierza pani wymówić. Od kiedy się pani tu zjawiała, mamy tylko same kłopoty. — Stała nade mną i znów mierzyła mnie wzrokiem. — Bandażyk na rączce... w sam raz, by wzbudzić współczucie mego brata. Biedna, choreńka

Margaret. Spadła ze schodów i to akurat wtedy, gdy mój brat wrócił do domu. Dobrze to pani obmyśliła z tymi otwartymi drzwiami wozowni i wołaniem o pomoc. Jordan przybiega, a pani w zwiewnej koszulce. A skoro już mowa o nocnych koszulach — jej sarkazm przeszedł we wrzask — to ta należała kiedyś do Angeliki! Tyle w pani wstydu, co w pierwszej lepszej ze Storyville*.

* Storyville — dzielnica uciech i rozpusty w Nowym Orleanie, znana również jako kolebka jazzu.

Ten cios był celny. W oka mgnieniu zerwałam się z łóżka.

— Chwileczkę! — zawołałam, gdy przezornie pobiegła ku drzwiom. Zacisnęłam z bólu zęby i poderwałam rąbek nocnej koszuli. — Proszę spojrzeć na moją nogę. Czy naprawdę sądzisz, dziewczyno, że zrobiłam to sobie tylko dla zwrócenia uwagi twego brata?

Uniosłam nogę, by mogła zobaczyć z bliska poparzoną skórę. Jej oczy najpierw powędrowały w dół, a potem rozszerzyły się w przerażeniu. Dyszała ciężko, a twarz jej pobladła, gdy wodziła wzrokiem po spalonej, pokrytej maścią skórze. Nagle bez słowa otworzyła drzwi i pomknęła w dół na złamanie karku. Po chwili usłyszałam stukot jej obcasów na kamiennych płytach dziedzińca.

Padłam na łóżko i ścisnęłam kurczowo jego ramę, dopóki nie ustało wirowanie w głowie. To było gorsze niż senny koszmar. Krew kipiała we mnie od gniewu i upokorzenia. Miałam wprawdzie już całą układankę, ale wciąż brakowało mi tego najwyraźniejszego kamyczka.

A więc najpierw zawroźnienie za drzwiami. Ktoś naśladował dziewczynkę, a raczej ducha dziewczynki. Gdyby nie wychowała mnie moja babcia — trzeźwa wiejska kobiecina gardząca opowieściami o duchach — może i dałabym temu

wiarę. Ale chodziłam twardo po ziemi, więc wiedziałam, że ktoś chciał mnie nastraszyć.

Co było potem? Znalazłam świecę, otworzyłam drzwi, zrobiłam krok i...

Wspomnienia przelatywały mi przez mózg jak spłoszone konie, nagle zwolniły i coś zamajaczyło w mej podświadomości. Jeszcze raz od początku:

Zawodzenie. Budzę się. Szukam lampy. Lampa spada. Pełznę w stronę szafy. Tam jest świeca i zapalki.

Przytknęłam obandażowaną dłoń do rozpalonego czoła. Bandaż? Już wiem — rozciąłam ją sobie o coś, co było w szafie.

Zapalam świeczkę, otwieram drzwi...

Analizowałam każdy ruch i doznanie, próbując uparcie dociec, co tam było jeszcze.

Otwarte drzwi. Ciemność. Skrzywienie schodów. Podnoszę świecę i rozglądam się (znów ten pulsujący ból głowy). Drzwi wozowni... tak, były zamknięte. Zaraz! Co to plotła ta głupia Marie? „Dobrze to pani obmyśliła z tymi otwartymi drzwiami wozowni i wołaniem o pomoc”. A więc, jeśli Jordan wbiegł przez otwarte drzwi, to znaczy... to znaczy... **ŻE KTOŚ WCZEŚNIEJ BYŁ TAM W ŚRODKU!**

Ale to nie było wszystko. Wstałam i opierając się o ścianę, pokuśtykałam ku drzwiom. Przemogłam się i otworzyłam je. Przypomniało mi się, jak stoję z uniesioną świecą na podeście, robię krok i...

Sznur! Pochyliłam głowę i szukałam, czy nie dynda gdzieś jeszcze na najwyższym stopniu. Uniosłam koszulę i przyjrzałam się moim nogom. Ta prawa była cała poparzona od kostki w górę. Ale na lewej, tuż nad kostką... nie, to nie był ślad sznura. To był ślad łańcucha.

Znów przypominałam sobie skrzywienie schodów i... przecież tam był jakiś szczyk metalu.

Poczułam zawrót głowy i złapałam się poręczą. Odchyliła się pod samym dotknięciem ręki. Gdybym wsparła się o niej całym moim ciężarem, znów poleciałabym w dół. Usiadłam na stopniach, nie zważając, że koszula od niewiadomo kogo strasznie się ubrudzi. Siedziałam czekając, aż mój oddech się uspokoi i wróci do normy.

Udało się. Przynajmniej z oddechem i sercem. Ruszyłam w dół, ale tym razem mą podporą był mur, a nie poręcz. Stopień po stopniu, równo, spokojnie, patrząc uważnie na stopnie pod bosymi stopami. Zeszłam na ostatni i uważnie rozejrzałam się na boki.

Powóz stał we właściwym miejscu. Żadna z komórek nie była otwarta. Wszystkie zaryglowane, a kłódki wyglądały na nienaruszone. A jednak coś tu się zmieniło. Drzwi jednej były lekko uchylone. Z wysiłkiem pokuśtykałam ku niej, otworzyłam drzwi, ale wewnątrz były tylko wiadra pełne gwoździ i jakiegoś żelastwa.

Podłoga zawirowała od wysiłku, ale zdażyłam uczepić się powozu.

Czułam, że stoję w kałuży — przecież lało od półtora dnia — a powietrze pachnie stęchlizną, końmi i uprzężą z garbowanej skóry. Niepewnym krokiem ruszyłam ku wyjściu.

Spojrzałam na posadzkę. Nic szczególnego. Mnóstwo małych i dużych odcisków stóp, ale któż mnie nie odwiedzał od wypadku?

Przyjrzałam się kąтови pod schodami. Oswoiłam wzrok z ciemnością, przyklękałam i zaczęłam szukać oczyma. Znalazłam.

Nicznym zwinięty w kłębek grzechotnik, leżał tam zardzewiały łańcuch.

Wyciągnęłam go z odrazą, ułożyłam na widocznym miejscu, ostatkiem sił wdrapałam się na górę i wtuliłam twarz w sukienki wiszące w szafie. Jedyne, czego pragnęłam, to ubrać się, opuścić wozownię i nawet nie spojrzeć za siebie.

Nie było to takie łatwe, zważywszy pieczenie oparzonej nogi i zawroty głowy. Nie tylko zawroty, ale i rozsadzający czaszkę ból. Stopy miałam brudne od myszkowania po wozowni i jedyne, na co mnie było stać, to usiąść na łóżku i patrzeć na nie tępym wzrokiem.

Na dole ktoś otworzył i zatrzasnął drzwi. Ruszyłam ku nim zakosami. Przynajmniej zamknę moje. Miałam już dość nieproszonych gości.

Zanim zdażyłam, spostrzegłam, że po schodach idzie Jordan LaMarsh.

Zatrzymał się gwałtownie i spojrzał w górę. Przez dobrą chwilę stałam jak wryta, przypisując to wrodzonej głupocie i nagłej migrenie. A on stał i wodził wzrokiem po mnie, a może po szmaragdowej koszuli, którą kiedyś nosiła Angelika. Znów te zaciśnięte szczęki i płomień w oczach. Postał, ruszył w górę po dwa stopnie i nasze oczy znów się spotkały.

Próbowałam spojrzeć w bok, ale to było silniejsze. Stałam w drzwiach, kurczowo uczepiona klamki, a głos rozsądku podpowiadał mi, że powinnam zatrzasnąć mu je przed nosem. Ale zamarłam, niczym posąg, niczym słup soli niezdolny ruszyć się, myśleć, wymówić słowa.

I te czarne oczy. Czarne jak zimowe niebo przed śnieżną zawieją. -Wziął mnie w ramiona i poczułam na wargach jego rozpalone usta. Wstrzymałam

oddech i zapomniałam o moich poparzonych nogach, skoro on na swoich trzymał się tak mocno.

Gors jego koszuli pachniał słońcem i deszczem i dobrze mi z tym było, dopóki nie nastąpił butem na moją poparzoną stopę, a wtedy już nie mogłam powstrzymać się od krzyku.

Puścił mnie i przestraszony spojrzał w dół.

— Przepraszam... Naprawdę nie chciałem sprawić pani bólu... wybacz, Margaret.

Nie bardzo dochodziły do mnie jego słowa, ponieważ rozpaczliwie szukałam szala, by okryć nim bezwstyd mojej nocnej koszuli. Łzy na policzkach i rumieniec wstydu skojarzyły mi się z fontanną na tle pąsowej róży. Miała rację Marie: dziwka ze Storyville nie rozegrałaby tego lepiej.

Z ciężkim sercem padłam na krzesło i tępym wzrokiem przyglądałam się podłodze.

— Zostawię drzwi uchylone — powiedział. — Może przynajmniej to przypomni pani, że kiedyś tu byłem.

Nic nie powiedziałam. Zagryzłam wargi. Spokojnie, Margaret... żadnych łez. Nie boisz się duchów, nie złękiesz się niczego.

I znowu kroki. Skrzyp, skrzyp po podłodze i jakby ktoś lał wodę do miednicy. Do porcelanowej miednicy.

Kłęknął u mych stóp, zakasał rękawy i powoli zaczął zmywać kurz z mych stóp. Surdut zdjął wcześniej.

— Co pan robi? — krzyknęłam, patrząc na czarne pukle włosów i zakasane rękawy śnieżnobiałej koszuli. Czułam się jak królowa, którą za chwilę zaprowadzą na szafot. Najlepsza partia do wzięcia w Nowym Orleanie myje nogi Margaret z Riverville...

— Niech pan wreszcie przestanie...

Nie przestał. Pracował w skupieniu, chłodno i fachowo, bacząc, by woda nie zamoczyła oparzonej kostki. Gdy skończył, wytarł me stopy ręcznikiem i popatrzył na mnie z poczuciem dobrze wykonanej roboty.

— Mam nadzieję, że nie bolało...?

Opuściłam głowę, czując ten bezmiar współczucia, a potem przypomniałam sobie, że ktoś z jego domowników lub służby chciał, żebym skręciła sobie kark. Trzeźwa to była myśl, choć bardzo bolesna.

Pomimo popołudniowego upału owinęłam się szalem, czując dreszcze.

— Zmarzła pani? — dotknął dłonią mego ramienia.

— Nie tyle, żeby musiał pan mnie dotykać — przesunęłam się w kąt łóżka.

Usunął rękę, ale w palcach wciąż trzymał kosmyk mych włosów.

— Czemu tak je pani kryje? Może by rozpuścić je na ramiona? Ładne ma pani te włosy.

Z zapartym tchem patrzyłam na kosmyk, który wciąż trzymał w wysmukłych palcach.

— A niby co w nich ładnego? — zachnęłam się. — Ciemna szatynka, jak to u nas na prowincji — Przypomniały mi się krucze loki tamtej na portrecie.

— Powiedziałbym, że raczej umbra palona. Pani nie jest z prowincji, panno Morgan... pani jest z Riverville. Proszę o tym pamiętać.

Zerwałam się i spojrzałam mu w oczy.

— A tak w ogóle to chciałbym namalować pani portret — powiedział zamyślony, studiując moją twarz. Odgarnął włosy z czoła, podszedł do okna i wpatrywał się przez chwilę w dziedziniec.

— Pozwoli pan, że trochę doprowadzę się do porządku — powiedziałam przerywając milczenie. — Nie chcę sprawiać więcej kłopotów waszej rodzinie.

— Czy to ja jestem źródłem tych kłopotów? Rozważyłam to pytanie i postanowiłam być szczerą:

— W pewnym sensie. Pańska matka i siostra sądzą, że mój pobyt tutaj wystawia na szwank reputację tego domu. Chodzi mi o pana żonę — wyrzuciłam z siebie wszystko do końca, wiedząc, że jednak trochę się zagalopowałam.

Włożył ręce w kieszenie spodni i przez chwilę przemierzał pokój.

— Tak... oczywiście chodzi też o moją żonę — zatrzymał się i zmierzył mnie wzrokiem. — To akurat dałoby się unieważnić. Byliśmy małżeństwem tylko w świetle prawa...

Moje policzki pokrył rumieniec. Jego słowa zrozumiałam teraz jednoznacznie.

— To już pańska sprawa, panie LaMarsh.

— Może i moja. Ale to nie mnie, a panią oskarżają o wchodzenie w cudze życie, skoro zaś wiem, że to nikczemne kalumnie, to może i pani ma prawo wiedzieć coś o tych „moich sprawach”. Angelika była dzieckiem... dzieckiem na wydaniu, które trafiło na nieodpowiedniego mężczyznę. — Zamilkł i znów przemierzył pokój ciężkim krokiem. Śledziłam te kroki, a jeszcze bardziej tego, który je stawiał.

— Nasze rodziny znały się jeszcze z Europy. Tutaj też składały sobie wizyty i podczas takiej wizyty zobaczyłem ją po raz pierwszy.

— Przez chwilę patrzył w milczeniu przez okno. — Nigdy przedtem nie widziałem tak wychuchanej pieszczoszki. Sądziłem, że ją pokocham, ale szybko przekonałem się, że kocham złudzenie, a nie żywą kobietę.

Nasze małżeństwo — mówił dalej — nigdy nie zostało skonsumowane, niedomagała, od kiedy zeszła ze statku na nowoorleańskim nabrzeżu. Najpierw skarżyła się na chorobę morską, potem na miejscowy klimat. Przez pierwsze dwa tygodnie czekałem cierpliwie, a potem zacząłem rozumieć... — zamilkł na chwilę. — To nie Nowy Orlean był winny; ona po prostu nie była materiałem na żonę.

— Potarł dłonią zmierzwiłone włosy. — Może tak ją wychowano, może jakieś dziecięce uprzedzenia, może... sam nie wiem, co. Ciągle coś było nie tak, a w końcu zrozumiałem, że mam dziecko, a nie żonę. Ale wciąż czułem, że jestem jej mężem, choć żadne z nas... — urwał gwałtownie, a ćwierkający na dziedzińcu ptak wydawał się intruzem w jego mrocznych wyznaniach.

— Z tego co pan mówi, wynika, że wykazywał pan wiele cierpliwości.

— Do pewnego czasu. Zaczęliśmy żyć w separacji, a potem umarł mój ojciec i miałem już inne problemy. Musiałem zająć się apteką i całym odziedziczonym majątkiem. Istny koszmar. Do tego stan psychiczny mojej matki. Od wyjścia za mąż nie musiała niczym się przejmować. Gdy zmarł ojciec, było to tak, jakby razem z nim zeszła do grobu. Nie ma na to lekarstwa. Przynajmniej ja nic na to nie poradzę.

— A pana siostra? Czemu jest taka... zgorzkniała? Spojrzał na mnie z uwagą i ze smutkiem:

— Rodzice liczyli, że wyjdzie za Filipa Moneta; to taki młody kawaler z dobrej kreolskiej rodziny. Ale Marie to zepsute dziecko i zawsze robi wszystkim na przekór. — Rozejrzał się po pokoju i przypomniałam sobie, że Marie brała tu kiedyś lekcje śpiewu, a on malował portret Angeliki. Pewnie zaraz po ślubie, gdy był zauroczony jej urodą.

— Marie zadurzyła się w jakimś młodym Niemcu — kontynuował, wrywając mnie z rozważań. — Ojciec nawet nie chciał o tym słyszeć, a gdyby nawet zgodził się... — westchnął i pokręcił głową — nie sądzę, by Ludwik był dobrym partnerem dla Marie. Przecież uciekł z miasta i nawet się nie pożegnał. Teraz Marie ma podwójne zmartwienie. Ludwik puścił ją kantem, a przy okazji straciła też Filipa.

Ból głowy znikł, gdy słuchała tej tajnej kroniki rodu LaMarsh.

— A czy ten Filip wciąż ją kocha?

— Może. Choć sam nie wiem, za co miałby ją kochać. Dopóki Marie wierzy, że jej Niemiec kiedyś znów się tu zjawi, Filip nie ma u niej żadnych szans.

Znów zaległa cisza, przerywana tylko łagodnym pluskiem fontanny i turkotem powozów na ulicy za murem, a ja dziwiłam się, że mój pokój jest wciąż tak przytulny, choć aż tyle burzliwych wydarzeń nastąpiło w ostatnich godzinach. Trzeba było ułożyć to sobie w głowie na spokojnie, słowo po słowie. Za dużo było tego jak na jeden raz. Poczułam, że krew tętni mi w żyłach znów równo i mocno, niczym tryskająca z fontanny woda.

— Chyba nadużywam za długo pani gościnności? — spytał Jordan, skrzyżowawszy ręce na piersiach. — Zbyt to bolesne, jak na pani wiek i doświadczenie. Rozumiem, że ma pani serdecznie dość naszego domu, ale proszę przemyśleć to wszystko, gdy już pani wydobrzeje. Przynajmniej ja spróbuję powetować jakoś wypadki tamtej nocy. A więc jak? — spytał łagodnie. — Może przynajmniej tych kilka dni, nim stanie pani na nogi?

Popatrzyłam nań i poczułam, że za nic nie podejmę teraz tej ostatecznej decyzji i że mięknie mi serce.

— Zgoda, zostaję.

Uśmiechnął się, a to wraz z błyskiem białych zębów odmieniło go nie do poznania.

— Bardzo się cieszę. I życzę powrotu do zdrowia. — Wyszedł, zamknawszy delikatnie za sobą drzwi.

Oczarowana jego uśmiechem, delikatnymi słowami i złożoną obietnicą, wsłuchiwałam się w kroki oddalające się po schodach i po posadzce wozowni.

Usłyszałam szcęk odmykanych i zamykanych drzwi i szybko podeszłam do okna. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że ktoś odsunął zasłonę, a przed oczyma miałam ciężkie, nabrzmiałe chmury. Ale był między nimi jakiś promyk nadziei...

Byłam zakochana w Jordanie LaMarshu. Co do tego nie było wątpliwości.

Resztę popołudnia przespałam, a w krótkich chwilach powrotów świadomości zastanawiałam się, czy powinnam była mu wspomnieć o łańcuchu. Gdzieś w zakątkach mózgu kołatało coś ważnego, coś istotnego, coś, co niewątpliwie łączyło się z Marie.

Wiedziała, że nocny gość zjawił się o północy. Wspomniała o otwartych drzwiach wozowni. Może mówiła to tylko po to, by mnie nastraszyć. Jakiegokolwiek zresztą były jej zamiary, nie sądziłam, że ponowi próbę. Przynajmniej nie teraz.

Gdybym miała dość siły, wzięłabym ją na spytki. Gdybym tylko miała dość siły... Ale teraz trzeba spać i odpoczywać.

Elza przyniosła mi wazę gumbo i moją własną nocną koszulę, świeżo upraną i nie wiedzieć jak pozbawioną plam krwi. Uśmiechnęłam się dyskretnie na widok przyjaznej bawełny, o ileż mi bliższej niż to, co miałam na sobie. Przebrałam się i podając tamtą Elzie, przyjrzałam się uważnie rozmiarom. Była o kilka cali krótsza i nieco węższa w talii, ale poza tym pasowała jak ulał.

— Powiedz mi, Elzo — spytałam, siląc się na obojętność — czy Angelika była mojego wzrostu?

— Panna Angelika? — spytała zaciskając wargi. — No, może była niższa o jakieś dwa, trzy cale i nieco... — zlustrowała mój biust — jak by to rzec, drobniejsza w sobie. A z wagi, to może miała o pięć funtów mniej, gdy u nas nastąpiła.

— Gdy u was nastąpiła? — powtórzyłam, próbując dociec znaczenia jej słów.

— Potem schudła. Pewnie nie smakowała jej moja kuchnia. Może i ze smutku, ale spadła o dobre dziewięć funtów. — Machnęła ręką i złożyła nocną koszulę w równą kostkę.

— Dziękuję ci, Elzo, za tę koszulę — westchnęłam. — Nieważne, że nosiła ją Angelika. — Dziwne, że nikt nie nazywał jej panią LaMarsh, a tylko po imieniu. Chyba dla wszystkich była „dzieckiem na wydaniu”, jak to określił Jordan.

Elza mruknęła coś pod nosem i spojrzała na mnie kątem oka.

— Mówże wyraźniej, Elzo.

— Przecież mówię, że to nie ja przyniosłam tę koszulę.

— A więc pewnie powinnam podziękować panu LaMarsh? — powiedziałam spłoniona, unikając dociekliwego spojrzenia Elzy, która pewnie wiedziała, co oznacza dla mnie wymówienie tego nazwiska.

— Nie. To nie on ją przyniósł.

— A kto?

— Starsza pani. Pani LaMarsh. — Potarła dłonią nakrochmalony czepek. — Jak długo ją znam, nigdy czegoś takiego nie zrobiła. Ciekawa jestem, co to babsko knuje?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

...Co ona knuje?

Słowa Elzy mocno zapadły mi w pamięć. Miałam liczne powody do obaw, ale wszystkie myśli szybko ulatywały. Trwała tylko ta upojna godzina spędzona z Jordanem. Wiedziałam, że to wszystko nie ma sensu, ale serce było silniejsze niż rozum.

Przez dwa dni Frances przychodziła pilnować, czy zażywam leki, a Elza przynosiła mi posiłki. Marie i pani LaMarsh nie pojawiły się ani razu, podobnie Jordan.

Trzeciego dnia obrzydło mi łóżko, wyciągnęłam więc mój rozpoczęty obraz ze schowka i zasiadłam przy oknie.

Dziedziniec był zalany słońcem, a kwiaty na grządkach wyglądały piękniej niż zazwyczaj.

Zabrałam się do pracy, zainspirowana aurą. Nic nie zakłócało majestatu ogrodu, z wyjątkiem służby krążącej z rzadka między kuchnią i domem.

Jak zawsze podczas malowania, czas upływał mi szybko. Pędzel biegał po płótnie, a ból głowy był już tylko wspomnieniem. Przerwałam na chwilę i studiowałam pączki róż. Usłyszałam kroki. To Jordan szedł w stronę wozowni, uniósłszy głowę ku mojemu oknu.

Przez chwilę patrzyłam nań jak skamieniała, a gdy szczęknęły drzwi na dole, odłożyłam malowanie i powlokłam się do łóżka. Tymczasem zdążył wspiać się po schodach i zastukać. Podciągnęłam kołdrę pod sam podbródek, by ukryć mą pospolitą koszulę.

— Otwarte! — zawołałam, równocześnie przyglądając opadające mi do pasa rozpuszczone włosy. Po co? Przecież sam powiedział, że nie powinnam ich upinać...?

Pozdrowił mnie i zatrzymał się w drzwiach.

Gdy spojrzał na mnie, podziękowałam Bogu, że tego ranka zdążyłam umyć i przypudrować twarz, dzięki czemu nie przedstawiała chyba obrazu nędzy i rozpacz.

— Nie przeszkadzam?

— Oczywiście, że nie.

Znów to bicie serca. Przeklinałam mą niezdolność do zapanowania nad emocjami.

— Artur polecił przekazać pani pozdrowienia. Powiedział, żeby się pani nie przejmowała apteką. Poczeka, oczywiście jeśli chce pani jeszcze do nas wrócić.

— Oczywiście, że chcę. A cóż bym zrobiła bez pracy? Przysunął krzesło do mego łóżka. Pomyślałam, że to przecież od niego, a nie od Artura zależy, czy wrócę do apteki. Ta myśl napełniła mnie niepokojem.

Spojrzał na mój obraz i zrobiło mi się trochę głupio.

— To pani malowała?

— No... ja.

— Niezłe. Bardzo dobre — powiedział i znów przyjrzał mi się uważnie.

— Dopiero zaczęłam. Sam pan widzi... — palcami przebierałam rozpaczliwie po prześcieradle.

— Nie ma się czego wstydzic — przerwał mi. — Ładnie pani maluje. I proszę nigdy się nie tłumaczyć. Znam artystów w Nowym Orleanie, którzy mieliby czego pani zazdrościć.

Przez chwilę wpatrywałam się w obraz, zaskoczona i uradowana komplementem. Nie wiedziałam, co powiedzieć. A potem przypomniał mi się portret Angeliki.

— Pan też ma duży talent — zaczęłam nieśmiało. — Widziałam ten portret w schowku. — Urwałam widząc, że się nachmurzył, a kiełkujący uśmiech zastygł mu na wargach.

Coś tu było nie tak. Jeśli ją kocha, to czemu spochmurniał? Pewnie coś go ubodło. Ale co właściwie?

Znów zapadło milczenie, którego nie umiałam przerwać, bo jakoś nic nie przychodziło mi do głowy.

— Od pewnego czasu nie maluję — rzucił wreszcie, zerkając w kierunku schowka. — Sam nie wiem dlaczego. — Uniósł rękę i przesunął palcami po pięknie sklepionym czole.

— Nie wie pan dlaczego? — nachyliłam się, ciekawa toku jego myśli.

Pokręcił głową i wbił wzrok w dywanik na podłodze, jakby odkrył w nim coś interesującego. Wiedziona ciekawością, spojrzałam też. Dywanik jak dywanik. Zaraz, zaraz... co to mówiła Elza?

„Nie chciał, by cokolwiek przypominało mu...” Opadłam na poduszkę, czując, jak zмага się z myślami. Spojrzałam w stronę nie domkniętych drzwi.

— Ilekroć biorę do ręki pędzel... — zaczął. Patrzyłam nań wyczekująco, aż wyjawi, co go tak trapi.

Westchnął, przeniósł wzrok z dywanika na okno i wpatrywał się w błękitne teraz niebo.

— Niedawno próbowałem namalować portret — ot tak, dla rozrywki po dniu ciężkiej pracy. Portret starej kwadronki, którą widziałem właśnie tamtego dnia na targu. Twarz poorana — znać, że życie jej nie pieściło — ale oczy wciąż żywe i młode. Ciekawa twarz...

— No i co? — zachęciłam go uśmiechem — namalował pan tę twarz?

— Idiotyczna sprawa — przymknął na chwilę oczy. — Zabrałem się do roboty, próbowałem naszkicować jej rysy i wtedy...

— I wtedy co?

— I wyszedł mi szkic Angeliki — dokończył, wodząc po mnie nieobecny, ponurym wzrokiem. — Później zdarzyło mi się to samo dwa, może trzy razy. Nic z tego nie rozumiem. — Spojrzał w bok, jakby chcąc uniknąć mego zropanzonego spojrzenia. — Ilekroć próbuję namalować portret — nieważne czyj — zawsze wychodzi mi jej twarz. Nieznośne uczucie.

Mówił to zniżając głos, a ostatnie słowa wypowiedział szeptem, kołyszącym i miarowym jak plusk fontanny na dziedzińcu.

Próbowałam jakoś to wszystko poukładać i znaleźć logiczne wytłumaczenie. Wszystko, na co było mnie stać, zabrzmiałoby banalnie.

— To chyba normalne...

— Może i normalne — zachnął się — u kogoś głęboko zakochanego, ale ja — spojrzał ponuro na mój rozpoczęty widok ogrodu — ale przecież ja jej nie kocham. Nie, to nie miłość, może raczej zauroczenie.

— Zauroczenie? — powtórzyłam jak echo. To dziwne słowo przywołało wiele jeszcze dziwniejszych skojarzeń.

— Czy miał pan od niej jakieś wiadomości? — spytałam, nie dbając już, że może brzmieć to obcesowo. Ten człowiek potrzebował pomocy, a ja nie mogłam mu jej udzielić, dopóki nie znałam wszystkich okoliczności.

— Nie. To też w jej stylu. Cóż ją obchodzi, że się wszyscy martwimy, gdzie się podziewa! Mogła przynajmniej zadepeszować. Może nawet powinna była!

— A może nie mogła zadepeszować? — Czułam, że i on rozważa taką możliwość, ponieważ zacisnął wargi i spuścił wzrok. — Może to pan powinien zadepeszować, choćby dla spokoju sumienia?

— Nieraz o tym myślałem — przytaknął. — Najpierw złość, a potem duma jakoś mi nie pozwalały. Nie chcę, by myślała, że za nią tęsknię. Przecież to wcale nie tak.

Słuchałam tego w dobrej wierze i nagle zrobiło mi się bardzo żal Jordana LaMarsh. Wypaliłam bez zająknięcia:

— Jeśli zechce pan kiedyś namalować mój portret, chętnie użyję mej twarzy. Może tym razem nie wyjdzie panu... jej twarz.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Zawsze sądziłam, że warto czasem zwierzyć się komuś z własnych problemów. Malowanie było i jest dla mnie wielkim szczęściem, a czasem i ucieczką. — Zawahałam się, nie wiedząc, jakie wrażenie wywierają na nim moje słowa, ale twarz miał wciąż nieprzeniknioną. — Gdyby podczas malowania znów ujrzał pan jej twarz, przerwiemy i porozmawiamy o niej...

Minę miał zupełnie zaskoczoną, a potem uśmiechnął się nieśmiało:

— Tak, to mogłoby być niezłe. A depeszę chyba też poślę. W końcu jej rodzinie też się coś należy. — Podniósł się z krzesła. — Na mnie już czas. Dobrej nocy. — Ach, zapomniałbym — zatrzymał się już w drzwiach. — Doktor Armstrong powiedział, że według doniesień Frances wraca już pani do formy. Przeprasza, że sam się nie zjawił, ale pewnie biega po domach i przyjmuje porody.

— Proszę mu powiedzieć, by nie zaprzętał sobie mną głowy. Czuję się coraz lepiej. Pewnie za dzień, dwa będę w pracy.

— Czyżby? — zmarszczył brwi. — Tylko proszę nie przesadzać.

— Nie będę przesadzać. Po prostu moja natura nie znosi wylegiwania się w łóżku.

— Dziwna z pani dziewczyna — uśmiechnął się. — Artystka, która nie lubi się wylegiwać... do tego uczciwa, no i życzliwa.

— Dość tego! — wykrztusiłam, łapiąc się ręką za gardło, by nie zauważył, jak rumieni się moja szyja. — Pan Artur zatrudnił mnie przy wodzie sodowej i chyba nie chce pan, by uderzyła mi do obolałej głowy? — Próbowałam obrócić jego słowa w żart.

— Piękne ma pani włosy — rzucił na odchodnym i zamknął za sobą drzwi.

Z jaką ulgą odetchnęłam! Czulałam się, jakby mój anioł stróż zstąpił z nieba i wręczył mi najpiękniejszy z ziemskich podarków. Zbyt piękny i zbyt cenny, by objąć go rozumem. Rozsadzała mnie radość i gdyby nie obolałe ciało, pewnie uleciałabym w obłoki.

A więc to jest miłość! — westchnęłam, zapominając definitywnie o bólu w głowie, którą wtuliłam głęboko w poduszkę. Wyciągnęłam się wygodnie, znów silna, na przekór mięśniom i oparzelinom. Pewnie to czuła moja matka, gdy zostawiwszy rodzinę i bliskich, umknęła z nieznajomym. Pewnie to czuła

babcia, gdy ramię w ramię z dziadkiem pracowała na plantacji, budując swój nowy amerykański dom.

Obie drogo za to zapłaciły. Wiedziałam, że i ja zapłacę za uczucie do Jordana LaMarsha. Ale cóż mogłam zrobić? Teraz już wiedziałam, że miłość nie zna zapłaty, a serce nie słucha rozumu.

I nagle rozplakałam się. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam moją matkę.

Drzwi wozowni szczęknęły, a schody zaskrzypiały. Oparłam się sztywno o poduszkę i wbiłam wzrok w nie przekreślony klucz.

— Proszę wejść — powiedziałam niepewnym głosem. Drzwi uchyliły się i ukazała się w nich twarz Frances.

— Czas na lekarstwo. — Wyciągnęła z kieszeni spódnicy butelkę i łyżeczkę.

— Jak się pani dziś czuje? — jej pełne usta ułożyły się w coś na kształt uśmiechu, gdy zacierając ku mnie, równocześnie wyciągała korek.

— Znacznie lepiej... właściwie doskonale — wyjąkałam z trudem, kłamiąc jak z nut.

— A jak noga? — spytała marszcząc ciemne brwi.

— Też znacznie lepiej. Ta maść czyni cuda i jutro wybieram się do pracy.

— Myśli pani, że to dobry pomysł?

— Nie wiem, czy dobry — powiedziałam, zrywając się z poduszki — ale na pewno nie gorszy niż wylegiwanie się w betach i przebywanie choćby o dzień dłużej w tym pokoju i w tym domu!

Mój głos i spięte rysy musiały zrobić na niej wrażenie, bo nie

odezwała się już słowem. Powoli odmierzyła krople i podała mi łyżeczkę.

Przełknęłam, skrzywiłam się i z wdzięcznością przyjąłam z jej rąk szklanekę wody.

— To już ostatnia porcja. — Uniosła ku oknu pustą buteleczkę.

— Może faktycznie powinna pani wrócić do pracy. W końcu Artur też potrafi sporządzić lekarstwo, gdy zajdzie potrzeba. — Cisnęła butelkę do kosza na śmieci.

— Nie będzie musiał się trudzić — powiedziałam, krzywiąc się wciąż od obrzydliwego smaku lekarstwa.

Stała w milczeniu przy moim łóżku i wpatrywała się we mnie z ciekawością swymi szarymi oczyma:

— Wygląda pani na podenerwowaną. Czy coś się stało? Spojrzałam na nią, próbując rozpaczliwie odczytać z jej twarzy to, co tak bardzo mnie nurtowało.

— Nic się nie stało. Po prostu mam już dość łóżka.

— Rozumiem. — Znów blady uśmiech na pełnych wargach. Już miała odejść.

— Proszę poczekać! — powstrzymałam ją. Obróciła się na pięcie i zatrzymała zaskoczona.

— Jeśli nic pilnego panią nie wzywa, proszę usiąść i poświęcić mi jeszcze kilka minut.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła mały zegarek:

— Ale dosłownie kilka minut. Pani LaMarsh właśnie drzemie. — Przysiadła na skraju krzesła, przyglądając mi się podejrzliwie. Potem dostrzegła płótno.

— Maluje pani? — spytała z zainteresowaniem.

— Amatorsko.

— Ładne, ale nie znam się na sztuce i żaden ze mnie krytyk. Przypomniał mi się Jordan i jego niemożność namalowania nowego portretu. Powiedział, że wciąż wychodzi mu ta sama twarz. Nie, nie było sensu analizować tych słów, choć mogła kryć się w nich wina.

Zebrałam myśli, świadoma, że Frances Jackson przygląda mi się uważnie.

— Przyzwyczaiła się pani do Nowego Orleanu? — spytałam, by przerwać wreszcie milczenie.

— Czy się przyzwyczaiłam? — Spojrzała gdzieś w bok. — Co ma pani na myśli? — rzuciła to jakoś pośpiesznie, niczym w samoobronie.

Nie rozumiałam, czym mogłam ją tak dotknąć.

— Przepraszam, jeśli panią uraziłam. Ja też pierwszego dnia czułam się tu trochę wyobcowana. — Przypomniało mi się, że pytała mnie o Riverville. — Czy tęskni pani za... zapomniałam, skąd pani pochodzi.

— Nie zapomniała pani, tylko o tym nie mówiłam. Ale, jeśli to takie ważne, to z St.Louis.

— To chyba strasznie daleko stąd? — spytałam zdziwiona, że kawał drogi było jej dane przewędrować. — I nie ciągnie tam panią?

Popatrzyła na ręce i spostrzegłam cienką złotą bransoletkę na tej prawej. Czy miała ją wczoraj? Jeśli tak, musiałam przeoczyć.

— Tak, często wspominam St.Louis i tęsknię za tym miastem. Ale musi pani zrozumieć... — jej oczy zrobiły się nieco wilgotne... — jestem wdową. Straciłam męża wkrótce przed przybyciem do Nowego Orleanu. Gdyby żył, nigdy bym się tu nie przeniosła.

Powiedziała to cicho i z niekłamanym bólem.

— Przepraszam, nie wiedziałam.

— Nie ma o czym mówić — dodała pośpiesznie. — Skąd miałyby pani wiedzieć? Rzadko kiedy mówię ludziom o swej przeszłości. Dość mają własnych utrapień.

Zastanawiałam się, co ma na myśli.

— A była pani z nim szczęśliwa? Przepraszam, jeśli znów panią uraziłam. — Spojrzałam w bok, przeklinając mój długi język. Chcąc uniknąć tego najwyraźniejszego pytania, zabrnęłam na dobre.

— Tak, byłam z nim szczęśliwa — powiedziała cicho. — Był jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek kochałam. Wychowywałam się u zakonnic.

Znów spojrzała na dłonie.

A więc pewnie była sierotą. Zaczynałam rozumieć jej dystans i chłodną godność, z jaką traktowała wszystkich i wszystko naokoło; to, że nie okazywała uczuć, będąc w pobliżu innych osób. A potem coś mi się przypomniało:

— Wspomniała pani o jakiejś przyjaciółce tu, w Nowym Orleanie.

Cień przemknął jej przez twarz i znów spojrzała na zegarek:

— Pani LaMarsh pewnie się niepokoi. Mam nadzieję, że wypoczęła pani trochę. — Wstała i ruszyła do drzwi sztywnym, odmierzonym krokiem, który określał całą jej osobowość. Zastanawiałam się, czy ta sztywność nie jest przypadkiem pancerzem chroniącym ją przed uczuciami, a może przed bólem po utracie tego jedynego?

— Dzięki, Frances! — zawołałam. Lepsza z niej była kobieta, niż dotąd sądziłam.

Promienie słońca igrały po pokoju i powoli zapadłam w sen, ukołysana ich delikatnym tańcem.

Przespałam całe przedpołudnie. Gdy cienie były już długie, wstałam i przespacerowawszy się, otworzyłam drzwi schowka, sama nie wiedząc, w jakim celu. Były tam tylko stare pudła. Sięgnęłam i bezmyślnie uniosłam wieko jednego z nich. Jakieś stare gałganki i pożółkłe nuty. Przypomniałam sobie, że Marie brała tu kiedyś lekcje śpiewu. Otworzyłam drugie, wypełnione księgami rachunkowymi. Za nim spoczywała para męskich trzewików. Przymknęłam drzwi schowka i przemierzyłam pokój, czując, że wszystko to nie ma sensu.

Nagle zorientowałam się, że znów stoję na podeście koślawych schodów. Ten dzień przyniósł tyle wrażeń, że zapomniałam o ustaleniu tożsamości nocnego gościa. Tego, który chciał mnie przestraszyć i który przeciągnął łańcuch na wysokości mych kostek. A może to nie był łańcuch? — zadałam

sobie pytanie, zamykając na powrót drzwi. Może to tylko moja rozpalona wyobraźnia? Czy łańcuch zwinięty pod schodami musiał oznaczać, że ktoś zaczepił go tuż pod podestem? Przecież w każdej wozowni pętają się jakieś stare łańcuchy, sznury i szczątki upręży.

Przekręciłam klucz w drzwiach i podeszłam do lampy. Tylko taka idiotka jak ja mogła strącić lampę, rozciąć sobie rękę, zbiec po ciemnych schodach i podpalić na sobie nocną koszulę — a wszystko razem ze strachu. Spojrzałam przez okno. Dziedziniec był pusty. Mogłam wiele zwalić na własną głupotę, ale ten płacz... to zawodzenie za drzwiami, które miało skojarzyć mi się z duchem małej niewolnicy?

Wpatrywałam się w ciemniejący dziedziniec, aż nagle spostrzegłam, że cień magnolii rusza się, choć nie ma wiatru. Patrzyłam obojętnie. Przecież ktoś ze służby mógł wybrać się na wieczorną przechadzkę. Cień zbliżał się, oddalał, a chwilami przesuwał się na boki.

Odsunęłam się od okna, by nie rzucić się w oczy. Wiedziona impulsem zgasila lampę, oparłam się o framugę i czekałam.

Nie musiałam długo czekać. Po chwili cień przybrał ludzki kształt.

Był to Clarence wpatrujący się w moje okno.

Stałam, wstrzymując oddech, dopóki nie poczłapał przez dziedziniec w stronę oficyn i nie zamknął za sobą drzwi. Czekałam jeszcze przez dobre dziesięć minut, ale już się nie pojawił.

Wtedy padłam na krzesło zupełnie wyzuta z sił. Wiedziałam, że moje plany udania się nazajutrz do pracy są czystą głupotą. Przecież całe ciało miałam obolałe od upadku ze schodów, a ból głowy powracał przy każdym wzruszeniu, od czego ani przez moment nie mogłam się uwolnić.

Był dopiero wczesny wieczór, a ja czułam się jak po nie przespanej nocy. Pora była wziąć się w garść. Zapaliłam lampę i spojrzawszy na mój rozpoczęty obraz zrozumiałam, że tylko w nim znajdę ukojenie. Machinalnie wzięłam pędzel, przysunęłam farby i od zarysu różanego pączka przeszłam do fontanny na dziedzińcu. Po chwili nie pamiętałam już o bożym świecie. Gdy zmęczenie dało mi się we znaki, było już bardzo późno i ze spokojnym sumieniem mogłam zapaść w kamienny sen.

Obudziła mnie rześka i pachnąca poranną kawą Elza, a zaraz po niej zjawiała się Frances, od której decyzji zależało moje pójście do pracy.

Próbowałam być dla nich miła, ale poczułam ulgę, gdy pozostawiły mnie samą. Wtarłam masć w oparzoną nogę, ignorując ból, a potem, jakby nigdy nic się nie zdarzyło, odprawiłam cały poranny toaletowo-garderobiany rytuał.

Rumieniłam się na widok mej sukienki, ale cóż mogłam zrobić. Kupię sobie lepszą, gdy tylko mi zapłacą.

Tym razem, zamiast oplatać głowę warkoczem, ułożyłam włosy w kunsztowną koafiurę, puściwszy luźno ich końce. Spojrzałam w lusterko i stwierdziłam, że nowe uczesanie nadało mym rysom wyraz tajemniczości.

Dopełniłam toalety i wychodząc z wozowni, uczułam, że jej próg przestępuje jakaś zupełnie inna Margaret. Czy sprawiła to fryzura, przeżycia tamtej nocy, czy może zainteresowanie, jakie okazał mną Jordan — nie byłam w stanie dociec.

Oblicze Artura rozpromieniło się na mój widok. Ponieważ nie było klientów, pozwolił sobie na wylewność i radośnie wybiegł z kantorka.

— Panno Morgan! Jakże się cieszę! A może trzeba było jeszcze trochę poleżeć?

— Już wszystko w porządku — odparłam z uśmiechem. — I może damy już sobie spokój z tą „panną” i „panem”? Wprawdzie jestem młodsza, ale mówienie sobie po imieniu chyba nam nie zaszkodzi w pracy, Arturze?

Odchylił główkę i zdobył się na zawadiacki uśmiech:

— No to do roboty, pan... Margaret — wyrzucił z siebie, wpatrując się w me włosy.

Stos recept i nie zapisane rubryki w księdze rachunkowej kazały mi ostro zabrać się do pracy. Przedpołudnie minęło jak z bicza strzelił, a gdy przed dwunastą zrobiłam sobie przerwę dla rozprostowania kości, usłyszałam na ulicy hamowanie jakże mi znanego powozu.

Wiedziałam, czyj to powóz. Drzwi apteki otworzyły się i Jordan uchylił cylindra.

Omiał nie wypuściłam z ręki napełnionej wodą sodową szklanki. Po co tu przyszedł? Czego tu szuka? Co ja gadam! Przecież to jego apteka.

Obecność Jordana najwyraźniej skonfundowała Artura, który dał nura między butelki i szalki.

— Czołem, Arturze! — rzucił mu z uśmiechem, po czym natychmiast skoncentrował się na mojej osobie. — Witam — ukłonił się, zmierzając stanowczym krokiem ku ladzie. — Czy nie za szybko w pracy, panno Morgan? — To ostatnie dodał jakby dla zachowania pozorów.

— Jak by to powiedzieć...

— No to może ja powiem. Dziś pracuje pani na pół etatu. — Mrugnął okiem w stronę Artura. — Przejeżdżałem właśnie i zapraszam do powozu.

— Ale...

— Żadne „ale”. A poza tym chciałbym, żeby pomogła mi pani w innej materii.

„W innej materii?” O czym on mówi? Czyżby dotyczyło to pani LaMarsh, Marie, Angeliki?

— Nie ma o czym mówić — włączył się Artur. — W ogóle nie mamy dziś klientów. To znaczy, mamy ich mniej niż kiedy indziej o tej porze — poprawił się, chwytając gorliwie jakąś buteleczkę.

Wahałam się o sekundę za długo. Sama nie wiedziałam, czemu to robię. Jeśli potrzebuje mej pomocy, dlaczego stoję i kryguję się?

— Jestem do pana usług — powiedziałam chwytając torebkę i kłaniając się na pożegnanie Arturowi. Jordan podprowadził mnie do powozu, zatrzymał się i dał jakieś instrukcje stangretowi. Zrobił to szeptem, a ja rozglądałam się po ulicy, próbując dociec, co właściwie zamierza.

Usiadł przy mnie i przyglądał zmierzwione włosy. Surdut miał dziś perłowy, co kojarzyło mi się z wiosną i porą lęgu ptasich piskląt. Przynajmniej nic sensowniejszego nie przyszło mi do głowy. Zauważyłam, że na przeciwnym siedzeniu spoczywa wiklinowy koszyk, a przy nim szkicownik i ołówki.

— Zdaje się, że odkryła pani niespodziankę, zanim zdążyłem ją wyjawić — powiedział wesoło.

— Niespodziankę?

— W tym koszyku są specjały Elzy: kurczaki przyprawione ziołami, opieczone w mące na iście rembrandtowski brąz.

— Że też od razu nie domyśliłam się po zapachu! — wybuchnęłam śmiechem, czując nagły głód.

— Do tego ciasto drożdżowe i ryżowe ciasteczka. O dobrym winie też nie zapominałem. — Krótki śmiech przerwał wyliczanie pozycji jadłospisu. — Przepraszam, jeśli zbyt się pysznię, ale chyba docenia pani zawartość koszyka?

— Któż by nie docenił? Ale jak ma się ten koszyk do „materii”, o której pan wspomniał? — Spojrzałam na szkicownik. — Zabiera mnie pan na lekcje rysunku?

— Na lekcje rysunku? — przeniósł wzrok z mej twarzy na przeciwne siedzenie. — Nie, przynajmniej nie dziś. Chcę skorzystać z propozycji, którą mi pani złożyła. Spróbuję panią namalować.

— Ależ moja fryzura — machinalnie uniosłam dłoń do włosów — mój strój... — Nagle poczułam, że brzmi to niezgrabnie, egoistycznie, a do tego głupio.

— Właśnie taką chciałem panią namalować. Już, zaraz!

Powóz przystanął i spostrzegłam, że zatrzymaliśmy się na opuszczonej łące nie opodal rzecznej tamy. W oddali ozłocona Missisipi niosła swe leniwe wody, a rzeński podmuch wiatru kołysał rosnącymi wzdłuż brzegu cyprysami.

— Chyba nie uraziłem pani? — spytał patrząc mi prosto w oczy, a ja pokręciłam przecząco głową.

— Oczywiście, że nie. — Podał mi ramię i sprowadził na łąkę.

— Piękna ta trawa, zielona i soczysta — powiedział. Popatrzyłam na rzekę i na łódzie płynące ku zatoce:

— Tak, piękna, zielona, soczysta i lepszej nie mógł pan wybrać. Otworzył koszyk, rozpostarł na murawie serwetę i niczym iluzjonista począł rozkładać przysmaki. Na widok smażonych kurczaków i ciast zareagowałam jak głodomór. Do tego butelka wina i dwa kryształowe kieliszki. Stangret odjechał kilkanaście kroków i zaczął bacznie przyglądać się statkom na rzece.

Jordan nappełnił kieliszki musującym płynem i stuknął się ze mną:

— Za sztukę! W jej najczystszej formie — powiedział wodząc wzrokiem za unoszonym w górę naczyniem.

Upiłam i zakręciło mi się w głowie, chyba nie tyle od wina, co od jego obecności, ale miłe i rzeńskie było to uczucie.

— Pora coś przekąsić — spojrzał na koszyk.

Podał mi porcelanowy talerz i białą serwetkę. Przez chwilę w milczeniu koncentrowaliśmy się na specjałach. Ciekawe, co naopowiadał Elzie, zamawiając tak królewski jadłospis?

Przed oczyma stanęła mi jej naburmuszona mina, ale rzeka była zbyt piękna, by psuć sobie tę błogą chwilę.

— Czy dalej chce mnie pan malować!

— Dzisiaj tylko wstępny szkic.

— Gdzie mam usiąść? — Zaskoczył mnie trochę jego bezradny ton i niepewne spojrzenie.

— Może na tle rzeki...

Posłusznie zajęłam miejsce, wygładzając sukienkę i rozczesując palcami pukiel włosów.

— Czy mógłbym panią jeszcze o coś poprosić? — spytał, obserwując mnie z odległości kilku kroków.

— O wszystko — odparłam, czując sytość, a i wino zrobiło swoje.

— To niech pani rozpuści włosy.

Poszłam za jego prośbą, pamiętając, co powiedział o moich włosach zaraz po wypadku. Wtedy zawahałam się. Pomyślałam, że wybrał na malowanie dość odludne miejsce. Ale w końcu... jego sprawa.

Ścisnęłam w dłoni spinki do włosów.

— Tutaj nie zginą — powiedział, wskazując kieszeń surduta. Włożyłam posłusznie spinki, a gdy swobodnie odrzuciłam włosy do tyłu, skinął aprobująco.

— O, właśnie tak.

— Czy mam patrzeć na rzekę?

— Nie, raczej na mnie.

Z zapartym tchem wbiłam wzrok w jego twarz. Patrzył przez chwilę uważnie, a potem podniósł ołówek i zaczął szkicować. Gdyby nie ciekawość, czy znów wyjdzie mu Angelika, może nie byłabym aż tak cierpliwa. Ale teraz musiał przede wszystkim dojść do siebie i przełamać zły czar.

Wodził w skupieniu wzrokiem po moim czole, nosie i szyi. Uśmiechnęłam się i nie była to tylko poza. Również to, że wychowałam się nad Missisipi, a piknik nad rzeką był dla mnie zawsze wielkim świętem. I bez Jordana LaMarsha miałabym z tego frajdę. A jednak coś mi mówiło, że to nieco inna sprawa, mimo że ostatecznie jest moim pracodawcą. Przysługa za przysługę.

Słońce w zenicie pieściło moją twarz, a liście cyprysów drżały w idącym od rzeki podmuchu.

Wykonał ręką gest, jakby chciał przekreślić szkic, i spojrzał mi w oczy inaczej niż jeszcze przed chwilą. To już nie było skupienie rysownika.

Popatrzył w roztargnieniu na rzekę i znów na karton. Westchnął i zastanawiałam się, co powiem, jeśli na papierze ujrzę twarz Angeliki. Potem zagryzł wargi i nagle grymas znikł z jego twarzy.

— Wspaniała z pani modelka. Tak, jakbym malował wiosnę. Proszę spojrzeć.

Zbliżyłam się do szkicownika i zaryzykowałam: trochę mnie chyba upiększył. Kreskę miał ostrą i pewną i z trudem wstrzymałam łzy wzruszenia.

— To bardzo ładne. Chyba... zły urok minął?

— Tak, chyba minął. — Ujął mocno moją dłoń. — Sam nie wiem, jak pani dziękować.

— Już mi pan podziękował. Tym rysunkiem. Trochę pan przedobrzył, ale cieszę się, że tak ładnie wyszło.

— To dopiero szkic. Teraz wiem, że będzie z tego portret. No ale pora wracać do domu. — Rzucił okiem na rzekę.

Wracaliśmy w błogim milczeniu. Piękne to było popołudnie, ale przy furtce przyszła pora się rozstać. Coś kłuło mnie w sercu, gdy szybkim krokiem zmierzałam po schodach wozowni, i nie był to ból spowodowany wypadkiem.

Padłam na łóżko i pragnęłam odpłynąć, by rano zbudzić się równie szczęśliwa. Nic z tego: z obłoków spadłam na twardey grunt.

— Pora pogadać, Margaret — obudziła mnie Elza. Postawiła z trzaskiem tacę na podłodze i podparła się pod boki.

— O co ci chodzi? — spytałam jeszcze niezupełnie przebudzona.

Przysunęła krzesło, opadła nań całym swym ciężarem i poczekała, aż dojdę do siebie. Na widok jej stroskanego oblicza szybko otrzeźwiałam.

— Czy coś się stało?

— Tak, stało się i lepiej, żebyś o tym wiedziała, nim będzie za późno — wydusiła z siebie, kręcąc młynka palcami.

— Na co ma być za późno, Elzo?

Jej potężny biust falował ciężko, aż wreszcie przemogła się:

— Mnie tam wszystko jedno, z kim się zadaje pan Jordan, ale inni...

— Dziękuję ci, Elzo. Nie musiałaś przypominać mi o dzielącej nas społecznej przepaści. Sama dobrze wiem.

— Nie o mnie tu chodzi! Kto jak kto, ale ja wiem, że wszystkim im tam — spojrzała przez okno w stronę rezydencji — brak oleju w głowie i przydałaby się tu jakaś trzeźwa wiejska dziewczyna. Powiem ci, Margaret, że takie jak ty powinny być na wagę złota...

— Ale na wagę złota kupuje się Kreolki. O to ci chodzi? — Czułam, że wzbiera we mnie złość, na co zanosilo się od początku tej rozmowy.

— Daj spokój. Nie o Kreolki tu chodzi. Widzisz, pan LaMarsh ma dość — jak by to rzec — złożony charakter. Czasem nie zawsze potrafi nad nim zapanować.

Przyjrzałam się jej uważnie. Tego akurat nie oczekiwałam. Czyżby pani LaMarsh przesyłała mi przez Elzę ostatnie poważne ostrzeżenie? Ale przecież miałyśmy mówić o charakterze Jordana?

— Co to znaczy „złożony charakter”?

— No... chwilami potrafi wyjść z siebie. Jeszcze tego nie doświadczyłaś, ale gdy widzę ten twój pokój... Niektórzy gadają...

— Co niektórzy gadają? — Miałam dość jej kluczenia. Do czego właściwie zmierzała?

— On i Angelika ciągle się kłócili. Widzę ją, jak dziś, zapłakaną tam na dziedzińcu. Pewnego razu — potarła czoło pulchną dłonią — wyglądała, jakby ktoś jej przyłał.

— Przyłał? — powtórzyłam niczym echo. — Czy chcesz powiedzieć, że pan LaMarsh przyłał Angelice podczas jednej z tych kłótni?

— Oj, Margaret. Ty to jesteś w gorącej wodzie kąpana. Ale może to i dobre u ciebie. Przecież nic takiego nie mówię. Za to pokojówki... wiesz, jak to taka zawsze wszystko wyniucha.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Długo milczałam, a potem powiodłam wzrokiem po pokoju, przypominając sobie wszystko, co mi opowiadał o Angelice, jej infantyлизmie, kapryсах, niezdolności do wypełniania obowiązków żony. Czy mógł posunąć się aż tak daleko?

Cała radość z wczorajszego dnia opuściła mnie, a dociekliwość kazała mi skoncentrować się na faktach. Tyle że nie byłam w stanie wyciągnąć z nich logicznych wniosków. „To plotka!” — szeptało mi serce. „To wszystko nędzne plotki!”

— Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia? — spytałam z bólem. Zawahała się i widać było, że nie skończyła.

— Proszę cię, Elzo, powiedz wszystko, co tam tłamsisz w sobie. Jej błękitne oczy zdradzały rozterkę i widać było, jak walczą w niej uczciwość i lojalność.

— No... tego nikt głośno nie powiedział, ale...

— Czego nikt głośno nie powiedział? Śmiało, Elzo!

— Krążą słuchy, że ona — znaczy Angelika — w ogóle nie wsiadła na ten statek. Pan LaMarsh powiedział, że zostawiła kartkę, ale oprócz niego nikt tej kartki nie widział. Wtedy przez cały dzień był poza domem i wrócił dopiero na kolację.

Wpatrywałam się w nią dalej i nic z tego nie rozumiałam. Coś tylko zaczęło mi kołatać w mózgu. Coś bardzo niemiłego. „Potrafi wyjść z siebie”... „przywalił jej”... nagłe zniknięcie Angeliki; jeśli wszystko to połączyć... Wolałam nie wyciągać wniosków.

— Kiedy właściwie opuściła ten dom? Skoro służba znała tak dobrze życie prywatne LaMarshów, powinna coś mówić o porze ucieczki, no i dokąd się udała.

— A któż to może wiedzieć? Pan LaMarsh powiedział, że wyjechała do Paryża, ale do dziś nie ma stamtąd żadnych wieści.

Przypomniały mi się jego wcześniejsze słowa i smutek, z jakim je wymówił.

— Ale on martwi się o nią, Elzo. Sam mi o tym powiedział. Wspomniał, że chce zadeszować do jej rodziny, by dowiedzieć się, czy dotarła bezpiecznie.

— Jeśli w ogóle wypłynęła — mruknęła Elza, wpatrując się w czubek trzewika.

— Jeśli wypłynęła? No to gdzie jest, przynajmniej według tych plotek?

— Powiedziałam ci, że nikt tego nie wie.

Próbowałam wydusić z niej choć odrobinę więcej, by dało się to złożyć w jakąś sensowną całość, przynajmniej jako punkt wyjścia. Raz jeszcze przeanalizowałam jej słowa i zaczęłam z innej strony:

— Czy ktoś rozmawiał z nią w dniu... no, w tym dniu?

— To się stało rankiem — pokręciła głową. — Pokojówka myślała, że wyjechała razem z panem LaMarshem.

Wyjechała z panem LaMarshem! To by stawiało Jordana w bardzo niekorzystnym świetle.

— Teraz rozumiem — powiedziałam z ciężkim westchnieniem.

— Błagam cię, Margaret. Nikomu o tym ani słowa. Nie chcę stracić pracy, a reszta służby chyba też nie. — Widziałam, jak krew napłynęła jej do twarzy.

— Wierz mi, że nie chciałam powiedzieć nic złego. LaMarshowie dobrze mi płacą i...

— Nie bój się, Elzo — powiedziałam znużonym głosem. — Masz moje słowo. — Patrzyłam na jej nabrzmiałą krwią twarz. — Wiem, że powiedziałaś to z życzliwości i lęku o mnie. Dziękuję — sięgnęłam dłonią, by pogłodzić ją po ramieniu.

— No, pora na zakupy — podniosła się, patrząc czujnie w stronę drzwi. — Gdybym wiedziała, że tak długo tu zabawisz, ostrzegłabym cię prędzej.

Przed czym miałaby mnie ostrzec? Wszyscy dotąd robili jakieś aluzje, ale w najśmielszych myślach nie sądziłam, że ostrzegają mnie przed Jordanem. To raczej Marie lub pani LaMarsh wydawały mi się osobami, których należało się strzec.

— Nie martw się o mnie, Elzo — powiedziałam, starając się zachować chłodne oblicze.

Popatrzyła na mnie, mierząc mnie wzrokiem, pokiwała głową i wyszła z pokoju.

Leżałam w łóżku i oddzielałam to, co mi powiedziała, od tego, co już zdążyłam sama przemyśleć. Jeśli Angelika opuściła dom razem z Jordanem, czemu mi o tym nie wspomniał? A jeśli nie, może ktoś wie, dokąd się udała.

Pani LaMarsh jest pewna, że wróci, podobnie Marie. Z kolei Jordan powiedział z naciskiem, że nigdy nie wróci!

Przymknęłam oczy, starając się odpędzić od siebie kielkujące przeczucie. Czemu był tego tak pewny? Nagle usłyszałam w myślach jeszcze inny głos. Głos Belli, wróżbitki. Powiedziała mi, żebym się strzegła, żebym...

Zaraz, jak ona to określiła? Zagryzłam wargi, szukając w pamięci dokładnego brzmienia jej słów. Znów pulsowało mi w głowie. Przycisnęłam dłoń do skroni, by powstrzymać nawrót bólu, ale było już za późno.

Co mówiła Bella? Coś przeciw Jordanowi. Tyle pamiętałam. Ale co dokładnie? „Strzeż się...”

Nie spałam dobrze tej nocy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Artur powitał mnie w drzwiach apteki. Jeszcze nie dokończył, a już weszła Bella.

— No i jak zdrowie? — spytała, przyglądając mi się uważnie.

— Dziękuję, coraz lepiej. — Miała na sobie swój czerwony szal narzucony na szarą suknię, a włosy związane przepaską. Złoto kół w uszach i bransolet kontrastowało ze skórą w kolorze jasnego karmelu. Przed jej baczny spojrzeniem ukryłam się wśród szklanek na wodę sodową.

Porwał ją kaszel i ruszyła w stronę przyrządzającego syrop Artura. Wciąż zerknęła na mnie z ukosa, ale zignorowałam to. Wiedziałam, że nie pora zawracać sobie głowę osobistymi sprawami, skoro zależy mi na tej pracy. A jednak wpatrywałam się tępo w pustą szklankę, a myślami byłam wciąż przy Jordanie. Nie, nie czas myśleć teraz o nim ani o Angelice! Przemogłam się, gdy Bella zbliżyła się ku mej ladzie.

— Czekam tam, gdzie zawsze — szepnęła. — Mam pani coś ważnego do powiedzenia.

Jej czarne oczy błyszczały, a zaciśnięte usta były jak cienka kreska. Miała w rysach twarzy coś dzikiego, zupełnie jak wtedy, gdy przyszła do mego pokoju. Nagle wypuściłam z ręki szklankę, a ta rozprysnęła się w drobny mak na podłodze.

Bella zmrużyła po kociemu oczy, przycisnęła dłoń do ust i szybkim krokiem wyszła z apteki.

— Skaleczyłaś się? — spytał zafRASowany Artur.

— Nie — próbowałam uniknąć jego spojrzenia — po prostu szklanka wypadła mi z ręki.

Wkrótce potem, obsługując starszego jegomościa, natknęłam się na przechowywane pod ladą składniki do magicznych napojów. Olejek cytrynowy, destylat z liści cytryny i rozmarynu stały obok sporej nieoznakowanej butli. Sąsiednie zawierały pieprz z Afryki i Karaibów.

Gdy minęły godziny szczytu i odetchnęliśmy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, znów spojrzałam na specyfiki.

— Powiedz mi, Arturze, czy ci ludzie naprawdę w to wierzą?

— Pomyślałam sobie o mym obolałym ciele.

— Te ich kapłanki dałyby się za to posiekać. Co do mnie, nie mam zdania. Po prostu sprzedaję, gdy ktoś prosi.

— Podobno starszą tego bractwa jest niejaka Marie La veau — rzucił po chwili przez ladę. — „Arcykapłanką”, jak powiadają. Swą moc jakoby otrzymała od Zombi — boga węża i boją się jej jak diabła. Miała córkę — też Marie — ponoć dorównującą jej mocą. Gdy obie razem zabrały się do dzieła, ludzie szeptali o tym tygodniami.

Przerwał i spojrzał na ulicę.

— Jeden z mych klientów miał kiedyś do czynienia z córką. Zdaje się, że coś tam jej przygadał na ulicy. Umarł tej samej nocy na jakąś nieznaną chorobę i oczywiście wszyscy mówili, że to za jej sprawą. Ale inni mówią, że nieraz pomogły ludziom w chorobie. Sam nie wiem.

— Dziwi mnie trochę, że trzymasz takie rzeczy w aptece — powiedziałam, długo analizując jego słowa.

— Same składniki są zupełnie nieszkodliwe. Widzisz przecież, co zawierają te butle. Każda kapłanka voodoo miesza je w specyficzny sposób, a tajemnica sukcesu leży w proporcjach — mówiąc po aptekarsku. W końcu w aptekach trzyma się o wiele groźniejsze środki — wskazał ręką na rząd buteleczek na najwyższej półce.

— Choćby morfinę — to już grozi nałogiem. Podobnie jak niektóre gatunki ziół, które rosną tu na dziedzińcach domów. W rękach kapłanki też mogą być niebezpieczną bronią. — Zachichotał, odsunął wagę i zamknął szufladę. — Lepiej za bardzo nie nabijać sobie tym głowy. Pan LaMarsh... starszy pan LaMarsh — martwił się bardzo, że te rzeczy są tak łatwo dostępne. — Znowu przerwał i wbił wzrok w witrynę apteki. — Chyba za bardzo się tym przejmował. Podejrzewam, że to właśnie skróciło mu życie. Spojrzałam na Artura z ciekawością.

— Opowiedz mi coś o nim. Jaki to był człowiek? — Oczywiście chodziło mi znów o Jordana, który w moim przekonaniu musiał odziedziczyć więcej cech po ojcu niż po matce. Przynajmniej fizycznie nie wydawał się do niej podobny.

— Bardzo zacny — powiedział Artur z westchnieniem. — Miał otwarte serce dla każdego, kto się tu pojawił. No i bardzo przejmował się swoją rodziną. Pewnego ranka, gdy jechał właśnie powozem do pracy, serce odmówiło mu posłuszeństwa. Już wcześniej skarżył się na bóle w piersiach. Myślę, że to wszystko ze zgrzyoty — dokończył cicho.

— Czym się właściwie tak gryzł? — podeszłam i stanęłam przy Arturze. — Mówiłeś o aptece i o chorych ludziach, którym starał się pomóc. A rodzina? Czy nią też się trapił? — Wiedziałam już sporo o tych sprawach, ale chciałam usłyszeć i jego opinię.

— Martwił się — spojrzał w sufit — martwił się o Marie. Wiesz, jaka jest rozkapryszona. Wydali fortunę na bale i wieczorki zapoznawcze, jak to w kreolskich rodzinach. Mieli lożę w operze i mnóstwo młodzieńców wpadało tam z nią poflirtować. Ale ona nawet nie zwracała na nich uwagi. — Pokręcił głową z dezaprobatą. — Dla niej istniał tylko Ludwik.

— Ludwik? — Próbowałam przypomnieć sobie, gdzie już słyszałam to imię.

— Ludwik — zniżył głos do konfidencyjnego szeptu, choć oprócz nas nie było w aptece nikogo — ten, który pracował tu przed tobą jako subiekt. Bystry był z niego chłopak, ale nie praca była mu w głowie. Nie ufałam mu na tyle, by powierzyć mu lekarstwa, a zbyt się cenił, by sprzedawać wodę sodową. Też się przysłużył panu LaMarsh.

Słuchałam, wyobrażając sobie, do czego musiało dojść w takiej jak ich rodzinie.

— A tak w ogóle — powiedział Artur sięgając po kasetkę z pieniędzmi — winien ci jestem za kilka dni. Sądzę, że przydałyby ci się pieniądze — dodał unikając mego wzroku.

— To miło z twojej strony, Arturze. Muszę wreszcie zapłacić komorne.

— Nie o komorne mi chodziło — powiedział zakłopotany. — Pan LaMarsh mówił mi o wypadku i o tych koślawych schodach. Wspomniał, że po tym wszystkim nawet nie śmiałyby wziąć komornego.

Przez chwilę stałam jak wryta.

— Oczywiście, że mu zapłacę. To była jedynie moja wina. Spojrzał na mnie uważnie i zanim swoim zwyczajem zdążył wtulić głowę w ramiona, spostrzegłam coś nowego w jego twarzy. Już chciałam zapytać, o co mu chodzi, ale zabrakło mi słów. Może to tylko wyobraźnia, ale wydawało mi się, że chciał powiedzieć coś więcej.

Wrócił do kantorka i uporządkował biurko.

— No to do jutra. — Wzięłam torebkę i ruszyłam w stronę drzwi.

— Do jutra... Margaret — rzekł cichym głosem. Nie uniósł głowy, ale zauważyłam, że się zarumienił.

Po wyjściu z apteki spojrzałam w stronę Jackson Square i przypomniałam sobie o Belli. Powiedziała przecież, że chce ze mną porozmawiać. Teraz i ja miałam na to ochotę, ponieważ nie traktowałam już tak lekko jej ostrzeżeń.

Siedziała przy swym stoliku i wpatrywała się ponuro przed siebie. Ledwie rzuciła na mnie okiem, złapał ją kaszel. Nie wyglądała za dobrze.

— Chciała pani ze mną porozmawiać. — Usiadłam na krzeselku przeznaczonym dla klientów.

Skinęła głową, wciąż nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

— Powróżyć? — doszła wreszcie do siebie.

— Czemu nie? — Spojrzałam na listki w miseczce. — Ale chyba nie po to mnie pani tu wzywała?

— Mówiłam ci, że to niedobre miejsce. Niezdrowe... niebezpieczne!

— W jej czarnych oczach pojawił się znów błysk.

— Czemu mi pani to mówi?

— Pokaż dłoń!

Zrobiłam to z ociąganiem. Przez chwilę wpatrywała się w moją dłoń w milczeniu. Potem zaczęła wodzić małym palcem po liniach w samym jej środku. Wreszcie zapadła się w krzesło i spojrzała mi głęboko w oczy:

— No?

Ta baba działała mi na nerwy; a może tylko jej niespokojne spojrzenie po obejrzeniu mej dłoni.

Sięgnęła po talię kart i przetasowała je bez słowa. Potem rozłożyła je na stoliku koszulkami do góry.

— Pokaż jedną.

Przez chwilę wahałam się i wskazałam palcem. Uniosła ją i szybko puściła. Kartka poszybowała na ziemię.

— Królowa pik — westchnęła i z pasją zaczęła tasować talię.

— Co to znaczy?

— Królowa pik znaczy... — złapała się za piersi, jakby chcąc powstrzymać kolejny atak kaszlu — ... znaczy śmierć!

— Straszy mnie pani — zachnęłam się.

— Joseph LaMarsh też tak mówił — szepnęła, wzruszając ramionami. — A ostrzegałam go.

— Ostrzegała go pani? Przed czym?

— Nie przed czym, ale po czym. Po tym, jak wyciągnął królową pik. Dwa dni i już go nie było. Siadło mu na piersi.

Przypomniało mi się, że Artur postawił w sumie dość podobną diagnozę.

— Myśli pani, że to było przyczyną?

— Zatrzymał wtedy powóz i powiedział, że mnie podwiezie. Źle z nim było. Zaproponowałam, że przyrządzę mu lek. Nie chciał. Wysiadłam. No i tyle go widziałam.

Słuchałam jej i wciąż coś kołatało mi w głowie.

— Umie pani przyrządzać takie leki? — Przypomniały mi się butle pod apteczną ladą.

— Są różne leki i różni pacjenci — wzruszyła ramionami, tasując karty.

— Z pani ostrzeżeń wynika, że powinnam się wynieść z domu LaMarshów?

— mówiąc to, uważnie badałam jej twarz.

Milczała, kręcąc głową, i wpatrywała się w manipulujące kartami drobne, smagłe palce.

— Czy może nie powinnam? — Czekałam, aż powie coś konkretnego.

— Nie z domu. Z Nowego Orleanu — powiedziała wreszcie, wodząc oczyma gdzieś w przestrzeni.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wynieść się z Nowego Orleanu? Czysty nonsens. Czemu miałabym się stąd wynosić? Dom LaMarshów to co innego. Sama miałam taki zamiar, ale zaraz po wypadku byłoby to zbyt ostentacyjne.

Przynajmniej miałam powód. Marie i pani LaMarsh. Obie nie życzyły tu sobie mej obecności i rozmyślałam nad tym, wracając do domu z głową ciężką od emocji tego dnia. Gdy skręciłam w Royale Street i spojrzałam na wysoki ceglany mur, spadzisty dach i wierzchołki zielonych drzew, poczułam ukłucie w sercu.

Pomimo wszystko nie chciałam się stąd wynosić. Ale równie trudne było znalezienie racjonalnego uzasadnienia dalszego pobytu.

Zatrzymałam się przy tylnej furtce. Poczułam, że burzy się we mnie krew mych przodków. Ileż wycierpieli moi dziadkowie, zanim stanęli jako tako na własnych nogach tu, w Ameryce! Czym była jakaś stara histeryczka i jej rozkapryszona córka w porównaniu z przeciwnościami losu, którym musieli stawiać czoło na tej nowej ziemi?

Byłabym idiotką, dając się przepędzić dwóm babskom. Weszłam na dziedziniec i pełną piersią chłonełam zapach róż i forsycji. Powiodłam naokoło wzrokiem. Przytulna wozownia, krzaki róż, fontanna — wszystko to było niepospolicie piękne. Jordan sam prosił, bym została. Do tego pamiętam wciąż jego szczęśliwą twarz wtedy nad rzeką.

Teraz najważniejszą rzeczą było ustalić, komu właściwie mam ufać. Najważniejsze to nie zgubić się wśród tylu sprzecznych rad i ostrzeżeń. Ale komu tu wierzyć? Zacznej, ale lekko postrzelonej Elzie? Tej Cyganisze, nie widzącej świata poza kartami, liniami dłoni i listkami herbaty? Rozpuszczonej Marie, zgorzkniałej po odejściu ukochanego? Schorowanej, podstarzałej kobiecie, miotającej się pomiędzy lekami i atakami hysterii? Jordanowi? Zadurzyłam się w nim pomimo ostrzeżeń Elzy i pogłosek krążących wśród służby. A poza tym czułam się wobec niego zobowiązana. W końcu zawdzięczałam mu pracę i mieszkanie. Czy mógł uderzyć Angelikę? O jakiejś dwuznacznej roli w jej zniknięciu wolałam nawet nie myśleć. Ale przecież Angelika nie zniknęła. Przecież zostawiła kartkę, że wraca do domu.

A któż widział tę kartkę? — słowa Elzy nie dawały mi spokoju.

Z ciężkim sercem otworzyłam drzwi wozowni i... ujrzałam tego człowieka!

Stał pochylony nad czymś w najciemniejszym kącie, ale na dźwięk otwieranych drzwi uniósł szybko głowę.

— Co ty tu robisz? — krzyknęłam na widok Clarence'a.

— Ano trutkę sypię, co by szczury i myszy nie zżarły nam uprzęży. Teraz tyle tego plugastwa w Nowym Orleanie, że lada dzień i nam się do skóry dobiorą.

Zadrżałam z obrzydzenia, choć wiedziałam, że mówi to nie gwoli informacji, lecz tylko po to, by mnie przestraszyć.

Przez chwilę wpatrywałam się w jego ciemną twarz. Głębokie bruzdy na czole, pod oczyma i wokół ust nadawały mu wyraz znużenia. Nakładały się na siatkę drobnych zmarszczek biegnących od policzków ku zwiotczącej skórze szyi. Robił wrażenie kogoś, kto żył bardzo długo i nie zaznał zbyt wiele szczęścia na tym padole.

Matowe białka głęboko osadzonych oczu patrzyły nie bez oczekiwania mojej reakcji na wypowiedziane słowa. Nie chciałam, by pomyślał, że się go lękam, ale wyraz tej twarzy wzbudzał we mnie dreszcz.

— Chciałam zapytać cię o twego przyjaciela — powiedziałam ostro.

— Przyjaciela?

— Tak, tego, który był tu przed kilkoma dniami. Widziałam go przy piwnicy na wino. Elza powiedziała, że przyszedł do ciebie. — Nie było to takie pewne, ale postanowiłam zablefować.

— Dużo ludzi do mnie przychodzi — wzruszył wychudłymi ramionami pod roboczą bluzą. — Kupić, sprzedać...

— Zgadza się. Ten człowiek jest domokrażcą. Widziałam go z taczkami na Jackson Square.

— Pewnie ten, co się go panienka wystrachała? Pan Jordan coś mi tam gadał, ale takiego, jak opisał, to ja nie znam.

— Musisz go znać! — spojrzałam mu prosto w oczy. — Był tu na dziedzińcu. Kogo innego mógłby tu szukać?

— A co mi do tego? — Usiadł i zaczął manipulować przy uprzęży.

Nie. Tak łatwo nie dam się zbyć.

— Pamiętajcie, Clarence, że jeśli zobaczę go tu raz jeszcze, dam znać na policję.

— Panienki wola — mruknął i ostentacyjnie skupił się na jakichś starych lejcach.

Wiedziałam, że więcej z niego nie wyduszę. Łgał, ale jak mogłam to udowodnić? Przynajmniej ostrzegłam go i jeśli nie jest głupi, przekaże to domokrażcy.

Obolała i roztrzęsiona wdrapałam się na piętro. Sięgnąwszy do torebki po klucz, zerknęłam raz jeszcze w dół. Clarence wciąż mocował się z uprzężą.

Z ulgą zamknęłam za sobą drzwi. Popatrzyłam na świeże barwy na nie dokończonym płótnie i z nową otuchą otworzyłam okno.

Zapach z ogrodu był równie świeży. Padłam na łóżko i powierzyłam problemy miękkości materaca.

Już miałam zapaść w błogą drzemkę, gdy na schodach rozległy się pośpieszne kroki. Poderwałam się, mając przed oczyma podłg, cyniczną gębę Clarence'a.

Delikatne stukanie.

— Margaret? — To był głos Elzy.

Z najwyższym trudem powlekłam się ku drzwiom.

— Wejdz, Elzo. — Zdażyłam rzucić okiem na wozownię. Clarence'a już nie było.

— Czy dolne drzwi były otwarte? — spytałam niby mimochodem. Jeśli potrafi otwierać je i zamykać tak bezszelestnie, może i przed nim lepiej mieć się na baczności.

— Na oścież. A o co ci chodzi?

Odczekałam, aż wejdzie, zamknęłam drzwi i zapytałam:

— Powiedz mi coś, Elzo, o tym Clarensie. Przed chwilą robił coś przy uprzęży, gadał o jakichś szcurach i...

— Wiem tyle, co widzę. Nie umiem czytać w myślach jak Bella. Dla mnie to dziwak, ale raczej nieszkodliwy.

— A nie przyznał ci się, że zna tego domokrażcę?

— Jakiego domokrażcę?

— Przecież wiesz, o kim mówię! Tego z dziedzińca i z Jackson Square. Nie udawaj, Elzo, że nie pamiętasz.

— Pamiętam, pamiętam, ale nie domokrażca, a ktoś inny przysłał mnie tu z zaproszeniem.

Natychmiast cała reszta wywietrzała mi z głowy.

— Starsza pani zaprasza jutro wieczór na pokoje. Za smakołyki to już ja ręcę.

— Kogo zaprasza, mnie? — Wszystkiego bym się prędzej spodziewała.

— Przecież nie mnie, Margaret. Mówiłam ci, że to nieobliczalna baba.

Wypadało odmówić, ale wrodzona ciekawość wzięła górę.

— Przyjdę.

— Kolację podaje się tu o siódmej — spojrzała ukradkiem w stronę drzwi.
— Głowa do góry, Margaret. Tylko bądź sobą.

— A kim miałabym być? — rzuciłam, gdy stała już w drzwiach. „Tylko, że kim ja właściwie jestem?” — dodałam w myślach, gdy już wyszła.

Gdy po zachodzie słońca zaczytywałam się po raz kolejny mym ukochanym Hawthornem*, usłyszałam, że drzwi wozowni uchylły się i zamknęły.

* Hawthorne Nathaniel (1804—1864) — pisarz amerykański, autor powieści i opowiadań (najbardziej znana „Szkarłatna litera”), cechujących się atmosferą grozy i analizę mrocznych stanów ludzkiej duszy.

Skrzypienie schodów. Pomna doświadczeń, przybrałam postawę obronną.

— Kto tam? — odpowiedziałam na delikatne stukanie.

— To ja, Marie.

A cóż ją mogło tu sprowadzać? Przekreśliłam klucz i otworzyłam drzwi. Stała okryta peleryną, a spod naciągniętego na oczy kaptura niemal nie było widać twarzy.

— Chcę, żeby pani udała się gdzieś ze mną — oznajmiła krótko.

— Przepraszam? Chyba nie dosłyszałam?

— Błagam panią! Muszę gdzieś wybrać się dzisiejszej nocy, a sama się boję. Jordana nie ma w domu, a Frances... — zagryzła wargi.

— Frances zaraz by wszystko wygadała Maman. Tylko pani mi została.

W pierwszej chwili chciałam powiedzieć, że nie interesują mnie jej komedie, na równi z Frances i Maman, i zatrzaskać jej drzwi pod nosem. Nagle przypomniało mi się, co wspomniała Elza o Angelice. Nie mogłam pozbyć się ciekawości co do przyczyny jej zniknięcia. Wiedziałam, że Marie to komediantka, ale może rzuci nieco światła na tę sprawę.

— Proszę bliżej.

Podawała mi drugą pelerynę.

— Trochę może za krótka na panią, ale pod kapturem i tak nikt nie rozpozna twarzy.

— A czemu miałabym ukrywać własną twarz?

— Proszę o nic nie pytać, tylko nałożyć to i iść ze mną. Zapłacę, ile sobie pani zażyczy.

— Zarabiam na życie w aptece, panienczko — oświadczyłam krótko i dobitnie.

Wzniosła oczy ku niebu i czułam, że wiele ją kosztowało, by nie wybuchnąć. Ale pohamowała się. To, że potrafiła wziąć się w karby, jeszcze bardziej wzmogło mą ciekawość.

— No to chodźmy.

Gdy wiązałam wysokie trzewiki, stała w drzwiach, przebierając nogami i nerwowo zerkając za siebie. Przynajmniej w jednym miała rację. Jej peleryna sięgała mi do kolan.

— Może wyjaśni mi pani, gdzie właściwie idziemy?

— Na takie... spotkanie — wyjąkała po długim wahaniu. — Charles czeka w powozie. Przekupiłam go, by nas tam zawiózł i nikomu się nie przyznał.

Byłam już na schodach, ale na dźwięk słów „przekupiłam” i „nie przyznał” stanęłam jak porażona.

— No to najpierw powie mi pani coś więcej o tym spotkaniu.

— Powiem w drodze.

— Wolnego! — spojrzałam na zdezelowane schody. — Czemu właściwie mam pani ufać? Nie dalej niż kilka dni temu poleciałam tędy na głowę i wcale nie jestem pewna, czy był to nieszczęśliwy wypadek.

— Niech już sobie pani daruje ten teatr. Mamy mało czasu. Przysięgam, że to nie ja grasowałam wtedy w wozowni. Proszę spytać Frances lub Maman. Spędziłam wtedy z nimi cały wieczór. Zgasiłyśmy lampy, a Frances zeszła na dół, bo wydawało jej się, że słyszy jakiś dźwięk. Jakby pukanie do drzwi. Położyłam się, a zaraz potem rozpętało się tu piekło. Jeśli Frances i Maman też pani nie wierzy, proszę zapytać pokojówki. Ma na imię Calissa. Stała przed oficyną, gdy wybiegłam na ganek. Widziała mnie tam, jak ja teraz widzę panią. — Wpatrywała się we mnie rozgorączkowanym wzrokiem. — Błagam, niech mi pani uwierzy, że tamtej nocy to nie byłam ja! Po cóż miałabym to robić?

— A choćby po to, żeby przestraszyć mnie i przepędzić z tego domu.

— Przysięgam... to nie byłam ja. Pojedzie pani ze mną? Zaniechałam dalszej dyskusji i przekreśliłam za sobą klucz w drzwiach. Wiedziałam, że głupio robię, ale chyba mówiła prawdę.

Przemknęłyśmy się chyłkiem przez wozownię i dziedziniec. Może nie całkiem chyłkiem, bo obcasy Marie grzmiały niczym gradobicie po spowitych światłem gazowych latarń kamiennych płytach. Próbowałam dotrzymać jej kroku, wpatrując się w okna rezydencji. Żadnej twarzy.

Przez boczną furtkę wymknęłyśmy się na ulicę, gdzie czekał powóz. Charles zwłókł się z kozła i raczył uchylić nam drzwiczki. Nie zapomniał obrzucić mnie czujnym spojrzeniem.

— Szybko do środka! — usłyszałam dyszenie Marie za plecami.

Wskoczyłam do powozu i z ciekawością przyjrzałam się jej twarzy, korzystając ze światła ulicznej latarni. Znać było, że panuje nad sobą resztkami sił.

Wyglądziłam suknię czując, że popełniam największy błąd mego życia.

— No to gdzie właściwie jedziemy? — zapytałam stanowczo, gdy powóz zakołysał się i ruszył.

— Ten mężczyzna... pamięta pani... ten, z którym rodzice nie pozwolili mi się spotykać... Ludwik. Tato przepędził go. — Wbiła we mnie wzrok, a dłonie w rękawiczkach poczęły wściekle miąć fałdy spódniczki.

Przypomniałam sobie rozmowę w jej pokoju. Spojrzałam przez okno. Przyćmione światła ulicznych latarni mieszały się z dobiegającym z kabaretów zgiełkiem.

— Podobno ma tam być.... tam, gdzie jedziemy... — Czułam, że i mnie udziela się jej histeryczny nastrój. — ...jest pisarzem... pisarzy interesują różni tacy dziwni ludzie... więc pewnie tam będzie. A zresztą skąd mam wiedzieć? Ktoś mi szepnął, że może jednak będzie, więc co nam szkodzi popatrzeć z ukrycia?

— Jacy dziwni ludzie? Dokąd my właściwie jedziemy? Długo ważyła słowa.

— Słyszała pani kiedyś o Marie La veau?

— Tej czarownicy?

— Tak, właśnie o niej. Odprawiają obrzędy nad jeziorem. Charles zatrzyma się w bezpiecznej odległości. Podejdziemy przez las i staniemy z daleka. Jeśli Ludwik będzie tam, poznam go z łatwością. Ma jasne włosy i bladą twarz.

Jechałyśmy w milczeniu, ona zagubiona w myślach, a ja kombinując, jakby wykorzystać tę zwariowaną nocną przejażdżkę dla własnych celów. Lepsza okazja, by wyciągnąć coś więcej z Marie, szybko mi się nie nadarzy. Tylko jak by tu zejść na delikatną kwestię Angeliki?

— Czy Angelika akceptowała twoje uczucie do Ludwika? — spytałam, zebrawszy się na odwagę.

— Angelika? Czemu pani... czemu mnie o to pytasz?

— Pytam, bo sądzę, że w waszej rodzinie tylko ona mogłaby wziąć twoją stronę. Gdyby nie wyjechała, pewnie ona, a nie ja, tłukłaby się teraz z tobą powozem w środku nocy.

Wyjechałyśmy już z miasta, było ciemno i nie mogłam dostrzec jej twarzy. Czemu nie zadałam tego pytania jeszcze w wozowni?

— Za nic by mi nie pomogła. Myślała tylko o sobie. — Zabrzmiało to gorzko i postanowiłam kuć żelazo, póki gorące.

— Przesadzasz, Marie. Każdy z nas czasem robi coś dla swych najbliższych. Grałam z premedytacją naiwną.

— Ale nie ona. I ani słowa więcej o tej samolubnej gęsi! Nigdy by mi nie pomogła. No ale dojeżdżamy. — Przycisnęła twarz do szyby, a ja głęboko rozważałam jej słowa.

A więc siostrzyczka i jej szwagierka nie darzyły się przesadnym uczuciem. Czemu więc oczekiwała jej powrotu? Przynajmniej co do tego nie powinnam mieć żadnych wątpliwości. Może, widząc uczucie brata, czyniła to tylko z myślą o nim? A może nie.

Powóz zatrzymał się. Z oddali dobiegł mnie dźwięk przypominający jednostajne dudnienie. Bębny? A potem cierpki zapach niosący się przez mrok.

Drzwiczki uchyliły się, a spowita niesamowitym pomarańczowym światłem twarz Charles'a zdradzała głęboką dezaprobatę.

— Czy panienka chce naprawdę... — zaczął.

— Siedź cicho i pomóż nam zejść! — przerwała mu w pół słowa. Wyszła z powozu, a ja z ociąganiem za nią. Stałyśmy na skraju lasu.

Między drzewami dostrzegłam sylwetki ludzi zgromadzonych wokół ogniska. Powietrze drżało od rytmu bębnow, a teraz słyszałam i śpiewy.

— Nie puszczę panienek samych — zdobył się na odwagę Charles.

— Chyba nie sądzisz, że pójdziemy tam bez ciebie? — zachnęła się Marie. — Ale masz stać z boku i żebyś nikogo nie sprowokował.

— Pójdę pierwszy — powiedział cicho, lecz stanowczo i ruszył wijącą się wśród winorośli ścieżką.

Zastanawiałam się, co by powiedział Jordan, widząc swego stangreta prowadzącego Marie na tak osobliwe zgromadzenie. Odpowiedź była jednoznaczna. Chyba tym razem nie skończyłoby się na ustnej naganie. Ale czy nie miałam większych problemów?

Próbowałam zorientować się w terenie, odpychając od twarzy omszałe gałęzie dzikich cyprysów, które muskały mnie niczym złośliwe elfy prowadzące w bagno zbłąkanych wędrowców.

— Jak będzie coś nie tak, zawsze możemy czmychnąć do powozu po własnych śladach — mruknął przez ramię Charles.

— Ciszej, na Boga! — syknęła Marie. Naciągnęła kaptur jeszcze głębiej na oczy, a ja też. Bębny i śpiewy niosły się to ciszej, to głośnie.

Nagle zgiełk przybrał na sile, jakby zgromadzony wokół ogniska tłum rozsunał się na boki. Ponad akompaniament wzbił się przeraźliwy skowyt. Charles zatrzymał się gwałtownie i gestem kazał nam zrobić to samo.

Po przeciwnej stronie ogniska wyłoniło się z gąszczy kilka postaci. Ich pomalowane torsy chwiały się w przód i w tył pod rytm bębnow. Nagle czarna sylwetka, odziana jedynie w przepaskę na biodrach, poszybowała w górę, a zaraz po niej druga i trzecia.

Marie pisnęła, a ja zdążyłam zacisnąć usta pomimo przeszywającego mnie dreszczu grozy. Zakłóciłyśmy jakieś misterium. Wiedziałam, że gdyby przyłapano nas na tym, źle by się to skończyło. Stałyśmy tak blisko, że nawet twarze uczestników zgromadzenia były widoczne. Na pewno nie było wśród nich żadnego blondyna. Nawet smągła twarz była wyjątkiem wśród czarnych obliczy.

Teraz i reszta poszła w tany. Charles, Marie i ja patrzyliśmy ukryci za drzewami na wirujące ciała, ledwo okryte pstrokatymi łachami.

Dostrzegłam wielki, zawieszony nad ogniskiem czarny kocioł. Jedna z kobiet zawyła, uniosła rękę i coś trzepoczącego zniknęło w jego czeluściach. Zabulgotało i rozszedł się śwąd.

— Pora wiać! — wykrztusił z siebie Charles, a białka jego oczu błysnęły ku nam z ciemności.

— Jeszcze chwilę — szepnęła Marie. Nim dokończyła, dziki wrzask rozległ się wokół ogniska. Zbliżyła się doń jakaś kobieta, wymachując trzymanym w ręce kurczakiem. Przez moment szarpał się w jej uniesionej dłoni, zagdakał i też wylądował w tyglu. Uderzył nas śwąd palącego się pierza.

Nie zdążyłam zamknąć oczu, a z kręgu wyłoniła się inna kobieta. Wysoka, majestatyczna, o stosunkowo jasnej cerze i rysach twarzy, których nie sposób zapomnieć. Tłum rozstał się przed nią, czy to z szacunku, czy ze strachu. Wystające kości policzkowe i orli nos zdradzały indiańskich przodków, a jasna karnacja świadczyła o europejskich korzeniach. Z dumnie uniesioną głową podeszła do ogniska, kołysząc lubieżnie biodrami. Biust falował pod pospolitą wiejską sukienką. Przystanąła, odchyliła w tył głowę, a złoty naszyjnik zalśnił w płomieniach ognia. Znów opuściła głowę i powoli zmierzyła wzrokiem gąszcz, w którym się kryliśmy.

— W nogi! — zakomenderował Charles.

Daliśmy całą trójką nura w zarośla, szukając po omacku ścieżki.

Zza pleców dobiegi nas ostrzegawczy okrzyk, a bębny ucichły jak nożem uciał.

Czułam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale teraz szło już o życie. Charles dopadł pierwszy powozu i błyskawicznie otworzył drzwi. Zauważyłam, że w jego dłoni błysnęło coś metalowego. Rewolwer!

W ustach miałam zbyt sucho, by wymówić słowo. Wskoczyłam do środka za Marie, ani myśląc o obolałych po upadku mięśniach. Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona, przed oczyma mając wciąż dymiący kocioł, wrywającego się kurczaka, a bez wątpienia i nasz los, gdybyśmy nie zdążyli ujsć w porę...

Usłyszałam trzask bata i schrypnięty głos Charles'a poganiający konie do galopu. Coś uderzyło w tylną ścianę powozu, a zaraz potem grad kamieni załomotał w drzwi.

Marie zaszlochała i skuliła się na podłodze, kryjąc się pod peleryną. Odrzuciłam kaptur i przyjrzałam się jej, zaniepokojona, czy przypadkiem nie oberwała kamieniem. Ale szyby były całe. Po prostu szalała z przerażenia, na co zresztą w pełni sobie zasłużyła.

Minęła wieczność, nim powóz zaczął zwalniać. Wyjrzałam przez okno. Gościniec za nami był pusty. Pewnie zaniechali pościgu i wrócili do swych misteriów.

Padłam na oparcie, odetchnęłam i próbowałam zebrać myśli. Żadna z nas nie odezwała się słowem aż do Vieux Carré.

Wreszcie Marie zdobyła się na odwagę i z jękiem zawodu wdrapała się na siedzenie:

— Nie było tam Ludwika — wyszeptała drżącym głosem.

Na zewnątrz zaczęły migać latarnie i spostrzegłam, że twarz ma bladą jak płótno. Zastanawiałam się, czy i ja wyglądam podobnie.

Końskie kopyta przeszły w stateczny kłus i pomyślałam sobie, co musi się dzieć w głowie Charles'a. A potem moje myśli pobiegły ku Fountain Court.

— Co zrobimy, jeśli ktoś będzie czekał na nas przy bramie? Pomyśl o tym, Marie.

— Nie wiem, ale nie mnóż już problemów. Dość się najadłam strachu.

Rozsuplałam pod szyją pelerynę, czując, że cała płonę, a po karku i plecach spływają mi strużki potu.

— Dziękuję ci, że pojechałaś ze mną — rzuciła. — Zapłacę ci za kłopot.

Zdjęłam pelerynę i cisnęłam jej na kolana.

— Płacić to możesz Charles'owi! Pojechałam, bo mnie o to poprosiłaś. Ale nawet nie próbuj namawiać mnie raz jeszcze na coś takiego.

— Myślisz, że przeżyłabym drugą taką noc? Chciałam tylko zobaczyć, czy tam będzie, ale sama widziałas... — Głos odmówił jej posłuszeństwa, a powóz właśnie zatrzymał się przed bramą.

Wydostała się sama, nie czekając na pomoc ze strony Charles'a.

— Bierz! — Usłyszałam, jak ciska mu kilka monet w nadstawioną dłoń. — A to za milczenie. — Brzęk rozległ się ponownie.

Wysiadłam z powozu, unikając spojrzenia stangreta. Wiedziałam, że czuje się nieswojo w mojej obecności. Przypuszczalnie zawdzięczałyśmy mu życie. Co do Marie, pragnęłam tylko, by nigdy nie pokazywała mi się na oczy.

Z rozwianymi włosami i ogniem na policzkach przebiegłam przez dziedziniec. Na szczęście nikt nie kontemplował gwiazd z ławeczki, ani nieba z okien domu.

Wślizgnęłam się do wozowni, wdrapałam chyłkiem po koślawych schodach i resztkami sił znalazłam w torebce klucz.

Dopiero gdy przekręciłam go od wewnątrz, uświadomiłam sobie, że drzę jak w febrze.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rozebrałam się i zapadłam w kamienny sen. Obudziło mnie słońce, przebijające się z trudem przez narzutę, którą zawiesiłam w oknie.

Poderwałam się, a głowę miałam wciąż pełną nocnych wspomnień: bębny, oszalali tancerze, kocioł, swąd kurczaka, nasz rozpaczliwy bieg przez leśny gąszcz...

W kwadrans umyłam się, ubrałam i wymknęłam przez tylną furtkę. Dopiero gorąca kawa i rogaliki w narożnej kawiarni przypomniały mi, że warto spojrzeć w lusterko. Tym razem nie musiałam szczypać się w policzki. Nocne przeżycia sprawiły, że twarz miałam wciąż jak w gorączce, w oczach zmęczenie, za to włosy spadające mi na ramiona zdołałam spiąć klamrą. Nie była to premedytacja. Po prostu upięłam je tak jeszcze wczoraj wieczór, gdy szykowałam się do opuszczenia Fountain Court, nim wyciągnięto mnie na nocną wyprawę.

Perkalowa sukienka, lżejsza i mniej oficjalna niż moje dwie pozostałe, może i odpowiadała memu rozwichrzonemu nastrojowi.

„Ale z ciebie idiotka, Margaret” — powtarzałam sobie, zagryzając gorącą kawę rogalikami. — „Pomagasz komuś, kto cię nie znosi i już pewnie dawno zapomniał o przysłudze”.

Przeklinałam właśnie swą głupotę, gdy nagle drzwi kawiarni otworzyły się i ktoś by, jak nie Jordan LaMarsh, stanął w progu.

Błyskawicznie odsunęłam talerzyk, filiżankę, otarłam serwetką usta i złapałam torebkę.

— Dzień dobry! — zawołał, omijając puste stoliki, bo tylko garstka porannych gości raczyła się wczesną kawą.

— Czy można?

— Oczywiście, ale ja już znikam — odparłam, patrząc na sąsiednie krzesło.

— Nie zabiorę pani wiele czasu. — Skinął ręką na kelnera. — Chciałbym porozmawiać o Riverville.

— O Riverville? — Mimowolnie spojrzałam na czarny surdut i śnieżny gors koszuli. Z najwyższym trudem skupiłam się na poszukiwaniu drobnych w portmonetce, aby tylko nie myśleć o tej smagłej twarzy i arystokratycznych manierach.

— Dostałem właśnie zlecenie od jednego z tamtejszych dzierżawców. Pomyślałem, że skoro mam podrzucić mu wstępne szkice, moglibyśmy wybrać się tam razem. Przy okazji odwiedziłaby pani swe rodzinne strony.

Przez moment czułam przejmującą nostalgię za tym sennym miasteczkiem nad Missisipi i znajomymi twarzami, ale przypomniałam sobie, że nie mam już tam do kogo wracać.

— Po śmierci babci sprzedałam nasz dom.

— Nie wiedziałem. — Przyjrzał się uważnie mej twarzy, a ja, nie wiedząc czemu, odgarnęłam pukle włosów na kark.

— Tak czy inaczej, przejażdżka na wieś dobrze pani zrobi.

Co miał na myśli? Może jednak trzeba było poszczypać się w policzki? Przecież nie odmówię mu wprost, więc spróbujmy oględnie:

— To bardzo miło z pana strony, ale na mnie już czas. — Sięgnęłam do portmonetki, ale zatrzymał moją dłoń i znów zrobiło mi się gorąco.

— No to może przynajmniej pozwoli pani postawić sobie kawę? Wydawało mi się, że wszyscy poranni klienci patrzą na nas i wymieniają jednoznaczne komentarze. Do pełni szczęścia brakowało tylko sporu o płacenie rachunku.

— Pozwolę. No to na razie...

Wybiegłam z kawiarni, ignorując ciekawskie spojrzenia. Na chodniku odetchnęłam z ulgą, ale zaraz zaczęłam się zastanawiać, co tam teraz o nas mówią. Trzeba go unikać. Wprawdzie Angelika puściła go kantem, ale co żona, to żona. Ech, gdyby babcia widziała, jak to jej Margaret zadaje się w kawiarni z żonatym mężczyzną!

Ale przecież jest też moim pracodawcą... i gospodarzem. Co złego w rozmawianiu z pracodawcą? Jednak jakoś gryzło mnie sumienie. Co innego rozmowa, a co innego... Gdy przypomniałam sobie uścisk jego ramion i dotknięcie ust, oczy zasły mi łzami. Co się z tobą dzieje, Margaret?

Zanim dotarłam do apteki, stoczyłam ciężką bitwę. Moje sumienie było rozdarte między chęcią pozostania w Fountain Court a koniecznością powrotu do Riverville. Czułam, że moja wrodzona samodzielność ustępuje miejsca potrzebie czyjejs opieki.

Przywitałam się z Arturem chłodniej niż zazwyczaj i przez cały dzień nie podnosiłam nosa znad wody sodowej.

— No to do jutra — pożegnał mnie, gdy z ciężkim sercem opuszczałam aptekę.

Postanowiłam wracać okrężną drogą, licząc, że fizyczny wysiłek ukoi moje nerwy. Zagłębiłam się w uliczki Vieux Carré, mijając sklepy i kabarety, i pacząc tylko, by nie pomylić północy z południem. Najważniejsze, by zawsze trafić z powrotem na Jackson Square.

Byłam tak pogrążona w myślach, że nie zwracałam uwagi na twarze przechodniów. Szłam jak we śnie, aż nagle wyrwał mnie z zadumy powóz LaMarshów stojący przed elegancką restauracją.

Na jego widok przypomniał mi się koszmar tej nocy i już chciałam umknąć w przeciwnym kierunku, gdy widok Jordana odebrał mi siły.

Stał na podjeździe, odwrócony do mnie plecami. Nawet z odległości mogłam go łatwo odróżnić od pozostałych mężczyzn. Czarne kędzierzawe włosy opadające spod cylindra na kołnierz surduta pasującego, jak ulał, do smukłej sylwetki. Uderzająco odstawał od całej reszty.

Nagle gdzieś obok pojawiła się jakaś zielona kiecka i wstrzymałam oddech. Twarzy nie widziałam. Nieważne. Ważne, że uklonił się jej i nachyliwszy głowę, szepnął coś do ucha.

Wpadłam do najbliższego sklepu, udając, że nic nie interesuje mnie bardziej niż wyłożone na wystawie narzędzia stolarskie. Zerknęłam przez witrynę. Powóz stał wciąż przed restauracją. Czy spotkał znajomą, czy też była to randka?

Ciekawość paliła mnie, ale zmusiłam się, by wyjść statecznym krokiem i ruszyć w przeciwnym kierunku. Zwolniłam dopiero przy Fountain Court.

Przypomniałam sobie bez entuzjazmu, że dziś wieczór czeka mnie kolacja z całą rodziną LaMarshów. Elza powiedziała mi o tym wczoraj, ale teraz od tego „wczoraj” dzieliły mnie całe wieki. Ile się tymczasem wydarzyło: nocne szaleństwa, ranne spotkanie z Jordanem, harówka w aptecce, no i... ta zielona kiecka przed restauracją!

Z westchnieniem ruszyłam przez dziedziniec ku wozowni, niepewna, czy zdołam stawić czoło LaMarshom nawet przez jedną godzinę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Minęła godzina lub dwie i znów przemierzałam dziedziniec, tym razem w przeciwnym kierunku. Powietrze pachniało wieczornymi różami i forsycją. Cisza i spokój, tylko jakaś zabłąkana gołębica gruchała na wierzchołku drzewa.

Czułam ostry chłód, choć wieczór był ciepły. Zacisnęłam dłonie, wsunęłam je w kieszenie spódnicy i bez pośpiechu zmierzałam w stronę tylnego ganku domu LaMarshów. Jego zarys trwał dumnie i wyniosłe w zapadającym mroku i pomyślałam sobie, że trudno będzie przyszłym pokoleniom mieszkańców Vieux Carré wyzwolić się od całej pozostawionej im spuścizny. Nagle nocną ciszę zakłóciły filuterne dźwięki akordeonu. Towarzyszące im zza muru przyśpiewki nie były ani angielskie, ani francuskie. To był ten inny Nowy Orlean z całą mieszaniną kultur i obyczajów. Wiedziałam, że czegoś takiego nie usłyszę w żadnym mieście świata, a tylko tu.

Weszłam na ganek i zawahałam się, patrząc przez matowe szyby dwuskrzydłowych drzwi. Widziałam światła kandelabrow pełniące po ścianach hallu i cienie przemykające się bezszelestnie służby.

Nie musiałam patrzeć na zegarek, by wiedzieć, że jest dokładnie siódma. Czułam się jak świadek wezwany przed oblicze Najwyższego Trybunału.

A potem przez matową szybę rozpoznałam twarz Jordana, szybkim krokiem zmierzającego ku drzwiom. Poczułam, że krew burzy się we mnie na wspomnienie tej kobiety, z którą rozmawiał dziś przed restauracją. A może wcale z nią nie rozmawiał? — okłamywało mnie coś w głębi serca.

Znów ten czarny surdut i spodnie opinające biodra. Coś mnie kusilo, by dać nura w ciemność i popędzić przez krzaki w bezpieczne zacisze wozowni. Czy naprawdę byłam na tyle silna, by stawić czoło wszystkim problemom rodziny LaMarsh?

Ale na rejteradę było już za późno, bo zdążył otworzyć drzwi.

— Dobry wieczór. — Biel zębów walczyła o lepsze z bielą koszuli, a obie pasowały jak ulał do czarnych oczu i włosów. Nie musiał używać grzebienia. Przy takich włosach i rysach twarzy każdy by spostrzegł, że wymarzony z niego temat do portretu.

— Właśnie czekamy — powiedział, odsuwając się od drzwi.

— Przepraszam, że tak od tyłu — zaczęłam niezdarne.

— I całkiem słusznie, bo domownicy nie przejmują się takimi konwenansami. — Wybawił mnie z kłopotu. — Najważniejsze, że pani

przyszła., A tak w ogóle, jak zdrowie? Przepraszam, że nie spytałem dziś rano w aptecce.

— Całkiem dobrze. — Spojrzałam w bok, przypomniawszy sobie o nocnej eskapadzie z Marie. Nie wiem, co by było, gdyby wiedział, co porabiałam dziś w nocy z jego siostrzyczką.

Zaprowadził mnie do pokoju z lewej strony hallu.

Była to wielka jadalnia, a delikatne aromaty rozchodziły się z okolic kredensu z wiśniowego drzewa. Nad marmurową płytą kominka wisiało lustro, w którym z przerażeniem ujrzałam swą twarz. Upięte wysoko włosy, biały koronkowy kołnierzyk, granatowa sukienka, blada cera i niebieskie oczy rozglądające się z niepokojem na boki.

Obie panie siedziały już przy długim, przykrytym śnieżnobiałym obrusem stole, ustawionym w samym środku jadalni tuż pod jarzącym się kandelabrem. Cztery komplety srebrnych sztućców połyskiwały wśród chińskiej porcelany i kryształowych kieliszków, nad którymi górowała ciężka srebrna waza wypełniona świeżymi pąsowymi różami.

Nieśmiałym wzrokiem przyjrzałam się obu paniom LaMarsh.

Starsza spoczywała głęboko w fotelu u szczytu stołu. Brosza z pereł była jedyną ozdobą jej czarnej, jedwabnej sukni, za to na każdym palcu ułożonych sztywno na obrusie dłoni mieniło się coś, co musiało kosztować fortunę. Powiodła po mnie podkrążonymi oczyma i ułożyła wargi w kształt, który od biedy mógłby ująć za uśmiech. Tym razem jej misternie ufryzowanym włosom nie można było nic zarzucić.

— Bonjour — skinęła mi głową.

— Maman zapomniała, że nie posługujemy się tym językiem — sarknęła Marie. — Przecież papa kazał nam wyrażać się zawsze po angielsku.

— Ale nie wśród swoich, Marie — skarcił ją wzrokiem Jordan, przysuwając mi krzesło. — Przecież jesteście tu jak w rodzinie.

W grobowej ciszy usadził mnie naprzeciw Marie i czułam, że wybrał to miejsce z premedytacją. Spojrzałam jej w oczy, próbując dociec, jak zachowa się po tej nocy. Pośpiesznie skupiła wzrok na porcelanowej zastawie.

Ubrana była wieczorowo: suknia z cytrynowego atłasu, stanik zdobiły gofrowane różyczki. Gdyby nie ta zawzięta mina, pasowałoby to do czerni jej włosów i oczu. Wymieniłyśmy pozdrowienia.

Usiadłam na wskazanym mi przez Jordana krześle, a on usadowił się naprzeciw matki. Ta uniosła podręczny złoty dzwoneczek i delikatnie nim potrząsnęła. Jeszcze nie zabrzmiał, a już z prowadzących do kredensu drzwi

wyłoniła się bezszelestnie służąca. Skinęła głową i dyskretnie dała znak reszcie orszaku.

Dwóch wyfraczonych lokajów pośpieszyło z zakąskami. Byłam zupełnie skołowana, bo nigdy dotąd nie sądziłam, że cztery osoby mogą zjeść aż tyle.

Najpierw krewetki z ryżem, potem kurczaki z szynką, do tego szparagi, plasterki marchwi i soczysta kapusta. Na koniec stół okrążył rumiany bochenek domowego chleba.

W napiętej ciszy modliłam się, by nie wypuścić z dłoni ważących tonę sztucców, a już — nie daj Boże — nie przewrócić kieliszków napełnionych źródlaną wodą. Gdy podano do stołu, pani LaMarsh uniosła widelec, a Jordan i Marie poszli w jej ślady.

Matka i córka wydawały się być pogrążone w degustacji, choć — jak na moje wycucie — było w tym więcej rutyny niż apetytu.

Wreszcie milczenie przerwał Jordan:

— Nie zgadnie Maman, kogo wczoraj spotkałem? René Beaugarda. Prosił, bym przekazał ukłony.

Pani LaMarsh uniosła wzrok znad talerza i przez chwilę wodziła gdzieś nieobecny wzrokiem. Długo trwało, nim uchwyciła sens jego słów:

— René? Ach, syn generała Beaugarda... — Obdarzyła Jordana bladym uśmiechem. — Tak, pamiętam Beaugardów. Z Karoliną i Pierrem spędziłyśmy piękne dni... — W zamyśleniu wpatrywała się w kandelabr. — Karolina była prawdziwie zacną osobą: sześć tysięcy ludzi przyszło na jej pogrzeb.

Pomarszczona twarz przybrała na moment bolesny wyraz.

— Pierre téz był dżentelmenem w każdym calu... Oczywiście przed wojną... Wrócił z niej całkiem złamany, a wkrótce potem pożegnaliśmy Karolinę. Józef zawsze mówił, że gdyby to Pierre dowodził armią Konfederacji, nam przypadłoby zwycięstwo. Spojrzała przelotnie na Jordana i Marie.

— Mieszkał potem krótko przy Chartres. Odwiedzał nas czasami i próbowaliśmy jakoś go pocieszyć. Zawsze dystyngowany, pomimo tego, co go spotkało.

— Maman mówiła, że dorabiał sobie grając na loterii — wtrąciła Marie, cedząc słowa, jakby celowo chciała dotknąć nimi matkę.

Jordan zacisnął szczękę i zwracając się ku mnie, powiedział:

— Generał Beaugard mieszkał w latach siedemdziesiątych niedaleko nas. Pewnie kojarzy pani ten dom. Żelazna para gołąbków nad bramą.

Zrozumiałam, że chce zmienić temat rozmowy.

— Oczywiście, że kojarzę. Przechodziłam tamtędy przedwczoraj. A skoro już zeszło na stare dzieje — spojrzałam na Marie i jej matkę. — widziałam wczoraj stary gmach sądu. Czy to tam ukarano grzywną prezydenta Jacksona?... generała Jacksona, chciałam powiedzieć.

— Podłe łajdactwo! — syknęła pani LaMarsh, wyrwana z zadumy.

— Znam tę historię — przytaknął Jordan. — Jakiś nadgorliwy sędzia uznał, że generał znieważył sąd, i zaraz po bitwie skazał go na dziesięć tysięcy dolarów grzywny. Oczywiście wielu naszych wpadło w furję, widząc, jak traktuje się zbawcę Nowego Orleanu. Zrobili zbiórkę, ale Jackson odmówił przyjęcia pieniędzy.

— I bardzo głupio — skomentowała Marie.

— Może nie tak całkiem głupio. Chciał dać przykład szacunku dla prawa.

Znów zaległa cisza i przypomniałam sobie o mym talerzu. Pusty! Któż by pomyślał, że kolacja będzie mi aż tak smakowała? Z ulgą zauważyłam, że Marie i pani LaMarsh też nie pozostały w tyle. Opadło z nich napięcie, gdy rozmowa przestała dotyczyć bezpośrednio angażujących je kwestii, i teraz zrozumiałam, czemu Jordan tak zręcznie zmienił temat.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, a potem znów przerwał milczenie:

— Maman, panna Margaret też jest wielbicielką poezji Browninga.

— Roberta Browninga? — Jej rysy zelzały, jakby na wspomnienie czegoś miłego. Przyjrzałam się uważnie jej upierścienionym palcom.

— Tak, Browning to świetny poeta.

— Angelika wołała Baudelaire'a — słowa Marie miały w sobie tyle łagodności, co syk węża w puszystej trawie.

— „Un soir fait de rose et de blue mystique, Nous échangerons un éclair unique,

Comme un long sanglot, tout charge d'adieux...” Wyrecytowała to z wystudiowaną zadumą, mierząc mnie wzrokiem.

— Rozumie pani po francusku?

— Niestety... — pokręciłam głową.

— Nic nie szkodzi. Przetłumaczę pani:

„W mistyczny zmierzch, przez róże i błękity senne, Niby łkanie przeciągłe, żegnanie brzemiennie. Zamienimy jedynej błyskawicy lśnienie...”

— Ja tam wolę Browninga* — mruknęła pani LaMarsh. Pojawił się lokaj niosący na tacy bilet wizytowy.

* Browning Robert (1812—1889) — angielski poeta postromantyczny. Część liryków miłosnych (patrz niżej) poświęcił swej zmarłej w 1861 roku żonie — poetce Elizabeth Browning-Barrett.

Podał go Jordanowi, ten spojrzął na Marie, potem znów na służącego i spytał:

— Czy on czeka? Służący przytaknął.

— Filip zaszczyił nas swą osobą. Czy zaprosimy go na deser?

— Filip? — W głosie pani LaMarsh było coś chłodnego.

— A cóż mnie to obchodzi! — pisnęła Marie, ale zauważyłam rumieniec na jej policzkach.

— Poproś go do nas — rzucił służącemu Jordan. — I przynieś jeszcze jedno krzesło.

Marie wbiła wzrok w nie domknięte drzwi, przebierając nerwowo palcami po opadających jej na ramiona włosach.

Wszedł niski, ciemnowłosa mężczyzna. Omiótł wzrokiem stół i chyba nas nie zauważył, za to od Marie nie mógł oderwać oczu. Gwałtowny rumieniec na policzkach i przyśpieszony oddech pod nieskazitelnie skrojonym surdudem zdradzały, że jest w niej śmiertelnie zadurzony.

— Siadaj, Filipie — powiedział Jordan. — To ładnie, że jeszcze o nas pamiętasz.

— Pewnie sprawiłem kłopot? — spytał z wahaniem przybysz, patrząc niepewnie na Marie.

— I tak cię nie wypuszczę, zanim nie skosztujesz pralinek sporządzonych przez Elzę — zdecydował Jordan.

— Któż by się oparł pralinkom Elzy? — rzekł Filip i zdaje się, że dopiero teraz dostrzegł mą osobę.

— Pozwolisz, że przedstawię ci pannę Margaret Morgan. Panna Morgan, pan Filip Monet.

— Bardzo mi miło, mademoiselle — skłonił się Filip.

— Znów ta francuszczyzna! — westchnęła Marie, ale tym razem zabrzmiało to bardziej przekornie niż zrzędliwie, a kąciki jej ust ułożyły się w celowo skrywany uśmieszek. Filip musiał wyczuć jej nastrój, bo śmiało zbliżył się ku nam rozpromieniony.

— Ach, te językowe przyzwyczajenia. Czasami zapomina się o zasadach.

Pojawił się lokaj z krzesłem, nie bardzo wiedząc, gdzie je ustawić.

— Może tu, naprzeciw — rzuciła Marie z udawaną obojętnością, ale jej płonące policzki były aż nadto wymowne.

Próbowałam nie przyglądać się jej zbyt ostentacyjnie, ale trudno było tego nie zauważyć. Podłotek zmienił się na poczekaniu w atrakcyjną młodą kobietę. W matowych oczach pojawiły się iskry. Nadaśane usteczka rozpogodziły się, a wypowiedane przez nią słowa nie brzmiały już tak kąśliwie, ku uldze każdego z nas.

Filip był wniebowzięty. W mgnieniu oka usiadł naprzeciw Marie i wydawał się nie widzieć niczego prócz jej dozowanych uśmiechów.

Jordan śledził uważnie ich oboje i nawet w panią LaMarsh jakby wstąpiły siły. Dotknęła dłonią perłowej broszy, a w zapadniętych oczach pojawiło się zainteresowanie.

W kłopotliwym milczeniu taca z pralinkami okrążyła stół. Czułam, że skoro wszyscy zapadli w wywołany przybyciem nowego gościa błogostan, ktoś musi zacząć.

— No to ja pierwsza się skuszę — powiedziałam, sięgając po pralinę, a równocześnie starając się tuszować typową dla mych stron rodzinnych brzęczącą wymowę. — Moja babcia też specjalizowała się w pralinkach.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na mnie jak osłupiali, a potem odezwał się Jordan:

— Pani babcia robiła pralinki?

— Robiła — uniosłam widelczyk i nadziałam sobie porcję. — Robiła, i gdy byłam jeszcze mała, opowiadała mi dziwną historię, która się z tym wiąże.

— A cóż to za historia, mademoiselle... chciałem powiedzieć — panno Morgan? — spytał Filip, spoglądając równocześnie na Marie, której twarz zdradzała absolutną obojętność wobec pralinek i ich dziejów.

— Babcia mówiła, że we Francji zapiekano w cukrze migdały. Dopiero tutaj, w Luizjanie, pierwsi osadnicy wpadli na pomysł, by zastąpić migdały orzechami, których mamy tu w bród.

— Tak, to prawda — odezwała się pani LaMarsh. — Książę de Choiseul, a właściwie Plessis-Praslin, był pierwszym, który polecił swym kuchmistrzom gotować migdały w masie cukrowej. Plessis-Praslin — to było jego rodowe nazwisko i stąd poszła nazwa.

— No i widzi Maman, że znaleźliśmy jakiś ciekawy temat — wtrącił radośnie Jordan.

— A skąd pochodzi pani babka? — spytała ignorując uwagę syna.

Po raz pierwszy poczułam, że jest między nami jakaś nić porozumienia i już chciałam zapytać, po jakie лихо posłała mi nocną koszulę Angeliki. Ale najpierw trzeba było znaleźć jakąś sensowną odpowiedź na jej pytanie.

— Moi dziadkowie pochodzili ze Szkocji, ale znaczną część życia spędzili tu, w Riverville. Babcia już nie żyje. Umarła przed dwoma miesiącami.

— Bardzo mi przykro — westchnęła i próbowała podnieść się z krzesła.

— Pozwoli pani — Filip poderwał się jak sprężyna.

— Znow ta migrena — uśmiechnęła się smutnie, przyciskając dłoń do skroni. — Wybaczcie, że was opuszczę.

Jordan zbliżył się i podał jej ramię.

— Frances wyjechała na kilka dni — spojrzał na mnie i na Filipa.

— Odprowadzę tylko Maman na górę i dopilnuję, by ktoś ze służby był w pogotowiu. Zaraz wracam.

— Dziękuję za zaproszenie. Kolacja była zachwycająca — powiedziałam, też wstając.

— To ja dziękuję. — Jej oczy zdradzały, że cierpi naprawdę.

— Na mnie już czas — ukloniłam się towarzystwu.

— Mogłaby pani jeszcze chwilę poczekać — rzucił Jordan przez ramię już w drzwiach jadalni.

Filip i Marie wymieniali jakieś uwagi. Czułam, że nie wszystko między nimi jest zerwane. Może — gdyby tylko dać im szansę — potrafiliby jakoś uporać się ze zranionymi uczuciami?

Nagle Marie przypomniała sobie, że wciąż tu jestem, i uśmiech znikł z jej twarzy. Nie odezwała się słowem, ale jej świdrujący wzrok starczył za wszystko. Uświadomiłam sobie, że chce być z nim sama.

— Dobranoc, Marie — powstrzymałam gestem jej partnera, który zerwał się, jak przystało dżentelmenowi. — Miło mi było pana poznać.

Czekając na Jordana w hallu, przyglądałam się wykwintnym meblom. Chyba niewiele było takich domów w Nowym Orleanie. A jednak... a jednak nie był to wesoły dom. Przypomniała mi się uwaga Marie o Angelice i strofy recytowanego przez nią wiersza. A potem cały natłok myśli: wszystkie szept i ostrzeżenia. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że przez cały ten wieczór nikt nie wspomniał ani słowem o moim wypadku. „Wypadku”? Na krętych schodach rozległy się kroki Jordana, więc zaczęłam się gorączkowo zastanawiać, jak uniknąć konwersacji w cztery oczy.

— Odprowadzę panią do wozowni — powiedział uchyłając drzwi.

— Przecież sama trafię.

— Nie ma o czym mówić. A poza tym, to ja teraz jestem pani dłużnikiem. Dziękuję za ten wieczór.

Byliśmy już na ganku i gdy schodziliśmy ze stopni, poczułam jego dłoń na moim ramieniu.

— Czyżby? To raczej ja powinnam dziękować za tak sutą kolację.

— Pierwszą kolację, jaką spożyłem w tym domu ze smakiem od bardzo, bardzo dawna. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz Maman była aż tak rozmowna. Może jeszcze dojdzie do siebie? Wniosła pani prawdziwie durowy akcent w tę minorową atmosferę naszego domu. Może to zabrzmie banalnie, ale poczuliśmy wiosnę po tylu zimowych miesiącach...

Byliśmy już przy fontannie i zwolnił kroku. Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Odebrało mi głos, za to moje serce biło jak oszalałe, gdy patrzyłam w jego oczy odbijające światło księżyca.

Wyciągnął z kieszeni nowoorleańskiego miedziaka.

— Proszę coś sobie pomyśleć, zanim wrzucę go do fontanny. Może się sprawdzi. — W jego słowach nie było wesołości.

— Tak pan sądzi? — To ja roześmiałam się na widok licznych połyskujących na dnie zbiornika pieniążków. — Nie wierzę, że rzut monetą może tak łatwo odmienić ludzkie losy.

— To zależy od rzucającego... oby... — Przerwał w pół zdania. Czułam, że serce wyskoczy mi z piersi i że od miedziaka może faktycznie zależeć wszystko. Było to idiotyczne, ale zdrowy rozsądek opuścił mnie na równi ze wspomnieniem obu pań LaMarsh. „A czemu ma się nie spełnić?” — pomyślałam. Może przynajmniej rozweselę go moją naiwnością.

— Czy mam zamknąć oczy? — zapytałam przekornie. — Gdy byłam mała, mówiono mi, że z otwartymi się nie sprawdza.

— Dobrze pani mówiono.

Wyszeptałam w myśli, wiedząc, że to nie ma sensu:

„Chcę żeby Jordan LaMarsh zakochał się we mnie. Chcę, żeby... Raz, dwa, trzy — moje szczęście”.

Poczułam ciepły oddech i zanim zdążyłam otworzyć oczy po „moje szczęście”, poczułam jego aksamitne usta na moich. Wszystko pachniało różami i jaśminem, a gołębica znów zaczęła gruchać. Twarz miał srebrną.

Puścił mnie i z westchnieniem rzucił w wodę monetę.

— Kto nie pocałuje, ten życzenie zmarnuje; tak to się mówi?

— Wcale nie tak. — Próbowałam przybrać oficjalny ton, ale jakoś nie wyszło.

Miedziak powoli opadał na dno. Zastanawiałam się, ile przypieczętowanych pocałunkiem życzeń kończyło się na dnie tej sadzawki.

— Szybko opadł — powiedział, śledząc z zainteresowaniem monetę. — Pewnie spełni się pani życzenie.

Nie byłam tego pewna, ale zabrakło mi słów na replikę. Są takie chwile, gdy rozum i logika ustępują pola zuchwałym marzeniom. Może to właśnie była taka chwila. Odetchnęłam mocno nocnym, balsamicznym powietrzem i skrzyżowałam ręce na piersiach jak ktoś, kto odpędza od siebie chłód. Był najwyższy czas zmienić temat rozmowy.

— Filip to bardzo miły młodzieniec — zauważyłam trzeźwo. Popatrzył na moją twarz, a potem w rozgwieżdżone niebo.

— Tak, bardzo miły. Maman będzie miała dziś spokojną noc. Machinalnie poszłam za jego wzrokiem. Tam w górze przyciśnięta do szyby twarz przyglądała się nam bacznie.

— Co się stało? — spytał, gdy obróciłam się na pięcie.

— Ciekawa jestem, od jak dawna stoi tam w oknie? — powiedziałam, czując, że policzki płoną mi ze wstydu, a usta od pocałunku.

Nie odezwał się słowem i czułam, że sam się nad tym zastanawia.

— To nieważne — rzucił wreszcie. — Jestem dorosły i nikt nie będzie mnie pouczał, co mam robić wieczorami przy fontannie. Mam trzydzieści jeden lat i odpowiadam za dwie firmy, nie licząc tego domu z mnóstwem służby. Marie i Maman nie są tak głupie, by przeciągnąć strunę.

Zniżył głos, w którym była teraz nie znana mi dotąd groźba.

Spojrzałam mu w twarz. Rysy miał ściągnięte, a zaciśnięte usta nie wróżyły nic dobrego. Oczu nie widziałam, bo księżyc skrył się za chmurą. Mimo że byliśmy tuż przy wozowni, poczułam, że lepiej dłużej nie żartować. Przypomniało mi się ostrzeżenie Elzy: „Pan LaMarsh... chwilami potrafi wyjść z siebie.”

— Nie lubi pan, gdy ktoś wtrąca się w pana sprawy? Zawsze pan tak wtedy reaguje?

Przez chwilę milczał, a potem warknął przez zęby:

— Potrafię jeszcze gorzej.

Chłód, który czułam przy fontannie, zamienił się w arktyczny mróz. Choć noc była nadal ciepła i wonna, poczułam na plecach gęsią skórkę. To nie była noc. To było ostrzeżenie, a może i groźba...

Znów niewesołe myśli i sprzeczne uczucia przebiegły mi przez głowę. Czyżby Elza miała rację? Jego wybuchowość spadła na mnie niczym smagnięcie biczem i zaczynałam wierzyć, że sprowokowany, mógłby uderzyć kobietę, byle tylko pozbyć się jej na dobre.

— Margaret... przecież pani cała drży — powiedział dotykając mego ramienia. — Nie zauważyłem, że jest tak chłodno. — W mgnieniu oka jego twarz i głos zmieniły się nie do poznania.

— To pewnie jeszcze po wypadku. Muszę się położyć. Otworzył drzwi wozowni, a ja marzyłam tylko, by dobiec do schodów i nie dać mu pretekstu do dalszej rozmowy. Byle szybciej na zaciszne poddasze i do łóżka, a tam na spokojnie rozważę sobie wszystko i posłucham, co podpowie mi moja niezawodna intuicja.

— Dziękuję za zaproszenie — zawołałam.

— A ja za przyjście. — Uniósł dłoń i zdążył zaczepić nią mój łokieć. Przystanąłam, a wtedy musnął mą rękę wargami. Znow ten dreszcz i suchość w gardle nie pozwalająca wymówić słowa.

Puścił moją dłoń i już miałam ruszyć pędem, gdy zatrzymał mnie dźwięk zamykanych gdzieś drzwi.

Zatrzymałam się i spojrzałam na dom. Nie czuwała już w oknie. W żadnym nie było ludzkiej twarzy. Popatrzyłam na dziedziniec. Nieliczne latarnie rzucały mdłe światło na kamienne płyty. Drzwi oficyn też były zamknięte. Nawet w izbie Elzy nie paliło się światło. Kto mógł nas śledzić? A może nadśłuchiwał z ciemności? Spojrzałam na furtkę. Była zamknięta. Zauważyłam, że Jordan też pilnie lustruje dziedziniec.

— Ktoś nas śledził — wydusiłam z siebie głosem przypominającym zgrzyt żelaza po szkle.

— Drobiazg — szepnął odstępując o krok. — Pewnie ktoś ze służby ryglował na noc drzwi.

Przypomniał mi się Clarence. Czy powinnam mu o nim powiedzieć? Ale właściwie co? Przecież w niczym dotąd mi nie uchybił.

Gdybym zaczęła biegać co dzień ze skargą, wyszłabym na histeryczkę lękająca się własnego cienia i szukająca prześladowcy za każdym węglem domu Zapalił zawieszoną w drzwiach wozowni latarnię.

— Poczekam, aż będziesz bezpieczna tam na górze. — Przyćmione światło odbijało się w jego czarnych źrenicach.

— Dam sobie radę.

Nawet nie wzruszył ramionami, a tylko stał i zrozumiałam, że nie jest z tych, którzy słuchają cudzych napomnień.

W innych okolicznościach nie ustąpiłabym mu tak łatwo. Niechby wiedział, że też lubię decydować za siebie. Ale na widok pełzających po kątach

wozowni cieni, czując zimny kurz pod stopami, pomyślałam, że nie pora wystawiać na taką próbę moją odwagę.

Weszliśmy na schody. Czułam miękkość w nogach, ból w mięśniach, a do tego jakieś niesprecyzowane obawy. Znalazłam klucz, przekręciłam go w zamku, a on czekał, aż przestąpię próg i zapalę lampę. Dopiero potem ruszył w dół.

Szybko zamknęłam drzwi i przez chwilę stałam oparta o nie, ciężko dysząc. Byle tylko uspokoić łomotanie serca.

Po raz pierwszy Jordan LaMarsh nie wydawał mi się aż tak czarującym i układnym dżentelmenem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Przewracałam się z boku na bok, łowiąc uchem każde skrzypnięcie. Zasypiałam na krótko, tylko wtedy, gdy pluskowi fontanny, gruchaniu gołębic i szumiącym liściom magnolii nie towarzyszyły żadne inne dźwięki.

Długo to trwało, ale w końcu sen okazał się mocniejszy niż niepokój i obudziłam się dopiero o pełnym brzasku. Obróciłam się na drugi bok śniąc, że jeszcze nie pora wstawać. Dobiegające z dziedzińca kuchenne zapachy nie pozwoliły mi dłużej leniuchować: kipiąca kawa. skwierczący na patelni boczek, a do tego rosa na różach i forsycjach. Poczułam się jak w Riverville. Otworzyłam z trudem oczy i spadzisty okap przypomniał mi, że to niestety Fountain Court. Niestety?

Kolacja, łaskawy uśmiech starej pani LaMarsh, Marie, Filip, ręka Jordana na moim ramieniu, miedziak w fontannie — próbowałam poukładać to sobie jakoś w całość. No i pocałunek!

„Wstawaj. Margaret!” Słoneczne promienie tańczące na parapecie coś mi przypomniały. „Co sobie pomyślałaś? Aha, żeby Jordan zakochał się w tobie”. Tamtej pachnącej nocy wszystko było możliwe.

A co z tamtą kobietą? Przecież była jego żoną. Jakby mało było matki i siostry, nie darzących mnie szczególną sympatią. I ta twarz w oknie, gdy mnie całował.

Twarz mi płonęła i marzyłam, by jeszcze przez chwilę podrzemać. Wtedy przypominałam sobie, jak nagle zmienił się w mych oczach: ten chrapliwy głos i drżenie zaciśniętych szczęk. „Zawsze pan tak wtedy reaguje?”. „Potrafię jeszcze gorzej”.

Przypomniała mi się jego z trudem hamowana wściekłość. Długo wpatrywałam się w sufit. „Nie płacz, Margaret... tylko nie płacz”. Dość tego gnicia w łóżku. Czas spakować manatki, poszukać nowej pracy i nie czekać do następnej soboty.

Ubrałam się, jak przystało przykładnej pracownicy, wmawiając sobie, że w końcu nie jest tak źle, bo przecież Artur wręczył mi wczoraj całkiem sowitą wypłatę.

Ale gdy oplatałam sobie warkoczem głowę, znów poczułam ukłucie w sercu. No i dobrze: jest żonaty, a poza tym co o nim właściwie wiesz!

Upięłam włosy, wygładziłam kołnierzyk mej szarej sukienki i spojrzałam na drzwi. Znów przypomniał mi się upadek ze schodów, wymazany z pamięci wydarzeniami tej nocy.

Nie. To nie był wypadek! Czułam to, choć nie miałam żadnych dowodów. Zamknęłam drzwi na klucz i zesłam ostrożnie.

Nie mogłam uwolnić się od historii o zakutych w kajdany niewolnikach i wałęsającej się nocami po ulicy małej samobójczyni. Bzdury, babskie gadanie. Zupełnie jak wariackie ostrzeżenia Belli.

Byłam już na najniższym stopniu, gdy nagle na wspomnienie Belli coś eksplodowało w mym mózgu:

Królowa pik... śmierć!

Ścisnęłam pod pachą torebkę i popędziłam przez dziedziniec do furki. Ochłonęłam dopiero przy kawie w narożnej kawiarni, ale i kawa nie przyniosła mi spokoju.

Mijając dom Beauregardów i stary sąd, przypominałam sobie wczorajszą kolację. Przecież wszystko poszło gładko i gdyby nie ponure myśli, mogłabym czuć się w pełni zadowolona.

Nim doszłam do apteki, zdążyłam poukładać sobie wszystko w głowie.

— Wiem, że słabo się znamy — wypaliłam do Artura, ledwie położyłam torebkę na ladzie — ale muszę zasięgnąć twojej opinii.

Dopiero po tych słowach uświadomiłam sobie, że spod kołnierzyka wygląda mu modny i nieco ekstrawagancki krawat, zupełnie nie pasujący do jego pedantycznych manier.

Wodziłam wzrokiem to po jego drobnej twarzy, to po barwnym materiale, podczas gdy on zrobił krok w przód i zapytał:

— A więc chcesz, Margaret, zasięgnąć mej rady? — Przechylił główkę i spojrzał na mnie z wyczekiwaniem.

— Chcę, ale sama nie wiem, jak zacząć.

No i w ogóle nie zaczęłam, ponieważ drzwi apteki otworzyły się, wszedł pierwszy klient, po nim drugi, trzeci i cała gromada. Jakby się zmówili i przez większość dnia miotałam się między wodą sodową i Arturem wydającym leki w kantorku.

Na dodatek, gdy ruch ustał, w drzwiach stanął Filip Monet i na jego widok skoczyło mi ciśnienie.

Poprosił o szklankę wody sodowej, ale wiedziałam, że to tylko pretekst.

— Panno Morgan — zaczął nieśmiało — czy może mi pani wyświadczyć przysługę? Wiem, że prawie się nie znamy, więc tylko pytam... — Opuścił zakłopotany całkiem niebrzydkie oczy.

— Proszę śmiało.

Wyprostował się i stwierdziłam, że mimo niskiego wzrostu gładki z niego Francuzik. Ale daleko mu było do Jordana LaMarsha. Szczerze mówiąc, wszystkim daleko było do Jordana LaMarsha.

— Chodzi o Marie. — Zniżył głos, zerkając na Artura zajętego kolejnym klientem. — Coś mi mówi, że rozsądna z pani dama, więc wolę porozmawiać o tym z panią, a nie z mademoiselle Frances ani z kimkolwiek z domowników. Jak pani — zawahał się — odbiera obecny stan ducha Marie? — Poczzerwieniał, ale był to rumieniec głęboko zatroskanego mężczyzny.

Nie chciałam nadużywać jego cierpliwości dodatkowymi pytaniami.

— Nie wiem, jaki jest jej stan ducha — zażartowałam — ale widziałam stan jej uśmiechniętych ust wczoraj po kolacji. Na moje wyczucie, tak uśmiecha się kobieta zainteresowana niespodziewanym gościem.

— Naprawdę tak pani sądzi?

Westchnął z ulgą, jakby wszystkie światowe problemy zostały nagle rozwiązane. Powiódł wzrokiem po aptecce i znów spojrzał na mnie zboląłym wzrokiem.

— Strasznie przeżyli zgon pana LaMarsha. A Marie wciąż gryzie się tą sprzeczką...

— Jaką sprzeczką?

— No, tą z ojcem. Powiedziała mu... i to przy wszystkich, że go nienawidzi. Oczywiście nie to miała na myśli. Przecież nie mogłaby... — Urwał i czułam, że wcale nie jest taki pewny tego ostatniego.

— Czemu powiedziała, że go nienawidzi? — Znów przeszliśmy na szept.

— Pokłócili się. Ktoś zawrócił jej w głowie. Ale na mnie już czas — rzucił i szybko opuścił aptekę.

Patrzyłam za nim, rozważając słowa, których pewnie gorzko teraz żałował. Zaczęłam rozumieć paskudny charakter Marie. Wiedziałam, że jest rozpuszczonym bachorem, ale Filip Monet wiedział chyba nieco więcej.

— Niezły z niego bawidamek, prawda? — spytał Artur, podchodząc ku mnie i śledząc przez szybę oddalającego się w tłumie Filipa.

— Tak, niezły — westchnęłam, sięgając po czekającą na umycie szklanekę. — A co sądzisz, Arturze, o pannie Marie LaMarsh? — zaatakowałam znienacka.

— Ach, więc to o nią chciałaś mnie rano spytać — mruknął z rozczarowaniem, pocierając drobny podbródek. — Rozpuszczony z niej dzieciak, ale to wszystko wina pana LaMarsha. Uwielbiał ją.

— Masz na myśli, że jej ustępował we wszystkim? Czemu?

— Sam nie wiem. — Poskrobał się w głowę. — Słyszałem, że pani LaMarsh miała kłopoty z donoszeniem ciąży. — Urwał i popatrzył w bok, najwyraźniej zawstydzony dosadnością tych słów. — Roniła dwa razy między Jordanem i Marie. Gdy mała przyszła na świat, chyba trochę przesadzili z chuchaniem na nią.

To wyjaśniało wiele rzeczy.

— I pewnie chcieli, żeby wyszła za Filipa Moneta? Zachmurzył się i znów podreptał do kantorka.

— Gdyby była mądrzejsza, od razu by się w nim zakochała. Ale wołała tego Niemiaszka.

— Tego, który pracował tu przede mną?

— Tak, Ludwika. Wiedziałem, że spotykają się ukradkiem — wymówił to powoli i jakby z naciskiem.

— Skąd wiedziałeś?

— Wpadała często do apteki. Kiedyś zauważyłem, jak Ludwik pisze liścik, który przez posłańca miał trafić do Fountain Court. Miał go posłać razem z lekiem dla starszej pani. Widziałem, jak wciska go w dłoń służącemu. To było zaraz potem, jak pan Józef przepędził go z domu.

Przypomniała mi się nasza nocna wyprawa i przez minutę nie mogłam wymówić słowa.

— A kiedy Ludwik wyjechał z Nowego Orleanu?

— Czy ja wiem? — Zmarszczył w namyśle czoło. — Pracę rzucił tuż przed śmiercią pana LaMarsh. Ale, tak po prawdzie, to chyba jej nie rzucił, tylko pan LaMarsh wylał go z pracy.

— Co mu zrobił?

— Zwolnił go. Potem widywałem jeszcze czasami Ludwika na Jackson Square, ale teraz go już tam nie ma. Czy Marie coś ci o nim wspominała?

— Ani słowem! Tylko od ciebie znam to imię — dodałam pośpiesznie.

— Może akcje Filipka idą w górę? — rzucił z kwaśnym uśmiechem.

— Oby — westchnęłam, patrząc z ulgą na wskazówki zegara obwieszczającego koniec pracy. Wzięłam torebkę i właśnie upinałam kapelusz, gdy Artur powiedział coś, czego najmniej się spodziewałam.

— Czemu wróciłaś do starej fryzury, Margaret? Ładniej ci było z rozpuszczonymi włosami.

Już miałam powiedzieć mu prawdę, ale na szczęście ugryzłam się w język. Drżącymi rękami manipulował przy węźle krawata i widać było, że zbiera się na odwagę. Próbował flirtować i strasznie mu to nie wychodziło.

— Komu warkocz pisany... —próbowałam zdobyć się na dowcip.

— Z warkoczem też ci ładnie — wykrztusił, rumieniąc się. Postanowiłam nie przepuścić nadarzającej się okazji.

— A tak a propos uczesania. Widziałam niedawno portret Angeliki LaMarsh. Ta dopiero miała włosy!

— Mówili, że drugich takich nie było w całym Nowym Orleanie. Ja tam się nie znam — westchnął. — Zawsze jakoś inaczej na nią patrzyłem.

— Jak, Arturze? — Zbliżyłam się ku niemu, kipiąc z ciekawości.

— Powiedz, jak ją wspominasz?

— Czy ja wiem? — wzruszył nerwowo wątlymi ramionami. — Był z niej taki... pędziwiatr. Ja tam wolę kobiety stąpające mocno po ziemi.

— Spojrzał mi uważnie w oczy.

— Czy LaMarshowie... — nie wiedziałam, jak to powiedzieć.

— Pytasz, czy ją akceptowali? — dokończył za mnie. Był zbyt bystry, by dało się go wywieść w pole. Przed chwilą to ja,byłam górą, ale teraz to on przejrzał mnie na wylot.

— Akceptowali jej urodę. Zresztą, czy mężczyzna o aparycji Jordana mógłby poślubić którąkolwiek z miejscowych?

Powiedział to powoli i z namysłem, ale nie o to mi chodziło. Że była piękna, i bez niego wiedziałam.

— Może się mylę, ale z czasem ich związek chyba zmienił się w rywalizację, w próbę sił? — powiedziałam.

Zamknął biurko i czułam, że nie ma ochoty kontynuować tej rozmowy.

— Kto wie? Jeśli nawet było tak, jak mówisz, to Jordan wyszedł z tej próby zwycięsko, a Angelika wyjechała za morze.

— Czy była dlań odpowiednią partnerką?

— A cóż ja o tym wiem? Wiem tyle, że szalał za nią — rzucił przez ramię.

— Szalał? — powtórzyłam jak echo.

— Powiem ci jedno. W dzień przed jej ucieczką wpadł tu, jak po ogień, by wziąć dla niej lekarstwo. Może i czuł, że to ich ostatnie wspólne dni.

Próbowałam nie patrzeć mu w oczy. Biedny Artur, biedny zasuszony aptekarz, nie zdający sobie sprawy z tego, co działo się wtedy za zamkniętymi na cztery spusty drzwiami Fountain Court!

— Mówisz, że wpadł po lekarstwo — przytaknęłam, zamiast zapytać.

— Źle znosiła tutejszy klimat. Przeważnie sam wypisywał jej recepty. — Urwał, jakby zorientowawszy się, że powiedział za wiele.

— Arturze — powiedziałam po namyśle — postanowiłam wyprowadzić się z tej wozowni. Od wypadku lękam się trochę tych schodów. Czy nie słyszałeś o jakimś mieszkaniu?

Milczał długo, rozważając to na wszystkie strony.

— Słyszałem o pewnej wdowie wynajmującej pokoje przy Esplanade. Nie wiem, ile sobie życzy, ale zapytam moją matkę.

— Zapytaj — dodałam w pośpiechu. — I, jeśli możesz, powiedz mi jutro.

Wyszłam szybko z apteki i zamiast do domu, skierowałam się na Jackson Square. Do domu? A cóż to za dom? Coś ostrzegało mnie, by tak tego nie nazywać. I tak za bardzo uwikłałam się w gąszcz spraw rodu LaMarshów.

Na placu zaczęłam podświadomie szukać wzrokiem autora portretu Angeliki. Początkowo wmawiałam sobie, że interesują mnie tylko jego obrazy, ale to twórca był przedmiotem moich poszukiwań.

Ani śladu. Stolik Belli też był pusty. Podniecona i rozczarowana szłam przed siebie, aż zatrzymałam się przed halą targową przy Chartres.

W środku kłębiła się istna orgia barw, zgiełk przekupniów oferujących towar.

Tuż przy wejściu rozłożyła swój kram indiańska para. Ona wymachiwała nanizanymi na rzemyk koralikami, a on demonstrował na własnym uchu ostrość swych noży. Tuż obok kłębili się kominiarze i węglarze oferujący swe usługi. Jeszcze dalej Murzynki zachwalały gorące gumbo prosto z warzachwi.

Zewsząd niosły się zapachy pieprzu, cebuli, czosnku i wszelkich ziół, a sterty wyłożonych na straganach rodzyneków, pomarańcz, jabłek aż wirowały w oczach. Nad jedną z takich stert królował mężczyzna w marynarskim stroju, zachwalający ochrypłym głosem swe oceaniczne wojaże w poszukiwaniu najsmaczniejszych owoców specjalnie dla Nowego Orleanu!

Straciłam głowę w całym tym rozgardiaszu. Powietrze pachniało rzeką Missisipi i z najwyższym trudem skierowałam wzrok ku straganowi garncarza, którego wyroby przypomniały mi babciną kuchnię.

— Gorące prażynki dla ślicznej dziewczynki! — Murzyńska karlica podsunęła mi pod nos ociekające olejem, pachnące specjały.

Nie mogłam oprzeć się swojskiemu zapachowi. Kupiłam torebkę i zawróciłam ku straganowi marynarza.

Skusił mnie garścią fig i pomarańcz, więc przewidując rychły kres mych skromnych funduszy, postanowiłam szybko wycofać się z targowiska. I wtedy ujrzałam właściciela... jak się ten sklep nazywał?... „Sztuka dla Ubogich”. Przecież to tam zobaczyłam po raz pierwszy portret Angeliki.

— Poznaje mnie pan? Byłam u pana przed kilkoma dniami i bardzo mi przypadły do gustu dwa takie obrazki...

Popatrzył na mnie tępo, a potem coś jakby zaczęło mu świtać w głowie.

— Tak... jakiś portret?

— Portret kobiety — nie wiedząc czemu, wymówiłam to szeptem. — Był też drugi obraz tego samego malarza: pejzaż z Riverville.

— Już kojarzę. Szkoda biedaka — dodał z westchnieniem.

— Czyżby nie dostał żądanej ceny?

— O czym pani mówi? Obraz poszedł nawet nieźle, ale nie o to mi chodzi.

— A o co?

— No... o tego nieszczęśnika. Przedwczoraj odebrał sobie życie... nocą — dodał szeptem.

Zapłacił za bochenek chleba, a ja wciąż nie mogłam wykrztusić ani słowa. Wreszcie zebrałam się na odwagę:

— Jak się to stało? — Krzyknęłam tak, że chyba połowa targowiska zaczęła nam się przyglądać.

— A jak się miało stać? — zmierzył mnie gniewnym wzrokiem.

— Jak to z artystami. Łyknął coś niedobrego i szlus. Przecież nie patrzyłem mu do kieliszka. — Ruszył szybko ku drzwiom, zostawiając mnie z szeroko otwartymi oczyma.

— Mademoiselle sobie życzy? — nerwowy głos subiekta uświadomił mi, że jestem już przy ladzie.

Mademoiselle sobie nie życzy. I tak wydałam zbyt wiele, jak na zawartość mej portmonetki. W drodze powrotnej przypomniały mi się znów słowa Belli:

Widzę śmierć w tych kartach.

Szłam jak we śnie i dopiero widok ceglanego muru Fountain Court przypomniał mi o czającej się za nim tajemnicy.

Już miałam uchylić furtkę, gdy instynkt kazał mi spojrzeć przez ramię. Po co? Przecież uliczka była pusta. Kogo szukałam? Domokrażcy?

Tak, domokrażca! Rozmawiał z malarzem. Co ich łączyło? Co mogło łączyć tego obdartusa ze śmiercią tamtego drugiego?

Torba z zakupami zaczęła ciążyć mi nieznośnie.

„Żle z tobą, Margaret. Skończysz jako szpicel w Scotland Yardzie na ziemi swych przodków” — skarciłam się w myśli. Czas był najwyższy, by przestać doszukiwać się spisku w każdej pospolitej sytuacji. Malarz zdrowo pociągał — znać było po jego oddechu, gdy złożyłam mu wizytę — więc w końcu przeholował i tyle.

Śmierć w kartach.

Dość tego! Zatrzasnęłam za sobą furtkę i szybkim krokiem ruszyłam przez dziedziniec ku wozowni.

— Margaret! — Elza zbrojna w szpikulec do mięs wyłoniła się z kuchni. — Pani LaMarsh kazała spytać, czy nie posiedziałybyś z nią dziś wieczór? Frances wróci dopiero jutro, a jaśnie panienkę

— zniżyła konfidencjonalnie głos — zaproszono na podwieczorek! Pan Jordan też się gdzieś wybiera.

Słuchałam jej paplaniny z rosnącym zainteresowaniem.

— Czy pani LaMarsh sama o to prosiła?

— A kto by miał prosić?

Spojrzałam w okna. Twarz za szybą trwała na posterunku.

— Zastanowię się — burknęłam władczo.

— A nad czym tu się zastanawiać? Nie smakowały pralinki?

— Nie o to chodzi, Elzo. Sama wiesz, że były wyśmienite. Rzecz w tym... — znów spojrzałam w okno. Twarz za szybą zdradzała rozpaczliwe oczekiwanie.

— Zgoda. — Skinęłam głową, co nawet z odległości musiało być jednoznacznie zrozumiane. Okno opustoszało.

— Ciebie, Margaret, to do rany przyłożyć. Na ich miejscu obniżyłabym ci trochę to komorne.

W porę wypowiedziała to słowo. Chwilę wahałam się, ale cóż miałam przed nią ukrywać?

— Słyszałam o jakimś mieszkaniu przy Esplanade. Chyba się tam przeniosę.

— Przy Esplanade! — Aż dech jej zapało. — Kawał drogi do apteki, chyba że Artur będzie cię podwoził? — Mrugnęła protekcjonalnie. — Sam tam mieszka, więc we dwójkę byłoby wam...

— A czemu miałyby mnie podwozić? — Nie pozwoliłam jej dokończyć i z braku lepszej puenty popędziłam, jak ukłuta, do wozowni. Przekręciłam klucz, ale niepotrzebnie, bo drzwi były nie domknięte. Ogarnęła mnie szewska pasja na tego, kto znów raczył buszować w mym pokoju.

Pewnie stara LaMarsh? Tym razem nie ujdzie jej to płazem. Raz uszło jej na sucho, ale dość tego. Płacę czynsz i niech wreszcie zrozumie, że nie jest właścicielką całej Luizjany.

Naraz gorsza myśl przyszła mi do głowy: skoro weszła, musi mieć klucz. Jak inaczej mogłaby dostać się tu dwa razy?

Weszłam, przezornie nie domykając za sobą drzwi, i rozejrzałam się po pokoju. Nic nie zmieniło się od rana, a jednak... Oczywiście, to drzwi ściennego schowka były nie domknięte.

A więc to tak! Przyszła, by szperać w starych rupieciach. Ale za czym myszkowała? Położyłam torbę i rozpoczęłam śledztwo.

Oczywiście ktoś poprzesuwał pudełka. Mógł to od biedy zrobić Jordan, szukając jakichś dokumentów. Uniosłam wieko pierwszego z brzegu i stwierdziłam, że ktoś przerzucał zawartość na chybił trafił.

Księgi kupieckie i stare apteczne papiery leżały w nieładzie. Pudło z fatalaszkami było otwarte. Para trzewików tkwiła w samym kącie, przesunięta tam podczas rewizji.

Rewizja! To słowo pasowało jak ulał. Ale w jakim celu? Pomna babcinych nauk, zaczęłam układać cały ten galimatias w należyтым porządku. Przy okazji przewróciłam jeden z męskich trzewików i już miałam ustawić go jak Pan Bóg przykazał, gdy coś mnie tknęło. Nie tyle mnie, ile sięgający w głąb mój palec.

Wyciągnęłam but ze schowka i potrząsnęłam nim. Nic nie wypadło. Pewnie ukłułam się złuszczoną ze starości wyściółką. Nie, to nie była wyściółka. Podeszłam do okna i uniosłam but pod światło. Natrafiłam palcem na coś obłego, coś, co na pewno nie wyszło spod szydła szewca.

Buteleczka. Z ciemnego szkła i w jednej trzeciej wypełniona jakimś płynem. Pewnie stare leki pani LaMarsh. Już miałam cisnąć ją do kosza, ale coś kazało mi schować naczynko do buta i razem z nim do schowka. Może warto kiedyś pokazać to Frances?

Zamknęłam drzwi na klucz i rozejrzałam się po pokoju. Szuflada nocnego stolika też była wysunięta. Czyżbym sama ją tak zostawiła? Przyjrzałam się kapie na łóżku. Trochę jakby pomarszczona. Zlustrowałam materac. Nie przylegał równo do sprężyn. Czy ktoś go podnosił? Rozejrzałam się raz jeszcze, czując, że jeszcze coś tu nie gra. Drzwi schowka... szuflada... materac. Nie, to wciąż nie to...

Mój nie dokończony pejzaż wyparował jak sen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ruszyłam schodami w dół, przez wozownię i dziedziniec, prosto na tylny ganek domu. Elza szła właśnie z kuchni, dzierżąc w rękach wazę z zupą.

— Przecież mówiłam ci, że o siódmej... — zawołała, widząc mnie zmierzającą do rezydencji.

— Mam sprawę do pani LaMarsh i nie zamierzam czekać do wieczora. Ktoś znów buszował w moim pokoju.

— Buszował? — wytrzeszczyła oczy.

— I to nie pierwszy raz. Kiedy ostatni raz przyłapałam sprawcę na gorącym uczynku, dziwnym trafem była to pani LaMarsh.

— Słuchaj, Margaret — przez chwilę ważyła słowa — a masz na to dowody? Może lepiej puścić to płazem?

— A niby dlaczego? — Miałam już serdecznie dość „puszczania płazem” cudzych wybryków.

— No bo widzisz... ostatnio jakby się jej trochę poprawiło. Przynajmniej ja nie muszę chodzić koło niej na palcach.

— Przecież chyba nic się nie stanie, gdy poproszę ją grzecznie, by nie włamywała się do mego pokoju, gdy jestem poza domem? — spytałam pojednawczo, nie chcąc przysparzać Elzie nowych kłopotów.

— Daj spokój z tym włamywaniem. W końcu trzymają tam w schowku jakieś stare manele, więc czemu nie mogliby ich wziąć, gdy im przyjdzie ochota?

— Stare księgi rachunkowe i gazety sprzed lat? Nie mów mi, Elzo, że może to komuś być nagle potrzebne.

— Opanuj się, Margaret — syknęła.

Rozejrzałam się po dziedzińcu, który wydawał mi się teraz pusty. Przypomniałam sobie, że coś mi wspomiano o prawie do korzystania ze schowka. Miała rację, ale przecież zniknął mój obraz.

— Tym razem to nie były manele, Elzo. A przynajmniej nie ich manele.

— Nie ich? — otworzyła szeroko usta. — A więc czyje?

— Ktoś zabrał mój obraz. Nie mam pojęcia, komu i do czego mógł być potrzebny.

Przez chwilę wpatrywała się w okna na piętrze, mieląc słowa w ustach.

— Poczekaj do wieczora i spróbuj delikatnie. Coś mi się widzi, Margaret, że kiepska dziś będzie z ciebie pielęgniarza. Może sama przy niej posiedzę, choć chciałam wybrać się do siostry.

— Daj spokój — powiedziałam po dłuższym namyśle. — Przecież tobie też należy się wychodne.

— A może po prostu spodobały się jej twoje malunki i — jak by to rzec — wypożyczyła sobie jeden?

— Wypożyczyła? — Spojrzałam w puste okno. Nie podejrzewałam dotąd pani LaMarsh o tego typu zainteresowania. Ale kto wie?

— Spróbuję jakoś do tego nawiązać.

Znów spokój wrócił na jej pyzate oblicze i żałowałam, że właśnie na niej musiałam wyładować swą złość. Pogładziłam ją po ramieniu:

— Wszystko pójdzie dobrze, Elzo. Już to jakoś załatwię. — Zauważyłam, że znów się zachmurzyła.

Wracając do wozowni, rozważałam wszystko na spokojnie. Miała rację. Złość nic by tu nie pomogła. Gdy byłam już przekonana, znajome ukłucie w karku kazało mi spojrzeć za siebie. Czyżby znów ktoś mnie śledził?

Odwróciłam się gwałtownie. W drzwiach piwnicy stał Clarence, gapiąc się na mnie leniwym wzrokiem. Spostrzegł, że go widzę, przeciągnął się i wszedł do środka, zatrzasnął drzwi.

Zatęskniłam za czekającymi w torbie prażynkami i owocami. Na myśl o nich spojrzałam z bólem na puste dno portmonetki. A przecież mogłam sobie powetować głód choćby jutro wieczór w jednej z najlepszych nowoorleańskich restauracji.

Kończąc posiłek, pomyślałam znów o rewizji w moim pokoju. Chyba jednak przesadziłam z tym określeniem. A gdyby nawet? W końcu obraz miał wartość tylko dla mnie. Upomnę się o niego, opuszczając Fountain Court.

Posprzątałam i już w drzwiach spojrzałam na stateczne oblicze babci na dagerotypie. Przypomniałam sobie o leżącej wciąż na moim stoliku maści. Uniosłam spódnice i z ulgą stwierdziłam, że moja noga wraca do normy.

Gdy z tomikiem poezji pod pachą szłam w stronę domu LaMarshów, byłam w niemal radosnym nastroju.

Już miałam ruszyć krętymi schodami na piętro, gdy jakiś cień przemknął za oknem. Kto to mógł być? Służąca, a może Marie?

Cień przemknął przez hall i zniknął w drzwiach jednego z pokoi na parterze. Kusilo mnie, by ruszyć jego tropem. Spokojnie, Margaret! Przecież to nie twój dom, więc co cię obchodzi jakiś cień?

Weszłam na piętro i przez chwilę przyglądałam się kryształowemu kandelabrowi zwisającemu z gipsowego plafonu. Różyczki były też z gipsu.

„Pełno tu róż” — pomyślałam wdychając docierający z ogrodu zapach tych prawdziwych.

Korytarz na piętrze był zupełnie pusty. Tu nie przemykały się już żadne cienie. Za wyspkie progi. Podeszłam do drzwi pokoju pani LaMarsh i wzięłam głęboki oddech. Zastukałam bez szczególnego entuzjazmu, powtarzając sobie, że chorych należy nawiedzać, choć nie byłam całkiem pewna, czy dotyczy to też antypatycznych kobiet. Drzwi uchyliły się i spojrzałam w podejrzliwe czarne oczy.

— Elza wspomniała, że dziś wieczór nie ma kto dotrzymać pani towarzystwa.

— Proszę wejść. — Otworzyła drzwi szerzej. Weszłam, osłaniając się książką niczym tarczą.

— Może tu pani usiądzie. — Wskazała mi ręką fotel przy oknie. Przeszłam przez pokój, usiadłam, wygładziłam spódnicę i czekałam, aż zajmie miejsce naprzeciw mnie.

— Dziś czuję się trochę lepiej — rzuciła słabym głosem. Dopiero teraz przyjrzałam się jej. Faktycznie, jej twarz była nieco mniej wymizerowana, a oczy nie uciekały gorączkowo na boki. Miała na sobie luźną suknię z perłowszarego jedwabiu, a guziki były też perłowe. Zawsze to lepsze niż jej ulubiona żałobna czerń, a i pasowało do koloru starannie upiętych włosów.

— Cieszę się, że migrena ustała — próbowałam wymówić to z uśmiechem. W skrytości myślałam wciąż o mym obrazie i dyskretnie penetrowałam wzrokiem jej pokój. Na próżno.

— Widzę, że przyniosła pani książkę. Czy można spytać o autora? — Ona też próbowała być miła.

— Poezje Roberta Browninga. Pani syn wspomniał, że... — wskazałam palcem na oprawiony w półskórek tom.

— Tak, uwielbiam Browninga! — uniosła ręce gestem, który widziałam już u Marie.

Przez chwilę śledziłam z zainteresowaniem, jak oziębłość znika z jej twarzy. Poczułam nagle współczucie dla tej nieszczęsnej osoby i pomyślałam sobie, że dobrze, iż nauki babci nie poszły na marne. Zawsze wierzyła, że wspomaganie nieszczęśliwych jest głównym celem naszego ziemskiego żywota.

— Czego chciałaby pani posłuchać? — spytałam, otworzywszy tomik.

— Może od początku. — Zapadła wygodnie w fotel, wodząc wzrokiem po oprawionej w ramkę fotografii stojącej na marmurowej płycie kominka.

Poszłam za jej spojrzeniem i spostrzegłam twarz starszego mężczyzny, bardzo podobnego do Jordana. Wstrzymałam oddech. A więc tak wyglądał Józef LaMarsh. Te same gęste kędzierzawe włosy, te same czarne oczy. Może tylko twarz była nieco szersza. Przyjrzałam się drobnemu nosowi i zaokrąglonemu podbródkowi pani LaMarsh. Teraz wiedziałam, że wziął to, co najlepsze, po obojgu rodzicach. Po parze, która kiedyś bardzo musiała się kochać.

Moje myśli szybowały dalej. Jakie to uczucie spędzić życie u boku ukochanego? Oczywiście tym kimś był Jordan, tyle że szanse miałam znikome.

Skupiłam się na pierwszym z wierszy. Równie dobrze mogłam wyrecytować go z pamięci. Wodziłam wzrokiem po linijkach, myśląc o romantycznej miłości poety do żony. W ciszy pokoju Browningowska fraza brzmiała miarowo, ale i tak zdołałam zerknąć parę razy na twarz starszej pani. Twarz była coraz bardziej łagodna, w miarę jak słuchała i wpatrywała się w fotografię na kominku.

Zawsze fascynowały mnie pejzaże, ale teraz rozumiałam portrecistów. Ach, gdyby uchwycić to zbolące oblicze, cudownie odmieniające się pod wpływem miłosnej liryki!

Godzina lektury przeszła w okamgnieniu, a ona przez cały czas chłoneła każde słowo. Na dole skrzypnęły drzwi i czyjeś kroki rozległy się na schodach. Ktoś zapukał i nacisnął klamkę.

Jordan stał w progu i patrzył na nas jak zahipnotyzowany.

— Wróciłeś, synku? — spytała czule.

— Tak, i widzę, że Maman też jest szczęśliwa. — Pochylił się i ucałował ją w czoło.

Wbiłam wzrok w książkę. Wiedziałam, że teraz jestem tu intruzem. Zamknęłam tomik i wstałam z krzesła.

— Skoro już pan wrócił, na mnie czas.

— Dziękuję za Browninga — powiedziała pani LaMarsh cicho i łagodnie.

— Zapraszam z rewizytą — zawahałam się, czy nie wspomnieć o obrazie. Chyba nie wypadało.

— Mam świetny pomysł! — zawołała, klasnąwszy w dłonie. Oboje spojrzeliśmy na jej rozpromienione oblicze, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

— Jedźmy jutro do Bellwood. Panna Margaret chyba też nie da się prosić?

Rozpaczliwie szukałam wymówki.

— Tak, musi nam pani towarzyszyć — dodała, patrząc mi z nadzieją w oczy.

— No... ale apteka...

— Załatwię to jakoś z Arturem — Jordan nie dał mi dojść do słowa. — Niech pani nie odmawia. Nie pamiętam, kiedy Maman chciała ostatni raz ruszyć się z domu. Błagam! — Słysząc to było w jego głosie i nie byłam w stanie mu odmówić.

Popatrzyłam na niego, a potem na starszą panią oczekującą z zapartym tchem mej zgody. Cóż mi pozostało?

— Skoro załatwi to pan z Arturem...

— No to w drogę! — Omal nie zerwała się z fotela. — Zawiadomimy tylko panią Gaines o naszym przyjeździe. Ach, żeby to już było jutro rano! Tylko co ja na siebie włożę? — spojrzała bezradnie w stronę ściennej szafy.

— To już najmniejszy problem — zaśmiał się Jordan. — Odprowadzę panią, panno Morgan, bo skoro mamy wstać wcześniej...

— To szkoda czasu na odprowadzanie — rzuciłam niby żartem, ale tak naprawdę nie chciałam sprowokować kolejnej burzy wspólną przechadzką po dziedzińcu w blasku księżyca.

— Proszę się nie sprzeczać — powiedział delikatnie i podał mi ramię.

— Skorzystałem ze sposobności, by podziękować pani za tę wycieczkę — powiedział, gdy zamknęły się za nami drzwi. — Wiem, czym może być dla mojej matki.

— Oby tak było — odparłam niepewnie, unosząc rąbek sukni, gdy schodziliśmy ze schodów.

— Od śmierci ojca nie widziałem jej tak uradowanej. Jestem pewny, że wypad do Bellwood dobrze jej zrobi. Kiedyś często wyjeżdżała tam z ojcem na soboty i niedziele. Bellwood łączy się jej z najlepszymi dniami. Sam nie wiem, jak pani dziękować.

— Chyba już dość tych podziękowań. Na dziś wystarczy, a do domu trafię sama. — Może zabrzmiało to nieco za ostro.

— Nie chce pani mojej asysty? — Przystanął i coś niedobrego błysnęło w jego oczach. Przypomniał mi się jego wczorajszy wybuch gniewu. „Twardy z ciebie mężczyzna, Jordanie LaMarsh, ale Margaret Morgan też nie da się wodzić za nos.”

— Mama potrzebuje pana. Proszę udać się do niej.

Pobiegłam przez dziedziniec, czując nieliczne zadowolenie z odniesionego zwycięstwa, choć, mówiąc prawdę, nie było ono pełne. Już w drzwiach wozowni przypominałam sobie, że nie spytałam o obraz.

— Jordanie! — zawołałam za nim i zaraz poczerwieniałam, uświadomiwszy sobie, że wołam go po nocy, i do tego po imieniu.

Natychmiast zawrócił i ruszył ku mnie przez dziedziniec.

— Co się stało? — spytał z niepokojem.

— Chciałam cię o coś spytać — rozejrzałam się wokoło. — Zupełnie zapomniałam zrobić to wcześniej.

— O co chodzi? — Ściągnął brwi.

Nagle zrobiło mi się głupio. Jak mogłam teraz oskarżyć jego matkę o kradzież obrazu? Przecież to nie musiała być ona, a gdyby nawet, nie była to pora na poruszanie tego tematu.

— Śmiało, Margaret! — Znów głos miał twardy jak stal.

— Mój obraz zniknął z pokoju.

Jego twarz przybrała wyraz bezgranicznego zdumienia. Na pewno nie tego oczekiwał.

— Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale gdy wróciłam dziś do domu, stwierdziłam, że ktoś był w moim pokoju. — W ostatniej chwili pohamowałam się, by nie powiedzieć, że ktoś był znów w moim pokoju. — Zniknął mój obraz. Nie mam pojęcia, kto mógłby... — Zamilkłam, unosząc rękę w bezradnym geście.

— Porozmawiam o tym z matką. — Spojrzał na piętro. — Pewnie przyszła do twego pokoju po jakieś stare papiery lub stroje, zobaczyła obraz i pomyślała sobie, że to jakieś moje stare płótno. — Znów spojrzał mi w oczy. — Obawiam się, że Maman zupełnie nie zna się na malarstwie. Nie jest w stanie odróżnić ręki ani pędzla. Czyba nie czujesz się tym urażona?

— Oczywiście, że nie — wybuchnęłam śmiechem. — Masz rację. Obraz stał tuż przy ściennym schowku. Któż inny mógłby go wziąć?

Przez chwilę pytanie trwało zawieszony w powietrzu i każdy z nas dwojga chyba rozważał w myśli rozmaite możliwości.

— Porozmawiam z nią — powtórzył.

— Nie dzisiaj, Jordanie — powiedziałam wiedziona nagłym impulsem. — Poczekajmy z tym do jutra.

Ale nazajutrz nikt nie pamiętał o obrazie, bo ważniejsze sprawy miały się rozegrać.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rankiem postanowiłam nie skorzystać z zaproszenia na śniadanie. Czułam skurcze w żołądku i siedząc w łóżku, żułam z trudem resztki pieczywa i owoców. Potem wstałam, ubrałam się i spojrzałam w lustro na drzwiach szafy. Nieźle. Ciemna bawełniana sukienka nadawała się na przejażdżkę, a włosy zachowały połysk.

Zeszłam na dziedziniec i czekałam na ławeczce.

Wkrótce na tylnym ganku pojawił się Jordan, prowadząc pod rękę matkę. Widząc, jak troszczy się o nią, gdy niepewnym krokiem stąpała po schodach, pomyślałam, że taki człowiek nie byłby zdolny do rękoczynów.

Pani LaMarsh była znowu w czerni, ale twarz pod rondem uwieńczonego również czarnym piórem kapelusza zdradzała ożywienie.

— Dzień dobry, Margaret — powiedział Jordan, wzięwszy mnie na stronę.
— Jak się dziś czujesz?

— Wspaniale — zerknęłam na Charles'a stojącego przy drzwiach powozu i jak zawsze patrzącego gdzieś w bok.

— Jak to miło, że jedzie pani z nami — powiedziała pani LaMarsh. Cere miała dziś świeższą, ale powieki świadczyły o nie przespanej nocy.

— Dziękuję za zaproszenie. Strasznie jestem ciekawa Bellwood. Jordan podał ramię matce, potem mnie, a gdy już usiadł naprzeciw nas, obciągnęłam sukienkę i spojrzałam nań kątem oka. Tym razem miał na sobie buty do konnej jazdy, bryczesy i sportową koszulę.

— W Bellwood będziemy w godzinę, a stamtąd tylko dwa kwadransy do Riverville, gdyby więc pani chciała...

— Szkoda fatygi — przerwałam mu w pół zdania. Po co mieli mnie tam wozić? Przecież spaliłam za sobą wszystkie mosty.

— Sprzedałam nasz domek i nie mam dokąd wracać — powiedziałam, wodząc wzrokiem po pani LaMarsh i Jordanie. — Najważniejsze, że będziemy na wsi.

— Tak pani sądzi? — spytała.

— A któż nie lubi wsi?

— Ciągle mam skrupuły, że robi to pani tylko dla mnie. — Dużo musiało ją to kosztować.

— Ależ nie — skłamałam i uświadomiłam sobie, że jest w tym nieco prawdy. Brakowało mi otwartej przestrzeni: ziół, kwiatów, lasu i wody. Nowy

Orlean był oczywiście wspaniały, ale bywają takie dni, gdy ciągnie nas przyroda.

— Ja też lubię wieś — spojrzała przez okno. — Gdy Jordan i Marie byli jeszcze mali, wyjeżdżaliśmy na lato do Bellwood. Czasem tylko na soboty i niedziele. Po wojnie zastanawialiśmy się, czy w ogóle tam nie osiąść. Nowy Orlean był wtedy jednym wielkim cmentarzem. Wyjechaliśmy pewnego dnia, ale zaraz za rogatkami przekonaliśmy się, że tam jest jeszcze gorzej. Spalone dworki, pola niczym ściernisko, nawet płoty rozebrano na podpałkę. Ale nie to było najgorsze... Kobiety — młode i stare, a wszystkie w żałobie.

Mocne to było i przez chwilę nikt z nas nie ośmielił się wymówić słowa.

— Bellwood nie spalono — Jordan zwrócił się w moją stronę. — Mieliśmy tam dzierżawcę Irlandczyka i może dlatego żołnierze Unii ulitowali się nad Bellwood.

— Ale zabrali dzwon — poskarżyła się pani LaMarsh. — Kupiliśmy go w Nowej Anglii. To był dzwon wolności. Odlany specjalnie z okazji niepodległości naszego kraju. — Smutny uśmiech przebiegł przez jej twarz, gdy patrzyła za okno. — Nie zapomnę, ile trudu sprawił nam sam transport. Mój mąż zbudował mu w Bellwood specjalne podwyższenie. Właśnie wtedy zmienił nazwę naszej posiadłości z Oakwood na Bellwood. I po co tak się trudził? Przyszli ci z północy, „zabrali nasz dzwon i przetopili na działo.

— Może porozmawiamy o czymś przyjemniejszym, Maman — wtrącił Jordan. — Przecież jedziemy na wycieczkę.

— Masz rację, synku. — Spojrzała z uwagą na swe rękawiczki.

— Do dziś dziękuję Bogu, że byłeś wtedy za mały, by też ruszyć na wojnę. Twój ojciec, jako biegły w medycynie, był potrzebniejszy tutaj niż na polach bitew. Za to też dziękuję Bogu.

— A czy ktoś z pani rodziny był wtedy na froncie? — spytał Jordan.

— Dziadek. Był jednym z nielicznych, którzy wrócili do domu.

— Przez chwilę przypomniałam sobie babcine opowieści. — Zdaje się, że już nigdy potem nie wrócił do sił. Zresztą zmarł tuż przed moim przyjściem na świat.

— A pani ojciec? — spytała.

Przez chwilę zgrzyt osi na wyboistym gościńcu był jedyną odpowiedzią.

— Margaret wychowała babka — wyręczył mnie Jordan. Chyba jej to wystarczyło, a może taktownie wolała nie zadawać dalszych pytań. Przez chwilę wodziła po mnie czarnymi oczyma, a potem znów skupiła się na widoku za oknem powozu.

Mój ojciec. To też był brakujący kamyczek w łamigłówce mojego życiorysu. Ale dlaczego miałam przejmować się nim właśnie teraz, skoro pani LaMarsh zajmowała się krajobrazem?

Wyjechaliśmy już z miasta. Wysadzany po bokach sosnami i cyprysami gościniec wiódł wzdłuż jeziora. Przypomniało mi się nocne poszukiwanie Ludwika i przez chwilę czułam się nieswojo. Za dnia, bez bębnow i dymiącego kotła, inaczej to wyglądało. Co by powiedział Jordan na naszą wyprawę? O pani LaMarsh wolałam nawet nie myśleć.

— Kiedyś była tu przystań, a przy niej rzeczny statek — znów zanurzyła się we wspomnieniach. — Na pokładzie grała orkiestra, a muzyka niosła się po jeziorze. Podobno szulerzy z parowców dorabiali tu sobie w wolnych chwilach. Mój mąż bardzo się tym trapił, ilekroć przejeżdżaliśmy tędy do Bellwood.

Spojrzałam przez okno i zastanawiałam się chwilę, czy mój ojciec też dorabiał sobie na tym pokładzie. Ale nie czas było rozpamiętywać dawne dzieje.

— Maman bardzo podobały się wiersze, które pani wczoraj czytała.

— Cieszę się. Książki zawsze były ważną częścią mojego życia.

— Zupełnie inaczej — zarumieniła się — niż u Marie. — Myślałam, że wymówi imię Angeliki, ale to imię zawisło gdzieś w powietrzu niczym kurz wzbijany kołami powozu.

— A jacy są pani ulubieni autorzy? — spytała pośpiesznie.

— Mam ich tylu, że łatwiej przysłoby mi wymienić tych nie lubianych. Poe raczej nie w moim stylu. Zbyt ponury, a nocą aż strach go czytać. Co innego Dickens, Longfellow, Hawthorne. Hawthorne przede wszystkim. No i Emerson, Whitman...

— Mój Boże! — złapała się za głowę. — Kiedy to wszystko zdążyła pani przeczytać? Ja próbowałam kiedyś — uśmiechnęła się smutnie — czytać Marie do poduszki „Przykładne dziewczątka”, ale moja córka nigdy nie miała czytelniczych upodobań. — Pokręciła głową. — Była zawsze roztargniona i szybko nużyły ją lektury.

— Obawiam się, że coś jej z tych cech zostało — rzucił cierpko Jordan.

Dostrzegłam, że usta pani LaMarsh przybrały niemiły wyraz. Był najwyższy czas zmienić temat konwersacji.

— Moja babcia też czytywała panią Luizę Alcott. Ale kiedyś pożyczyła nasz jedyny egzemplarz jednej takiej kobiecinie z sąsiedztwa. Na imię miała Clarabelle — parsknęłam śmiechem. — To była dopiero postać!

— A cóż w niej było aż tak śmiesznego? — zmierzyła mnie wzrokiem.

Zakryłam ręką usta, próbując nadać twarzy oficjalny wyraz.

— Mieliliśmy z nią w Riverville sto pociech. Zawsze podkradała się do kościółka, gdzie modliły się czarnuchy, i podglądała ich przez okno. Za żadne skarby nie weszłaby do środka, co nie przeszkadzało jej przez cały tydzień wyśpiewywać pobożnych pieśni przy garnkach. Babcia próbowała nauczyć ją liter na „Przykładnych dziewczątkach”, ale daremny trud. Clarabelle nie usiedziałyby nad książką nawet przez minutę.

Dostrzegłam, że pani LaMarsh też hamuje chichot. Zniknęły zmarszczki wokół oczu, a te z wolna zaczynały błyszczeć.

— A co jeszcze robiła pani w Riverville przez wszystkie te lata? — zawtórował jej śmiechem Jordan.

Wiedziałam, że to wesołość, a nie kpina, więc kontynuowałam:

— Żyłam, jak to w małej mieścinie, może nie licząc książek. W wakacje i w wolne dni dorabiałam sobie w sklepiku u pana Masona.

— Ciężka to była praca? — Widać było, że moje skromne, prowincjonalne życie zafascynowało panią LaMarsh.

— Nie za bardzo. A zresztą warto było się utrudzić, choćby dla samej Gwiazdki. Pan Mason wyprawiał się do lasu, ścinał choinkę i taszczył ją do sklepu. Zawsze pomagałam mu przycinać gałęzie i ustawiać ją w oknie. Robiliśmy to już pierwszego grudnia, by wszyscy czuli, że święta niedaleko. Potem z babcią szykowałyśmy aksamitne wstążki i wycinanki, którymi przyozdabialiśmy sosnowe szyszki. No i oczywiście wianki z ostrokrzewu i janowca. Gdy taki wianek wyszedł nam niezłe, sprzedawałyśmy go u pana Masona...

Poczułam — jakby to było wczoraj — zapach prymki dla mężczyzn, choinkowych miętowych cukierków dla dzieciarni, perfum z importu, na które każda gospoia z Riverville musiała obowiązkowo zrujnować się choćby raz do roku na Gwiazdkę. Ujrzałam znów ich mężów, jak siedzą wokół paleniska na obróconych do góry dnem beczułkach na gwoździe, snując wspomnienia łowieckich i wędkarskich wyczynów.

— Zacie tam żyliście — powiedział Jordan, wpatrując się w okno.

Znów byłam w powozie LaMarshów. Spojrzałam niespokojnie na moich towarzyszy drogi. Starsza pani przyglądała mi się uważnie, ale nie było to złe spojrzenie.

— Dla nas zacie to było życie. Ale dla niektórych byłoby chyba nudne. — Wyobraziłam sobie Marie i Angelikę..

— Pani chyba odpowiadało? — spytała dyskretnie pani LaMarsh. Ciekawe, co chciała przez to powiedzieć?

— Ubogo, lecz chędogo — odpowiedziałam, przypomniawszy sobie babcię, która przekazała mi swą umiejętność twardego stąpania po ziemi.

— Ludzie często nie rozumieją, że bogactwo nie stanowi o wszystkim — wtrącił Jordan. — Zauważyłem, że wy z prowincji często jesteście naturalniejsi niż my, a do tego wiecie, jak stawiać czoło przeciwnościom losu.

— Patrz, Jordanie! — zawołała pani LaMarsh — przecież to już nasze dawne włości!

Wzdłuż drogi biegł teraz pobielony płot, a za nim ciągnęła się ginąca w sosnowym lesie łąka. Powóz wjechał w aleję biegnącą wśród starych dębów. Żywopłoty przecinały kępy azalii, a wszędzie kwitły nagietki i dzikie geranium.

— Zawiadomiłem Gainesów, że będziemy przed południem — powiedział Jordan, patrząc na zegarek. Jesteśmy co do minuty.

Powóz zatrzymał się przed ganek dworku w stylu grecko-luizjańskim. Słońce padało przez dorodne drzewa na przysadziste białe kolumny.

— Nic tu się nie zmieniło — powiedziała pani LaMarsh, patrząc przez okno na kwietny kobierzec trawnika.

— A więc na co czekamy? — Jordan wyskoczył z powozu i podał ramię najpierw matce, potem mnie.

— Naprawdę piękne miejsce — powiedziałam zauroczona spokojem scenerii.

— Cieszę się, że pani też tak je widzi. Rzadko tu teraz bywamy. Puściliśmy w dzierzawę Bellwood bardzo przyzwoitym ludziom, George Gaines zna się na trzcinie cukrowej, jak mało kto w tych stronach. On i jego żona są tak zacni, że pozwalają nam przyjeżdżać tu czasami. Maman zawsze dobrze to robi — dodał ciszej.

Uchyliły się wejściowe drzwi i na ganek wyszła wysoka kobieta w średnim wieku. Ubrana była w modną ostatnimi czasy sukienkę z drukowanego perkalu, a włosy miała upięte na karku.

— Jakże mi miło! — zawołała.

— Witaj, Ewelino — uśmiechnęła się pani LaMarsh. Jordan wprowadził matkę na ganek, a ja ruszyłam ich śladem.

— Pozwoli pani, że przedstawię pannę Margaret Morgan — naszego gościa.

— Witam w Bellwood.

Od razu wyczułam w niej kobietę bezpretensjonalną, taką, przy której nie trzeba udawać.

— Wchodźcie do środka — zaprosiła nas, zerkając oczyma koloru leszczyny na Jordana i jego matkę. — Przygotowałam coś na ząb, bo pewnie strasznie jesteście strudzeni?

Jordan zaprzeczył, a gdy pani LaMarsh padła w objęcia Eweliny, spytał mnie:

— No i jak ci się podoba Bellwood?

— Bardzo — odparłam, patrząc na szmaragdowy trawnik i wodząc palcami po żłobkowanej kolumnie ganku. — O niczym tak nie marzę, jak żeby usiąść tu kiedyś i namalować ten dworek na tle drzew.

— A więc wybierzemy się tu jeszcze raz.

Znów zabiło mi mocniej serce. Czasami potrafił być taki delikatny... Jak trzymać go na dystans i patrzeć nań chłodnym okiem? Z westchnieniem przeszłam przez próg i ruszyłam za panią LaMarsh.

— Jak ci architekci umieli tak łączyć wdzięk z solidnością? — odezwałam się, chcąc zejść na bezpieczniejszy temat.

— Budowali nie na rok, a na kilka pokoleń — powiedział, wodząc wzrokiem po kolumnadzie, okapach i statecznych wejściowych drzwiach. — Coś podobnego projektuję dla tej rodziny z Riverville. Chyba wspomniałem pani o tym?

— Tak, do Riverville będzie pasowało jak ulał.

— Proszę na pokoje, panno Morgan. — Pani Gaines zaprosiła mnie wylewnym gestem do chłodnego wnętrza. Obszerne pokoje umeblowane były z praktyczną prostotą.

Weszliśmy do jadalni. Ściany obite były brokatem, a spod sufitu zwisały wspaniałe kryształowe kandelabry. Jadalnia była mniejsza niż ta w Fountain Court i może dlatego wydawała się przytulniejsza.

Jordan podprowadził matkę i mnie do mahoniowego stołu, na którym czekała już porcelanowa i kryształowa zastawa. Pani Gaines usiadła u szczytu stołu, a Jordan zajął miejsce naprzeciw niej.

Dwie leciwe Murzynki wniosły wielkie półmiski z wędzoną szynką, jajecznicą, dymiącymi, ociekającymi masłem grzankami i kubki z maślanką.

— Rozpuszcza nas pani, jakby mało było tego wiejskiego powietrza — Jordan błysnął zębami w stronę pani Gaines, jak tylko on potrafił to robić.

— Oby tylko smakowało — zrewanżowała się uśmiechem. — Obawiam się, że my tu na wsi zapomnieliśmy, jak przyrządza się skromny poczęstunek.

Wychowałam szóstkę chłopaków i jakoś nie umiem się odzwyczaić. Chwalić Boga, są jeszcze goście. Chociaż Hugh i ja czujemy się teraz trochę samotni. A tak w ogóle, Hugh strasznie przeprasza, że go tu nie ma, ale obowiązki plantatora... sam pan rozumie.

— Przecież nieraz tu jeszcze będziemy — Jordan rzucił okiem w moją stronę. — Ta dzisiejsza wyprawa to była czysta improwizacja.

— A co tam u Marie? — spytała pani Gaines, gdy nasze podniebienia zaczęły rozpływać się w zachwycie.

— Obawiam się, że ciągle jakoś nie umie się odnaleźć — westchnęła pani LaMarsh.

— Dorośnie, to zmądrzeje. — Gospodyni pogładziła ją po ramieniu, mrugając optymistycznie okiem. — Ach, zapomniałam spytać, jak się miewa Angelika!

Jakby ktoś cisnął w podłogę kryształowym kieliszkiem, tłukąc go na miliony kawałków. Zapadła głucha cisza i unosząc głowę znad talerza poczułam, że powietrze w jadalni zastygło.

— Wyjechała — rzucił krótko Jordan.

Spojrzałam ukradkiem na panią LaMarsh. Zmarszczka na czole zwiastowała nadciągający kataklizm.

Pani Gaines, nieświadoma popełnionej gafy, paplała radośnie o zbiorach, pogodzie i miejscowych towarzyskich sensacjach.

Przebrnęliśmy jakoś przez poczęstunek, rzucając zdawkowe uśmiechy i sącząc źródlaną wodę z pucharków. Czułam, że Jordan i jego matka stracili na dobre apetyt, a i mnie każdy kąsek stawał teraz kością w gardle.

Matka i syn siedzieli sztywno w krzesłach i znać było, że coś ciężkiego spadło im na ramiona. Wreszcie Jordan zaczął relacjonować aktualne nowoorleańskie wydarzenia, ale godzina wlokła się w nieskończoność. Pani LaMarsh nie odezwała się już chyba słowem.

Gdy wstaliśmy od stołu, chwyciła się dłońmi za skronie:

— Obawiam się, że znów wraca migrena.

— Jakże mi przykro. Czy mogę jakoś pomóc? — spytała pani Gaines.

— Mam tu gdzieś lekarstwo. — Pani LaMarsh sięgnęła po torebkę. Jordan otoczył ją ramieniem i zacisnął usta.

Szukałam w pamięci jakiejś anegdoty, która mogłaby odmienić ponury nastrój, ale podobnie jak oni nie byłam w stanie wydostać się z rzuconego przez Angelikę cienia.

Do Nowego Orleanu wracaliśmy w grobowym milczeniu. Jordan troszczył się o matkę, której lekarstwo najwyraźniej nie pomogło. Zaszyła się w kącie powozu i ścisnęła kurczowo koronkową chusteczkę. Czułam, że lada chwila rozpląca się z bólu.

Strasznie było patrzeć, jak cierpi, i w niczym nie móc jej pomóc. Jordan chyba w ogóle zapomniał, że jadę z nimi, bo przez cały czas wodził błędnym wzrokiem to po widokach za oknem, to po twarzy matki. Zmagał się z myślami i niewesołe musiały być to myśli.

Gdy powóz wtoczył się wreszcie na dziedziniec Fountain Court, pani LaMarsh jęknęła, a Jordan pomógł jej wysiąść. Bez jego pomocy nawet nie ustałaby na nogach.

— Strasznie mi przykro — zwrócił się do mnie.

— Mam nadzieję, że dojdzie do siebie. — Ruszyłam ścieżką, omijając z daleka krzaki róż i fontannę.

— Margaret?

W drzwiach wozowni stała Elza.

— Jak ci poszło? — spytała, mnąc pulchnymi palcami nakrochmalony fartuch, a oczy pod czepkiem aż paliły się z ciekawości.

— Sama nie wiem. Podróż mieliśmy wspaniałą, a pani LaMarsh nigdy dotąd nie widziałam w tak dobrym stanie. Bellwood to piękne miejsce. Nie mogłam się doczekać, aż tam zajedziemy. No a potem...

— Mówże, Margaret!

— No a potem to wyprawili na nasze powitanie istną ucztę i wtedy pani Gaines spytała o Angelikę. — Ja też dostałam migreny i z najwyższym trudem znosiłam dociekliwe spojrzenie Elzy. — Nie miała nic złego na myśli. Skąd mogła wiedzieć?

— No i było po uczcie?

— Po co pytasz? Znasz przecież panią LaMarsh. Zadziwiające, jak samo imię Angeliki potrafi zepsuć wszystkim dobry nastrój. — Spojrzałam w stronę fontanny.

— Oj, potrafi, Margaret. Sama jeszcze nie wiesz, jak potrafi. Teraz starsza pani nie będzie w stanie dojechać do siebie przez dobre kilka dni.

— Przez kilka dni? — Przyjrzałam się podejrzliwie Elzie, nie bardzo rozumiejąc jej słowa. — Nie przesadzaj. Wiem, co to migrena, ale zażyła lekarstwa, prześpi się i wszystko będzie dobrze.

— Teraz te jej ataki trwają coraz dłużej — pokręciła sceptycznie głową. — Czasami, gdy ją dobrze weźmie, nie pamięta nawet, co się działo.

Te słowa wzbudziły we mnie jakiś nieokreślony niepokój. Co miała na myśli? Długo wpatrywałam się w jej nabrzmiałą twarz.

— Czy chcesz powiedzieć, że pani LaMarsh zapomina, co robiła? Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem, a potem spuściła głowę i zaczęła manipulować palcami przy fartuchu:

— Ja tam nic nie chcę powiedzieć. Po prostu chlapnę czasem, co ślina na język przyniesie. Zapomnij o tym, Margaret, proszę cię.

Zabrzmiało to nie tyle jak prośba, lecz jak rozkaz. Równocześnie wydobyła z kieszeni fartucha zmiętą karteczkę.

— Mam tu spis zakupów. Gadamy sobie, a tam pewnie wykupili już co lepsze jarzyny. — Obróciła się na pięcie i zamaszystym krokiem ruszyła ku furtce.

Patrzyłam za nią, dziwiąc się, że potrafi poruszać się tak sprawnie. Co ją tak ponaglało? Jarzyny, czy może raczej chęć uniknięcia dalszych pytań?

Tajemnice Fountain Court i jego mieszkańców wydawały się nie mieć końca. Każdy coś grał i nie była to czysta gra. Ledwo zdołałam rozwikłać jedną zagadkę, znów pojawiała się kolejne ostrzeżenie.

Jeszcze nigdy nie wchodziłam tak przygnębiona do wozowni.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Gdy rano zmierzałam przez dziedziniec w stronę tylnej furtki, Jordan zawołał mnie po imieniu. Dziedziniec był pusty, a on nie wiadomo skąd wyrósł nagle na ganku.

Miał na sobie niebieski jedwabny surdut i ciemne spodnie i pomimo cieni pod oczyma wyglądał jeszcze przystojniej niż zawsze. Poczułam, że krew krąży mi raźniej w żyłach, i pomyślałam sobie, że na jego widok chyba każda kobieta musi dostawać zawrotu głowy.

— Dzień dobry. — Podszedł ku mnie i sondował ciemnymi oczyma moje odczucia.

Przywitałam się, próbując zachować naturalny wyraz twarzy, na przekór wszystkim zdarzeniom, które miały miejsce, od kiedy tu przybyłam.

Moja szara bawełniana sukienka chyba już wszystkim zdażyła się opatrzyć. Za to włosy upięłam dziś luźno i lusterko w ściennej szafie zdradziło mi tuż przed wyjściem, że tajemnica Fountain Court zabarwiła moje policzki naturalnym rumieńcem.

— Maman dziękuję raz jeszcze za pani wyjazd do Bellwood.

— To ja dziękuję. A jak się dziś czuje?

— Nie za dobrze. — Powiódł gdzieś wzrokiem, a w oczach miał dobrze mi już znany niepokój. — Może nie powinniśmy byli tam jechać?

— Miało to też dobre strony. Przecież krajobraz, wiejskie powietrze, no i samo Bellwood — wszystko to było czarujące, a pani Gaines to urocza osoba. — Ugryzłam się w język, by nie powiedzieć za dużo.

— Szkoda, że... — Nie dokończył myśli. — Wczoraj nie miałem okazji ci o tym wspomnieć, ale posłucham twojej rady i spróbuję dowiedzieć się czegoś o Angelice.

Nie wiem, czy zauważył nagły błysk w moich oczach. Odnalezienie Angeliki było dla nas wszystkich sprawą najwyższej wagi, zwłaszcza teraz, gdy naokoło krążyły najdziksze plotki.

— Już wczoraj poczyniłem pewne kroki i sądzę, że za parę dni powinniśmy mieć jakieś wiadomości.

— Myślę — spojrzałam w okno na piętrze, w którym na szczęście nie było nikogo — że gdy uda nam się rozwikłać tę zagadkę, wszyscy poczują tu ulgę.

Podniósł brwi ze zdumieniem. Przeanalizowałam pośpiesznie moje słowa, nie wiedząc, czemu ta niewinna uwaga aż tak go zaskoczyła.

— Biegnę, bo spóźnię się do pracy! — Spostrzegłam, że wciąż nie może otrząsnąć się ze zdumienia, więc szybkim krokiem wyszłam przez furtkę bez słowa pożegnania.

Zwolniłam po przejściu kilkunastu kroków, gdy ogarnął mnie barwny tłum Vieux Carré: przekupień piekący orzechy, piękna Mulatka oferująca przechodniom świecidełka, mężczyzna w drzwiach sklepu zachwalający zagraniczne zegary, dwóch prostaków sprzecających się w jakimś egzotycznym narzeczu.

Przedziwna mieszanina ras i obyczajów, ale na tym właśnie polega urok Vieux Carré. Tak przynajmniej sobie pomyślałam, patrząc na wiszące po obu stronach ulicy żelazne balkony.

Jak zwykle nie mogłam uciec myślami od rodziny LaMarshów i znów przypomniał mi się Jordan. Czy nie opuściłam go nieco zbyt obcesowo? Czy mam prawo osądzać człowieka jedynie na podstawie tego, co Elza wspomniała mi o nim i o Angelice? Przypomniała mi się uwaga służącej, że wyglądała na pobitą. Trudno mi było uwierzyć, by Jordan mógł coś takiego zrobić, sądząc po jego zachowaniu wobec matki i mnie. Skarcił wprawdzie parokrotnie Marie, ale zważywszy niemożliwe wybryki jego siostry, i tak wykazywał wobec niej anielską cierpliwość.

A jednak... Czy nie objawił mi i innej strony swej natury, wtedy, gdy przy księżycu oświadczył, że nie ścierpi czyjejś dominacji? Mroczna to była strona. Z każdym krokiem rosło moje przygnębienie. Pomimo wszystko wcale nie chciałam opuszczać wozowni, choć rozsądek nakazywał mi coś wręcz przeciwnego. Coraz bardziej wikłałam się w rodzinne sekrety LaMarshów. Zbyt wiele pytań czekało na odpowiedź.

Ale skoro rozpoczął poszukiwania, może uda się ustalić miejsce pobytu Angeliki? Coś niemiłego i nieuchwytnego pojawiło się w moich myślach. „Poszukiwania”. Dlaczego użył tego słowa? Czemu nie powiedział po prostu „zadepeszowałam do Paryża”? Jakoś dziwnie brzmiały te „poszukiwania” i poczułam nawrót starych podejrzeń. Czy wspomniał mi o tym czując, że mu nie ufam? Czyżby doszły do niego plotki służby?

W nerwowym napięciu dotarłam do apteki. Obecność w jej wnętrzu dwóch policjantów bynajmniej nie poprawiła mego nastroju.

— Ktoś włamał się dziś w nocy — powiedział Artur, wskazując na otwarte tylne drzwi. Błady i przygnębiony podszedł z jednym z policjantów do półek z lekami.

— Na pewno złodzieje szukali lekarstw, ale zajmie nam sporo czasu, nim ustalimy, co właściwie zabrali.

Spojrzałam po regałach. Buteleczki stały w równym szyku. Z pewnością trudno było domyślić się intencji włamywaczy.

Artur odpowiadał na pytania, a mnie przypadło w udziale zajmowanie się wścibskimi przechodniami, którzy na widok policji nie omieszkali zgromadzić się tłumnie pod sklepem.

— Będzie pan musiał sporządzić listę brakujących leków — powiedział policjant do Artura, który drapiąc się w głowę, tępym wzrokiem lustrował półki.

Policjanci byli już w drzwiach, gdy coś mi się przypomniało:

— Czy nie wiedzą panowie czegoś o malarzu, który zmarł przed kilkoma dniami? Malował portrety tu na Jackson Square i nazywał się Windham?

— Słyszałeś o takim? — spytał ten wyższy swego kolegi. Popatrzyłam na nich obu, a potem na Artura, którego twarz zdradzała zupełne zaskoczenie.

— Chciałam kupić jego obraz i miałam wątpliwą przyjemność z nim rozmawiać. Niedawno właściciel sklepu z obrazami wspomniał mi, że zmarł przed kilkoma dniami. Podobno przeholował z alkoholem?

Popatrzyli jeden na drugiego.

— Pewnie jakiś lewy towar chodzi po mieście. Tej nocy mieliśmy kolejnego nieboszczyka.

— Tej nocy? — Spojrzałam na Artura, który aż rozdziawił usta.

— Czy ma pani coś jeszcze do nas, madame? — spytał ten niższy. Widać było, że bardzo im się spieszy.

— Chyba nie... to znaczy, na pewno nie! — Patrzyłam, jak wychodzą z apteki.

Artur odetchnął, najwyraźniej zdegustowany naruszeniem jego rytuału dnia.

Spojrzałam na towary pod moją ladą. Niczego nie brakowało. Wszystko było na miejscu.

— Chyba powinienem zawiadomić LaMarsha o włamaniu? — spytał Artur, kreśląc na kartce kilka słów dla Williamsa, naszego gońca.

— Czemu się włamali? — Głupie to było pytanie, bo skąd miał wiedzieć, czego szukali włamywacze. Zawstydyłam się i przez chwilę patrzyłam przez szybę na policjantów przeciskających się z trudem przez tłumek gapiów wietrzących sensację.

Artur podał kartkę Williamsowi i podszedł do mojego agregatu, przy którym w zadumie wycierałam szklanki.

— Obiecałem ci, że dowiem się czegoś o tym pokoju przy Esplanade. Przykro mi, ale ktoś już go wynajął.

— Drobiazg, Arturze. Znajdę inny. — Uśmiechnęłam się, nie chcąc, by do własnych kłopotów dokładał jeszcze moje.

— Właściwie, Margaret, powinniśmy zabrać się za remanent — powiedział gładząc dłonią swój nowy krawat. — Inaczej nigdy nie dowiemy się, co właściwie zabrali.

— Jak mogę ci pomóc?

— Sądzę, że będziesz musiała mi pomóc — powiedział z widoczną ulgą.

Williams musiał nie żałować nóg, skoro nie minęła godzina, gdy w apteczkę zjawił się Jordan. Cisnął cylinder na ścienny wieszak i zauważyłam, że jest naprawdę przejęty.

— Wiesz już, co zginęło? — spytał szorstko Artura.

— Musimy zrobić remanent. Inaczej nigdy nie dojdziemy przy tak bogatym asortymencie...

— Tędy weszli? — Jordan ruszył szybko ku tylnym drzwiom, a mnie znów przypomniała się nasza poranna rozmowa. Oczywiście teraz miał na głowie poważniejsze sprawy.

„Poszukiwania”. Dlaczego nie depesza? Co miał na myśli?

— Ile razy mam prosić? — spytała starsza kobieta. Na głowie miała czepek, a wodniste oczy ciskały we mnie gromy.

— Przepraszam, nie dosłyszałam, o co pani chodzi.

— O puder! Ten sam, co zawsze.

Podeszłam do gabloty z kosmetykami i stanęłam jak wryta. Jak mogliśmy nie zwrócić na to wcześniej uwagi? Wszystkie pudry i większość kremów zniknęły.

— Akurat nie mamy na składzie — powiedziałam do siwowłosej kobieciny, która z wrażenia aż tak poderwała głowę, że czepek spadł na podłogę.

— Jakim prawem sprzedaliście mój puder do twarzy? — zapiszczała oburzoną falsetem.

— Nie sprzedaliśmy. Po prostu mieliśmy dziś w nocy włamanie i...

— Nie mów mi, dziewczyno, że ktoś włamał się do was specjalnie po to, by ukraść mój puder. Powiedz lepiej, że zapomnieliście o mnie i sprzedaliście cały zapas!

Zadyszała się, postukała laseczką i drobnym kroczkiem pomknęła ku drzwiom apteki, przed którymi czekał na nią powóz.

Oczywiście Jordan słyszał to wszystko z zaplecza i szybko podszedł do gabloty.

— Dlaczego ktoś miałby kraść puder? — spytał.

— Pewnie lubi pudrować sobie twarz. — Nie byłam w nastroju do żartów, ale zabrzmiało to jak kiepski dowcip. — Czy można na tym zarobić? — spytałam już całkiem poważnie Artura i Jordana.

Ten drugi wcale nie wydawał się tym rozbawiony:

— Tu nad Zatoką można na wszystkim zarobić. Może straty nie są aż tak duże, ale obawiam się, że na pudrze się nie skończy — rzucił do Artura.

— A co z księgą rachunkową? — spytałam, czując, że czas najwyższy zacząć myśleć o pracy. Artur poczerwieniiał i ruszył w stronę biurka. Najwyraźniej nie pomyślał o tym dotąd.

Przekreślił klucz, wysunął szufladę, no i oczywiście... stwierdził, że jest pusta.

— Zniknęła! — Jordan dopadł biurka i zaczął wysuwać kolejne szuflady. Przerzucał chwilę papiery, a potem skoncentrował się na półce z lekami.

— Przysięgam, że zamknęłam szufladę na klucz. — Artur przyglądał się dyndającemu przy breloczku u pasa kluczykowi. — To już poważniejsza sprawa — powiedział, przeciągając dłonią po czuprynie. — Wiesz, że wszystkie sprzedawane leki wpisujemy do tej książki?

Jordan przyjrzał się biurku posepnym wzrokiem.

— Nic na to nie poradzimy — uspokoił Artura.

Dziwne, że to Artur wydawał się bardziej przejęty, mimo że apteka należała przecież do Jordana.

Przyglądałam się płytkiej drewnianej szufladzie. Nie wierzyłam, że taki pedant jak Artur mógł zapomnieć zamknąć ją na klucz.

Zastanawiałam się, kto jeszcze mógł dysponować kluczem. Odpowiedź była jednoznaczna i mimowolnie spojrzałam na Jordana LaMarsha. A potem coś przyszło mi do głowy. Przecież Artur wspominał, że to Jordan wypisywał recepty dla Angeliki.

Postanowiłam przestać o tym myśleć. Skupiłam się na wodzie sodowej i poustawiałam czyste szklanki w równym szyku na półce. Na próżno. Był tak przystojny, że nie sposób było zapomnieć o jego podejrzanych cechach charakteru. Ale przecież nie znałam go i wcale nie chciałam poznać bliżej, dopóki kilka ważnych spraw nie zostanie uregulowanych... A najważniejszą z nich była Angelika!

— Dajmy sobie z tym spokój. — Jordan uniósł ręce w górę w geście kapitulacji. — Niech policja robi, co do niej należy.

— Dajmy sobie spokój! — Artur nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Rób remanent, a potem bierzcie się do pracy, jakby nic się nie zdarzyło.

Ujrzałam kątem oka, jak wpatruje się w tłum przewalający się przez Royale Street. Zastanawiałam się, czy ma jakąś własną wersję przyczyny włamania, którą woli zachować dla siebie.

— Wzywają mnie obowiązki — rzucił w moim kierunku. — Jeśli będę potrzebny, wezwijcie mnie niezwłocznie. — To ostatnie powiedział już zza drzwi, wsiadając do powozu.

Duma nie pozwoliła mi śledzić go wzrokiem ani oburzyć się, że praktycznie zupełnie mnie zignorował. Ale czyż sama tego nie chciałam?

Resztę długiego dnia wypełnili nam wścibscy klienci, a mnie Artur i własne niewesołe myśli. Zastanawiałam się, czy nie oeniłam źle Jordana, a mimo to byłam niemal pewna, że coś ukrywa.

Gdy wreszcie zegar obwieścił koniec pracy, a Artur zaczął zamykać szuflady, ośmieliłam się zadać nurtujące mnie pytanie:

— Dlaczego ten ktoś zabrał tylko pudry, pomadki i księgę rachunkową? i

— Mylisz się, Margaret — powiedział z westchnieniem. — Brakuje też kilku leków i butelek z gris-gris.

— Jakich leków?

— Nieszkodliwych. Same syropy, ale niektóre na morfinie.

— Na morfinie?

— Tak, niektóre leki zawierają morfinę i mogą być niebezpieczne przy przedawkowaniu. — Podrapał się w głowę. — Coś mi się widzi, że to te dwa młode obdartusy, których widziałem wczoraj tam na tyłach apteki. Mogli brać, co im w ręce wpadło. Najpierw leki, potem kosmetyki. Co o tym sądzisz?

— To by pasowało. Ale po co im księga?

— A tego to już nie wiem — pokręcił głową, przyznając się do klęski swej hipotezy.

— Może wyśpimy się, Arturze, i jutro rano znajdziemy jakieś lepsze wyjaśnienie? A tak w ogóle jest tu niedaleko chyba jeszcze otwarty sklep. Zdążę zrobić zakupy, jeśli oczywiście nie masz dla mnie jakiejś dodatkowej pracy.

— Nie mam żadnej, Margaret — wciąż wodził wzrokiem po półkach z lekami.

Ten sklep odkryłam już wcześniej. Były tam niedrogie sukienki, a wszystko o krok od apteki. Mój pierwszy zarobek starczyłby na całkiem niezłą, a i na jedzenie coś by mi zostało. Tydzień ma się ku końcowi, więc jakoś dociągnę do najbliższej wypłaty. Skoro tamto mieszkanie jest nieaktualne, pieniądze na komorne można przeznaczyć na inne zubożne cele.

Podbudowana tym rozumowaniem, udałam się do sklepu i nabyłam suknię, która od kilku dni była przedmiotem mych westchnień. Wcięta w tali, bufki u szczytów zwężających się ku dołowi rękawów. Gdy subiekt pakował mój nabytek, patrzyłam tęsknie na niedostępne mej portmonetce kreacje z jasnego muślinu, w sam raz na upalne nowoorleańskie lato. Pewnie co najmniej połowa mieszkańców umknie na wieś przed wilgocią i moskitami — dwoma utrapieniami z niedalekiej Missisipi. Nowy Orlean — choćby i upalny — był jednak moim marzeniem przez większość życia.

Wracałam do domu z lekkim sercem, nucąc irlandzką balladę, która zamarła mi na ustach, gdy otworzywszy furtkę, ujrzałam Filipa i Marie pogrążonych w rozmowie na ławeczce przy fontannie.

Pozdrowiłam ich z daleka. Filip wygładził surduta i uśmiechnął się wylewnie.

— Co słyhać, mademoiselle... chciałem powiedzieć, panno Morgan?

Marie z trudem powstrzymała się od chichotu, gdy poprawił się poniewczasie.

— Wszystko dobrze — odpowiedziałam, przypominając sobie naszą wczorajszą rozmowę. Czulałam, że dodałam mu nieco otuchy. Podeszłam, by opowiedzieć im o włamaniu, choć chyba nie to było im teraz w głowie. Marie nie zdradzała najmniejszego zainteresowania finansowymi stratami swojej rodziny. Liczył się tylko Filip.

Weszłam do wozowni, zauważyłam, że powozu nie ma, i utrudzona wspierałam się na schody. Mimo wszystko cieszyłam się, że Filip i Marie znaleźli wspólny język. Gdyby stan nerwów pani LaMarsh uległ poprawie, może i jej córka byłaby bardziej znośna na co dzień.

Otworzyłam drzwi i stanęłam jak skamieniała. Mój obraz stał oparty o drzwi schowka, a płótno było porznięte na kawałki.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Myślałam, że się rozplaczę. Nie dokończony widok dziedzińca poplamiony był jakąś czarną mazią, ale oprawcy i tego było mało. Pociął ostrym narzędziem płótno, zwisające teraz w żalonych strzępach.

Sufit spadł mi na głowę, a podłoga zakołysała się pod stopami. Nie płacz, Margaret. Tylko nie płacz. Ocierałam łzy spływające mi po policzkach. Nie chodziło o zmarnowane trzy wieczory, ale o to, że ktoś tu aż tak strasznie mnie nienawidzi.

Jak we śnie dotknęłam strzępków płótna, a potem chwiejnym krokiem podeszłam do okna. Tam w dole Marie śmiała się, a Filip, sądząc z gestykulacji, opowiadał jakąś szaleńczo zabawną historię. Niedbałym, zalotnym gestem odrzuciła kosmyk włosów.

Marie? Trudno było uwierzyć, że ktoś tak szczęśliwy mógł równocześnie zdobyć się na taką podłość. Ale jeśli nie ona, to kto?

Spojrzałam na oficyny służby i na zamknięte drzwi piwnicy.

Clarence? Ale dlaczego? Czemu Clarence miałby mnie aż tak nienawidzić?

Kuchnia? Nonsens. Elza byłaby ostatnią osobą zdolną do czegoś podobnego.

Frances? Wyjechała wczoraj, podobnie jak Elza. Poza tym nie ma klucza do mojego pokoju. A skąd wiem, że go nie ma?

Za to wiem, że mają go LaMarshowie. Przycisnęłam dłoń do czoła, próbując zrekapitulować wydarzenia dnia. Jordan? Nie, to byłoby bez sensu. Po co miałby kraść mój obraz, ciąć go na kawałki i chyłkiem podrzucać do mojego pokoju? Takie sztubackie podłości były zresztą zupełnie nie w jego stylu. Czyżby? Przypomniała mi się opowieść Elzy i nie tajona furia wtedy nocą przed drzwiami wozowni.

Może i uraziłam go dziś rano, ale nie mogłam uwierzyć, by posunął się aż tak daleko. Z drugiej strony, gdy wychodziłam do pracy, tylko on wałęsał się po dziedzińcu...

Przemierzałam pokój, czując, że zawodzi mnie logiczne rozumowanie. Trzeba było przemyśleć to wszystko jeszcze raz na chłodno. Wyciągnęłam się na łóżku. Wtuliłam głowę w poduszkę i poczułam coś szorstkiego na policzku. Karteczka. Złożony starannie liścik, który ktoś musiał tu zostawić. Serce zabiło mi mocno, bo wiedziałam, że jestem bliższa o krok od rozwikłania tajemnicy. Drżącymi dłońmi rozwinęłam papier:

PRÓBOWAŁ MNIE ZABIĆ. NIE ZDOŁAŁ. UCIEKAJ PÓKI CZAS.

Temu, kto to pisał, musiały mocno drżeć dłonie, choć litery były drukowane.

Przez chwilę wpatrywałam się w zmiętą kartkę, czując, że z czymś mi się kojarzy. Nie, to nie było pismo. To był zapach! Wstałam i powoli podeszłam do szafy na ubrania. Perfumy, takie, jakimi nasącza się saszetki. Teraz szafa pachniała tylko proszkiem na mole, ale, gdy wsunęłam w nią głowę, wszystko stało się jasne. To nie był zapach proszku na mole.

Tak, to był zupełnie inny zapach. Odsunęłam moje wyjściowe trzewiki i walizkę. Stara saszetka leżała gdzieś między rupieciami. Przysunęłam ją do nosa. Takie perfumy potrafią robić tylko we Francji. Tak samo pachniała nocna koszula, w której się obudziłam.

Padłam na łóżko, wachając na przemian liścik i saszetkę.

PRÓBOWAŁ MNIE ZABIĆ. NIE ZDOŁAŁ. UCIEKAJ PÓKI CZAS.

A więc to pisała Angelika. Kto inny wspominałby o ucieczce?

Wpatrywałam się w sufit, próbując ułożyć sobie jakoś wszystkie informacje i wydarzenia. Nie było to łatwe. Nie dopełnione małżeństwo, które — jak sam mówił — „usidliło ich oboje”. Nagłe zniknięcie Angeliki. Krążące wśród służby pogłoski, jakoby tamtego dnia wyjechali razem. Do tego fakt, że jak dotąd nie ma od niej żadnych wieści.

Czułam, że duszę się od popołudniowego upału. Wiedziałam, kto podrzucił mi ten liścik. Ale dlaczego zniszczył mój obraz?

Nieważne, dlaczego. Grunt, że problemy LaMarshów przestały być już ich czysto prywatną sprawą.

Wzięłam list, strzępy obrazu i wolnym krokiem ruszyłam schodami, przez pustą wozownię i dziedziniec.

Ławeczka była pusta. Marie i Filip pewnie już weszli do domu. Już miałam ruszyć ich śladem, ale zatrzymałam się na widok kuchennych drzwi. Jak dotąd, moim jedynym sojusznikiem była Elza, więc może od niej zacząć?

Podeszłam do kuchni i zastukałam donośnie. Otworzyła mi czarna służąca.

— Gdzie jest Elza? — rzuciłam ostro.

— Wyjechała, panienko. Pewnie do siostry. Gadała, że jej siostra słabuje, więc będzie musiała posiedzieć przy niej jeszcze ze dwa dni...

Czarne oblicze nie zdradzało najmniejszego przejęcia faktem, że Elza jest mi teraz potrzebna jak nikt inny.

Potem wytrzeszczyła oczy na strzępy obrazu, który trzymałam pod pachą, i wiedziałam, że nic z niej więcej nie wyciągnę.

— Dziękuję — mruknęłam. Wciąż gapiała się w obraz jak zahipnotyzowana.

Coś nagle mi się przypomniało:

— A gdzie Clarence?

Spojrzała chyłkiem na jedne z drzwi oficyny:

— Musi pojechał z paniczem LaMarshem kajś za Nowy Orlean. „Za Nowy Orlean?” — Próbowałam dołożyć i tę cegiełkę do reszty informacji.

— Musi pojechali tam po coś.

„Po coś?” A może po kogoś? Na przykład po Angelikę LaMarsh!

Nieważne. Miałam jeszcze kilka osób do przepytania. Ruszyłam w stronę tylnego ganku. Już miałam zapukać, gdy w drzwiach pojawiła się Frances Jackson.

Przyłożyła palec do ust i powstrzymała mnie w drzwiach. Nie zdążyłam wymówić słowa, gdy już zaprowadziła mnie na ławeczkę przy fontannie.

Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. Wreszcie wyjaśniła mi, wyglądając rozbieganymi palcami czarną sukienkę:

— Pani LaMarsh miała dziś ciężką noc. Najpierw atak migreny, potem bezsenność. Teraz śpi. Robię, co w mojej mocy, by nikt nie hałasował.

— Pewnie znużyła ją wyprawa do Bellwood. Czują się wspaniale. Przynajmniej do czasu. — To ostatnie dodałam, przypomniawszy sobie wrażenie, jakie na pani LaMarsh wywarło imię Angeliki.

Frances odgarnęła włosy smukłymi palcami:

— Obawiam się, że za dużo miała wczoraj wrażeń. Wiem, że chciała pani dobrze, ale...

Czułam, że coś chce mi przekazać. Pewnie to, że mimowolnie wyrzuciłam pani LaMarsh krzywdę. Ale przecież to nie ja wpadłam na pomysł wycieczki do Bellwood, więc czemu do mnie ma pretensje?

— Sama to zaproponowała — powiedziałam z naciskiem. — Jej syn też sądził, że dobrze jej to zrobi.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w okno na piętrze:

— Nie wiem. Wiem tylko, że wróciła stamtąd w fatalnym stanie.

Musiałam zwiększyć jej dawkę leków, by mogła się zdrzemnąć. Teraz biegam po domu i uciszam wszystkich. Całe szczęście, że Marie i ten jej luby gdzieś się wynieśli — dodała zaciskając wargi.

Przyjrzałam się jej. Twarz miała jeszcze bledszą niż zazwyczaj. Troska o panią LaMarsh czy może dodatkowa warstwa pudru?

„Pudru!” Przez chwilę zastanawiałam się, czy Frances może mieć coś wspólnego z wczorajszym włamaniem. Potem skupiłam się na fontannie, czując, że nie jest ze mną za dobrze. Frances włamująca się nocą do apteki, by ukraść puder lub lekarstwa? Czysty nonsens. Skoro Artur zostawił jej pieczę nad panią LaMarsh, wydałby jej każdy lek bez zmrużenia oka.

— Co się stało z pani obrazem? — spytała patrząc na pokiereszowane płótno.

— Ktoś wkradł się do mojego pokoju i... sama pani widzi. Nie chodzi o pieniądze, bo pewnie niewiele t6o warte, ale pracowałam nad tym dobre kilka godzin. Kto mógłby, pani zdaniem, mieć z tego uciechę?

Zbladła jeszcze bardziej. Współczucie czy strach? Opadła na ławkę, jakby zrobiło jej się słabo.

— Strasznie mi przykro. Teraz zamykamy nawet na noc furtki, bo sama pani wie, jakie dziś czasy...

— Ten ktoś nie wszedł z ulicy. A gdyby nawet wszedł, to musiałby mieć klucz do mojego pokoju.

— Klucz? — Spojrzała na dom. — W spiżarni mają zapasowy komplet do wszystkich pomieszczeń. Może ktoś... — zamilkła, wodząc wzrokiem po oknach na piętrze. — Kiedyś pani LaMarsh...

— Nie! Wiem, że to nie ona. Może mnie nie uwielbia, ale ten ktoś musi mnie nienawidzić. Niech pani spojrzy. — Podsunęłam jej przed oczy zmasakrowane płótno.

— Wiem, że ryzykuję utratą pracy, ale jest tu ktoś, do kogo by to pasowało — powiedziała, wpatrując się w zaciśnięte dłonie.

— Kim jest ten ktoś?

Zmagała się przez chwilę, nim spojrzała mi w oczy:

— Marie jest zazdrosna o każdą kobietę, która interesuje się jej bratem. Powiedzmy inaczej — o każdą, którą interesuje się jej brat.

Puściłam mimo uszu ten komplement, bo nie o to teraz chodziło.

— Nie sądzę, żeby to była Marie. Znalazłam liścik na moim łóżku. Nie był podpisany, ale nie ma wątpliwości, spod czyjej wyszedł ręką.

Nachyliła się ku mnie, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu.

Przez chwilę wahałam się, czy ujawnić jej treść listu. Co właściwie mnie powstrzymywało? Czemu mam kryć Jordana? Wiedziałam, że to nie ma sensu, a jednak nie mogłam się przemóc.

— Myślę, że napisała go Angelika.

— Angelika? Przecież wyjechała do Paryża.

— O ile wiem, od dnia jej zniknięcia słuch o niej zaginął. Naprawdę wierzy pani, że jest w Paryżu?

— Sama nie wiem... — spojrzała gdzieś w bok. — Nikt właściwie nie wie. Wszyscy mamy jakieś przypuszczenia, ale...

— A więc podzielmy się naszymi przypuszczeniami, Frances. Widzę, co tu się dzieje, i teraz to już nie tylko ciekawość. Próbowałam długo trzymać się z daleka od tej rodzinnej intrygi, ale nie udało się.

— Nie tylko tobie, Margaret — pokiwała głową. — Ten dom wszystkich usidla.

„Usidla?” Czemu użyła tego słowa? Elza też wspominała coś o sidłach... ktoś jeszcze o tym mówił... karty, herbaciane listki... ach, to ta zwariowana Bella. A cóż ona mogła o tym wiedzieć?

— Jest tu taka wróżbitka, Bella. Pewnie ją znasz? Podobno mieszkała kiedyś tam, gdzie ja, nad wozownią. Potem wyniosła się, ale może zdążyła dorobić sobie klucz?

— A po co miałyby sobie go dorabiać? Miała własny i pewnie oddała go gospodarzom. A poza tym — o ile wiem — Bella nie potrzebuje kluczy.

— Ma własne?

— Możesz to i tak nazwać. Bella zna voodoo, a takie nie muszą podrabiać kluczy. I bez nich otworzą każde drzwi. Bzdury gadam. Nie, to nie Bella, już raczej ktoś ze służby.

— Clarence? Od początku mi się nie podobał. Taki mógłby ukraść klucz?

— Każdy ze służących ma dostęp do zapasowych kluczy w spiżarni. Pasują do wszystkich zamków poza domem, z wyjątkiem twojej facjatki. Może pan LaMarsh gdzieś go zgubił? A Clarence? Czy ja wiem? Dziwny z niego człowiek i kto go tam wie...

Wiele się od niej nie dowiedziałam i gdyby nie przyśpieszone tętno, może bym i na tym poprzestała. Ale wciąż coś było niejasne:

— A Angelika? Czy nie może być gdzieś tu w pobliżu?

— Dlaczego tak sądzisz? — wygładziła ręką sukienkę. — Przecież ten list nie był podpisany?

— Nie był, ale... — Już miałam zdradzić jej treść. „Próbował mnie zabić. Nie zdołał...” Kogo mogli próbować tu zabić? — Znow, na przekór rozsądkowi, postanowiłam nie powiedzieć jej wszystkiego.

— A więc sądzisz, że to Angelika zniszczyła twój obraz, a potem zostawiła ci ostrzeżenie przed LaMarshem? — spytała, wygładzając sukienkę jeszcze energiczniej.

— Tak sądzę.

— I myślisz, że pan Jordan ma coś wspólnego z twoim wypadkiem?

Tu mnie złapała. Zapomniałam na śmierć o moim wypadku. Wierzyłam w rozpięty łańcuch, a fakty przemawiały za nią.

Spojrzałam w stronę domu i przypomniał mi się cień przemykający za oknami, gdy wczoraj udawałam się z lekturą od pani LaMarsh.

— To nie takie proste. — Spojrzałam na trzymany pod pachą obraz.

— Najpierw ktoś ukradł go z mojego pokoju. Pod moją nieobecność. Dziś znów mi go podrzucił i też, gdy byłam w pracy.

Przez chwilę masowała dłonią szyję pod sztywnym kołnierzykiem:

— Widzę, że nie wyniesiesz szczęśliwych wspomnień z Fountain Court. — Zabrzmiało to szczerze.

A niby czemu szczerze? Przecież nie miałam najmniejszej ochoty wynosić się z Fountain Court. Znów ktoś pokazuje mi drzwi. Z Jordanem wyszło głupio, ale kolacja była smaczna. Przynajmniej jak na dziewczuchę z Riverville! W końcu sama się na nią nie wpraszałam.

— Tak bardzo tu zawadzam? — spytałam mierząc ją wzrokiem.

— Nie o to chodzi. — Popatrzyła na fontannę. — Po prostu wiem, co sama czujesz. Jesteś zresztą młoda i niewiele z tego rozumiesz...

— Może i młoda... ale nie głupia.

I wtedy poczułam, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Jakby pokolenia moich irlandzkich i szkockich przodków stanęły za mną, dopingując mnie, niczym zapaśnika na festynach, które urządzali kiedyś tam za morzem. A niby czemu mam się stąd wynosić? Niech wiedzą, że Margaret Morgan nie zmyka przed byle kiecką ani przed parą spodni. Zobaczymy, co lepsze: ich Fountain Court czy mój olej w głowie!

— A poza tym — dokończyłam wracając na ziemię — nie mam na widoku żadnego lepszego mieszkania.

Zabrzmiało to, jakby ktoś cisnął głaz w fontannę. Przyglądała mi się, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Po chwili odezwała się chłodno i poważnie:

— Rób, jak uważasz. Muszę wracać do pani LaMarsh. — Ruszyła w stronę domu, ale raz jeszcze zatrzymała się i rzuciła przez ramię:

— I bądź ostrożna, Margaret.

Ja też udałam się do wozowni, czując, że nic już z niej nie wyciągnę. Jordan gdzieś wyjechał, więc i od niego nic więcej się nie dowiem.

W połowie schodów nasza mnie nagła myśl. Skoro Angelika wciąż żyje... „Wciąż żyje?” — cóż ty wygadujesz, Margaret? A niby dlaczego miałyby nie żyć? A więc jest gdzieś w pobliżu, bo przecież podrzuciła mi liścik.

Chyba że...

Chyba że ktoś chciał, bym uwierzyła, że jest gdzieś w pobliżu! Ale kto i po co?

Otworzyłam drzwi i znów coś mi się przypomniało. Przecież poradziłam Jordanowi, by zadeszował do Paryża.

I zaraz potem wspomniał o poszukiwaniach...

Padłam na łóżko, szukając porady w babcinym dagerotypie na marmurowym blacie nocnego stolika. Chyba mnie wysłuchała, bo przymknąwszy oczy, zaraz zaczęłam żwawiej ruszać mózgowicą.

Załóżmy, że Angelika nie opuściła Nowego Orleanu. To by wyjaśniało wiele spraw. Przynajmniej odpadłby główny podejrzany.

Nie pora na wylegiwanie się. Wstałam i podeszłam do schowka, by ukryć tam szczątki mego obrazu. Przecież rano ułożyłam wszystkie pudełka w należyтым porządku? A więc znów ktoś grasował pod moją nieobecność i nawet nie zadał sobie trudu, by poukładać z powrotem stare gazety i księgi rachunkowe.

Zbyt przygnębiona, by dalej to rozważać, ułożyłam zwłoki mego pejzażu na stercie starych mebli. Przypomniało mi się, że moja nowa suknia spoczywa wciąż jeszcze nie rozpakowana w szafie.

Nie kłopotując się ze sznurkiem, rozerwałam papier. Pogładziłam dłonią delikatny materiał, czując, że ten dzień nie był aż tak zmarnowany. Jutro rano wyjdę na miasto w czymś nowym.

Zamknęłam szafę i spojrzałam z niesmakiem na zgłiwiały ser i resztki owoców. Postanowiłam skończyć z ascezą. Do tego pokój, przypominający mi o nieproszonych wizytach. Na samą myśl o czyichś łapskach przerzucających moje osobiste rzeczy poczułam mdłości. Porwałam torebkę i ruszyłam w Nowy Orlean.

Zdecydowałam się na przytulną kawiarnię na najbliższym rogu. Akordeonista krążył od stolika do stolika, wygrywał skoczne melodie i zabawiał klientów improwizowanymi kupletami. Na widok smażonych homarów poczułam się jak w Riverville i zapomniałam o kłopotach.

Pałaszując je z apetytem, spostrzegłam w drzwiach właściciela „Sztuki dla Ubogich” i pomachałam ręką.

— Czym mogę służyć, mademoiselle?

— Co pan wie o śmierci Windhama? — postanowiłam z miejsca przejść do rzeczy.

Przybrał okolicznościowy wyraz twarzy i wzruszył ramionami:

— Smutna sprawa. Policja przepytывała, ale cóż ja wiem o tym nieboraku?

— Słyszałam o śmierci innego malarza — rzuciłam sącząc lemoniadę.

— Oui — westchnął ciężko i przeczesał palcami brodę.

— Co mu się stało?

Począł, aż akordeonista odpłynął od mojego stolika, i ściszył głos:

— Ten też za bardzo zaglądał do kieliszka. Rozumie pani... tacy już są ci artyści. — Machnął mi przed nosem sygnetem na palcu. — Tacy... jak by to rzec, temperamentni.

— Czy to nie podejrzane, że dwóch malarzy umiera nagle w jednym tygodniu? — spytałam, odstawiając gwałtownie talerzyk.

— Biorą to do siebie — znów wykonał młynka palcami — gdy spada popyt na ich dzieła.

Przypomniał mi się Windham, który na pewno na zbyt ni popyt nie mógł narzekać. Zwłaszcza przy takiej konkurencji. Potem przypomniał mi się Jordan i jego pochlebna ocena moich knotów, a jeszcze potem jego wyznanie, że nie potrafi namalować nikogo oprócz Angeliki.

ANGELIKI!

— Wspomniał pan, że ktoś w końcu kupił portret tej kobiety? Patrzył na mnie tępym wzrokiem.

— Portret brunetki. Ten, który chciałam kupić.

— Om, już pamiętam! Oczywiście, że ktoś go kupił. Wciąż mam wyrzuty sumienia, że nie zdążyłem zapłacić biednemu Windhamowi. Gdyby nieborak nie umarł dokładnie tej samej nocy...

Zmierzyłam go wzrokiem. Coś za dużo było tych zbiegów okoliczności.

— Czy pamięta pan, kto kupił ten portret?

— Ach, przy mojej liczbie klientów?

— Ale chyba prowadzi pan księgi handlowe?

— Oui. Prowadzę — spojrzał pośpiesznie w stronę drzwi. — Wszystko zapisuję w księgach. Już coś mi świta — potarł dłonią czoło. — To nie był taki zwykły klient...

Poczułam, że serce podchodzi mi do gardła, i modliłam się, żeby to tylko nie był Jordan LaMarsh.

— Już mam! — strzelił palcami. — To była kobieta. Pamiętam, bo damy raczej rzadko kupują portrety innych dam.

— Kobieta?

— Tak, i to dość nietypowa.

— Co było w niej nietypowego? — spytałam, łapiąc się na tym, że zamiast siedzieć przy stoliku, stoję przy nim jak w gorączce.

— Woalka! Czarna woalka. W ogóle nie widziałem jej twarzy.

Wszystko zaczynało układać się w spójną całość.

— A pamięta pan, jak była ubrana? Znow potarł dłonią czoło:

— Nie, tego nie pamiętam. Właściwie to nic nie mogę o niej powiedzieć. Była w żałobie, więc myślałem, że to pewnie portret jej córki.

— A więc to była starsza kobieta?

— A któż mówi, że była starsza? Przecież powiedziałem pani, że nosiła woalkę. Czarną, jak jej włosy.

— Brunetka? — W ostatniej chwili przytrzymałam go za rękaw.

— Sądząc z kosmyka, który wyłonił się spod woalki. Pani wybaczy, ale ja już naprawdę nic więcej nie pamiętam i w ogóle nie rozumiem, co w tym tak ciekawego?

Z westchnieniem puściłam jego rękaw. Nie ośmieliłam się zadać mu tego ostatniego pytania: czy klientka i postać na portrecie mogły być tą samą osobą?

Umknął w kąt kawiarni, pozdrawiając w biegu zgromadzonych tam przy stoliku kamratów.

Zapłaciłam i wyszłam zupełnie oszołomiona.

Przy wyjściu spojrzałam na rojną ulicę. Był już wieczór i wytworne powozy mknęły do opery i teatrów. Zaskrzypiały taczki, przypomniał mi się domokrażca i odwróciłam się nerwowo, ale był to jakiś stary czarnuch pchający pusty wózek. Ruszyłam w stronę domu, wciąż myśląc o kobiecie ukrytej za woalką.

Byłam już przy furtce, gdy ciche miauczenie rozległo się gdzieś pod moimi stopami. Jasnobure kocię tuliło się do muru, a szafirowe oczka patrzyły na mnie tak błagalnie, że nie sposób było przejść obojętnie. Rozejrzałam się po uliczce, licząc, że dostrzegę jego mamę lub wyrodne rodzeństwo. Zostawili biedaka, który, na oko sądząc, miał nie więcej niż dwa miesiące. Pod zjeżonym futerkiem poczułam kruche, wystające zębra.

— Coś mi się widzi biedaku, że nie dasz sobie rady! No i co ja mam z tobą zrobić? — Gładziłam sierść, nie mogąc podjąć decyzji. Nagle poczułam jakąś solidarność z opuszczonym zwierzakiem.

— Dobra, masz u mnie nocleg, ale tylko na dziś! A jutro razem znajdziemy sobie jakiś bezpieczniejszy kąt.

Wtulił się w moje ramię i zaczął mruzczyć, nim jeszcze zamknęłam za sobą furtkę. Na szczęście ławeczka była pusta i żadne cienie nie przemykały się między drzewami.

— Ja też potrzebuję przyjaciela — zwierzyłam mu się, gdy chyłkiem przemykaliśmy się do wozowni. Puste pudełko znalazłam w ciemnym kącie, a

piasku było aż nadto na posadzce. — Mam nadzieję, że wiesz, do czego to służy? — ostrzegłam mojego współlokatora jeszcze na schodach.

Ale czym miałam go nakarmić? Otworzyłam drzwi, wpuściłam kotka i zawróciłam raz jeszcze na podwórze, patrząc czujnie w stronę kuchni. Było już po kolacji, ale lampa wciąż się świeciła.

Pewnie ktoś szorował podłogę. Podeszłam i zastukałam do drzwi, tym razem dyskretnie.

Pod nieobecność Elzy kuchnia straciła wiele ze swej przytulności.

— Panienska raczy? — Murzynka wieszała właśnie wytarte rondle nad paleniskiem.

Postanowiłam niczego nie ukrywać, bo przecież przed nią nie będę się tłumaczyć:

— Znalazłam zabłąkanego kociaka i potrzebuję trochę mleka, czy co tam masz pod ręką.

Minął kwadrans, nim to do niej dotarło, po czym poszperała w spiżarni i podała mi drewnianą miseczkę napełnioną śmietaną.

— Bóg zapłać — rzuciłam jej na odchodnym i szybkim krokiem pośpieszyłam ku wozowni.

Tym razem nie spojrzałam w górne okna. A niech sobie patrzą. Najwyżej umocnią się w przekonaniu, że pod wieczór miewam dziwne zachcianki.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Któż by pomyślał, że obecność kogoś bliskiego potrafi aż tak odegnąć samotność? Kociak ułożył mi się w nogach, zgasiał lampę i zapadłam w zdrowy sen, ukołysana mručeniami, nocnymi ptakami i pluskiem fontanny. Wcześniej nadałam mu imię „Napoleon”, ponieważ był mały, bitny i nie lękał się niczego. Od razu zaczął wypróbowywać pazurki na wszystkim, co w zasięgu łapy. Znalazłam jakąś starą siatkę do włosów, zwinęłam ją w kłębek i już był w swym żywiole.

Rano, żując na śniadanie jabłko, przyglądałam mu się ubawiona. Zdążył rozprawić się ze śmietaną i zmęczony nocnymi zmaganiem, patrzył z utęsknieniem na moje menu. Zauważyłam, że pudełko z piaskiem wykorzystał należycie, więc w przypływie wielkoduszności postanowiłam dopuścić go do stołu. Podzieliłam jabłko na pół i poczęstowałam go pokrojonymi plasterkami. Zaatakował je z wilczym apetytem. W przeciwieństwie do znanych mi wiejskich kotów brał wszystko z ufnością. Łącznie z kawałkiem sera, który jakoś uchwycił się z mojej wczorajszej kolacji.

Zostawiłam Napoleona i pomyślawszy o dzisiejszym dniu pracy, spojrzałam do szafy. Nowa sukienka podniosła mnie na duchu. Przejechałam palcami po miękkim materiale, włożyłam ją i obróciłam się przed lustrem, patrząc z lubością, jak szeroki klosz wiruje wokół mych kostek. Na nogach miałam wciąż zdarte trzewiki, ale sama sukienka stanowiła zapowiedź zmian. Przyjdzie kolej i na pantofle.

Upięłam luźno włosy, pożegnałam się z Napoleonem i szybko wyszłam na schody. Powozu nadal nie było, co oznaczało, że Jordan nie wrócił jeszcze ze swojej pozamiejskiej wyprawy. Spojrzałam na pogrążoną w ciszy rezydencję i szybkim krokiem wyszłam przez tylną furtkę na boczną uliczkę.

W aptece już w drzwiach stwierdziłam, że Artur jest jeszcze bardziej przygnębiony niż wczoraj. Przerzedzone włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby przez całą noc przewracał się z boku na bok.

Zauważyłam, że przeprosił się ze swym ciemnym garniturem i czarnym krawatem, pewnie chcąc odzyskać swą zasadniczą pozę. Gdy zbliżyłam się do jego biurka, ślęczał nad kartką papieru i żuł obsadkę pióra.

— Dzień dobry, Arturze.

— Sprawdziłem wszystko, może z wyjątkiem kosmetyków. A co u ciebie?

— Zrobił zamaszysty gest piórem i kropla atramentu spadła na deski podłogi.

— Brakuje trzech, może czterech buteleczek z lekami na morfinie, do tego eliksir i gris-gris.

— Powiedz mi coś o tych gris-gris.

— Nieszkodliwe mieszaniny pieprzu i olejku kasjowego. Samo w sobie zupełnie obojętne. Dopiero to, co się doda, może spowodować coś w rodzaju transu. Tak przynajmniej sądzą specjalistki od voodoo. No i oczywiście rytuał. Każda z nich ma swój własny. — Westchnął i precyzyjnie ułożył pióro nad notatnikiem. Popatrzył gdzieś przed siebie, a jego drobna twarzyczka zasepiła się. Widać było, że źle znosi kryzysy.

— Może ktoś pojawił się przed apteką, a włamywacz spłoszył się i nie zdążył więcej zabrać? — spytałam.

— Wciąż myślę, że to ci chłopcy, których widziałem w zaułku. Mam już tę listę, o którą prosiła mnie policja. Chyba i tak mieliśmy sporo szczęścia. Gdy jeszcze żył pan LaMarsh, włamania zdarzały się tu często.

— Często? A co zabierali?

— Nie wiem. Nigdy mi o tym nie wspominał. Byłem tu tylko przez trzy miesiące na praktyce. Potem przeniosłem się na prowincję, ale nie czułem się tam dobrze. Kiedyś wpadłem do Nowego Orleanu odwiedzić matkę, spotkałem państwa LaMarsh we Dworze Dwóch Sióstr i właśnie wtedy opowiedział mi o tych włamaniach.

— Co konkretnie mówił?

— Tylko tyle, że zdarzają się praktycznie co tydzień. Mówił też, że powinienem się cieszyć, iż się u niego nie zatrudniłem.

— A za twoich czasów?

— Chwalić Boga, to było pierwsze od śmierci pana LaMarsh. Czyli od czterech miesięcy.

Zagryzłam wargi i zamyśliłam się nad tym, co powiedział. Bardzo to było dziwne.

Przespacerował się po zapleczu:

— Mam nadzieję, że to nie ciąg dalszy tamtych. Gdybyśmy mieli stare księgi rachunkowe, można by sprawdzić, co wtedy ginęło.

Przypomniały mi się stare papiery w moim ściennym schowku:

— Mamy je, Arturze. Przynajmniej niektóre. W pokoiku, który wynajmuję u LaMarshów, jest ścienny schowek, a w nim przechowywane przez nich w pudłach jakieś stare dokumenty.

— Doprawdy? — Oczy rozszerzyły mu się z podniecenia. — Ostatnia księga bardzo by się nam przydała. Tę prowadzę dopiero od stycznia.

— Sprawdzę dziś wieczór. — Pomyślałam sobie, że przeglądając szpargały, natknę się na mój zniszczony obraz. Już chciałam mu o nim powiedzieć, ale zawałam się.

Miał dość własnych kłopotów, a poza tym, jak mógłby mi pomóc? Ale mógł znać jakieś dotyczące Angeliki pogłoski. Znowu przypomniała mi się zawołowana kobieta, która kupiła portret.

— Słuchaj, Arturze... wczoraj wieczór doszły mnie słuchy, że być może Angelika jest gdzieś tu w pobliżu. Słyszałeś coś o tym?

— Pierwszy raz słyszę... chociaż?

— Chociaż co?

— Wolałbym o tym nie mówić. — Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do kantorka.

Naprawdę nie chciałam trapić go moim ostatnim nieszczęściem, ale ciekawość była silniejsza i postanowiłam niczego nie ukrywać.

— No to posłuchaj, co wydarzyło mi się wczoraj wieczór. Spojrzał na mnie znad swej aptecznej wagi i na widok mojej nowej sukni rozjaśniło mu się oblicze.

— Już wiem! Nowy nabytek? Bardzo atrakcyjna.

— Bardzo mi miło, ale nie to chciałam ci powiedzieć. Przedwczoraj ktoś zabrał mój obraz z mego pokoju. Wczoraj podrzucił go z powrotem pocięty na kawałki.

— Co takiego?

— Do tego zostawił liścik na poduszce... — Znowu nie mogłam się zdobyć na zacytowanie treści. Przecież brzmiało to tak obciążająco, że powinnam udać się na policję. Ale do tego nie byłam zdolna. Podobnie jak do wyznania Arturowi mych podejrzeń.

— Liścik?

— Taki, jaki mogłaby napisać żona. Sądzę, że pisała go Angelika, a brzmiało to... niczym dziwaczne ostrzeżenie.

— Jakie ostrzeżenie?

— Ostrzeżenie dotyczące pana LaMarsh.

— Ach, rozumiem. Jest o ciebie zazdrosna. Oczywiście, jeśli to ona pisała. Ale któż inny mógłby to napisać?

— Nie jestem taka pewna, Arturze. Szczerze mówiąc, niczego nie jestem już pewna.

I tymi przygnębiającymi słowami rozpoczęliśmy kolejny dzień pracy, który miał być długi, pracowity i pełen klientów.

Instynkt miałam wyostrzony, jak nigdy dotąd, może z potrzeby samoobrony. Wciąż rozmyślałam o włamaniach, które tak nagle ustały wraz ze śmiercią starszego pana LaMarsh. Było w tym coś niepokojącego. Czy klucz do zagadki nie leżał w księdze rachunkowej?

— Arturze — spytałam, gdy szykowaliśmy się już do zamknięcia apteki — mówiłeś, że ten młody faworyt Marie pracował tutaj? Wspominałeś, że porzucił pracę... — zaważałam się. — Porzucił, a może wyrzucił go pan LaMarsh? Sama już nie pamiętam.

— Raczej to drugie.

— A więc włamania zdarzały się, gdy tu pracował? — wyrzuciłam z siebie nekające mnie podejrzenie.

Wodził po mnie małymi oczkami, zanim zrozumiał sens mych słów:

— Myślisz, że mógł mieć z tym coś wspólnego?

— Wcale tak nie twierdzę. Dziwne tylko, że od jego odejścia nie było żadnego włamania. Oczywiście do wczoraj.

— Tak, to dziwne. Zamek w tylnych drzwiach podważono jakimś małym, tępym narzędziem. Myślę, że to jednak któryś z tych chłopaków.

Milczeliśmy aż do samego końca pracy. Gdy mieliśmy się pożegnać, zauważyłam, że pilnie mi się przygląda.

— Podoba mi się twoja nowa sukienka — powiedział nieśmiało. — I fryzura też.

— Dziękuję, Arturze.

Cóż za fatalny kaprys losu sprawił, że ten zacny stateczny człowiek, którego tak bardzo polubiłam, nie był tym, w którym mogłabym się zakochać. Wiedziałam, że wpadłam mu w oko, ale nie miałam pojęcia, co z tym fantem zrobić. Jakiś przewrotny chochlik kazał mi zakochać się w Jordanie LaMarsh. Serce nie sługa, no i pewnie skończy się tym, że będę miała je złamane.

Sięgnęłam po torebkę i już miałam wyjść, gdy przypomniał mi się jego ojciec. Może dlatego, że widziałam, z jakim uwielbieniem wpatrywała się pani LaMarsh w jego fotografię na kominku, gdy czytałam jej wiersze.

— Czy pan Józef LaMarsh miał kłopoty z sercem? — spytałam na odchodnym.

— Z sercem? Pierwszy raz słyszę. — Artur wydawał się zupełnie zaskoczony. — Wybacz, Margaret, że ci to mówię, ale dziwnie interesują cię sprawy.

— Masz rację, Arturze. Po prostu taką już mam ciekawską naturę. Sama nie wiem, co z tym zrobić. — Uśmiechnęłam się blado i opuściłam aptekę.

Zamyślona, zamiast skręcić w stronę domu, ruszyłam na Jackson Square. Nie wiedziałam, co mnie tam gna. Wszędzie pełno było powozów i nagle złapałam się na tym, że szukam tego jedyne, należące do LaMarshów. Na próżno.

Na placu spojrzałam w kierunku stolika Belli. Stał pusty. Zastanawiałam się, gdzie właściwie mieszka. Gdybym znała adres, złożyłabym jej wizytę i może udałoby się coś z niej wyciągnąć, skoro sama mieszkała kiedyś nad wozownią.

Zrozumiałam, że poszukiwanie Belli jest daremne, więc zaczęłam przyglądać się z uwagą domokrażcom, licząc, że spostrzegę mojego prześladowcę. Byłam zdecydowana spytać go o malarza. Przecież rozmawiał z Forestem Windhamem, więc mógł coś wiedzieć o jego śmierci. Skoro bywał w Fountain Court, musiał kogoś tam znać. Czyżby Angelikę?

Z westchnieniem ruszyłam w stronę domu. Na Jackson Square nie było szans na jakąkolwiek odpowiedź. Przynajmniej nie dziś.

Na dziedzińcu powitało mnie ciekawskie spojrzenie Marie. Siedziała przy fontannie z książką na kolanach. Sukienkę miała z kwiecistej organdy, a włosy splotła na karku czerwoną wstążką.

— No i jak z Filipem? — zaczęłam pojednawczo. Myślałam, że to imię wywoła na jej twarzy uśmiech, ale srodze się myliłam.

— A co ci do tego? — warknęła.

Gdybym nie znała jej charakteru, zaskoczyłby mnie ten ton. Żywiłam nadzieję, że wspólną nocną wyprawą zasłużyłam sobie na choćby odrobinę wdzięczności z jej strony, ale teraz przekonałam się, że była to strata czasu.

— Nic mi do tego. Po prostu czasami lubię być miła, ale z tobą to nie ma sensu — odpłacałam jej pięknym za nadobne.

Wytrzeszczyła oczy, a książka spadła jej z kolan na ścieżkę i leżała sobie tam, teraz już absolutnie nikomu niepotrzebna.

— Musiałaś wypaplać wszystko Jordanowi? — syknęła.

— A niby co miałam mu wypaplać?

— Nie udawaj — zerknęła w stronę okien na piętrze. — Chodzi o naszą nocną wyprawę. Dziś przy śniadaniu zagroził mi, że jeśli jeszcze raz wyjdę gdzieś wieczorem, użyje pasa!

Słuchałam zaskoczona, nie mogąc dociec, skąd mógł się o tym dowiedzieć. Potem skrzyżowałam ręce na piersi i oświadczyłam stanowczym tonem:

— Po pierwsze, nic nie mówiłam twojemu bratu. Po drugie, gdyby wiedział, gdzie byliśmy, nie groziłby ci pasem, ale po prostu by go użył — puściłam mimo uszu jęk oburzenia i ciągnęłam dalej — po trzecie, mógł wygadać się

Charles lub każdy, kto widział nasz powrót. A po czwarte... tylko nie waź mi się teraz przerywać!

Nabrałam tchu, a ona aż przybladła ze strachu.

— A po czwarte, to ktoś znów był w moim pokoju i zabrał obraz, który właśnie malowałam.

Mówiąc to, śledziłam uważnie jej twarz, w nadziei, że znajdę na niej choćby cień winy, ale nie okazała najmniejszego wzruszenia.

— Ten ktoś podrzucił wczoraj z powrotem ten obraz, tyle że trochę go upiększył — dokończyłam z emfazą.

Milczenie, jakie zaległo, było niczym naprężona pomiędzy nami struna. Przebierała nogami, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu. Postanowiłam jeszcze trochę ją pomaltretować i długą chwilę nie odzywałam się słowem.

— Co znaczy, że ci go upiększył? — wybąkała wreszcie.

— To, że odzyskałam go w strzępach.

Otworzyła szeroko usta. Wyglądała na prawdziwie zaskoczona, ale czy mogłam być pewna? Była z tych, co do których nigdy się nie ma stuprocentowej pewności. Wiedziałam już, jaka z niej mała jędrza.

Uniosła drobną dłoń, poprawiła włosy i wyraz obojętności znów wrócił na jej twarz.

— Pierwszy raz słyszę — wzruszyła ramionami. — Pewnie myślisz, że byłabym zdolna do czegoś takiego, skoro przed chwilą spytałam cię o Jordana? Ale to nie ja. Nie interesują mnie twoje malunki. Nie byłam w twoim pokoju wczoraj, przedwczoraj ani kiedykolwiek. Jeśli chcesz kogoś oskarżyć, źle szukasz. — Przez chwilę mierzyła mnie wzrokiem. — Ale pewnie mi nie wierzysz?

— Wcale tak nie mówię.

— Nie musisz mówić! Masz to wypisane na twarzy. — Opadła na ławkę, a jej czarne oczy miały błyskawice. — Dlaczego wszyscy ciągle mnie o coś podejrzewają? Jesteś taka jak mój ojciec! Te same czujne oczy, te same półsłówka, te same oskarżenia!

To już nie był zwykły gniew. To była furia. Furia, a może i coś więcej. Nienawiść!

Podbródek drżał jej, ale oczy miała wciąż suche. Postanowiłam podpuścić ją jeszcze bardziej, posługując się metodą, którą nieraz z powodzeniem wypróbowałam w dzieciństwie na jakimś J. D. — tyranie podwórka, który jakoś zawsze dawał się na to nabrać. Liczyłam, że Marie, bliska spazmów, coś nierozważnie wypapla.

— W czym przypominam ci twojego ojca? — spytałam z zaciekawieniem.
— Nigdy nie widziałam pana LaMarsh, więc chciałabym wiedzieć.

— Przecież już ci powiedziałam! — krzyknęła. — Twój głosik, twoje spojrzenie! Nienawidzę tego, nienawidzę, jak niczego na świecie!

— Słyszałam wiele dobrego o twoim ojcu — kontynuowałam z niezmaconym spokojem. — Czy nie sądzisz, Marie, że nieładnie jest tak mówić o kimś, kogo nie ma już wśród nas, więc nie może się bronić?

— Powiedziałabym to samo, gdyby tu był. Nie myśl, że mu tego nie mówiłam. Tak... powiedziałam mu prosto w twarz, że go nienawidzę. Nawet nie uroniłam łzy, gdy...

— Marie! Do domu, ale już!

Głos Jordana zabrzmiał niczym świst bata. Nawet z odległości czułam jego zapiekły gniew.

Stał w furtce, miał w dłoni cylinder, a gęste czarne włosy opadały mu na czoło. Miał na sobie bryczesy, sportową koszulę, a wysokie buty pokryte były grubą warstwą kurzu.

— Nie muszę cię słuchać! — krzyknęła i dopiero teraz zalała się łzami. Dopiero po chwili zauważyła jego bielejące usta i wściekłość bijącą z czarnych oczu. Uniosła rąbek sukienki, pobiegła pędem przez dziedziniec i z trzaskiem zatrzasnęła za sobą drzwi ganku.

Miałam szczerą ochotę pójść w jej ślady, ale duma i determinacja kazały mi ruszyć statecznym krokiem w stronę wozowni, choć czułam na plecach jego palące spojrzenie.

Jeśli naprawdę chciałam się przekonać, jak daleko może posunąć się w gniewie, to chyba nacisnęłam dobry guzik. Obraziłam Marie i teraz czekałam na najgorsze, zacisnąwszy w pięści dłonie, równie drżące jak moje serce. Czekałam, słysząc, jak zbliża się do mnie wolnym, cichym krokiem drapieżnika, w każdej chwili gotowego do skoku.

Dopiekłam Marie bez litości, a co gorzej, bez przyczyny. Czekałam, aż Jordan wyrzuci mnie z ich domu, licząc jedynie, że uczyni to słowem, a nie własnymi rękoma. To, co usłyszałam, omal nie zbiło mnie z nóg.

— Nie znałaś mojego ojca — powiedział cicho — a jednak stanęłaś w jego obronie. Dziękuję ci z całego serca.

Spojrzałam w te ciemne, aksamitne oczy i rozkleiłam się. Pragnęłam podejść doń, wziąć go za rękę, powiedzieć coś pocieszającego. Chyba nawet tak zrobiłam, bo nagle poczułam, że opieram się o jego pierś i patrzę w naznaczoną cierpieniem twarz.

Objął mnie mocno, a potem pochylił się i pocałował. Była w tym pasja i łagodność, słodycz i gorycz. Czułam się jak ktoś uniesiony w niebiosy, a potem ciśnięty na samo dno piekielnej otchłani, gdy puścił mnie i ruszył w stronę domu, z nisko zwieszoną głową.

Patrzyłam za nim, zagubiona i oszołomiona. I znów twarz w oknie sypialni! Nawet z tej odległości widać było wykrzywione przerażeniem rysy. Ale to nie Marie ani jej matka były świadkami naszej intymnej sceny. To była twarz Frances. Biegając do wozowni z zaczerwienioną twarzą i mokrymi policzkami, czułam, że ma mnie teraz za natręta, który nie spocznie, dopóki się nie sparzy. Może i miała rację.

Wbiegłam na górę, otworzyłam drzwi i przez łyżę ujrzałam bure futerko zwinięte w kłębek na samym środku mojego łóżka. Przekreśliłam za sobą klucz, a Napoleon przeciągnął się leniwie, zeskoczył na podłogę i podbiegł do moich nóg z miną wyrażającą błogie zadowolenie.

— A cóż to za wylegiwanie się na moim łóżku? — skarciłam go, czując rozpaczliwą potrzebę rozładowania skumulowanego napięcia. — Kocia sierść! — mruknęłam podchodząc do szafy. — Pewnie już jest na kołdrze i na poduszce!

Otworzyłam szafę, wyciągnęłam domową sukienkę i wygodne pantofle. Albo zadowolę się przejrzałymi owocami i zgłiwiałym serem, albo będę głodna. Tak czy inaczej, postanowiłam nie obnosić publicznie swej twarzy, dopóki nie opadną ze mnie emocje.

Ściągając przez głowę nową sukienkę, poczułam na ustach dotyk delikatnej materii i znów przypomniał mi się Jordan.

Z sukienką przerzuconą przez ramię, czując, jak powietrze chłodzi moją rozpaloną skórę, w samej tylko bieliźnie podeszłam do łóżka i spojrzałam na poduszkę, na której wczoraj znalazłam te słowa:

PRÓBOWAŁ MNIE ZABIĆ. NIE UDAŁO MU SIĘ. UCIEKAJ PÓKI CZAS.

Zaszlochałam. Zawróciłam w stronę szafy i powiesiłam suknię. Nie próbowałam już nawet hamować łez, które spływały mi po policzkach i ustach, jeszcze przed chwilą całowanych.

„Co się ze mną dzieje?” — pomyślałam. Jak we śnie włożyłam starą sukienkę i padłam na łóżko. Czyżbym straciła resztki zdrowego rozsądku? Czy nie wiedziałam, czym grozi zbliżanie się do LaMarsha? Za mało było ostrzeżeń? Grózb?

Wtuliłam twarz w dłonie i drżałam od szlochów. Wtedy poczułam coś ciepłego, kulącego się przy mych bosych stopach. Otarłam twarz ręką spodnicy i zaczęłam przyglądać się Napoleonowi, który też uniósł łebek i spojrzał na mnie smutnym wzrokiem.

— Dobrze mieć przyjaciela — powiedziałam, położywszy go sobie na kolanach i bezmyślnie głaskając.

Za oknem magnolie kryły się już o zmierzchu. Gołębica cicho gruchała. Czułam, że jestem u kresu wytrzymałości. Potrzebowałam porządnie przespanej nocy. Może rano będę w stanie przemyśleć to wszystko na chłodno. Oczywiście zamierzałam powiedzieć Jordanowi o obrazie. Ale teraz chyba ani on, ani ja nie byliśmy w formie do dyskusji.

„Jutro” — przysięgałam sobie. „Jutro stawisz mu czoło”. A może nie tylko jemu, ale im wszystkim. Podeszłam do okna i popatrzyłam w stronę ciemnej kuchni.

Jedyne, o czym marzyłam, to aby Elza wróciła jak najszybciej.

O dziwo, spałam spokojnie i nie przeszkadzał mi żaden duch, zazdrosna żona ani wściekła Marie.

Gdy rano umyłam się i ubrałam, przypomniałam sobie o księdze, którą obiecałam przynieść Arturowi. Pośpiesznie otworzyłam schowek i przeszukałam leżące w nim wciąż w nieładzie rupiecie. Z uwagą przejrzałam księgi. Niektóre z nich, zakurzone i nadpleśniałe, obejmowały dawne lata; niestety ubiegłorocznej nie było. Rozczarowana, wsunęłam głowę w najdalszy kąt pochyłego schowka. Były tam tylko powiązane sznurkiem sterty starych, pożółkłych gazet. No i oczywiście para butów upchana w sam róg. Nagle przypomniała mi się butelecarka znaleziona w trzewiku. Sięgnęłam ręką i wydobyłam ją raz jeszcze.

Cisnęłam but, a z buteleczką podeszłam do okna. Uniosłam ją i spojrzałam pod światło. Była napełniona lekiem tylko w jednej trzeciej. Wiedzioną nagłym impulsem, chwyciłam spinkę od kapelusza i przy jej pomocy wyjęłam szczelnie dopasowany korek.

Powąchałam. Był to bardzo dziwny zapach, nie przypominający niczego, z czym miałam do czynienia w aptece, choć skądś mi znany. Bez wątplenia lekarstwo należało kiedyś do pana LaMarsha. Może aplikował je na migreny swojej żonie?

Odgłos dzwonów przypomniał mi, że pora ruszać. Odstawiłam buteleczkę na nocny stolik i pośpiesznie szykowałam się do wyjścia.

— Tylko nie napytaj nam obojgu biedy! — ostrzegłam Napoleona. — Dziś wieczór dostaniesz świeżą śmietanę i świeży piasek. — Obiecawszy mu to, wyszłam, zamykając starannie drzwi na klucz.

Powozu nadal nie było, więc pewnie Jordan pozostawił go pod pieczęcią Charles'a gdzieś na zewnątrz. Otworzyłam drzwi wozowni i spojrzałam w stronę kwater służby. Ani żywej duszy. Zastanawiałam się, czy Clarence już wrócił.

W uliczce za furtką poczułam nagły przyptyw niczym nie uzasadnionego optymizmu. Dziwne, ponieważ od wczoraj nic się nie zmieniło. A może sprawił to Napoleon? Wiedziałam, że przynajmniej zastanę dziś wieczór w pokoju jakąś bratnią duszę. Rozejrzałam się po ulicy. Wędrowny przekupień oferował głośno świeże rogaliki.

Nie, to nie był kotek. Teraz już wiedziałam, dlaczego czuję się tak idiotycznie szczęśliwa. To sprawił ten, którego kochałam, i jego czułe spojrzenie wlewające w moje serce nową nadzieję.

A może pora spojrzeć prawdzie w oczy? Może powinnam pomóc mu rozwikłać zagadkę Angeliki? Cóż więcej mogło nas dzielić? Przecież sam wspominał coś o unieważnieniu. Mówił, że małżeństwo nie było skonsumowane. Gdyby nie prawne więzy...

Głupia radość wymazała z mojej pamięci liścik i ostrzeżenie. Może rozwiązanie łamigłówki jest tuż, w zasięgu ręki? Jak miało się wkrótce okazać, rozwiązanie drogo mogło mnie kosztować.

— Szukałam w schowku, ale nie ma tam zeszłorocznej księgi — poinformowałam Artura zaraz od wejścia. — Są tylko stare, no i tony papierzysk.

— Tak też myślałam. Pan LaMarsh pewnie trzymał ją w swoim domowym biurku. Muszę poprosić Jordana, by mi ją podrzucił. Chyba że — spojrzał na mnie ukradkiem i spostrzegłam coś nowego w jego wyrazie twarzy — chyba że sama to zrobisz.

Co miał na myśli? Czy to z wyobraźni, czy z poczucia winy, zaczęłam podejrzewać, że wie już o wczorajszej scenie w ogrodzie.

Unikając jego spojrzenia, zajęłam się wodą sodową i szklankami na półce. Pierwszą klientką była dziś Frances Jackson i na jej widok spuściłam z zakłopotaniem oczy. Była świadkiem mojego sam na sam z Jordanem.

— Dzień dobry — rzuciła okiem kolejno na Artura i na mnie. Powitaliśmy ją równocześnie, gdy szła w stronę kantorka, w którym Artur manipulował przy aptecznej wadze.

— To butelka pani LaMarsh. Czas najwyższy uzupełnić zapas.

Mimowolnie spojrzałam na naczynie, które przypomniało mi to znalezione w trzewiku. Postanowiłam nie wspominać o odkryciu. Wolałam ograniczyć do minimum poranne rozmowy z Frances. Czułam się niezgrabnie i głupio. Wiedziała wprawdzie o kartce na poduszce i o zniszczeniu mojego obrazu, ale widziała też, jak padałam w ramiona Jordana niczym zadurzona pensjonarka. W sumie wiele wiedziała.

Ulotna radość, którą czułam jeszcze przed godziną, wyparowała niczym aromat przypraw z nie dokręconego słoika. Już miała wyjść, gdy nagle zawróciła w stronę mojej lady i przyjrzała mi się uważnie.

— Jak się pani dziś czuje? — spytała obojętnym tonem. Uniosłam głowę i popatrzyłam jej w oczy:

— Sama nie wiem. — Postanowiłam grać w otwarte karty: — Miałam wczoraj niemiłą rozmowę z Marie na dziedzińcu.

— Tak, słyszałam i właśnie dlatego podeszłam do okna. — Jej szare oczy mierzyły mnie z wyraźną dezaprobatą.

Otworzyłam usta, by wszystko jej wyjaśnić. Ale co i jak miałam wyjaśniać? Nie było usprawiedliwienia dla widowiska, które urządziłam wczoraj pod jej oknem.

— Jeśli można doradzić — ściszyła głos — powinna pani bardziej kontrolować swoje emocje. Inni też podchodzą do okien — dodała łagodnie, patrząc kątem oka na Artura, który strzygł uszami w swoim kantorku niczym zając na miedzy.

— Oczywiście ma pani rację — powiedziałam z pokorną miną. Nigdy w życiu nie zrobiłam czegoś równie głupiego i błazeńskiego i czułam, że płonę ze wstydu. Chciałam jakoś to wytłumaczyć, ale powstrzymałam się. Czemu właśnie przed nią miałabym się tłumaczyć? Kim w końcu była w Fountain Court? Co innego pani LaMarsh, lub nawet Marie, ale Frances...?

Wyszła z apteki, a ja odwróciłam się gwałtownie i przyłapałam Artura na ukradkowym spojrzeniu.

— Czyżbyś znów otrzymała jakiś liścik?

— Na szczęście nie — powiedziałam, nie wiedząc, jak przetrzymam ten dzień.

Ale okazało się, że mieliśmy taki natłok klientów, iż nie było czasu na dalsze pytania i rozmowy. Po południu ruch ustał i Artur postanowił wykorzystać to, by odnieść utarg do banku. Zostałam sama i przyjęłam to z wielką ulgą.

Postanowiłam odpocząć trochę na ławie ustawionej w aptece dla wygody oczekujących na lekarstwa klientów. Ledwie usiadłam, otworzyły się drzwi i weszła Bella. Dziś nie kaszłała, przepaskę miała białą, a oczy błyszczały jej jak rzadko kiedy.

— Szukałam pani wczoraj na targu — oznajmiłam, gdy tylko przywitaliśmy się. — Nie było pani przy stoliku.

— Odwiedziłam kogoś bliskiego. — Pomachała ręką, wywołując kakofonię złotych bransolet. — Już jestem z powrotem. Szukałaś mnie? — dodatkowa zmarszczka pojawiła się na jej pooranej bruzdami twarzy.

— Trudno powiedzieć, że szukałam... ot tak, chciałam sobie pogwarzyć.

Owinęła szal wokół drobnych ramion i przyjrzała mi się podejrzliwie:

— A więc szukała mnie pani czy nie szukała, mademoiselle?

— Co pani wie o Angelice LaMarsh? — spytałam wprost, śledząc uważnie jej pomarszczoną twarz.

— Proszę nie zadawać mi takich pytań! — zachnęła się.

— A czemu nie? — Poderwałam się i zablokowałam jej drogę do oszklonego kantorka Artura. — Czy mam zapłacić za informację?

Obróciła się gwałtownie i spiorunowała mnie wzrokiem. Może posunęłam się za daleko. Ugryzłam się w język, przypomniawszy sobie, że ta niepozorna kobiecina rozporządza nie byle jaką mocą, więc po co dodatkowo kusić los?

— Przepraszam — potarłam dłonią czoło. — Wybacz pani te słowa. Ostatnio mieliśmy tu sporo zamieszania.

— Coś nie tak? — spytała niskim głosem. Wyczułam niepospolitą siłę kryjącą się w tym drobnym ciele i zastanawiałam się, jakby pozyskać jej pomoc.

— Wszystko jest nie tak — odpowiedziałam szczerze, na co pewnie nie zdobyłabym się, gdyby nerwy nie odmówiły mi posłuszeństwa.

— Mówiłam ci — powiodła wzrokiem po pustej aptece i drzwiach wejściowych — mówiłam ci, żebyś się stamtąd wyniosła.

Tam czai się zło! Nie czekaj, aż i ciebie dopadnie. — W pustej aptece jej głos przypominał syk węża, ale właśnie w tym momencie wszedł Artur i przyglądając nam się z zaciekawieniem, ruszył w stronę kantorka.

— Syrop od kaszlu? — spytał zwięźle. — Obawiam się, że stoimy kiepsko ze składnikami. Mieliśmy tu włamanie.

— Włamanie? Jakie znów włamanie?

Westchnął, najwyraźniej zde gustowany perspektywą opowiadania tej samej historii po raz nie wiadomo który:

— Ktoś — podejrzewam, że jakieś młokosy — wyważył zamek w tylnych drzwiach i dostał się tamtędy. Niewiele zdołali ukraść. — Powiódł wzrokiem po półkach z lekarstwami.

Napełnił jej butelkę, a ja robiłam ostatnie porządki przy wodzie sodowej, by móc wyjść równo z wybiciem godziny.

— Od dziś jestem co dzień przy moim stoliku — zaznaczyła już w drzwiach. — A w poniedziałek przyniosę Elzie trochę świeżych ziół. Pogadamy.

— W porządku — powiedziałam, ale straciłam ochotę na konsultowanie się u Belli. Potrafiła tylko straszyć, jak zresztą wszyscy naokoło mnie. Potrzebowałam kogoś, kto dodałby mi trochę otuchy, a nie krakał o niebezpieczeństwach i przeznaczeniu.

Może niedzielne nabożeństwo doda mi sił. Przypomniała mi się Elza i pomyślałam z nadzieją, że może jej siostrze już się polepszyło i po powrocie zastanę w swojskiej kuchni mojego jedyne prawdziwego przyjaciela.

— Coś mi chodzi po głowie — powiedział Artur już po zamknięciu apteki. — Nie pamiętam, by Frances Jackson miała kiedykolwiek na twarzy aż tyle pudru. Nie sądzisz, Margaret?

Spojrzałam nań zaskoczona. Natychmiast przypomniała mi się pusta gablota, w której trzymaliśmy na widoku publicznym kosmetyki.

— Masz rację. Ale, szczerze mówiąc, słabo znam pannę Jackson. „Co nie przeszkadza, że wygadałaś się jej o liściku w chwili nieostrożności” — dodałam sama do siebie w myślach.

— Ja też słabo ją znam — powiedział zamykając na klucz szufladę biurka.

Na dźwięk klucza przyjrzałam się raz jeszcze szufladzie i zamkowi. Znów przypomniało mi się włamanie.

— Jak sądzisz, Arturze? W jaki sposób ci młodzi złodzieje mogli ukraść książkę, nie mając klucza i nie naruszając szuflady?

Powoli włożył pęk kluczy do kieszeni surduta i spojrzał na mnie smętnie:

— Na to pytanie nie jestem ci w stanie odpowiedzieć.

Dzień, rozpoczęty złudną nutą szczęścia, skończył się przygnębieniem. Ale przygnębienie, które czułam kupując kubek śmietany i śpiesząc z nim do wozowni, przeszło w rozpacz, a potem w grozę, gdy otworzywszy drzwi pokoju, ujrzałam leżącego sztywno na podłodze martwego Napoleona.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Stałam jak ścięta lodem, nie wierząc własnym oczom. Buteleczka z lekiem leżała na podłodze. Tym razem nie miałam wątpliwości. Napoleon potraktował ją jako kolejną zabawkę, stracił, a płyn wylał się przez nieszczelny korek. Wilgotna plama wciąż znaczyła dywan tuż przy szklistych oczkach. Śmierć musiała nastąpić błyskawicznie.

Zmusiłam się, by podejść do denata. Pyszczek miał otwarty, a na różowym języku widniała brunatna plamka. Odwróciłam głowę.

Z ciężkim sercem uniosłam buteleczkę. Rzeczywiście, korek był nieszczelny. Powąchałam. Ten sam podejrzany zapach.

— I czemu byłeś tak wścibski, Napoleonie? — zapytałam z bólem. Znów przyjrzałam się wilgotnej plamie na dywaniku. Była mikroskopijna, więc lek musiał mieć piekielną moc.

Biedny Napoleon. Niczemu nie przepuścił. Cisnęłam buteleczkę do kosza i przełamując wewnętrzny opór, pochyliłam się nad martwym zwierzakiem.

Drzwi wozowni zaskrzypiały. Poderwałam się, ostrożnym krokiem wyszłam na podest schodów i spojrzałam w dół.

Clarence przemykał się jak jaszczurka w stronę komórek z uprzężą. Wzbudzał we mnie odrazę, ale teraz potrzebowałam jego pomocy. Zadanie, które chciałam mu zlecić, przekraczało moją odporność.

Zeszłam na dół i zbliżyłam się doń ostrożnie. Stał nad skrzynią z narzędziami i wpatrywał się w nie tępym wzrokiem. Na mój widok wyprostował się i wcisnął podarty kapelusz głęboko na uszy.

— Mam dla ciebie zadanie, Clarence, ale nie wiem, czy potrafiłbyś to zrobić — zaczęłam oficjalnie, choć sam jego wygląd napelniał mnie obrzydzeniem.

Powiódł po mnie sennym wzrokiem, ale wiedziałam, że chytrze rozważa każde moje słowo.

— Zdechł mój kotek. Trzeba... coś z nim zrobić. Zapłacę ci. Wykrzywił usta, a było w tym więcej pogardy niż wesołości.

— Co panienka rozkaże. — Spojrzał w górę na uchylone drzwi mojego pokoju. — Tam jest to ścierwo?

— Kotek jest tam i będę ci wdzięczna, jeśli...

Ruszył po schodach, nawet nie pozwalając mi dokończyć. Ja zostałam na dole. Nie podejrzewałam, by spróbował zabrać coś oprócz Napoleona. Ale jakoś dziwnie szybko przystał na moją prośbę. Może Elza miała rację, mówiąc, że dziwny z niego człowiek?

Po chwili zszedł na dół, trzymając bezceremonialnie kota za tylną łapę. W przyćmionym świetle wozowni martwe ciało przypominało wprawione w ruch wahadło. Odwróciłam głowę. Nie chciałam oglądać tak podłej ostatniej drogi mojego Napoleona. Clarence przeszedł przez wozownię, szurając butami. Zapamiętałam sobie ten krok. Dobrze wiedzieć, gdyby znów ktoś w nocy chciał złożyć mi wizytę.

Wróciłam do pokoju i sięgnęłam do portmonetki zgodnie ze złożoną Clarence'owi obietnicą. Spojrzałam na kosz na śmieci. Jeśli tak mała dawka mogła uśmiercić kota, jakim cudem mogli podawać ten lek pani LaMarsh?

Oczywiście koty mogły być mniej odporne, a jeśli zażywała to regularnie, porównanie w ogóle nie wchodziło w rachubę.

Uchyliłam okno, zaczerpnęłam świeżego powietrza i spostrzegłam, że Clarence już wraca. Pogrzebałam w portmonetce i zbiegłam na dół.

— Dziękuję. — Wcisnęłam mu w dłoń kilka monet.

— Wykorkował od tej buteleczki, co żem ją widział na górze? — spytał z zaciekawieniem.

— Chyba tak. Zostawiłam ją na nocnym stoliku i musiał ją strącić.

— Panienska też to bierze? — Opuścił ciężkie powieki. Ileż on właściwie mógł mieć lat?

— Skądże! Nie zażywam żadnych lekarstw. Po prostu znalazłam to w starych rupieciach i...

— W starych rupieciach? — Jeszcze nigdy nie widziałam go tak podnieconego. To też warto było zapamiętać. Gdyby nie ból po stracie Napoleona, pobiegłabym zaraz z buteleczką do Frances.

— Tak, znalazłam to w schowku, ale nie sądzę, by było tego więcej. Jeśli znajdę...

— Lepiej pozbyć się tego zaraz. — Wbiegł po schodach. Nigdy nie podejrzewałabym tego cherlaka o taką zwinność. Żeby aż tak przejmował się bezpieczeństwem domowników? Ale w końcu Jordan nie zatrudniłby nikogo, kto nie oddałby życia za całą rodzinę LaMarshów. Może Clarence to milczek i prostak, ale czy trochę go nie krzywdziłam?

— Wyrzuciłam ją do kosza na śmieci! — zawołałam z dołu, całkowicie niepotrzebnie, bo już biegł z powrotem, taszcząc cały kosz.

— Wywalę to wszystko — rzucił już z dziedzińca. Śledziłam go wzrokiem, gdy zniknął w drzwiach oficyny.

Teraz i mnie udzielił się jego niepokój. Ruszyłam w stronę rezydencji. Nie mogłam dłużej zwlekać z powiadomieniem Frances, skoro to ona odpowiadała za domową apteczkę.

Była właśnie pora kolacji. Elza jeszcze nie wróciła, ale z kuchni dochodziły pikantne zapachy, gdy wchodziłam na tylny ganek. Pewnie urzędowała tam ta mała Murzynka, którą widziałam przed chwilą w kuchennym oknie.

Zapukałam i pokojówka wpuściła mnie do mrocznego hallu. Zdążyłam spostrzec rąbek marszczonej spódnicy znikającej w najbliższych drzwiach po lewej stronie. Ruszyłam za nią. Sądząc z czarnego koloru, była to Frances, ponieważ Marie preferowała jasne barwy, a pani LaMarsh nie mogłaby poruszać się tak żwawo.

Ku memu zdziwieniu w salonie stała Marie, wpatrując się w swój własny wiszący nad kominkiem portret.

— Czy można? — spytałam, pukając pro forma w uchylone drzwi.

Dziś miała na sobie czarującą białą koronkową bluzkę, a włosy upięła wdzięcznie nad czołem. Po raz pierwszy przypominała młodą kobietę, a nie nadąsanego podlotka.

Róż na policzkach i przypudrowana twarz podkreślały czerń jej oczu i włosów nie gorzej niż białe koronki. Wyglądała ładnie, może dzięki temu, że jeszcze nie zdążyła się do mnie odezwać.

— Szukam Frances — powiedziałam.

— Wyszła do miasta — rzuciła gdzieś ponad moją głowę.

— No to przepraszam.

— Proszę poczekać!

Stała oparta o kominek: buzia w ciup, a ręce w małdrzyk.

— Gdy tylko Maman wyzdrowieje, znów będziemy mieć tu mnóstwo gości. Może powinnaś o tym wiedzieć. — To ostatnie powiedziała cicho i bez typowej dla siebie agresywnej ironii.

Zastanawiałam się, czemu mi to mówi, gdy nagle spostrzegłam, że na palcu demonstracyjnie opartej o biodro rączki lśni pierścionek z okazałym brylantem.

— Ale piękny pierścionek! — nie wytrzymałam.

— To od Filipa. Dał mi go dziś po południu. — Z jej oczu biła duma. — Pobieramy się w Boże Narodzenie. Tak późno, bo trzeba przyszykować wyprawę. Maman oczywiście ma pretensję, że nie donoszę żałoby po tacie przez pełny rok. — Uniosła dłoń, delektując się pierścionkiem. — Ale

zmańdrzała na tyle, by dłużej się ze mną nie sprzeczać, bo wie, że mogę znów się rozmyślić. Woli siedzieć cicho, bo strasznie jest za Filipem.

— I słusznie, bo to bardzo miły kawaler — powiedziałam, gdy nasyciwszy się pierścionkiem, spojrzała mi pytająco w oczy.

— Naprawdę tak sądzisz?

Jej cichy, poufały głos był dla mnie przyjemnym zaskoczeniem. Jeszcze przyjemniejsze było to, że właśnie mnie pyta o zdanie.

— Daję ci słowo. Spojrzała na swój portret:

— Tę sukienkę przywieźli mi z Paryża — powiedziała z westchnieniem. — Miałam ją na sobie na moim pierwszym balu.

— Wspaniała — powiedziałam urzeczona atłasowym, wyszywanym perłami stanikiem. A może to jej uśmiech sprawił, że tak mi się spodobała?

— Ojciec chciał wydać mnie za męża szybko i bogato. — Znów zgorzkniały wyraz wrócił na jej twarz. — W kreolskich rodzinach córka, która do dwudziestki nie ma męża, jest źródłem kłopotów.

Zapadając się w puszysty dywan, podeszłam ku niej, na przekór zamierzonej pierwotnie obojętności. Obiecałam sobie, że więcej nie zamienię z nią słowa, ale ciekawość była silniejsza.

— Pozwalano mi opuszczać dom tylko powozem w asyście Maman, a gdy Filip składał nam wizyty, ona zawsze zasiadała w fotelu i udając, że szydełkuje, podsłuchiwała, o czym rozmawiamy. — Wskazała ręką pokryty brokatem fotel przy oknie. — Miałam koleżankę, Emily. Jej konkurent był u nich w domu łącznie cztery razy. Gdy przy czwartej wizycie nie oświadczył się, cała rodzina była załamana. My, Kreole, nie tolerujemy takiej opieszałości. Przy czwartej wizycie albo oświadczyły, albo drzwi.

Słuchałam, porównując to do zalotów w środowisku, w jakim wyrosłam. Dziękowałam Bogu, że my, Amerykanie, jesteśmy pod tym względem mniej rygorystyczni.

— W końcu jednak pobrali się — kontynuowała. — Podczas wesela Emily obdarowała mnie owiniętym w serwetkę kawałkiem tortu. — Zadumała się, patrząc przez okno. — To taki stary przesąd. Jeśli włożysz kawałek weselnego tortu wraz z karteczką z imieniem twego wybrańca pod poduszkę... — urwała. Domyśliłam się, że ów stary zabieg miał na celu usidlenie przedmiotu westchnień.

— Ktoś znalazł moją karteczkę z imieniem Ludwika i dał ją Maman. Maman powiedziała o tym tacie, a ten wymówił Ludwikowi pracę. Ojciec zdążył już omówić kontrakt małżeński z monsieur Monetem, ojcem Filipa. Mnie nawet

nie pytali o zdanie. — Przeszła się po pokoju i zacisnęła palce na gładkiej, marmurowej płycie kominka.

— Miałam ładny posag, a nasza rodzina uchodzi tu za zamożną. Po co im biedak? Właśnie dlatego Ludwik nie miał żadnych szans.

— Spojrzała w prowadzące do bawialni łukowate drawf. Niedość, że biedak, to jeszcze nie Kreol.

Chyba zapomniała, że wciąż jestem w pokoju.

— Liczyłam, że ojciec wprowadzi jakoś Ludwika w nasze rodzinne interesy. Ludwik starał się, ale...

Przypomniałam sobie, co mówił mi Artur o liścikach wymienianych za pośrednictwem służby. A więc to ktoś ze służących musiał zdradzić, skoro przechwycono i tę wiadomość.

— Cieszę się, że ułożyło się jakoś między tobą a panem Monetem — powiedziałam.

Przez chwilę wodziła po mnie czarnymi oczyma, jakby nie rozumiejąc moich słów:

— Przynajmniej tym razem nie będę musiała zmagać się z Angeliką. I lepiej, żebyś aż tak bardzo nie wychwalała Filipa.

Puściłam mimo uszu ostry ton, z jakim dokończyła to zdanie, ponieważ zbyt mocno uderzyła mnie sama jego treść.

— Chcesz powiedzieć, że Angelika była przeciwna twojemu uczuciu do Ludwika?

— Czy była przeciwna? — uniosła cynicznie brwi. — A któż lubi, jak się mu odbija ukochanego?

Patrzyłam na nią w osłupieniu.

— Widzę, że cię to zaskoczyło, ale co ty tam o niej wiesz. W obecności moich rodziców była niewinnym aniołkiem, ale wystarczyło, że odwrócili się, i zaraz wychodziła z niej wredna dziwka!

Zamurowało mnie. Jordan nie wspominał nigdy słowem, by Angelika była kokietką. Z tego, co mówił, wynikało raczej coś wręcz odwrotnego. Wszystko to tak nie pasowało jedno do drugiego, że nie byłam w stanie zrobić kroku, choć czułam, że czas najwyższy dyskretnie wycofać się.

— Sądzę, że nie tęsknisz do jej powrotu? — spytałam patrząc na nią badawczo.

— Oby nigdy Ul nie wróciła. — Zacisnęła usta i spojrzała posepnie w podłogę. — Zresztą to już nieważne. Kiedyś sądziłam, że...

Zacięła się i wiedziałam, że więcej już z niej nie wydobędę. Trzeba było poskromić ciekawość i udawać obojętną.

— Sama widzisz — dodała, jakby znudzona naszą rozmową — że nie dbam o to, co jest między tobą a moim bratem, Od kiedy mam

Filipa, nie dbam też o ...

— O co, Marie?

— O nic! Zresztą to nasze rodzinne sprawy.

Zasepiłam się, czując, że przegapiłam wyjątkową szansę, choć nie wiedziałam, czego to miało dotyczyć. Usłyszałam kroki w pokoju nad nami i pomyślałam sobie o pani LaMarsh.

— Jestem pewna — powiedziałam patrząc w sufit — że twoja matka pragnie powrotu Angeliki. Sama mi to powiedziała.

— Tak, Maman chce, żeby rodzina była znów w komplecie.

— Przesunęła dłonią po gofrowanym rękawie bluzki. — Sądziła, że Jordan poczuje do ciebie odrazę, gdy ujrzy cię w nocnej koszuli Angeliki. Dziwisz się? A myślisz, że dlaczego kazała ci ją posłać?

— Jej głos był znów zimny, a spojrzenie pełne pogardy.

— Co masz na myśli? — przyjąłem wyzwanie.

— Liczyła, że zobaczywszy cię w jej koszuli, przypomni sobie dawną namiętność, a potem porówna sobie was i wpadnie we wściekłość, widząc, co stracił. Ale, jak widać, nie udało się. — Znów przyjrzała się uważnie pierścionkowi z brylantem. — Moja mama to bardzo staroświecka osoba. Nie zna się na dzisiejszych namiętnościach.

Łowiłam każdy jej gest i słowo, próbując dociec ukrytych podtekstów. „Dzisiejsze namiętności”?

— Mężczyźni to głupcy — ciągnęła. — Ślepcy i głupcy! Widzą zawsze to, co chcą w kimś zobaczyć.

— Może wyjaśnisz mi, o co ci chodzi?

— O to, że kobieta w negliżu to tylko kobieta w negliżu.

— Życzę ci, żeby pan Monet spojrział na ciebie nie tylko pod tym kątem w waszą noc poślubną — wycedziłam.

Już za progiem usłyszałam, jak z trudem łapie powietrze. Gdy szybkim krokiem szłam przez hall w stronę ganku, czułam, że moje policzki płoną z wściekłości, którą dotąd przed nią ukrywałam. Nabrałam się na czułe słówka tej małej wiedźmy, ale zawsze wyjdzie szydło z worka.

A jednak pomimo gniewu czułam nieliczną satysfakcję. W końcu to do mnie należało ostatnie pchnięcie w tym pojedynku na języki.

Już na dziedzińcu spostrzegłam zmierzającą w kierunku kuchni obładowaną pakunkami Elzę.

— Elzo.' — ruszyłam ku niej biegiem. — Jakże się cieszę, że wróciłaś!

Zatrzymała się i powitała mnie wylewnym uśmiechem:

— Nie ma to jak na własnych śmieciach, Margaret. Strasznie rozpuścił mąż tę moją siostrzyczkę. Od kiedy wyzionął ducha, tylko by w łóżku leżała, a to skacz przy niej, a to lekarstwo podaj. Mam dość na rok! Grunt, że trochę się wykaraskała, a teraz niech sama zadba o siebie. Ja tam już mam o kogo zadbać — stęknęła, a ja usłudźnie otworzyłam jej drzwi kuchni.

— A co tam u ciebie? — spytała, gdy weszłyśmy do ciepłego wnętrza, gdzie kucharka warzyła czerwoną fasolę i ryż.

Nie zdążyłam nawet odpowiedzieć, gdy Elza ruszyła w stronę żelaznego gara, powąchała, zamieszała chochlą i napełniwszy ją, pokręciła sceptycznie głową.

— Za dużo boczku! Chcesz, żeby się nam pan Jordan roztył?

— Uciekam, Elzo — z trudem pohamowałam śmiech. Kuchnia była jej królestwem i jak każdy monarcha, nie znosiła, gdy ktoś naruszał jej włości.

— Stójże! — krzyknęła za mną, gdy byłam już w połowie drogi do wozowni. — Przecież nie pójdziesz spać na czczo? Chcesz, żebym to wszystko wylała za plot?

Mała Murzynka już pędziła ku mnie z pełną miską i łyżką.

— Pachnie wspaniale — podziękowałam jej z uśmiechem.

W drzwiach wozowni przypomniał mi się nieszczęsny Napoleon. Wzdragałam się na myśl, że czeka na mnie znów pusty pokój.

Rozejrzałam się, wypatrując Clarence'a, ale nie było go w polu widzenia. Podobnie jak twarzy w oknach domu. Trzeba będzie spytać Frances o to lekarstwo, ale póki co, lepiej trzymać się z daleka od Marie i jej matki.

A do tego, ta starsza przesłała mi koszulę wcale nie z miłosierdzia. Znów chodziło o Angelikę.

Ryż i fasola pachniały kusząco, ale nie miałam apetytu. Próbowałam zapomnieć o awanturze z Marie. Nie mogłam. Kiepsko wyglądała Angelika w świetle tego, co o niej usłyszałam. Postanowiłam nie ugiąć się przed pikantnymi smakołykami Elzy. Popatrzyłam na dziedziniec. Kiedy wreszcie wróci Jordan? Pusta wozownia podsyciała moje zaciekawienie.

Skusiłam się na gumbo i postanowiłam odnieść pustą miskę do kuchni. Idąc przez dziedziniec, spostrzegłam Frances zmierzającą na ganek.

Gdy zawołałam ją, stanęła jak ktoś, komu przyłożono pistolet do tyłu głowy.

— Mój kotek zdechł. Struł się, gdy byłam w pracy — powiedziałam zamiast pozdrowienia.

— Nie wiedziałam, że trzyma pani koty.

— To nieważne. Ważne, że wypił lekarstwo, które znalazłam w moim pokoju. Musiało należeć kiedyś do państwa LaMarsh. Konkretnie, do pana LaMarsh.

— Do pana Józefa? — otworzyła szeroko oczy. Musiało ją to bardzo zaskoczyć. Nigdy dotąd nie widziałam jej tak wzburzonej.

— Nie wiem, czy do pana Józefa. Buteleczka była nie opisana i nie wiem, kto właściwie miał prawo z niej korzystać.

— Stare lekarstwo? Powinna pani od razu przyjść z tym do mnie. Lekarstwa trzymamy tu zawsze pod kluczem, w mojej apteczce.

— Przepraszam, że tego nie zrobiłam. Ale tam było dosłownie kilka kropelek... Czemu trzymaliście to wśród starych papierzysk?

— A skąd mam wiedzieć? — Ścisnęła w dłoniach torebkę. — Wiem tyle, że była pani chora, więc przynosiłam lekarstwa z apteki. Chyba pamięta pani, Margaret, że tamtą butelkę wysączyła pani co do kropli. Wyrzuciłam ją do kosza i nie sędzę, żeby to była ta sama?

Mówiła to drżącym głosem, dziwne, jak na osobę tak opanowaną jak Frances Jackson.

— Oczywiście, że to nie była ta sama buteleczka. Ta, o której mówię, była bardzo stara — Clarence może poświadczyć...

— Clarence? — spojrzała w kierunku oficyn służby.

. Spojrzałam też, by sprawdzić, czy nie skrada się gdzieś swym kocim krokiem.

Odwróciła się i sztywnym krokiem ruszyła w stronę domu. Zatrzymała się i rzuciła przez ramię:

— Nie wiem nic o żadnej starej buteleczce. Powinna pani wiedzieć, że z lekarstwami nie ma żartów. Każde należy podawać we właściwych porcjach. A stare wyrzuca się od razu. — Raz jeszcze przystanęła na ganku.

— Zwłaszcza takie, których jedna kropla zabija kota?

— O co pani chodzi? — Rozejrzała się z niepokojem na boki. Teraz była jeszcze bardziej blada niż zwykle. Popatrzyła z niepokojem na boki. Widać było, że zastanawia się, czy ktoś jeszcze słyszy naszą rozmowę. Wzruszyła ramionami i weszła do domu.

Musiałam mocno ją ugodzić. Może bała się, że pani LaMarsh wymówi jej pracę, gdy dowie się, że nie trzyma leków pod należytą pieczęcią. Nie, to nie o domową apteczkę jej chodziło...

Z głową pełną sprzecznych myśli ruszyłam w kierunku kuchni. Teraz potrzebowałam Elzy, ale miałam pecha. Akurat dziś Marie i pani LaMarsh zaprosiły ją na kolację. Nie miałam najmniejszej ochoty wchodzić znów do ich domu po dzisiejszym pojedynku z Marie.

By uspokoić nerwy, usiadłam na ławeczce, kontentując się kroplami fontanny spadającymi w zachodzącym słońcu. Z nosem na kwintę wpatrywałam się w sadzawkę. Gdzieś pewnie leżała tam moneta, którą Jordan wrzucił tam na moją intencję. Leżała wśród wielu innych.

„Kto nie pocałuje, ten życzenie zmarnuje” — przypomniało mi się. To były jego słowa i na wspomnienie pocałunku, o którym trzeba było stanowczo zapomnieć, poczułam dreszcz. JORDAN, MARIE, ANGELIKA. Wszystko to było bardzo poplątane. A do tego śmierć Napoleona. Z westchnieniem pomyślałam o kolejnym samotnym wieczorze. Wiedziałam, że to ja zawiniłam, zostawiając buteleczkę w zasięgu łapy istoty równie ciekawskiej jak Margaret Morgan. Ale w głębi duszy szukałam winnego poza nami.

Latarnie na dziedzińcu już się zapaliły, a i w kuchni zapłonęły przytulne światła. Tęskniłam za domem, za rodziną, za kimś, kto przytuliłby mnie, kto dzieliłby moje radości i smutki.

Spóźnione powozy tłukły się po bruku Royale, a ja wciąż czekałam na ten jeden. Chciałam, by wrócił wreszcie do domu, ale co miałabym mu powiedzieć? O zniszczonym obrazie? O otrutym kotku? A może o jednym i drugim? Pomyślałby, że jestem pechowcem, który sprowadza na każdego nieszczęście.

Przeszła służąca i przyjrzała mi się ciekawie. Pewnie byłam w jej oczach natrętem siedzącym na cudzej ławeczce z chusteczką przy oczach.

Musiałam czymś się zająć. Może by zetrzeć tę plamę z dywanika? Nie minęła godzina, gdy do mych drzwi zapukał gońiec.

— Proszono mnie, żeby tutaj to doręczyć — powiedział wręczając mi kopertę.

— Dziękuję. Czy jestem coś winna? — Już był na parterze wozowni.

— Opłacono z góry — rzucił zza drzwi.

Przekręciłam klucz i przez chwilę wpatrywałam się w papeterię o dobrze znanym mi zapachu.

„Panna Morgan" — nakreśliła na kopercie ręką, co do której nie miałam najmniejszych wątpliwości. To był liścik na poduszce i porznięty na kawałki mój obraz...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Rozdarłam kopertę i wyciągnęłam złożony we czworo kawałek papieru. Podeszłam z nim do okna.

„Musimy natychmiast porozmawiać. To dotyczy Jordana i tylko ja mogę pani o tym powiedzieć. Proszę przyjść zaraz pod ten adres, ale nikomu ani słowa.”

A niżej napisane w pośpiechu drżącą dłonią:

ANGELIQUE.

Przeczytałam adres, rozpoznając w nim podejrzany zaułek na tyłach Vieux Carré.

Przeczytałam raz jeszcze słowo po słowie: „To dotyczy Jordana i tylko ja mogę pani o tym powiedzieć”.

Wsunęłam liścik w kieszeń spódnicy i tępo wpatrywałam się w dziedziniec.

„Ale nikomu ani słowa”...

Spojrzałam w stronę kuchni, rozważając wtajemniczenie Elzy. Nie, Elzfa na pewno wybiłaby mi to z głowy. A jeśli nie pójdę, jak inaczej dowiem się całej prawdy o Jordanie?

Oparłam się o ścianę. Serce łomotało mi w piersiach na wspomnienie tamtej kartki: „PRÓBOWAŁ MNIE ZABIĆ”.

Kto mógł próbować? Nikt inny, tylko Jordan. A przecież ja go kocham, ufam mu, wierzę... Ale czy znam go dobrze? Raczej nie. Jedno było jasne: to Angelika jest tym brakującym elementem łamigłówki.

Podbiegłam do szafy i wyciągnęłam szal. Wiedziałam, że strasznie ryzykuję, ale ciekawość była silniejsza. A może nie tylko ciekawość, ale i to, co czułam do Jordana. Wiedziałam, że dopóki nie znajdziemy Angeliki, nie mam u niego szans. A więc pójdę tam i może przekonam ją, że lepiej razem wrócić do Fountain Court? Potem wyjaśnię sobie wszystko z Jordanem i może... może nawet da się jakoś anulować ich związek.

Przekreśliłam klucz w drzwiach i przez pustą wozownię i dziedziniec przemknęłam ku furtce. Rzuciłam okiem na nabrzmiące od burzowych chmur niebo, zwiastujące ulewę, i pędem ruszyłam przed siebie, bojąc się, że głos Elzy przypomni mi o grasujących w zaułkach rabusiach.

„Jak to powiedziała, gdy spotkałyśmy się pierwszy raz”?

Nie żałowałam nóg, by dotrzeć pod podany adres i wrócić stamtąd przed nastaniem nocy. A przynajmniej nadchodzącej ulewy...

Zatrzymałam się na rogu, by przepuścić nadjeżdżający powóz. Z wnętrza dobiegał śmiech. Słuchałam tego śmiechu. Przez szybę mignął mi rękaw atłasowej sukni i dłoń w białej rękawiczce.

Ostatnie dni doszczętnie zamąciły mi w głowie. Mijając zajętych własnymi sprawami przechodniów, nie mogłam uwierzyć, że gdzieś obok toczy się normalne życie. Co chwila zerkałam za siebie, nad słuchując, czy znów ktoś nie skrada się po schodach.

Mój jedyny przyjaciel odszedł na zawsze i z trudem powstrzymywałam się od płaczu na wspomnienie sztywnego ciała. Ale teraz nie było czasu na przejmowanie się Napoleonem. Teraz ja byłam w opresji.

Niebo było granatowopurpurowe, a po chodnikach i pasażach pełzały cienie. Powietrze było ciężkie i nieruchome. Nagle powiało znad Missisipi, a figowiec, koło którego właśnie przechodziłam, aż zadrżał. Odpowiedział mu jaśmin i zapadający zmierzch nappełnił się dziką wonią.

Ten zaułek był tuż za rogiem. Skręciłam. Gdzieś tam czekała na mnie Angelika. Przez chwilę wahałam się. To była ślepa uliczka z sześcioma, może ośmioma ruderami po każdej stronie.

Spojrzałam na liścik. Numer „21”.

Ostrożnie zapuściłam się w zaułek, bo trudno było nazwać to ulicą. Jeszcze trudniej było uwierzyć, że żona Jordana LaMarsh mogła egzystować w jednej z tych ruder. Ale może ukrywała się tam...

Tu już nie pachniało jaśminem, ale zjełczalym tłuszczem i stęchłymi szmatami. Przez moment miałam ochotę wziąć nogi za pas. Rozejrzałam się i stwierdziłam, że aż tak źle nie jest. W końcu było jeszcze widno. Zapukam i zamienię z nią dwa słowa. Jeśli zachowa się podejrzanie, zawsze zdołam uciec.

Wtuliłam głowę w ramiona, podkradłam się do trzeciej z lewej strony kamieniczki i spojrzałam na drewniane drzwi, które od dawna nie zaznały lakieru. Weszłam po trzymających się cudem schodkach i delikatnie zastukałam.

Gdzieś za moimi plecami otworzyły się inne drzwi.

— Zaraz wróci! — Jakiś typ patrzył na mnie spode łba, mrugając dwuznacznie okiem. — Wyskoczyła po pieczywo. Kazała, żeby pani weszła i zaczekała.

Przez chwilę wahałam się. Poszła po pieczywo? O tej porze? Czemu nie? W końcu mogło jej zabraknąć i chciała przeczekać w piekarni zbliżającą się ulewę.

Powiedział, że „poszła”. A więc list nie był pułapką. Angelika mieszka tu i czeka na mnie. Zresztą było i tak za późno, by się wycofać.

Ostrożnie nacisnęłam klamkę. Drzwi skrzypnęły i otworzyły się. Ujrzałam niewielki pokój. Za nim drzwi do następnego. A więc, jak to w starych ruderach, izby były w amfiladzie. Te drugie były zamknięte, więc nic nie dożałam zobaczyć. Tym bardziej, że jedyne okno było zasłonięte jakąś ciemną szmatą. Blask świeczek — takich, jakie pali się przed świętymi obrazami — pełgał po zdartych tapetach. Wszystko to wyglądało dość podejrzanie.

Weszłam, przezornie nie zamykając za sobą drzwi. Umeblowanie pokoiku składało się z podniszczonej kozetki, taboretu, na którym ktoś umieścił lampę z resztkami abażuru, drewnianego krzesła i pokierszowanego stołu. Na nim stały dwie filiżanki z tandetnej porcelany i imbryk, z którego utłuczonego dziobka sączyła się para. Na samym końcu spostrzegłam karteczkę:

„MARGARET. POCZĘSTUJ SIĘ HERBATĄ. WYSZŁAM PO ŚWIEŻE PIECZYWO.

Poczułam zapach "francuskich perfum! Tych samych, którymi pachniał tamten liścik, szafa i moja nocna koszula po wypadku.

Usiadłam na jedynym krześle. Zastanawiałam się, kto jeszcze może tu zamieszkiwać. Kusiło mnie, by zajrzeć do drugiego pokoju, ale obawiałam się, że Angelika może wrócić w każdej chwili i przyłapać mnie na myszkowaniu.

Sięgnęłam po imbryk i nalałam sobie mocnej, smolistej herbaty do filiżanki z ubitym uszkiem. Nigdy nie przepadałam za herbatą. Jeśli już — wolałam słabą i zaprawioną mlekiem. Ta była bardzo mocna.

„Czemu mam pić coś, czego nie lubię?” — Wstałam, przeszłam kilka kroków po podłodze ze skrzypiących cyprysowych desek i wyjrzałam na ulicę. Ani żywej duszy, a na dodatek zaczęło siąpić. Słońce też już zaszło i lada moment robi się ciemno.

Podniecona, podeszłam do tych drugich drzwi i nacisnęłam klamkę. Nie puściła.

Przez chwilę wpatrywałam się w obłazłe z farby drewno. Jeśli zostawiła otwarte drzwi frontowe, czemu te zamknęła na klucz? Co chce tam ukryć przede mną?

Usiadłam i rozważałam to, przyglądając się tańczącym po ścianach cieniom i mdłemu blaskowi świeczek.

Doświadczenia ostatnich dni sprawiły, że nie byłam już ufną, prostoduszną dziewczuchą.

Zagubiona w myślach, uniosłam do ust filiżankę. Mocny aromat jakoś nie za bardzo kojarzył mi się z herbatą.

Arszenik? Bzdury, Margaret.

Dreszcz przeszedł mi po plecach. Poderwałam się tak gwałtownie, że kilka kropel wylało się na stół. Podbiegłam do drzwi i gwałtownie otworzyłam je na oścież. Mżawka zdążyła przejść w ulewę. Było już całkiem ciemno. Wystawiłam głowę i spojrzałam w stronę wylotu uliczki. Ani żywej duszy. Ten z naprzeciwka pewnie też zdążył zabarykadować się w domu, bo zza okna niosła się jakaś muzyczka i gardłowy kobiecy śmiech.

Wyjęłam zegarek z torebki. Byłam tu już dwadzieścia minut. Jeszcze pięć i zaułek pokryją egipskie ciemności. Czuję, że moja misja skończyła się fiaskiem. Wolałam nie ryzykować dodatkowo.

Skoro już wiem, gdzie mieszka Angelika, mogę wrócić tu jutro, może nawet z Jordanem. Instynkt podpowiadał mi, żeby się zbierać i póki czas zmykać do domu.

Owinęłam się szalem i wybiegłam w deszcz. Teraz lało jak z cebra i co krok potykałam się o śliskie kocie łby.

Z pobliskiej rudery dobiegł mnie ochryply babski śmiech. Byle dalej od ulewy, od ciemności, od tego śmiechu...

Biegłam przed siebie, kryjąc się pod balkonami, przystając w bramach dla nabrania tchu.

Ciemno było choć oko wykol, a do tego istne oberwanie chmury. Strumienie deszczu tłukły w liście drzew, chlastały witryny zamkniętych już sklepów, spływały kaskadami na bruk. W bramach kulili się mężczyźni z podniesionymi kołnierzami i naciągniętymi na nosy rondami kapeluszy.

W biegu odwróciłam się, czując, że jakiś cień zmierza za mną krok w krok, ale nikogo nie spostrzegłam.

Gdzie mogła być ta piekarnia? Skoro wyszła tylko po świeże pieczywo, nie było to daleko? Przetarłam zalane deszczem oczy i rozejrzałam się na boki. Ani śladu piekarni. Może poszła gdzieś dalej?

— Golniesz se, aniołku?

Marynarz chwiał się na nogach pod markizą tawerny.

— Nie dziś. Śpieszę się — warknęłam, przyśpieszając kroku i modląc się, by nie wywrócić się na śliskim, zalanym deszczem chodniku. Zwolniłam dopiero za rogiem, widząc, że Fountain Court już blisko.

Ulewa jakby zelżała, ale i tak musiałam przystanąć dla nabrania oddechu pod najbliższym balkonem. Po przeciwnej stronie ulicy mignął w bramie jakiś cień. Mignął, zniknął, znów mignął i myślałam, że serce skoczy mi do gardła.

Resztkami sił ruszyłam przed siebie, nie bacząc już na ociekające mi po twarzy krople. Gdy, dysząc ciężko, dotarłam do tylnej furtki, byłam przemoczona do suchej nitki.

Furtka zatrzaskała się za mną donośnie i przez chwilę wpatrywałam się z niepokojem w okna na piętrze rezydencji. Ktoś mignął za firankami sypialni pani LaMarsh. Spojrzałam w stronę wozowni. W górze zamajaczył mi czarny prostokąt okienka mojego pokoju. Drzwi oficyn służby też były zamknięte. Tylko w kuchni paliła się lampa, ale teraz nie byłam w nastroju do pogawędek z Elzą. Drżąc, wpatrywałam się w ten czarny prostokąt i zastanawiałam się, czy aby ktoś się tam na mnie nie zaczął.

Przemknęłam pod drzewami, przystanąłam i po omacku wyciągnęłam z torebki klucz. Wolałam mieć go w garści, jeszcze zanim zbliżyłam się do drzwi wozowni. Otworzyły się z głuchym jękiem i zanurzyłam się w ciemność. Powozu nadal nie było.

„Gdzie mógł pojechać? Co się z nim dzieje?”

Gazowa lampa na dziedzińcu rzucała mdłe światło do wnętrza. Zostawiłam dolne drzwi uchylone, by wejść po schodach i trafić kluczem w zamek. Wspinałam się krok za krokiem, cały czas czując czyjąś obecność.

Musiałam przystanąć dla zaczerpnięcia oddechu. Znów zapach jaśminu i forsycji z ogrodu. Tym razem to nie były francuskie perfumy. A czemu niby miały być? Czy sądziłam, że to ona na mnie tu czeka?

Nim dotarłam na piętro, moja suknia zdążyła zalać schody deszczową strużką. Przez chwilę stałam, nad słuchując w ciemności. Cisza. Martwa cisza.

I tym razem zostawiłam za sobą drzwi otwarte, dopóki nie wymacałam domowej sukienki i nie otarłam deszczu z rąk i z twarzy. Byle tylko dopaść lampy! Pokój był pusty i sprawiło mi to niewypowiedzianą ulgę. Wszystko było jak przed moim wyjściem. A więc nikt nie grasował pod mą nieobecność.

Czując, że opada ze mnie napięcie, resztkami sił zesłam na parter, by zamknąć na noc wozownię. Wróciłam do pokoju, przekręciłam klucz w zamku i zabrałam się za wykręcanie mokrej garderoby.

Już w wygodnej flanelowej nocnej koszuli, sącząc sok i przegryzając go serem, zaczęłam analizować wszystko po kolei:

Przecież Angelika mogła pójść naprawdę po chleb, złapał ją deszcz i wolała przeczekać w piekarni. A zresztą, kto ją tam wie?

Jedynie, czego byłam pewna, to tego, że jutro wrócę tam i że... co by było, zobaczę się z nią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wyczerpana, położyłam się wcześniej. Aby odpędzić od siebie natłok myśli, próbowałam zająć się lekturą. Wreszcie przyszedł sen.

Nie wiem, która była godzina, gdy zbudził mnie dziwny dźwięk. Szukałam ręką ciepłego futerka, zapomniawszy, że nie ma już Napoleona.

Wpatrywałam się w ciemność, nie bardzo wiedząc, co mnie obudziło. Po chwili już wiedziałam. To było ciche zawrodożenie... ciche zawrodożenie dziecka.

Na myśl o murzyńskiej dziewczynce poczułam gęsią skórę. A może to tylko mi się śniło? Czyjś przytłumiony oddech upewnił mnie, że nie śnię i że... nie jestem sama w mym pokoju.

Zlana zimnym potem, obudziłam się na dobre. Próbowałam zebrać myśli. Wiedziałam, że najlepszym sposobem przekonania się, kto jest w moim pokoju, będzie udawanie, że nadal śpię. Ducha wykluczyłam, a więc musiał to być człowiek. Ktoś, kto otworzył zamknięte na klucz drzwi, zdążył oswoić oczy z ciemnością i teraz stał o krok, przyglądając mi się w ciemności. Ktoś, kto patrzył, jak leżę na wznak, oszołomiona i bezbronna.

Udałam, że w błogim śnie przewracam się na bok. Sekundy wlokły się w nieskończoność, a ja słyszałam tylko ten przytłumiony oddech, mimo że mój puls łomotał niczym parowy młot.

Czyżby powóz wrócił? Czy to mógł być Jordan? Nie, wykluczone! Czułam, że, jeśli nie przystąpię do działania, lada moment nerwy odmówią mi posłuszeństwa.

Przed oczyma stanęły mi ciężkie powieki i poorana zmarszczkami twarz Clarence'a. Zacisnęłam kurczowo zęby.

Poczekam, aż zbliży się, a wtedy... A wtedy co? Przecież nie znałam nawet zamiarów nocnego gościa.

Czułam, że dreszcze nie pozwolą mi dłużej udawać osoby pogrążonej we śnie. Skoro sama to czułam, pewnie i ten ktoś zdążył się tego domyślić.

„Boże, nie opuszczaj mnie” — przeżegnałam się w myśli.

I wtedy usłyszałam szcęk otwieranych tam w dole drzwi wozowni. Schody zaskrzypiały, a potem ktoś zaczął mówić zza drzwi szeptem, choć w upiornej ciszy słyszałam każde słowo:

— Maman... jesteś tam, Maman? Wychodź... wychodź natychmiast!

Drzwi mojego pokoju uchyliły się i zamknęły.

Wyskoczyłam z łóżka i już chciałam dopaść lampy, szczęśliwa, że nie zrobiłam tego chwilę temu. Dłonie drżały mi jak tamtej koszmarnej nocy. Ale

teraz byłam mądrzejsza. Wiedziałam, że jeśli nie opanuję się, znów strącę lampę i nowy klosz pójdzie w drobny mak. Powoli... tylko powoli. Odczekałam, aż ustanie drzenie palców, a wtedy wykonałam szybki ruch.

Drzwi wozowni znów zaskrzypiały. Tym razem byłam zdecydowana działać szybko, by znów ktoś nie mówił, że to tylko moja wyobraźnia.

Gdy tylko lampa zapłonęła, wsunęłam stopy w pantofle i szybko podbiegłam do drzwi. Wyszłam, patrząc uważnie, czy przypadkiem pod mymi nogami nie pałęta się jakiś łańcuch lub inny upominek od nocnego gościa. Światło lampy sączyło się z mojego pokoju na kilka najwyższych stopni. Dalej zalegała ciemność.

Może nie całkiem, bo latarnia na dziedzińcu rzucała przez uchylone drzwi wozowni odrobinę nieco trupiego światła.

Ufając bardziej zimnej ścianie niż chybotliwej poręczy schodów, schodziłam w dół, wypatrując i nad słuchując. Te dwie osoby, które były tu jeszcze przed chwilą, pewnie zdążyły teraz chyłkiem przez dziedziniec do rezydencji. Przyśpieszyłam kroku, prosząc Boga, bym zdążyła ich jeszcze dopaść, nim zatrasną za sobą drzwi.

Wyczułam pod stopami zakurzoną posadzkę wozowni, podbiegłam do drzwi i wyjrzałam na dziedziniec. Ogród i dom były pogrążone w ciszy i żaden cień ani tajemnicza sylwetka nie zakłócały nocnego spokoju. Tylko listki bananowca kołysały się delikatnie na wietrze.

Okna na piętrze były ciemne. Wytężałam słuch. Jakim cudem zdążyły tak szybko wejść do domu i pogasić światła?

Plusk fontanny i woń jaśminów przywróciły mi spokój. Do tego księżyc wyszedł właśnie zza chmur, oblewając srebrną poświatą balkony i czarne, niczym oczodoły, okna rezydencji. Ale nie czas było delektować się scenerią. Z biciem serca zlustrowałam dziedziniec.

Ani śladu światła w oficynach, w kuchni, w izbie Elzy. Wszędzie spokój i cisza. Więc skąd te głosy, które słyszałam jeszcze minutę temu?

Jasne! Przyczały się. Przyczały się gdzieś w pobliżu. Postanowiłam grać w otwarte karty. Przecież nie zrobią mi nic tu na dziedzińcu, gdzie na pierwszy okrzyk zbiegnie się cała służba, nie mówiąc o Elzie.

— Wychodzić! — zawołałam. — Wiem, że tam jesteście, i wiem, kim jesteście!

Żadnej odpowiedzi. Wyszłam o krok przed wozownię i w tym momencie usłyszałam czyjś cichy krok, a zaraz potem drugi. Przez chwilę nie byłam w stanie zlokalizować ich kierunku. Już wiedziałam. Właśnie miałam odwrócić

się, gdy poczułam, że czaszka pęka mi od tępego, zadanego w tył głowy uderzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Ciemność, kolana jak z waty, łomot w głowie, a za tym wszystkim jakiś głos: „ty głupia dziewucho”.

Nie, to nie był jakiś głos. To był czyjś głos.

Zanurzyłam się w morzu, w czarnym, gęstym morzu, próbując rozpaczliwie utrzymać głowę na powierzchni.

Ciemność była lepka, a każdy wykonany w niej ruch rozsadzał mi czaszkę. Poczułam mdłości. Spoza pleców dobiegło mnie skrzypienie i szcęk zawiasów.

Drzwi. To musiały być drzwi wozowni. Ktoś je zamykał.

Głosy. Bardzo dalekie głosy. Ni to szept, ni to syk. A może szept i syk. Wiodły spór...

Jak tonący, próbowałam ostatnim wysiłkiem wydobyć głowę z czarnej mazi, by zaczerpnąć powietrza.

— Proszę cię, Maman... — zasyczało w ciszy... Nie, nie masz prawa, bym tak cię nazywała. Nigdy nie byłaś dla mnie matką!

— Głupia, zapomniałaś, że poświęciłam dla ciebie wszystko? Całe moje życie.

— Wysyłając mnie setki mil na północ? Byle dalej? Myślisz, że nie wiem, jak chciałaś się pozbyć bękarta?

— Non! Chciałam ci dać szansę; taką, jakiej nigdy byś nie miała. Czy miałaś skończyć jak ja? Przecież zawsze miałaś skórę jaśniejszą niż najbielsza kwadronka. Jesteś wolna, możesz wybierać. A co ja z tego miałam?

— Sama wiesz, że to już nic nie da. Proszę cię, nie rób jej krzywdy.

Dopiero teraz doszło do mnie, że leżę na plecach na cuchnącej końską uprzężą i smarami posadzce wozowni, pomiędzy dwoma spierającymi się kobietami. Odwróciłam głowę, by nie widziały mej twarzy. Ledwie wykonałam ten ruch, a już zamilkły.

Leżałam dalej, udając nieprzytomną. Nie śmiałam otworzyć oczu. Przynajmniej na razie. Wiedziałam już, kim są rozmówczynie, ale postanowiłam czekać.

— Prosisz? No to posłuchaj, córeczko, bo pewnie tego nie uczyli was w tych szkołach. Twoja Maman widziała, jak jej Maman sprzedawano na targu niewolników, nie dalej niż dwie przecznice stąd. Tam, gdzie teraz sprzedaje się stary szmelc. Mnie akurat nikt nie kupił, więc trafiłam do Storyville. Tam dobito o mnie targu. Panowie... różni tacy piękni, biali panowie. Najbardziej

skąpy był twój tatuś. Twardy był z niego gość. Musiałam szantażem wydusić z niego pieniądze na twoją prywatną szkołę. Ciekawe, co by z ciebie wyrosło, gdybyś tak szybko nie znalazła męża? A mnie twój tatuś oświadczył pewnej nocy, że wraca na łono rodziny, i pokazał mi drzwi. Pomyśl o tym, córeczko. I tobie może się to przytrafić, tyle że na kurwę jesteś już za stara.

— Ale przecież nie musiałaś... przecież mogłaś zostać... — głos Frances załamał się.

— Parzygnatem? Albo wynosić nocniki? To chciałaś powiedzieć? I wyrzec się mojego daru? Nie! A wiesz czemu? Bo urodziłam się w czepku, bo znam przyszłość i znam receptury. Dzięki nim będziemy bogate.

Chwila ciszy, a potem:

— Błagam cię, nie rób jej krzywdy. To porządna dziewczyna. W tym liście prosiłam cię tylko, żebyś ją stąd przepłoszyła, bo bałam się o jej przyszłość. Teraz widzę, że to ciebie trzeba się bać. To ty zniszczyłaś jej obraz, nastawiałaś na jej życie... dwa razy. Trzeci raz ci się nie uda!

— Znalazła napój, który ukrył stary LaMarsh. Szybko się domyśli. Jest mądrzejsza niż te dwie sekutnice. Domyśli się nawet, jak on umarł.

— Przestań, Bello... przecież nie musiałaś...?

— Musiałam, córeczko. Dobrze dobrałam składniki. Taki jeden korzonek, a do tego morfina i syrop. Jedna porcja daje szczęście, dwie niosą śmierć.

Herbata! Teraz dziękowałam Bogu, że nigdy nie gustowałam w herbacie.

— To tym usidliłaś Clarence'a i tamtych! — krzyknęła Frances.

— Będę bogata, córeczko, a ty też, jeśli tylko potrafisz trzymać usta na kłódkę. Stary LaMarsh znał się na lekach i coś wywąchał. Ona też zaczyna się czegoś domyślać.

— Ale Clarence mówił dziś, że nawet nie wie, co znalazła.

— Clarence to dureń. Wierzysz Clarence'owi? Kto by im wszystkim wierzył? Chcą brać i tylko tyle ich obchodzi. Ech, gdyby stary LaMarsh był mądrzejszy. Zaszłybyśmy wyżej niż te wszystkie białe przybłędy, które patrzą na nas z góry.

— Ale przecież jemu nic nie zrobiłaś? — ściszyła głos. — Powiedz, że mam rację, błagam.

— Oczywiście, że nie masz racji, córeczko.

— Jesteś diabłem, wcielonym diabłem. Kłamiesz!

— A więc dobrze. Nie miałam innego wyboru, głupia. Wybierał się właśnie na policję. Sam mi o tym powiedział, tego ranka, gdy zabrał mnie do powozu. Całe szczęście, że miałam przy sobie swój napój. Wychylił się z okna i

wystarczyło, że musnęłam go tylko moim niebieskim kamyczkiem — tym, który mnie chroni. Stracił zaraz przytomność, a wtedy drasnęłam go w kark nożykiem i wlałam kropelkę na ranę. Wytrzeszczył gały i wiedziałam, że już ma płyn we krwi. Serce mocno mu biło, ale już był Zombie*.

* „Zombie” — w kultach voodoo (1) Bógważ, o czym wspomina Artur w jednym z poprzednich rozdziałów. (2) — osoba martwa, wskrzeszona lub pobudzona do życia przy pomocy zabiegów magicznych.

Popchnęłam go na ścianę powozu, gdzie sterczała jakaś drzazga. Taką drzazgą można łatwo skaleczyć się w kark. Gdy stangret wysadził mnie na najbliższym rogu, powiedziałam mu, że pan LaMarsh ma coś z sercem. Poradziłam, by wezwać doktora. Stangret prostak — pocwałował prosto pod aptekę. Gdy zatrzymał powóz, stary LaMarsh był już sztywny.

Ciężkie westchnienie i znów martwa cisza.

Serce łomotało mi jak młot. Dziękowałam Bogu, że w ciemności nie widzą, jak faluje mi biust. Szybko by się domyśliły, że słyszę każde ich słowo. Próbowałam zebrać myśli przelatujące mi przez głowę. Wnioski zostawiłam sobie na później. Teraz moją jedyną szansą było wstawiennictwo Frances. Z Bella nie warto było nawet dyskutować.

— Nie pozwolę ci jej dotknąć! — krzyknęła córka.

— Nie zrobisz tego! To tobie jest pisane poślubić Jordana LaMarsha. Spróbuj mi tylko przeszkodzić, a dowie się, że jestem twoją matką.

Usłyszałam stłumiony szloch i czyjeś kroki zmierzające pośpiesznie ku wyjściu.

— Wracaj! — syknęła Bella. Powiew od drzwi podpowiedział mi, że wybiegła za nią.

Przez wąską szczelinę sączyło się światło z latarni na dziedzińcu.

Wcześniej przeciągnięto mnie w kąt wozowni. Była pusta, więc wiedziałam, że Jordan jest wciąż poza domem.

Próbując podnieść się na rękach, wymacałam w kurzu wozowni jakiś zimny, obły kształt. Był to mały, niebieski kamyk. Pewnie ten, który przyniósł śmierć panu LaMarsh, a teraz miał ugodzić mnie. Nie miałam wątpliwości, że jest skuteczny. Uchwyciłam go, dziwiąc się, że jest aż tak ciężki, po czym ukryłam zaciśniętą dłoń za plecami.

Bella wbiegła do wozowni, trzymając w ręce buteleczkę. Widząc, że siedzę pod ścianą, stanęła jak wryta.

— Nie ruszaj się! — syknęła, sięgając do kieszeni spódnicy. Wyciągnęła mały kozik i spostrzegłam błysk na srebrnym ostrzu. Zbliżała się ku mnie

szybkim, czujnym krokiem. Była o głowę niższa ode mnie, ale jej ruchy miały w sobie coś ze skradającej się pantery. Wiedziałam, że w ciemności widzi na pewno o wiele lepiej niż ja.

— To nie będzie bolało — szepnęła. — Nigdy nie chybiam.

— Gdzie ja jestem? — spytałam, udając osobę przebudzoną ze snu.

— Wiesz dobrze, gdzie jesteś. Powiedz lepiej, co zrobiłaś z tamtą buteleczką.

Powoli uniosłam głowę i spojrzałam w jej nikiemne oblicze:

— Dałam ją Clarence'owi. Wyniósł mojego zdechłego kota, a potem buteleczkę...

— Łżesz — syknęła, mierzając we mnie ostrzem nożyka.

— Przysięgam, że tak właśnie było. Odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem:

— No to i Clarence skończy niedługo w jakimś ciemnym zaułku. Zgubi go jego chciwość! Wszyscy oni tacy, ale tylko ja wiem, jak to przyrządzać.

Podeszła wolnym krokiem. Jej drobna sylwetka odcinała się niczym kontur na tle padającego z za jej pleców mdłego światła. Twarzy nie widziałam i czułam, że trudno będzie mi trafić.

Postanowiłam zagrać ostatnią kartą i odwołać się do jej chciwości:

— Wiesz, że pracuję w aptece. Trochę się już w tym orientuję i razem mogłybyśmy zbić niewąską fortunę.

Zatrzymała się i czułam, że coś się w niej gotuje. Niestety, usłyszałam tylko dźwięk bransolet, a więc ostrze było bardzo blisko.

— Za głupia jesteś na takie rzeczy — zasyczała, ale było w tym jakby wahanie.

— Ale szybko się uczę. Wiesz, jaka to szansa dla takiej biednej dziewczuchy jak ja?

Przysięgłabym, że z oddali dobiegł mnie dźwięk końskich kopyt. Gdzie właściwie jest Frances? Czyżby pobiegła po pomoc?

— Myślałam, że większy z ciebie tchórz — wydusiła wreszcie z siebie Bella.

— Nie doceniłam cię. O tych duchach w kajdanach — o duchach mych przodków — lekko sobie mówiłaś.

— A więc to ty straszyłaś mnie wtedy za drzwiami?

— Spełniałam tylko ich wolę.

— A łańcuch? Przeciągnęłaś go przez schody?

— Oui...

Teraz do stukotu kopyt dołączył się turkot powozu.

Bella też go pewnie usłyszała, bo poderwała się i podbiegła do uchylonych drzwi. Głupio zrobiła, odwracając się do mnie tyłem. Pewnie myślała, że zyskała bratnią duszę w podłości i chęci posiadania.

Uniosłam się na rękach i cicho podpełzłam w jej stronę. Wyczuła to i obróciła się dokładnie w chwili, gdy cisnęłam kamykiem prosto w jej głowę. Coś tępo mlasnęło, a potem kamyk odbił się i trafił w drzwi wozowni.

Padła na kolana, a nożyk wylądował w kurzu. Wciąż zaciskała w dłoni buteleczkę, ale tą mało się przejmowałam. Niewiele mogła mi nią zrobić.

— Szybciej! — głos Frances wyrwał mnie z oszołomienia. Rozległ się drugi, donośniejszy.

Rzuciłam się biegiem w stronę drzwi, ale moja noga uwięzła w stalowym uchwycie. Zdążyłam zawołać o pomoc i kątem oka dostrzec na mojej kostce palce Belli rozciągniętej na posadzce wozowni.

Raz jeszcze krzyknęłam, wymierzając resztkami sił kopniaka wolną nogą. Uchwyt zelżał, ale zanim zdołałam zrobić krok, coś uderzyło mnie w skroń i poczułam, że znów zapadam się w ciemność.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Dryfowałam po mętym morzu, gdy nagle ktoś wymówił moje imię. Znałam ten głos. Próbowałam odpowiedzieć, otworzyć oczy, ale coś mi nie pozwalało.

— Margaret! Żyjesz, Margaret?

Mocne ramiona uniosły mnie w górę. Poczułam zapach wody kolońskiej i ciepłą dłoń dotykającą mojego policzka. Otworzyłam oczy i w szarym świetle ujrzałam jego twarz. Oczy miał zmęczone, a usta zdradzały niepokój.

— Nie próbuj mówić. Wszystko będzie dobrze. Teraz już zawsze wszystko będzie dobrze.

Z trudem kojarzyłam treść. Rozejrzałam się naokoło, łapiąc jakieś dalekie kobiece głosy.

— Zanioś cię na górę — powiedział Jordan.

— Nie opieraj się, Margaret. — Przed oczyma zamajaczył mi biały czepek i kosmyk siwych włosów Elzy.

— Co to było? — spytałam słabym głosem, obejmując za szyję Jordana, który chyba szedł gdzieś w górę po schodach.

— Frances usłyszała mój powóz i wybiegła na ulicę. Powiedziała mi, że Bella... chce zrobić ci coś złego. Wyskoczyłem w biegu i popędziłem ile sił w nogach. Gdyby cię tknęła...!

Zacisnął szczęki i spojrzał w bok.

Nie pytałam go już o nic, a on wniósł mnie do pokoju i delikatnie ułożył na pościeli.

W głowie czułam wciąż nieznośne tętnienie, ale to już nie było ważne. Teraz byłam bezpieczna. Jordan był blisko. Patrzyłam jak przez mgłę, gdy przysunąwszy krzesło, usiadł przy moim łóżku.

Jego podróżny strój był wymięty i pokryty kurzem, jakby spędził dzień w siodle, a co najmniej w powozie. Podbródek pokrywał świeży zarost, a czarne włosy miał w czarującym nieładzie. Kosmyk opadał mu na czoło.

Zbyt osłabiona, by pamiętać o konwenansach, sięgnęłam dłonią i odgarnęłam ten kosmyk. Delikatnie ujął moją dłoń w swą mocną rękę i przysunął do ust, całując każdy palec z osobna.

— Gdzie się podziewałeś, Jordanie? — spytałam słabym głosem.

— Dużo by o tym mówić — westchnął i pokręcił głową. — Najpierw musisz przyjść do siebie, bo wszystko to bardzo skomplikowane.

Uniosłam się na łokciach i spojrzałam mu w twarz:

— Nie tak skomplikowane, bym nie mogła posłuchać zaraz. Tyle było tych zagadek, że wręcz odchodziłam od zmysłów.

— Wiem, Margaret. A więc zacznę od tego, że odnalazłem Angelikę.

— Odnalazłeś Angelikę? — Aż dech mi zaparło. — Gdzie?

— Mieszka w LaFayette. Z Ludwikiem.

— Z Ludwikiem?

Skinął głową i założywszy nogę na nogę, wyciągnął się w krześle:

— Kiedyś jedna z naszych służących wspomniała mi, że Angelika przekupiła ją, by pośredniczyła w wymianie listów. Myślałem, że to podłe oszczerstwo, więc wymówiłem jej pracę. Wkrótce potem mój ojciec zwolnił Ludwika. A wszystko zaczęło się od tego, że Angelika znalazła karteczkę pod poduszką Marie. To taki miejscowy, stary przesąd.

Skinęłam głową, przypomniawszy sobie o weselnym torcie i nazwisku wybrańca.

— Angelika musiała dowiedzieć się, że Marie ukrywa coś pod poduszką, i wyszperała liścik ukradkiem. Powiedziała Maman, a ta oczywiście doniosła o wszystkim ojcu.

Wodząc okiem po pokoju, rekonstruował dalszy przebieg zdarzeń:

— Angelika i Marie posprzeczały się o Ludwika. Moja siostra uderzyła ją w twarz. Gdy ojciec wyrzucił Ludwika, ten — o czym dowiedziałem się dopiero dzisiaj — przesłał Angelice kolejny list z prośbą, by uciekli razem. Zgodziła się. Byli szaleńczo w sobie zakochani. Jeszcze z dzieciństwa. Ja sądziłem, że Ludwik kocha się w Marie, ale myliłem się. Ludwik przybył tu za Angeliką z Europy. Jej rodzice pragnęli lepszej partii dla córki... podobnie jak moi dla Marie. — Westchnął. — Od kiedy zjawił się w Nowym Orleanie, zaczęli spotykać się ukradkiem.

— Ale dlaczego zgodziła się oddać ci rękę, skoro aż tak go kochała?

— Może myślała, że z czasem o nim zapomni. Może nie sądziła, że przybędzie tu za nią z Francji. Wylądował w Nowym Orleanie dokładnie w dniu naszego ślubu. Nie widziałem go podczas uroczystości weselnych, ale Angelice udało się. Właśnie dlatego nie mieliśmy tak naprawdę nocy poślubnej. Kochała tylko jego.

Słuchałam z szeroko otwartymi oczyma każdego jego słowa.

Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość, ale wciąż nie mogłam zrozumieć, dlaczego jakaś kobieta mogła przedkładać kogokolwiek nad Jordana. A potem przypomniałam sobie, że serce nie sługa...

— Angelika zostawiła wiadomość — kontynuował. — Pisała, że wraca do Paryża. Gdy nie nadchodziły żadne wieści od jej rodziców, zacząłem mieć wątpliwości. Przecież jej ojciec był równie, jak ja, uszczęśliwiony naszym małżeństwem. Wiedziałem, że gdyby wróciła do Francji sama, byłby oburzony. Wtedy zacząłem raz jeszcze rozważać wyznanie tej pokojówki. Fakt, że Ludwik zniknął z miasta dokładnie w tym samym czasie, świadczył dodatkowo o jej prawdomówności.

— Tydzień temu podjąłem pewne kroki i obiecałem nagrodę każdemu, kto przekaże mi informacje o Angelice i Ludwiku. Pewnego dnia zgłosił się do mnie człowiek, który pamiętał Ludwika jeszcze z apteki, i powiedział, że widział go w LaFayette. Udałem się tam dziś rano i bez trudu odnalazłem ich oboje. Oczywiście dręczy ich wstyd i poczucie winy. — Urwał i smutny uśmiech przemknął mu po wargach. — Teraz, gdy cię poznałem, jestem w stanie zrozumieć ich lekkomyślność.

— Lekkomysłność? — powtórzyłam, licząc w skrytości ducha, że myślimy o jednym i tym samym.

— Tak, bo gdybym poznał cię wcześniej... Moje usta otworzyły się jeszcze szerzej.

— Margaret Morgan z zabitej deskami dziury i Jordan LaMarsh? Piękna mi para! — powiedziałam siląc się na wesołość, ale wcale nie było mi do śmiechu. Wiedziałam, jak by się to skończyło.

— Chodzi ci o odrębność środowisk?

— Ładnie to ująłeś — powiedziałam chłodno.

— Angelika i ja pochodzimy z tego samego starego kraju i z tych samych „środowisk”, ale — jak widzisz — kiepska z nas była para. Małżeństwo z rozsądku — powiódł palcem po moim policzku — to niekoniecznie udane małżeństwo. Dwoje ludzi musi mieć jeszcze wspólne zainteresowania — choćby sztukę. Musi opierać swój związek na kilku podstawowych wspólnych przekonaniach. Dla mnie czymś takim jest uczciwość. Powiedziałaś mi kiedyś, że wyniosłaś z domu niechęć do kręactwa — nawet przed samą sobą. Może się zdziwisz — powiedział cicho — ale właśnie to tak mnie do ciebie zbliżyło. A poza tym — pogłodził moje niemiłosiernie rozczochrane długie włosy — jest coś w twojej urodzie... naturalność, słodycz i... wybaczone — prostota.

Ktoś cichutko zastukał do drzwi i przez długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, chcąc, by ta chwila trwała jeszcze dłużej. Stukanie przybrało na sile.

— Proszę wejść — zawołałam patrząc w drzwi bez szczególnego entuzjazmu.

Marie stanęła w progu, niezdecydowana, a jej jeszcze bledsza, niż zazwyczaj, twarzyczka wyłaniała się spośród złotych koronek peniuaru.

— Co się stało? — spytała.

— Wiele się stało, Marie — odparł Jordan. — Ale najpierw powiem ci coś innego. Wracam z LaFayette, gdzie odnalazłem Ludwika i Angelikę. Ludwika z Angeliką! — dodał z naciskiem.

— Ludwika? Angelikę? — wpatrywała się w brata błędnym wzrokiem.

— Uciekli tam razem. Kochali się... powiedzmy, jeszcze od czasów europejskich. To dlatego nigdy nie była moją prawdziwą żoną.

Marie wciąż milczała i patrzyła nań z przerażeniem.

— Przykro mi, Marie. Wiem, ile Ludwik dla ciebie znaczył. Długo zbierała siły, aż wreszcie spojrzała na mnie, potem na niego i pokręciła głową.

— Teraz to już nieważne. Nie kocham Ludwika. Jak mogłabym kochać kogoś, kogo właściwie nie znałam? — Jej głos zaczął nabierać ostrości. — Okłamywał mnie. Zalecał się do mnie tylko po to, by być bliżej Angeliki.

— Obawiam się, Marie, że tak właśnie było — powiedział Jordan.

Wstrzymałam oddech, oczekując tradycyjnego wybuchu hysterii. Ku memu zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło.

— Cóż mnie to obchodzi — wzruszyła ramionami. — Powiedz lepiej, jak ty się czujesz? — spojrzała z ciekawością w moją stronę.

— Czuję się dobrze, a co z... popatrzyłam bezradnie na nich oboje.

— To straszne — Marie aż wtuliła głowę w ramiona. — Ta stara Cyganicha leży tam na dole martwa. Podobno wypięła zawartość swojej buteleczki.

Martwa?

Spojrzałam na nich, a Marie gwałtownie skinęła głową:

— Gdy usłyszałam czyjś krzyk na dziedzińcu, podbiegłam do okna. Zobaczyłam Frances dobijającą się do oficyn służby. Nikt nie otwierał, więc wybiegła przez furtkę na ulicę. Ja pobiegłam szukać Jordana, ale jeszcze nie wrócił do domu. Przeraziłam się, że coś złego przydarzyło się Margaret. Elza wspomniała mi, że słyszała coś ubiegłej nocy, ale myślałam...

— Czyżbyś tak bardzo przestraszyła się, że coś złego przydarzyło się właśnie mnie? — wyrwało mi się, zanim zdążyłam zapanować nad całą skumulowaną niechęcią do tej pannicy.

— Myślałam... myślałam, że będziesz taka sama jak Angelika — wybuchnęła płaczem. — Oczywiście zachowywałaś się inaczej, ale i tak wszyscy przejmowali się tylko tobą.

Urwała, a ja przypomniałam sobie, jakie z niej rozkapryszone i samolubne dziecko. Może z czasem jakoś się do niej przyzwyczaję, ale na razie nie byłam w stanie patrzeć na nią obiektywnie.

— Byłam zazdrosna o Angelikę — wyrzuciła z siebie. — Przyznaję. Była taka piękna, czarująca i myślałam, Jordanie, że poza nią świata nie widzisz. A potem... poznałam na wieczorku Ludwika, a on był taki... inny, no i straciłam dla niego głowę. Oczywiście nie wiedziałam, że on też ma bzika na jej punkcie. Czułam tylko, że... jestem mniej atrakcyjna.

Przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w sufit.

— Teraz już wiem, dlaczego postąpiła tak podle z tym liścikiem pod poduszką. Posprzeczałyśmy się. Byłam na nią wściekła. Właśnie za to dałam jej w twarz. Nie miała prawa węszyć po mym pokoju i biegać z donosami do Maman.

Nerwowo targała falbankę rękawa, a potem znów spojrzała na mnie, ale z odmienioną twarzą:

— Właśnie dlatego chciałam, żebyś się stąd wyniosła, Margaret. Widziałam, jak mój brat patrzy na ciebie. Po zniknięciu Angeliki pokojówka wygadała się o jej ucieczce z Ludwikiem. Czułam, że jeśli Jordan nie sprowadzi Angeliki z powrotem, nigdy już go nie zobaczę. Ale teraz już mi na tym nie zależy. — Wątry uśmiech pojawił się na jej nadąsanych usteczkach, a oczy nabrały blasku.

— Pewnie szybciej wyszłabym za Filipa, gdyby rodzice aż tak nie pchali mnie do ołtarza. To znaczy, szybciej pokochałabym Filipa

— poprawiła się. — Ale miałam dość prowadzenia mnie za rączkę przez Maman. Chciałam sama wybrać sobie męża. No i wybrałam sobie — wyciągnęła w kierunku brata dłoń ze skrzącym się brylantem. — Zdaje się, że do tej pory był zbyt zajęty mną, by w ogóle go spostrzec.

— Gratuluję, Marie — powiedział z uśmiechem. — Czy to Filip jest szczęśliwym wybranym?

Skinęła głową i też zdobyła się na uśmiech.

— Mądrze wybrałaś, siostrzyczko.

— Ty też mądrze wybrałaś — spojrzała w moją stronę, obróciła się i ruszyła w stronę drzwi. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Przynajmniej raz miałyśmy identyczne zdanie.

— Margaret, muszę ci jeszcze coś powiedzieć — zatrzymała się w drzwiach. Nie złość się na Maman o tę nocną koszulę. — Zacerwieniła się i wbiła wzrok w podłogę. To ja dałam ją Elzie i powiedziałam, że Maman każe ci ją zanieść.

Ale... to był mój, a nie Maman pomysł. Głupia ze mnie smarkula i myślałam, że może w ten sposób zrażę do ciebie Jordana.

Przez kilka sekund panowała pełna napięcia cisza i nagle Jordan wybuchnął śmiechem:

— Zdaje się, Marie, że nie tylko każdy kij, ale i każda koszula miewa dwa końce. W każdym razie masz u nas dług wdzięczności.

„Koszula?” Na Boga, o czym oni mówią! — Dopiero teraz doszło do mnie, że mam na sobie swój flanelowy, siermiężny łach. Teraz ja pokraśniałam aż po czubki uszu.

— Daj już odpocząć Margaret — powiedział delikatnie Jordan. Marie dyskretnie zamknęła za sobą drzwi. Leżałam sztywno, tym razem nie z bólu, lecz ze wstydu, podciągnawszy kołdrę aż po sam podbródek. Ale musiałam puścić ją jedną ręką, żeby przygładzić sobie włosy. Ciężką miałam tę noc.

— A teraz powiedz, co właściwie wydarzyło się przed moim powrotem? — taktownie zmienił temat.

Na samo wspomnienie pobladałam, zapomniawszy o koszuli.

— Najpierw znów usłyszałam ten sam płacz za drzwiami. To Bella...

— A więc myślisz, że wtedy to też była ona?

— Tak, sama mi to wyznała. Powiedziała mi też o łańcuchu. Chodziło o to, bym się potknęła i spadła ze schodów. Sądzę, że przytknęła też świecę do mojej nocnej koszuli.

— Co za podła jędza!

— Nie tylko jędza, Jordanie. Wybacz, ale to, co muszę ci powiedzieć, mocno cię ugodzi.

— Nie rozumiem, Margaret. Cóż jeszcze miałyby mnie ugodzić? Powoli, przerywając co pół zdania, powiedziałam mu o buteleczkach, o lekach, o całej intrydze Belli.

Słuchał w milczeniu, kiwając głową:

— Ojciec wspominał mi, że leki na morfinie zniknęły czasem z półek naszej apteki. Policja była bezradna. Podejrzewał, że ktoś musi mieć dorobiony klucz. Z tego, co słyszę, wynika, że Bella mogłaby go sobie dorobić.

Przypomniał mi się niebieski kamyk, nożyk, śmiercionośny napój. Tak, Bella mogłaby dorobić sobie klucz. Czy zresztą musiała?

— Jordanie — usiadłam i delikatnie ujęłam jego dłoń. — Nie chcę ci tego mówić, ale Bella przyczyniła się też do śmierci twojego ojca.

— Co takiego? — Poderwał się z krzesła i po chwili opadł na nie bezwładnie.

Mówiłam dalej, streszczając to, co Bella opowiadała Frances. Chwilami miałam skrupuły, że sprawiam mu tyle bólu, ale chciałam, by znał całą prawdę.

— Oczywiście Clarence i tamci byli we władzy nałogu. Clarence pełnił rolę posłańca i podejrzewam, że domokrażca musiał być też na jej usługach. Podobnie jak ci dwaj malarze...

— Zawiadomiłem już policję. Porozmawiamy o nich, gdy tu przybędzie. Czy to już wszystko, Margaret?

Pozostały jeszcze związki między Bella a Frances, ale wołałam, żeby to ona mu je wyjawiała.

— Wszystko, co nas dotyczy — powiedziałam i wyczerpana padłam na poduszkę.

Na odgłos licznych kroków w wozowni Jordan podniósł się z krzesła.

— Policja poczeka do jutra. Teraz potrzebny ci odpoczynek. Powiem im wszystko, czego się od ciebie dowiedziałem. Cud, że Frances była poza domem o tak późnej porze — rzucił mimochodem.

— Szczęśliwy traf, Jordanie — powiedziałam.

— Masz rację. Teraz ważne, żebyś odpoczęła. — Ucałował mnie w czoło i szybko wyszedł z pokoju.

Głosy dochodziły teraz z dziedzińca, ale to już nie była moja sprawa. Niech Jordan rozmawia z policjantami. W końcu to on jest dziedzicem Fountain Court.

Leżałam wpatrując się w sufit i próbowałam uspokoić rozdygotane nerwy. Już niemal się udało, gdy rozległo się stukanie do drzwi.

— Otwarte! — zawołałam. Czy był sens zamykać drzwi na klucz przy takiej liczbie gości?

Weszła blada i przygnębiona Frances. Podniosłam się i skinęłam jej głową.

— Wejdz, Frances — próbowałam zdobyć się na uśmiech, ale nie potrafiłam, choć strasznie mi jej było żal.

Zamknęła drzwi, podeszła do łóżka i opadła na krzesło.

— Doszłaś do siebie? — spytała, przyglądając się mojej twarzy.

— Tak, a ty?

— Sama nie wiem. — Nie była w stanie opanować rąk. Nie wiedziałam, że ona jest taka. W gruncie rzeczy słabo ją znałam. Posłała mnie na Północ, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Umieściła mnie u zakonnic i tam się wychowywałam. Zawsze najgorsze były wakacje, gdy musiałam zostawać sama, tylko z kilkoma siostrami. Z Bella wymieniałam tylko rzadkie listy.

Pisała, że zdrowie jej nie służy, że nie powinna podróżować i że tak właśnie będzie dla mnie najlepiej.

Wpatrywała się w zaciśnięte dłonie:

— W wieku piętnastu lat zachorowałam poważnie. Zabrali mnie do szpitala, a zakonnice, czując, że mogę z tego nie wyjść, posłały po Bellę. Ku memu zdziwieniu, przyjechała wtedy do St. Louis.

— Znów zamilkła i wpatrywała się w przestrzeń. — Gdy zobaczyłam jakąś Mulatkę i dowiedziałam się, że to moja matka, całe moje życie przekreśliło się do góry nogami.

Zakryła dłonią oczy:

— Wmówiłam sobie, że to niemożliwe. Wiem, że to było podłe, ale chyba to zrozumiała. Ciężko doświadczył ją los i postanowiła nigdy się ze mną nie spotykać, abym tylko ja miała kiedyś lepsze życie. Przynajmniej pod tym względem jej nie zawiodłam. W rok po tej wizycie poznałam Waltera. Miałam dopiero szesnaście lat, a on aż trzydzieści trzy. Niedługo przedtem owdowiał. Prowadził z żoną sklep z tekstyliami w St. Louis i próbował stanąć jakoś o własnych nogach. Chyba zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia, gdy wpadłam tam, by kupić jakąś modną kieckę.

— Uśmiechnęła się smutno. — Pamiętam, że sprzedał mi ją za śmiesznie niską cenę, a wtedy i ja w nim się zakocham. To był bardzo porządny człowiek i z nikim w życiu nie czułam się tak bezpiecznie, jak z Walterem.

Urwała i czułam, że zмага się z sobą.

— Wstydziałam się mych korzeni tak bardzo, że nie wierzyłam, iż mógłby poślubić mnie wiedząc o mojej mieszanej krwi. Dopiero gdy mi się oświadczył, przemogłam się i wyznałam mu prawdę. Nie był aż tak stary, by nie móc założyć rodziny, a ja już wcześniej postanowiłam nigdy nie mieć dzieci. Może to był błąd, ale ta jedna czwarta czarnej krwi była moją obsesją...

Łzy napłynęły do jej zawsze suchych oczu.

— Wiesz, co mi wtedy powiedział? „Moja żona zmarła w połogu, dziecko też. Nie chcę i ciebie stracić”. Obiecał mi, że będę przy nim zawsze bezpieczna i nie pozwoli nikomu mnie znieważyć. Przeżyliśmy razem czternaście lat. Czternaście najszcześniejszych lat mojego życia. Gdy umarł, coś we mnie pękło. Ja też nie próbowałam hamować łez:

— To musiał być wspaniały człowiek — wydusiłam wreszcie z siebie.

— Tak, to był wspaniały człowiek. — Wyciągnęła z kieszonki sztywną batystową chusteczkę i otarła oczy. — Chciał, żebym zajęła się czymś, co mnie interesuje, a mnie zawsze pasjonowało pielęgniarstwo. Ukończyłam kursy i

znalazłam pracę w szpitalu. Dziękuję Bogu za ten wybór, bo wiem, że już nigdy nie zwiążę się z innym mężczyzną. Żaden nie będzie taki jak Walter.

Dotknęłam jej ręki:

— Żaden nie będzie taki, ale jeszcze niejeden cię doceni, Frances. Jesteś wciąż młoda i atrakcyjna, a więc czemu nie masz być jeszcze szczęśliwa?

— Nie chciałam wracać do Nowego Orleanu — pokręciła głową.

— Bella napisała, że jest z nią bardzo źle i prosi mnie o tę ostatnią wizytę. Nadmieniła, że nikt się nie dowie, że jestem jej córką.

— Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. — Waltera już nie było, a ja czułam się zupełnie rozbita. Pomyślałam, że może warto choć raz zobaczyć Nowy Orlean. Gdy tu przybyłam, próbowała podsunąć mnie Jordanowi LaMarsh. To było zupełnie idiotyczne, bo ani on, ani ja nie mieliśmy na siebie najmniejszej ochoty. Za to czułam, że jestem potrzebna starszej pani LaMarsh. Traktowałam pielęgniarstwo jako hobby i tak to się zaczęło.

Przytakiwałam, łowiąc każde słowo:

— Posłuchaj, Frances. Powiedziałam Jordanowi wszystko, co mówiła tam na dole Bella. Ale nie wspomniałam mu słowem, że coś was łączyło. To już twoja sprawa.

Zakryła oczy chusteczką:

— Dobra z ciebie dziewczyna, Margaret. Nie wiedziałam, że są jeszcze takie.

— Ja też, Frances... ja też nie wiedziałam, że są jeszcze takie jak ty. — Chyba zapłakałybyśmy się na śmierć, gdyby nie ciężkie kroki na schodach i gwałtowne łomotanie do drzwi.

Na szczęście była to tylko Elza z dymiącym talerzem.

— Masz tu na wzmocnienie. Od rosółu jeszcze nikt nie umarł.

Rosół o północy? Postawiła zamasyście talerz na nocnym stoliku i przez chwilę wpatrywała się w oblicze mojej babci na dagerotypie.

— Pewnie myślisz, że chcę zająć jej miejsce? No to trzymaj się. Coś mi mówi, że teraz wiele się tu zmieni.

Czułam, że ten nocny rosół był tylko pretekstem.

— Trzymaj się, Elzo. A za rosół stokrotne dzięki — odpowiedziałam, siląc się na uśmiech.

Opadła na krzesło i przez dłuższą chwilę kręciła głową:

— A ja brałam od niej zioła i wpuszczałam ją do kuchni! Ale podeszła starą idiotkę.

— Wszystkich podeszła, Elzo. I nie mów tak o sobie. Bella nie była głupia, szkoda tylko, że nie wykorzystywała swej wiedzy w inny sposób.

Popatrzyłam w sufit i przypomniała mi się cała opowieść Frances. Przecież robiła to wszystko dla swojej córki. Ile musiała wycierpieć po to, by tamta miała lepsze życie. Pozwoliła jej nawet wyrzec się rodzonej matki.

— Nie nam ją teraz sądzić, Elzo.

— Co gadasz? — poprawiła czepek. — A tak w ogóle, to policja już sobie poszła i może wreszcie zaczniemy żyć tu normalnie... albo i nie — popatrzyła na mnie z ukosa. — Dalej chcesz się stąd wynosić?

— Nie, Elzo. Ona już nie chce się stąd wynosić — powiedział Jordan, stojąc w nie domkniętych przez Elzę drzwiach. — A teraz — jeśli oczywiście mi pozwolisz — chciałbym zamienić kilka słów z panną Morgan. Zaleciłem jej odpoczynek, ale widzę, że należało postawić wartę pod jej drzwiami.

— I pewnie pan będzie stał na tej warcie? — mruknęła Elza i patrząc kątem oka ruszyła z ociąganiem ku drzwiom.

Spojrzał na mnie, ja na niego i zobaczyłam, że zmęczenie całego długiego dnia spływa mu z twarzy. Serce zabiło mi mocno na ten widok.

— Tak, chyba ja będę stał na tej warcie. Ale zanim się zdecyduję, muszę jeszcze zapytać pannę Morgan.

— Jakby coś, to jestem u siebie w kuchni — rzuciła zza progu Elza.

— A tak w ogóle, to gdzie mam podać rano śniadanie? Na dziedzińcu?

Spojrzał na nią, puścił perskie oko i zauważyłam, że zaczerwieniła się jak burak.

— Niezły pomysł z tym dziedzińcem, Elzo. — powiedział.

— Zrobi się! — zawołała i z widoczną ulgą starannie zamknęła drzwi za sobą.

Przypomniała mi się Frances i pomyślałam, że właśnie dlatego wrócił.

— Chciałeś mnie o coś zapytać?

Zawahał się, przysunął krzesło i zauważyłam, że waży słowa.

— Czy to dotyczy Frances? Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, to nie dotyczy Frances. Choć przyznam ci się, że zaimponowałaś mi pod tym względem. Przed chwilą wyznała mi wszystko, a ja obiecałem jej, że nigdy nie będziemy do tego wracać. Było, minęło. Prosiłem ją, by spróbowała zapomnieć o tej nocy i ułożyć jakoś sobie życie. Życzę jej tego z całego serca.

Spojrzał na mnie czarnymi, błyszczącymi oczyma i wreszcie zadał to właśnie pytanie:

— A jak z dziećmi, Margaret? Bo ja zawsze marzyłem o trójce, no, powiedzmy czwórce...

EPILOG

Od tamtej pamiętnej nocy minął już rok. Wiele się zmieniło.

Policja rozpracowała całą siatkę Belli, a jej specyfiki zostały raz na zawsze wycofane z aptek. Trochę pomógł im w tym Clarence, który dochodzi do siebie po długiej szpitalnej kuracji. Inspektor Davis mówi, że jednak warto produkować niektóre składniki, bo wprawdzie dla człowieka mogą być śmiertelnym zagrożeniem, ale cierpiącym zwierzętom mogą przynieść szybką i bezbolesną śmierć.

Frances Jackson poznała tu w Nowym Orleanie bardzo przyzwoitego wdowca, który poza nią świata nie widzi. Teraz, ilekroć wymienia nazwisko pana Simpsona, jej szare oczy wypełnia duma i miłość. Sądzę, że powoli i serce Frances pójdzie w ślady jej oczu.

Marie poślubiła Filipa Moneta, nie donosiwszy żałoby. Może i dobrze, bo suknię miała prosto z Paryża, a cały dom aż huczał od płasów i muzyki przez bite trzy tygodnie. Oczywiście ślub brali w katedrze Świętego Ludwika, a teraz spędzają miodowy miesiąc w Europie, podczas gdy Jordan wykańcza projekt ich wiejskiego domu. Nie sądzą, że często będziemy tam gośćmi, bo z Monetami mamy niewiele wspólnych tematów, ale niech im się wiedzie. Marie była, jest i będzie rozkapryszoną egoistką, choć trzeba przyznać, że Filip przydał jej aroganckim manierom nieco wdzięku i łagodności.

Pani LaMarsh opuściła nas przed miesiącem i wszystkim nam bardzo jej teraz brak. Dobrze, że chyba przez ostatnie godziny była szczęśliwa — jej czarne oczy odzyskały dawny blask, a imię Józefa wymawiała z uśmiechem i spokojem. Wierzymy, że znów są razem, szczęśliwsi, niż było im dane na tym padole.

Elza po staremu krząta się po kuchni, odpędza wszystkich od garnków i strasznie nas rozpuscita. Język ma nadal cięty, a gdy raz wprawi go w ruch, nie mogę wyjść z podziwu. Liczę na jej pomoc nie tylko przy garnkach, ale i przy tym, który właśnie wierzga gdzieś w okolicach mojego żołądka i pewnie nie może się doczekać, aż się mi przedstawi.

Mówię „przy tym”, a nie „przy tej” — bo przecież musi być taki jak Jordan, a poza tym w Fountain Court przydałaby się druga para męskich rąk.

A skoro już mowa o Jordanie...

Gdy nocą nawiedza mnie wspomnienie tamtych koszmarów, wiem, że mam gdzie obrócić głowę i że czyjś bliski oddech znów ukołysze mnie do snu.

Dobrze mi z Jordanem LaMarsh, a i jemu ze mną. Może i jestem Margaret Morgan z zabitego deskami Riverville, ale pod jednym względem miał wiele racji: coś nas łączy. On maluje portrety, ja pejzaże i jakoś nie przeszkadzamy sobie w naszej wspólnej pracowni nad wozownią. A gdy się nam znudzi, wsiadamy w powóz i wyruszamy do Bellwood lub do Riverville, skąd zawsze wracamy do domu w dobrych humorach.

Fountain Court też się zmieniło. Teraz wypełnia je śmiech i miłość, a sądzę, że niedługo dołączą dziecięce głosiki. Czasami, gdy się nad tym wszystkim zadumam, podchodzę do tylnej furtki i patrzę na róg bocznej uliczki i Royale, tam gdzie kiedyś pewna dziewczyna z prowincji stała, zachodząc w głowę, co ją tak fascynuje w tym domu.

Tylko nie mówcie mi, że przeczucia się nie sprawdzają...